


{ "Fenomenalna
powieść!" }

V.E. SCHWAB

{ PUBLISHERS
WEEKLY }



MROCZNIEJSZY ODCIEŃ MAGII



V.E. Schwab

MROČNIEJSZY ODCIEŃ MAGII

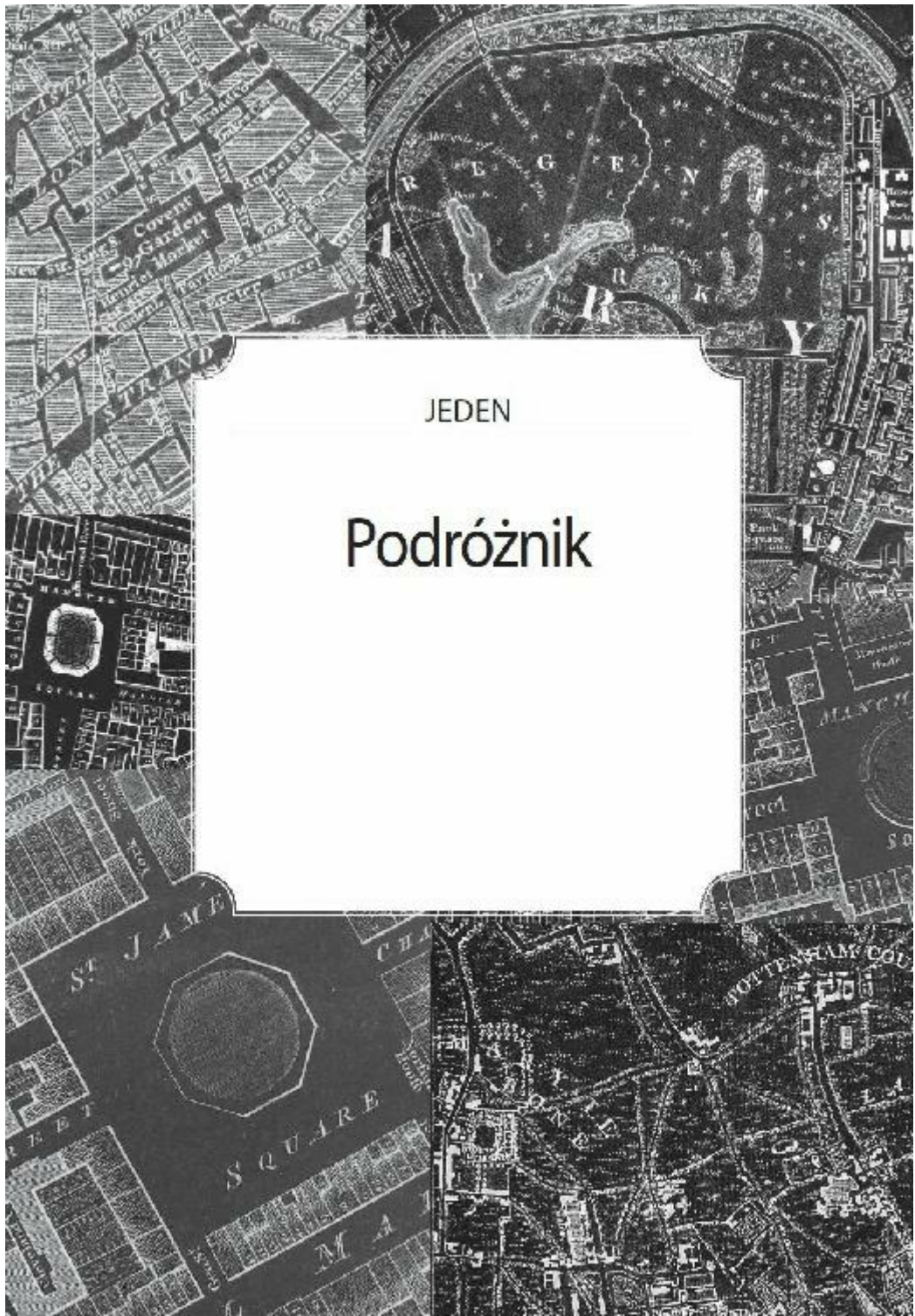
Przełożyła
Ewa Wojtczak

ZYSKI-SKA
WYDAWNICTWO



*Dla tych, którzy marzą o bardziej niezwykłych światach
Kłopot z magią polega na tym, że nie jest ona kwestią mocy,
lecz równowagi. W przypadku zbyt małej mocy stajemy się słabi.
Zbyt dużo mocy — i stajemy się kimś zupełnie innym.*

TIEREN SERENSE,
arcykapłan Londyńskiego Sanktuarium



JEDEN

Podróżnik

I

Kell nosił bardzo szczególne okrycie.

Nie posiadało jednej strony, co byłoby typowe, ani dwóch, co byłoby nieoczekiwane, lecz miało ich kilka, co było — oczywiście — niemożliwe.

Po przejściu z jednego Londynu do drugiego Kell zawsze najpierw zdejmował okrycie i odwracał je na inną stronę — raz, dwa razy (albo nawet trzy), aż znalazł tę, której potrzebował. Nie wszystkie wyglądały modnie, ale niemal każda służyła jakiemuś celowi. Były takie, które wtapiały się w tło, i takie, które się wyróżniały; jedna niczemu nie służyła, ale Kell po prostu bardzo ją lubił.

Kiedy więc przeszedł przez zamkową ścianę i wkroczył do przedpokoju, minęła dobra chwila, zanim odzyskał równowagę — przemieszczanie się pomiędzy światami wymagało ofiary krwi — po czym zdjął czerwony płaszcz z wysokim kołnierzem i odwrócił go na inną stronę, a wtedy płaszcz zmienił się w prostą czarną marynarkę. Albo raczej prostą czarną marynarkę elegancko obszytą srebrną nitką i ozdobioną dwoma rzędami lśniących srebrnych guzików. Za granicą Kell musiał oczywiście wybierać skromniejszą paletę barw (ponieważ nie chciał obrażać lokalnego władcy ani przyciągać niczyjej uwagi), nie znaczyło to jednak, że nie mógł ubierać się stylowo.

„Ach, na królów!” — zachnął się, zapinając guziki marynarki. Zaczynał myśleć jak Rhy.

Na ścianie za sobą dostrzegał jeszcze słaby symbol własnego przejścia, niczym powoli znikający ślad stopy odcisniętej w piasku.

Akurat z tej konkretnej strony nigdy nie oznaczał drzwi, po prostu dlatego, że w żadnym wypadku tą drogą nie wracał. Podróż z Windsoru do Londynu była szalenie niedogodna, zważywszy na fakt, że przemieszczając się między światami, trafiał dokładnie w te same punkty geograficzne. A problem polegał na tym, że o dzień drogi od Czerwonego Londynu nie było windsorskiego zamku królewskiego. Aby tu dotrzeć, Kell przekroczył po prostu kamienną ścianę dziedzińca domu należącego do zamożnego dżentelmena w mieście o nazwie Disan. Miasto Disan było, ogólnie rzecz ujmując, bardzo przyjemnym miejscem.

Windsor natomiast nie.

Niewątpliwie imponujący, ale nie przyjemny.

Wzdłuż ściany biegł marmurowy kontuar, a na nim — jak zwykle — czekała na Kella miska z wodą. Oplukał zakrwawioną rękę, a także monetę, srebrną koronę,

której użył do przejścia. Sznurek z monetą zawiesił sobie na szyi, a następnie wsunął z powrotem pod kołnierz. W korytarzu za sobą słyszał szuranie stóp oraz ciche mamrotanie służących i strażników. Specjalnie wybrał ten przedpokój, żeby uniknąć spotkania z nimi wszystkimi. Doskonale wiedział, jak bardzo księciu regentowi nie podoba się jego pobyt tutaj, i nie miał ochoty trafić na osoby, które złożą szczegółowe sprawozdanie z jego wizyty w sali tronowej.

Ponad kontuarem i miską wisiało lustro w złoczonej ramie, więc szybko się w nim przejrzał — rudawobrazowe włosy opadały mu na jedno oko, ale ich nie odgarnął, chociaż poświęcił chwilę na wygładzenie rękawów marynarki — a następnie przeszedł przez drzwi i udał się na spotkanie z królem.

W sali było duszno i gorąco — mimo pięknego październikowego dnia okna szczelnie zamknięto, a w palenisku szalał potężny ogień.

Jerzy III siedział obok paleniska, w szacie narzuconej na zasuszone ciało, u jego kolan stała taca z nietkniętą herbatą. Kiedy Kell wszedł, król chwycił się kurczowo krawędzi tronu.

— Kto tam?! — zawołał, nie odwracając się. — Rabusie? Duchy?

— Nie wierzę, że duchy odpowiadają, Wasza Wysokość — odparł Kell, zamiast się przedstawić.

Niedomagający władca uśmiechnął się krzywo.

— Panie Kell — powiedział. — Kazaleś na siebie czekać.

— Nie dłużej niż miesiąc — odrzekł i zrobił krok w stronę tronu.

Król Jerzy zmrużył niewidzące oczy.

— Dłużej, jestem tego pewny.

— Przysięgam, że nie.

— Może nie dla ciebie! — odparował władca. — Ale czas nie płynie tak samo dla szaleńca jak dla ślepcy.

Kell uśmiechnął się, bo król był dziś w dobrej formie; nie zawsze tak bywało. Nigdy nie miał pewności, w jakim stanie znajdzie Jego Wysokość.

Może król Jerzy sądził, że minęło już więcej niż miesiąc, ponieważ w trakcie ostatniej wizyty popadł w paskudny nastrój i Kell ledwie zdołał uspokoić jego zszargane nerwy na czas, który pozwolił przekazać wiadomość.

— Może to rok się zmienił — kontynuował król — a nie miesiąc.

— Och, nie, rok jest ten sam.

— Czyli który?

Kell zmarszczył czoło.

— Tysiąc osiemset dziewiętnasty.

Przez twarz króla przemknął cień, a potem on sam tylko potrząsnął głową.

— Czas — powiedział, jak gdyby to jedno słowo mógł obarczyć winą za wszystko. — Siadaj, siadaj — dodał, wskazując ogólnie na pomieszczenie. — Gdzieś tutaj musi być jeszcze jedno krzesło.

Żadnego nie było. Wyposażenie komnaty przedstawiało się skandalicznie skromnie, a Kell miał pewność, że drzwi do korytarza można otworzyć jedynie z zewnątrz, nie stąd.

Król wyciągnął sękatą dłoń. Zdjęto mu pierścienie, żeby się nie poranił, a paznokcie miał przycięte bardzo krótko.

— Mój list — polecił i w tej chwili Kell ujrzał przebłysk dawnego króla Jerzego. Monarchy.

Poklepał się po kieszeniach marynarki i uświadomił sobie, że przed zmianą zapomniał wyjąć pismo. Zdjął pospiesznie marynarkę i na moment odwrócił ją na czerwoną stronę, po czym przetrząsał fałdy, aż znalazł kopertę. Kiedy wcisnął ją w rękę króla, Jerzy obmacał i pogładził woskową pieczęć — godło tronu Czerwonego Londynu, czyli kielich mszalny ze wschodzącym słońcem — a potem podniósł papier do nosa i powąchał.

— Róże — oznajmił tęsknie.

Miał na myśli magię. Kell nigdy nie wyczuł nawet słabego zapachu Czerwonego Londynu, który rzekomo przylgnał do jego ubrań, ale kiedykolwiek podróżował, zawsze ktoś mu powtarzał, że pachnie świeżo ściętymi kwiatami. Niektórzy mówili, że to tulipany. Inni wymieniali storczyki.

Chryzantemy. Piwonie. Dla króla Anglii zawsze były to róże. Kell cieszył się, że woń jest przyjemna, nawet jeśli sam jej nie czuł. Wyczuwał aromat Szarego Londynu (dym) i Białego Londynu (krew), ale Czerwony Londyn pachniał dla niego po prostu domem.

— Otwórz ją dla mnie — polecił król. — Tylko nie uszkodź pieczęci.

Kell zrobił, jak mu polecono, i wyjął z koperty zawartość. Przynajmniej ten jeden raz był wdzięczny, że król jest ślepy i nie może zobaczyć, jak krótki list dostał. Trzy niedługie wersy. Uprzejmość wyświadczona niedomagającemu figurantowi, nic więcej.

— Jest od mojej królowej — wyjaśnił Kell.

Monarcha skinął głową.

— Kontynuuj — rozkazał, robiąc dostojną minę, która nie pasowała do jego kruchej postury i drżącego głosu. — Kontynuuj!

Kell przełknął ślinę.

— „Pozdrowienia dla Waszej Wysokości, królu Jerzy III — odczytał — z sąsiedniego tronu”.

Królowa nie użyła określenia „czerwony tron” ani nie przesłała pozdrowień z Czerwonego Londynu (choć dzięki wszechobecnemu intensywnemu światłu odbijającemu się od tamtejszej rzeki miasto naprawdę było całkiem karmazynowe), ponieważ nie myślała w ten sposób o swojej stolicy. Ona i wszyscy inni, którzy zamieszkiwali tylko jedno z miast, nie mieli potrzeby podkreślania różnic. Kiedy władcy jednego Londynu konwersowali z władcami drugiego, nazywali ich po prostu „innymi”, „sąsiadami” lub — od czasu do czasu — używali mniej pochlebnych słów (w szczególności w odniesieniu do tych z Białego Londynu).

Jedynie ci nieliczni, którzy mogli się przemieszczać między światami, odczuwali konieczność stosowania pełnych określeń. Kell również — pod wpływem wspomnienia o utraconym mieście powszechnie znanym jako Czarny Londyn — nadawał kolor każdej pozostałej metropolii.

„Szary” dla miasta pozbawionego magii.

„Czerwony” dla królestwa zrównoważonego.

„Biały” dla świata przymierającego głodem.

W rzeczywistości same miasta bardzo się od siebie różniły (a całe państwa jeszcze bardziej). Fakt, że wszystkie nazywały się Londyn, stanowił prawdziwą tajemnicę, chociaż przeważała teoria, że jedno z nich przyjęło to miano dawno temu, na długo zanim wszystkie drzwi szczelnie zamknięto i można było przejść przez nie jedynie z listem od króla lub królowej. Nie było zgody w kwestii, które miasto ma prawo rościć sobie pretensje do pierwszeństwa nazwy.

— „Mamy nadzieję usłyszeć, żeś zdrów — ciągnął Kell — i że pogoda o tej porze roku jest w twoim mieście równie piękna, jak w naszym”.

Przerwał. W liście nie było nic więcej poza podpisem. Król Jerzy zacisnął dłonie w pięści.

— To wszystko? — jęknął.

Kell się zawahał.

— Nie — odparł, składając list. — To dopiero początek.

Odchrząknął i zaczął chodzić po sali, zbierając myśli i układając je w słowa od królowej.

— „Dziękuję ci za pytanie o naszą rodzinę. Król i ja miewamy się dobrze.

Książę Rhy, z drugiej strony, nadal w równej mierze wzbudza podziw i wściekłość, przynajmniej jednak w tym miesiącu nie skręcił karku ani nie przedstawił nam nieodpowiedniej narzeczonej. Dziękujemy Kellowi, że nie dopuścił do żadnej z tych rzeczy”.

Chętnie pozwoliliby królowej rozwodzić się dłużej nad jego własnymi zaletami, ale w tym momencie zegar na ścianie wybił piątą po południu i Kell zaklął pod nosem. Był

spóźniony.

— „Aż do mojego następnego listu — zakończył pospiesznie — pozostań szczęśliwy i w dobrym zdrowiu. Z wyrazami sympatii, Jej Wysokość Emira, Królowa Arnes”.

Począł, aż król Jerzy coś powie, lecz ten nieruchomo utkwiał ślepe oczy w jakimś odległym punkcie i Kell miał obawy, że go stracił. Umieścił złożoną kartkę na tacy z herbatą i był już w połowie drogi do ściany, kiedy władca się odezwał:

— Nie mam dla niej epistoły — mruknął.

— Nic nie szkodzi — zapewnił go łagodnie Kell. Król Jerzy od lat nie potrafił napisać listu. W niektóre miesiące próbował, na chybił trafił ciągnąc pióro po pergaminie, w inne dyktował Kellowi, ale w trakcie większości jego wizyt po prostu przekazywał ustnie wiadomość, a Kell obiecywał ją zapamiętać.

— Rozumiesz, nie miałem czasu — dodał król, starając się ocalić resztki godności. Kell nie zaprzeczył.

— Rozumiem — odrzekł. — Przekażę od ciebie rodzinie królewskiej wyrazy szacunku.

Odwrocił się znowu z zamiarem odejścia i ponownie stary król polecił mu się zatrzymać.

— Czekaj, czekaj — powiedział. — Wracaj.

Kell przystanął. Zerknął na zegar. Robiło się coraz później. Wyobraził sobie księcia regenta, jak siedzi przy stole w St. James, ściska krzesło i wszystko się w nim gotuje. Na tę myśl uśmiechnął się i znów spojrzał na króla Jerzego, który niezgrabnymi palcami wyjmował coś z fałd szaty.

To była moneta.

— Słabnie — wyznał stary król, trzymając w pomarszczonych dłoniach metalowy krążek, niczym coś drogocennego i delikatnego. — Nie wyczuwam już jej magii. Nie czuję jej zapachu.

— Moneta jak moneta, Wasza Królewska Mość.

— Nie jest tak, i dobrze o tym wiesz — odburknął Jerzy. — Wywróc kieszenie. Kell westchnął.

— Wpędzisz mnie w kłopoty.

— No dalej — nalegał król. — Nasz mały sekret.

Kell wcisnął rękę do kieszeni. Gdy za pierwszym razem odwiedził króla Anglii, dał mu monetę na dowód tego, kim jest i skąd przybywa. Opowieść o innych Londynach przekazywano w rodzinie królewskiej z pokolenia na pokolenie, ale od poprzedniego przybycia podróżnika mijały wówczas całe lata. Król Jerzy raz tylko zerknął na szczupłego chłopaka, zmrużył oczy i wyciągnął mięsistą dłoń, a Kell położył na niej

monetę. Był to zwyczajny lin, bardzo podobny do szarego szylinga, tyle że oznaczony czerwoną gwiazdą zamiast królewskiego oblicza. Jerzy zacisnął pięść na monecie i podniósł ją do nosa, wdychając zapach. A potem się uśmiechnął, wsunął monetę w fałdy płaszcza i zaprosił Kella do środka.

Od tamtego dnia za każdym razem, gdy Kell odwiedzał dwór, król Jerzy upierał się, że magia opuściła monetę, i żądał wymiany na nową, prosto z kieszeni. Kell stale mu mówił, że to zakazane (było, i to kategorycznie), ale monarcha nieodmiennie twierdził, że to będzie ich mały sekret. Kell zawsze zatem wzdychał i wyciągał z kieszeni świeży metalowy krążek.

Teraz wyjął z ręki króla starego lina i zastąpił nową monetą, po czym lekko zacisnął na niej sękaty palec Jerzego.

— Tak, tak — zamruczał do monety w dłoni niedomagający władca.

— Uważaj na siebie — powiedział Kell, odchodząc.

— Tak, tak — powtórzył król. Stawał się coraz bardziej rozkojarzony, aż zupełnie stracił zainteresowanie swoim otoczeniem i gościem.

Kell dotarł do zasłon w kącie pokoju i odsunął ciężki materiał na bok, odsłaniając ślad na wzorzystej tapecie. Prosty okrąg, przecięty na pół kreską wyrysowaną krwią miesiąc temu. Na innej ścianie w innej sali w innym pałacu znajdował się taki sam znak. Były jak dwie klamki po przeciwnych stronach tych samych drzwi.

Krew Kella, w połączeniu z symbolem, pozwalała mu się przemieszczać pomiędzy światami. Nie potrzebował wtedy ustalać miejsca, ponieważ w innym świecie trafiał w ten sam punkt. Jeśli jednak, tak jak teraz, chciał stworzyć przejście wewnątrz jednego świata, obie strony drzwi musiały nosić identyczny symbol. Nie wystarczyło być blisko. Przekonał się o tym wcześniej w bardzo bolesny sposób.

Symbol na ścianie będący pamiątką po jego poprzedniej wizycie wciąż pozostawał wyraźny, tylko krawędzie nieznacznie się rozmazały. Ale te szczegóły nie miały znaczenia. I tak trzeba było pokryć go od nowa.

Kell podwinął rękaw i wydobył nóż, który nosił przypięty pod przedramieniem. Był to piękny przedmiot, dzieło sztuki, srebrne od czubeczka po rękojeść, ozdobione monogramem złożonym z liter „K” i „L”.

Stanowił jedyny relikwiarz wcześniejszego życia.

Życia, którego Kell nie znał. Albo przynajmniej nie pamiętał.

Przyłożył ostrze do przedramienia. Wyłobił już dziś jedną kreskę, dla drzwi, które przywiodły go tutaj. Teraz wykonał drugą. Jego krew, intensywnie ciemnoczerwona, wezbrała i spłynęła, więc wsunął nóż do pochewki i dotknął palcami najpierw nacięcia, a potem ściany, ponownie rysując okrąg i przecinając go linią. Opuścił rękaw na ranę — wszystkie nacięcia zawsze leczył w domu — rzucił ostatnie

spojrzenie za siebie, na mamroczącego króla, po czym przycisnął płasko dłoń do znaku na ścianie.

Znak zaszumiał magią.

— As Tascen — wypowiedział zakęcie Kell. „Przenieś”.

Worzysty papier zmarszczył się, stracił ostrość i ustąpił pod jego dotykiem, a Kell zrobił krok do przodu i przeszedł.

II

Pomiędzy jednym jego krokiem a drugim posępny zamek Windsor zmienił się w elegancki pałac St. James, duszna komnata stała się pomieszczeniem z pogodnymi gobelinami i wypolerowanym srebrem, a mamrotanie szalonego króla zastąpiła ciężka cisza. Siedzący u szczytu bogato zdobionego stołu mężczyzna, który trzymał kielich z winem, wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

— Spóźniłeś się — zauważył oschle ksiązę regent.

— Wybacz — odparł Kell ze zbyt krótkim ukłonem. — Miałem sprawę do załatwienia.

Ksiązę regent odstawił kielich.

— Myślałem, że to dla mnie załatwiasz sprawy, panie Kell.

Kell wyprostował się.

— Miałem rozkazy, Wasza Wysokość, żeby najpierw spotkać się z królem.

— Wolałbym, żebyś mu nie dogadzał — stwierdził ksiązę regent, który również miał na imię Jerzy (Kell uważał typowy dla Szarego Londynu zwyczaj, zgodnie z którym synowie nosili te same imiona co ojcowie, zarówno za niepotrzebny, jak i dezorientujący). Ksiązę lekceważąco machnął ręką. — To go podnosi na duchu.

— Czy to źle? — spytał Kell.

— Dla niego tak. Później będzie szalał. Tańczył na stołach, mówił o magii i innych Londynach. Jaką sztuczkę pokazałeś mu tym razem? Przekonałeś go, że potrafi latać?

Kell jedynie raz popełnił ten błąd i podczas następnej wizyty dowiedział się, że król Anglii o mało nie wypadł przez okno. Z trzeciego piętra.

— Zapewniam cię, że nie robiłem żadnych pokazów.

Ksiązę Jerzy ścisnął sobie nasadę nosa.

— On nie może opowiadać takich rzeczy jak do tej pory. Dlatego trzymamy go za zamkniętymi drzwiami.

— Został zatem uwięziony?

Ksiązę Jerzy przesunął dłonią po złoconej krawędzi stołu.

— Windsor jest absolutnie przyzwoitym miejscem na takie odosobnienie.

„Przyzwoite więzienie nadal pozostaje więzieniem” — pomyślał Kell, wyjmując z kieszeni okrycia drugi list.

— Twoja korespondencja, panie.

Musiał stać, podczas gdy ksiązę czytał wiadomość (nigdy nie komentował, że list pachnie kwiatami), a potem wyjmował z wewnętrznej kieszeni na wpół gotową

odpowiedź i dopisywał ciąg dalszy. Książę robił to powoli, wyraźnie starając się rozzłościć swego gościa, ale Kell o to nie dbał. Dla rozrywki bębnił w tym czasie palcami o brzeg złoconego stołu. Za każdym razem, kiedy unosił mały palec i opuszczał wskazujący, gasła jedna z wielu świec rozświetlających pomieszczenie.

— Chyba jest przeciąg — rzekł zadumanym głosem, gdy książę regent mocniej przycisnął gęsie pióro. Zanim Jerzy skończył wiadomość, złamał dwa pióra i popadł w zły nastrój, natomiast Kell odkrył, że jemu samemu humor bardzo się poprawił.

Wyciągnął rękę po list, ale książę regent mu go nie dał. Zamiast tego odsunął się z krzesłem od stołu.

— Zesztywniałem od tego siedzenia. Przejdź się ze mną.

Kell nie miał na to szczególnej ochoty. Ale musiał posłuchać, ponieważ nie mógł odejść z pustymi rękoma. Najpierw jednak wziął ze stołu ostatnie całe pióro i schował je do kieszeni.

— Wracasz od razu? — spytał książę, prowadząc go korytarzem do dyskretnych drzwi częściowo ukrytych za kotarą.

— Wkrótce — odparł, wlokąc się o krok za nim.

W korytarzu dołączyli do nich dwaj członkowie królewskiej straży i teraz szli za nimi jak cienie. Czuł na sobie ich wzrok i zastanawiał się, ile im o nim powiedziano. Członkowie rodzin królewskich wiedzieli o takich jak on, ale nie zawsze informowali służbę i strażników.

— Sądziłem, że wszelkie sprawy załatwiasz wyłącznie ze mną — powtórzył książę.

— Jestem wielbicielem twojego miasta — odpowiedział Kell lekkim tonem. — Ale moja praca jest wycieńczająca. Pójdę się przejść i zaczerpnąć świeżego powietrza, a potem wracam.

Książę zacisnął usta.

— Obawiam się, że powietrze tu, w mieście, nie jest tak ożywcze jak na wsi. Jak nas nazywasz... Szary Londyn...? Obecnie nazwa wydaje się aż nazbyt trafna. Zostań na kolację.

Książę niemal każde zdanie kończył kropką. Nawet zdania pytające. Rhy robił to samo i Kell podejrzewał, że mówili w ten sposób, gdyż nigdy od nikogo nie usłyszeli słowa „nie”.

— Tutaj będzie ci o wiele lepiej — naciskał książę. — Odzyskasz siły przy winie i w dobrym towarzystwie.

Propozycja wydawała się dość uprzejma, ale książę regent nie składał takich ofert z życzliwości.

— Nie mogę zostać — odparł Kell.

— Nalegam. Nakryto już do stołu.

„Ciekawe, kto przychodzi?” — zastanowił się Kell.

I co zamierzał książę? Pochwalić się nim? Często podejrzewał, że tamten pragnąłby tak postąpić, choćby dlatego, że uważał sekrety za coś uciążliwego, za coś, co należy ujawnić. Ale mimo wszystkich swoich wad książę nie był głupcem, a tylko głupiec pozwoliłby komuś takiemu jak Kell zagrać pierwsze skrzypce. Szary Londyn już dawno temu zapomniał o istnieniu magii. To nie Kell jednak powinien tutejszym o niej przypominać.

— Bardzo to łaskawie ze strony Waszej Wysokości, lepiej wszakże, jeśli pozostaną zjawą, miast się pokazywać. — Kell odchylił głowę tak, że włosy w kolorze miedzianym odłoniły jego oczy, ujawniając nie tylko czysty błękit lewego, lecz i absolutną czerń prawego. Czerń, która biegła od brzegu do brzegu, wypełniając zarówno białko oka, jak i jego tęczę. W tym oku nie było nic ludzkiego. Było czystą magią. Znakiem maga krwi nazywanego antari.

Gdy książę regent próbował wytrzymać jego spojrzenie, Kell delektował się widokiem uczuć, które pojawiły się w jego oczach. Ostrożność, skrępowanie... i strach.

— Czy wiesz, książę, dlaczego nasze światy zostały od siebie odseparowane? — Nie czekał, aż regent odpowie. — Dla waszego bezpieczeństwa. Otóż był czas, przed wiekami, kiedy nie były tak całkowicie oddzielone. Kiedy istniały drzwi pomiędzy twoim światem i moim, i pomiędzy innymi, a mógł przez nie przejść każdy, kto posiadał choć odrobinę mocy. Sama magia mogła przez nie przechodzić. Ale magia, jak to magia — dodał — zerwała i na tych nieugiętych, i na tych o słabym charakterze, aż jeden ze światów nie był już w stanie nad nią panować. Ludzie żywili się magią, a magia żywiła się nimi, i w końcu pochłonęła ich ciała i umysły, a potem dusze.

— Czarny Londyn — wyszeptał książę regent.

Kell kiwnął głową. Nie wymienił nazwy tego miasta. Ale wszyscy — przynajmniej w Czerwonym Londynie i w Białym, a także ci nieliczni z Szarego, którzy w ogóle cokolwiek wiedzieli — znali legendę Czarnego Londynu. To była bajka do poduszki. Baśń. Ale i ostrzeżenie! Przed miastem — i światem — którego nie było, już nie.

— Wiesz, co Czarny Londyn i twój mają ze sobą wspólnego? — Książę regent zmrużył oczy, ale nic nie powiedział. — Obu brakuje umiaru — ciągnął Kell. — Oba pożądają mocy. Twój Londyn nadal istnieje tylko z jednego powodu: ponieważ został odcięty. Nauczył się zapominać. Nie chcesz, żeby sobie przypominał.

Nie dodał, że Czarny Londyn posiada bogate zasoby magii, a Szary — niemal żadnych. Chciał tylko dać księciu do myślenia. I najwyraźniej mu się udało. Tym razem, gdy wyciągnął rękę po list, Jerzy mu nie odmówił i nijak się nie sprzeciwił. Kell

wsunął pergamin do kieszeni wraz ze skradzionym piórem.

— Dziękuję ci, jak zawsze, za twoją gościnność — pożegnał się, składając przesadny ukłon.

Książę regent przywołał strażę, strzeliwszy palcami.

— Dopilnujcie, żeby pan Kell dotarł tam, dokąd zmierza.

A potem, bez słowa, odwrócił się i odmaszerował zamaszystym krokiem.

Królewscy strażnicy zostawili Kella na skraju parku. Za nim majaczył pałac St. James. Przed nim leżał Szary Londyn. Kell zrobił głęboki wdech i poczuł w powietrzu dym. Chociaż ogromnie pragnął wrócić do domu, miał tu jeszcze do załatwienia pewną sprawę, zresztą po kontakcie z niedomagającym królem i źle nastawionym księciem chętnie napiłby się czegoś mocniejszego. Opuścił rękawy, postawił kołnierz i ruszył ku sercu miasta.

Stopy poniosły go przez St. James Park, a później deptakiem, który biegł wzdłuż rzeki. Słońce zachodziło, powietrze było rześkie, jeśli nie czyste, jesienny wietrzyk szarpał lekko połami czarnej marynarki. Kell podszedł do drewnianego mostu dla pieszych, przerzuconego nad wodą, a kiedy go przekraczał, jego wysokie buty subtelnie stukotały. Zatrzymał się pośrodku. Za sobą miał oświetlony latarniami pałac Buckingham, przed sobą Tamizę. Woda chlupotała łagodnie pod drewnianymi deskami. Oparł łokcie na barierce i popatrzył w dół. W zadumie zgiął palce, a wtedy nurt się zatrzymał, rzeka uspokoiła, jej powierzchnia stała się gładka jak szkło.

Kontemplował własne odbicie.

„Nie jesteś aż taki przystojny” — powiedziałby Rhy, gdyby przyłapał Kella na wpatrywaniu się w lustro.

„Nie mogę się na siebie napatrzeć” — odparłby, chociaż tak naprawdę nigdy się sobie nie przyglądał, przynajmniej nie ogólnie; patrzył sobie jedynie w oko. W prawe. Tym okiem wyróżniał się nawet w Czerwonym Londynie, gdzie magia kwitła. Znakowało go ono jako kogoś odmiennego od reszty.

Na prawo od niego zabrzmiał czyjś perlisty śmiech, po czym nastąpiło chrząknięcie i kilka innych, mniej wyraźnych odgłosów. Kell rozluźnił rękę i prąd strumienia gwałtownie ruszył. On też szedł dalej, aż park ustąpił miejsca ulicom Londynu, a potem zamajaczyła bryła Westminsteru. Miał słabość do opactwa i teraz skinął mu głową, niczym staremu przyjacielowi. Mimo sadzy i nieczystości, śmieci i biedoty Szary Londyn miał coś, czego brakowało Czerwonemu. Swego rodzaju opór wobec zmian. Uznanie dla trwałości i dla wysiłku, jakiego wymagało jej zachowanie.

Ile lat zajęła budowa opactwa? Jak długo ono jeszcze postoji? W Czerwonym Londynie gusta zmieniały się równie często jak pory roku. Wraz z nimi budynki wzrastały, rozpadały się i znowu wzrastały, w różnych formach.

Magia upraszczała sprawy.

„Czasami — pomyślał Kell — upraszcza je za bardzo”.

W swoim Londynie miał w niektóre noce wrażenie, że kładzie się do łóżka w jednym miejscu, a budzi w innym.

A tutaj zawsze stało opactwo westminsterskie, chętne, by go powitać.

Szedł obok strzelistej kamiennej konstrukcji, ulicami zatłoczonymi powozami, potem zaś wąską drogą przy dziedzińcu otoczonym murem z omszałego kamienia. Wąska droga nadal się zwężała, aż skończyła się przed karczmą.

Tu Kell się zatrzymał. Zdjął okrycie, odwrócił je jeszcze raz ze strony prawej na lewą, wymieniając czarną marynarkę ze srebrnymi guzikami na skromniejszą, przetartą na łokciach, pasującą do ulicy brązową kurtę z wysokim kołnierzem i postrzępionymi brzegami. Poklepał kieszenie i zadowolony, że jest gotów, wszedł do środka.

III

Rzut Kamieniem to była dziwna mała karczma.

Ściany miała spłowiałe, podłogi poplamione i chociaż Kell wiedział na pewno, że jej właściciel, Barron, rozwadnia napitki, wbrew temu wszystkiemu ciągle tu wracał.

Fascynowało go to miejsce, ponieważ mimo niechlujnego wnętrza i jeszcze bardziej niechlujnych klientów, za sprawą przypadku lub nie, Rzut Kamieniem zawsze tu był! Och, oczywiście, nazwa się zmieniała, tak jak zmieniały się trunki, które podawano w lokalu, ale dokładnie w tym samym punkcie w Szarym, Czerwonym i Białym Londynie stała karczma. Nie była źródłem jako takim, jak Tamiza, Stonehenge czy dziesiątki mniej znanych magicznych miejsc na świecie, czymś jednak była. Fenomenem. Punktem stałym.

A jako że Kell robił w tej karczmie interesy (czy na szyldzie widniało „Rzut Kamieniem”, „Pod Zachodzącym Słońcem” czy „Osmalona Kość”), sam również stawał się swego rodzaju punktem stałym.

Tylko nieliczni mogliby docenić zawartą w tym poezję. Na przykład mag Holland. O ile w ogóle cokolwiek cenił.

Ale, pomijając kwestię poezji, karczma stanowiła idealne miejsce na interesy. Schodzili się tutaj ci nieliczni mieszkańcy Szarego Londynu, którzy wierzyli w magię — ci dziwacy, którzy kurczowo trzymali się jej idei, łapali jakiś jej szept czy woń. Przychodzili, wabieni poczuciem czegoś innego, czegoś więcej. Kella także do tego ciągnęło. Różnica była taka, że Kell doskonale wiedział, co ich przyciąga.

Oczywiście zainteresowani magią goście Rzutu Kamieniem nie zjawiali się w karczmie jedynie za sprawą subtelnego, a równocześnie przejmującego oddziaływania mocy ani dzięki obietnicy czegoś odmiennego, czegoś więcej.

Przyciągał ich też sam Kell lub przynajmniej krążące na jego temat plotki.

Przekaz ustny jest także swego rodzaju magią, a tutaj, w Rzucie Kamieniem, słowo „mag” wypowiedano równie często, jak zamawiano rozwodnione piwo ale.

Siedział, obserwując bursztynowy płyn w kuflu.

— Dobry wieczór, Kellu — zagaił właściciel, podchodząc z dolewką.

— Dobry wieczór, Barronie — odparł.

Nigdy nie mówili do siebie nic więcej.

Karczmarz byłby zbudowany jak ceglany mur — gdyby ceglany mur postanowił zapuścić brodę. Wysoki, szeroki w barach i imponująco opanowany. On także był bez wątplenia nieco dziwny, lecz najwyraźniej nigdy go to nie peszyło.

A może po prostu potrafił zachować dla siebie swoją opinię.

Zegar na ścianie za kontuarem wybił godzinę siódmą i Kell wyjął z brązowej kurty przedmiot. Było to drewniane pudełko, mniej więcej rozmiaru dłoni, zamknięte na prosty metalowy zatrzask. Kiedy odgiął zatrzask i kciukiem odsunął wieczko, pudełko rozłożyło się w coś na kształt szachownicy z pięcioma wyżłobieniami, z których każde zawierało jeden żywiol.

W pierwszym znajdowała się grudka ziemi.

W drugim — łyżka wody.

W trzecim — zamiast powietrza — naparstek sypkiego piasku.

W czwartym — kropla oliwy, wysoce łatwopalnej.

I w piątym, ostatnim rowku — kawałek kości.

W świecie Kella pudełko wraz z zawartością nie było jedynie zabawką, lecz służyło do testu, dzięki któremu dziecko dowiadywało się, do jakich żywiolów je ciągnie, a jakie samo potrafi przyciągnąć. Większość malców szybko wyrastała z tej gry i doskonaliła umiejętności, albo ucząc się rzucać zaklęcia, albo korzystając z większych, bardziej skomplikowanych wersji. Ze względu na ograniczone możliwości zestawu z żywiołami można go było znaleźć w Czerwonym Londynie niemal w każdym domostwie i — najprawdopodobniej — również w osadach poza stolicą (choć Kell nie miał co do tego pewności). Ale tutaj, w mieście bez magii, pudełko stanowiło prawdziwą rzadkość i Kell nie miał wątpliwości, że klient je zaaprobuje.

Mężczyzna był przecież Kolekcjonerem.

W Szarym Londynie Kella szukali bowiem jedynie ludzie należący do jednego z dwóch rodzajów.

Kolekcjonerzy lub Entuzjaści.

Kolekcjonerzy byli zamożni i znudzeni, i zazwyczaj nie interesowali się samą magią — nie odróżniliby run uzdrawiających od zaklęcia wiążącego — a Kell ogromnie się cieszył z ich mecenatu.

Entuzjaści byli bardziej kłopotliwi. Uważali się za prawdziwych magów i pragnęli świecidełek z innych Londynów nie po to, by je posiadać lub pokazywać innym, lecz do „użytku własnego”. Kell Entuzjastów nie lubił — po części dlatego, że uważał ich aspiracje za stratę czasu, a poza tym, gdy robił z nimi interesy, bardziej czuł, że popełnia zdradę — i właśnie z tego powodu, kiedy podszedł i usiadł obok niego młody mężczyzna, a Kell podniósł wzrok, spodziewając się umówionego Kolekcjonera, i zamiast niego zobaczył nieznanego Entuzjastę, nastrój znacznie mu się pogorszył.

— Czy to miejsce jest zajęte? — spytał Entuzjasta, chociaż już siedział.

— Odejdź — rzekł ze spokojem Kell.

Niestety, tamten nie odchodził.

Kell wiedział, że mężczyzna jest Entuzjastą — był tykowany i niezgrabny, nosił odrobinę zbyt krótką jak na swoją sylwetkę marynarkę, a kiedy podniósł długie ręce i oparł je na kontuarze, rękaw nieco się uniósł i Kell dostrzegł fragment tatuażu. Była to kiepsko wydziergana runa mocy, przeznaczona, by wiązać magię do ciała.

— Czy to prawda? — naciskał Entuzjasta. — To, co mówią?

— Zależy od tego, kto — odparł Kell i zamknął pudełko, zsuwając wieczko i zabezpieczając zatrzask — i co mówi.

Robił takie uniki już ze sto razy. Kącikiem niebieskiego oka obserwował teraz, jak wargi mężczyzny układają się do następnej wypowiedzi. Gdyby gość był Kolekcjonerem, może Kell by mu odpuścił, ale ludzie, którzy wchodzą do wody, twierdząc, że potrafią pływać, nie powinni domagać się traktowania.

— Że sprowadzasz różne rzeczy — odrzekł Entuzjasta, strzelając wzrokiem po karczmie. — Przedmioty z innych miejsc.

Kell wypił łyk, a Entuzjasta uznał jego milczenie za potwierdzenie.

— Przypuszczam, że powinienem się przedstawić — kontynuował mężczyzna. — Edward Archibald Tuttle Trzeci. Ale zwą mnie Ned.

Kell uniósł brew. Młody Entuzjasta wyraźnie czekał, aż mu odpowie i również się przedstawi, ale ponieważ przybysz ewidentnie już miał pojęcie, kim Kell jest, ten pominął formalności i spytał wprost: — Czego chcesz?

Edward Archibald — czy też Ned — poruszył się na siedzeniu i konspiracyjnie pochylił do przodu.

— Szukam kawałka ziemi.

Kell zamachał kuflem w stronę drzwi.

— Sprawdź w parku.

Młody mężczyzna zarechotał cicho i nieprzyjemnie. Kell dopił napój.

Kawałek ziemi! Prośba wydawała się błaha. Nie była taka. Większość Entuzjastów wiedziała, że w ich świecie mało jest mocy, wielu jednak wierzyło, że jeśli zdobędą fragment innego świata, uzyskają dostęp do jego magii.

I swego czasu ich rozumowanie można było uznać za logiczne. Wówczas drzwi były otwarte na źródła mocy, ona sama przepływała między światami i każdy osobnik z odrobiną magii w żyłach i symbolem innego świata w ręce mógł nie tylko tę moc wydobyć, lecz także przejść wraz z nią z jednego Londynu do drugiego.

Ale ten czas już minął.

Drzwi zniknęły. Zniszczono je stulecia temu po tym, jak Czarny Londyn upadł i zabrał ze sobą resztę swojego świata, nie pozostawiając po sobie nic poza opowieściami. Teraz wyłącznie antari posiadali dość mocy, żeby stworzyć nowe drzwi, i tylko oni mogli przez nie przejść. Antari zawsze byli nieliczni, nikt jednak nie

wiedział, jak bardzo — do czasu, aż pierwotne drzwi zostały zamknięte i stan liczebny magów krwi zaczął się zmniejszać. Źródło ich mocy zawsze pozostawało tajemnicą (nie wiązało się z faktem dziedziczenia), ale jedno było pewne — im dłużej światy były od siebie odcięte, tym mniej antarich się pojawiało.

Teraz ostatnimi przedstawicielami tej szybko wymierającej rasy byli najprawdopodobniej Kell i Holland.

— No i? — naciskał Ned. — Przyniesiesz mi tę ziemię czy nie?

Kell spojrzał na tatuaż na nadgarstku Entuzjasty. Wielu mieszkańców Szarego Londynu bez wątpienia nie pojmowało, że zakęcie jest jedynie tak silne jak osoba, które je rzuca. Jaką mocą dysponował ten człowiek?

Lekko się uśmiechnął i przesunął w kierunku mężczyzny pudełko.

— Wiesz, co to jest?

Ned podniósł dziecięcą grę tak ostrożnie, jak gdyby w każdej chwili mogła stanąć w płomieniach (Kell przez moment rozważał, czyby nie kazać jej zapłonąć, ale się powstrzymał). Obrócił pudełko, aż jego palce znalazły zatrzask, i plansza ze żłobieniami otworzyła się na kontuarze. Żywioły zaskrzyły się w migotliwym świetle karczmy.

— Coś ci powiem — ciągnął Kell. — Wybierz jeden żywioł. Przenieś go z jego miejsca w inne, oczywiście bez dotykania, a wtedy sprowadzę dla ciebie grudę ziemi.

Ned zmarszczył czoło. Zastanowił się nad możliwościami, po czym dźgnął palcem wodę.

— Ten.

„Przynajmniej nie jest na tyle głupi, żeby wybrać kość” — pomyślał Kell.

Powietrzu, ziemi i wodzie najłatwiej było rozkazywać — nawet Rhy, który nie miał szczególnego talentu, potrafił je wzbudzić. Ogniem nieco ciężiej było władać, lecz zdecydowanie najtrudniej było ruszyć kawałek kości. Nie bez przyczyny. Ci, którzy umieli przenosić kości, mogli też przenosić ciała. To była silna magia, nawet w Czerwonym Londynie.

Kell przyglądał się, jak Ned unosi rękę nad planszę. Zaczął pod nosem szeptać do wody w jakimś języku, który może był łaciną, a może zwyczajnym belkotem, ale z pewnością nie był królewskim angielskim. Kell skrzywił się.

Żywioły nie miały swojego języka i można było do nich przemawiać w dowolnym. Same słowa były mniej ważne niż skupienie, które przenosiły do umysłu mówiącego, związek, który pomagały tworzyć, moc, którą wydobywały.

Krótko mówiąc, nie liczył się język, a jedynie zamiar. Entuzjasta mógł się odezwać do wody prostym angielskim (zyskałby ten sam efekt), a mimo to mamrotał dalej we własnym, zmyślonym języku. Poruszał przy tym ręką nad małą planszą w kierunku

zgodnym z ruchem wskazówek zegara.

Kell westchnął, wsparł na kontuarze łokieć, głowę położył na ręce, a tymczasem Ned zmagał się z wodą i twarz czerwieniała mu z wysiłku.

Po kilku długich chwilach woda raz lekko się zmarszczyła (mogło to spowodować ziewnięcie Kella lub ruch mężczyzny, który kurczowo złapał kontuar), po czym znieruchomiała.

Ned wpatrywał się w dół, na planszę; nabrzmiały mu żyły. Rękę zacisnął w pięść i przez chwilę Kell się martwił, że młodzieniec roztrzaska małą grę, na szczęście mocno uderzył kłykciami obok niej.

— Och, no cóż — mruknął Kell.

— To oszustwo — warknął Ned.

Kell podniósł głowę.

— Doprawdy? — spytał. Lekko poruszył palcami i bryłka ziemi uniosła się z rowka, a następnie swobodnie podryfowała do jego dłoni. — Jesteś tego pewien? — dodał, kiedy mały podmuch porwał piasek i zawirował drobinkami w powietrzu, wokół jego przegubu. — Może tak... — Cząsteczki wody połączyły się w dużą kroplę, która zestaliła się w jego dłoni w kawałek lodu.

— ...A może nie... — dodał, kiedy oliwa zapaliła się w swoim wyżłobieniu.

— Może... — powtórzył, gdy w powietrze wzniósł się kawałek kości — ...po prostu brakuje ci choćby pozorów mocy.

Ned gapił się na Kella, kiedy pięć żywiołów wirowało w lekkim tańcu wokół jego palców. Antari usłyszał w myślach karcące słowa Rhya: „Popisujesz się”. Po chwili tak swobodnie jak wcześniej nakazał żywiołom się wznieść, pozwolił im opaść. Ziemia i lód uderzyły w swoje rowki z głuchym odgłosem i brzękiem, piasek spoczął bezszelestnie na swoim miejscu, a tańczący na oliwie płomień po prostu zgasł. Pozostała tylko kość, która wisiała w powietrzu pomiędzy nimi. Kell patrzył na nią, czując przez cały czas ciężar głodnego spojrzenia Entuzjasty.

— Ile za to? — zapytał mężczyzna.

— Nie na sprzedaż — odparł Kell. A potem się poprawił: — Nie dla ciebie.

Ned zerwał się ze stołka i odwrócił do wyjścia, ale Kell jeszcze z nim nie skończył.

— Gdybym ci przyniósł ziemię — powiedział — co byś mi za nią dał?

Entuzjasta się zatrzymał.

— Podaj swoją cenę.

— Moją cenę? — Kell wszak nie przemyślał świecidełek dla pieniędzy!

Pieniądze się zmieniały. Co by zrobił z szylingami w Czerwonym Londynie? A funty? Więcej by zyskał, spalając je, niż próbując kupić za nie cokolwiek w alejkach Białego Londynu. Przypuszczał, że mógłby wydać pieniądze tutaj, ale na co?! Nie,

wolał innego rodzaju wymianę. — Nie zależy mi na twoich pieniądzach — wyjaśnił.
— Chcę czegoś, co ma znaczenie. Czegoś, czego nie chciałbyś stracić.

Ned pospiesznie kiwnął głową.

— Świetnie. Zostań tutaj, a ja pójdę...

— Nie dziś wieczorem — uciał Kell.

— Więc kiedy?

Kell wzruszył ramionami.

— W ciągu miesiąca.

— Spodziewasz się, że będę siedział tutaj przez miesiąc i czekał?!

— Niczego się po tobie nie spodziewam! — odparował Kell, wzruszając ramionami. To było okrutne, wiedział o tym, pragnął się jednak przekonać, jak daleko Entuzjasta jest skłonny się posunąć. Zdecydował, że jeśli Ned zachowa determinację i zjawi się tutaj w przyszłym miesiącu, da mu woreczek ziemi. — Teraz odejdz.

Mężczyzna otworzył i zamknął usta, a potem zrobił naburmuszoną minę i powoli odszedł, w drodze do drzwi prawie wpadając na niskiego osobnika w okularach.

Kell zebrał kawałek kości z powietrza i włożył go do pudełka. Okularnik już podchodził do wolnego teraz stołka.

— O co chodziło? — spytał, zajmując miejsce.

— O nic, czym należałoby się przejmować — odpowiedział Kell.

— Czy to dla mnie? — spytał mężczyzna, skinieniem głowy wskazując na grę.

Kell potwierdził i podał pudełko Kolekcjonerowi, który wziął je ostrożnie z jego ręki. Przez chwilę patrzył, jak klient je obraca, po czym pokazał mu, jak gra działa. Kolekcjoner otworzył szeroko oczy.

— Wspaniałe, wspaniałe — ocenił, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną chustkę. Kiedy położył ją na kontuar, rozległ się głuchy odgłos. Kell wyciągnął rękę, rozpakował zawiniątko i znalazł migoczącą srebrną skrzyneczkę z miniaturową korbką z boku.

„Pozytywka”. Uśmiechnął się do siebie.

Mieli muzykę w Czerwonym Londynie, mieli też pozytywki, lecz większość tych urządzeń wygrywała melodie dzięki czarom, a nie mechanice. Kell podziwiał trud wykonania przedmiotu. Tak wiele rzeczy ze świata Szarego Londynu cechowało się lichym wykonaniem, od czasu do czasu jednak brak magii rekompensowano pomysłowością. Na przykład takie pozytywki.

Skomplikowane, a równocześnie eleganckie. Iluż użyto części, ileż włożono pracy — a wszystko dla uzyskania melodyjki.

— Muszę ci wyjaśnić...? — spytał Kolekcjoner.

Kell potrząsnął głową.

— Nie — odrzekł łagodnie. — Mam kilka takich.

Mężczyzna ściągnął brwi.

— Ale wystarczy jako zapłata?

Antari pokiwał głową i zaczął owijać przedmiot w chusteczkę, żeby go zabezpieczyć.

— Nie chcesz jej posłuchać?

Kell chciał, lecz nie tutaj, nie w tej obskurnej małej karczmie, gdzie nie mógłby się delektować dźwiękiem. W dodatku musiał już wracać do domu.

Zostawił przy kontuarze Kolekcjonera majstrującego przy dziecięcej grze, który zachwycał się faktem, że niezależnie od tego, jak mocno potrząsał pudełkiem, ani stopiony lód, ani piasek nie opuszczały swoich miejsc — i wyszedł w noc. Szedł ku Tamizie, słuchając odgłosów otaczającego go miasta, pobliskich powozów i odległych krzyków: z rozkoszy lub bólu (choć i tak były niczym w porównaniu z wrzaskami, które niosły się przez Biały Londyn).

W zasięgu wzroku szybko pojawiła się rzeka, smuga czerni na tle nocy, a wtedy w oddali dzwony kościelne wybiły osiem razy.

Pora iść.

Kell dotarł do ceglanej ściany sklepu zwróconego witryną ku wodzie, skrył się w jego cieniu i podwinął rękaw. Ramię zaczęło go już boleć od pierwszych dwóch cięć, niemniej wyjął nóż i wykonał nim trzecie, po czym dotknął palcami najpierw krwi, a potem ściany.

Na jednym ze sznurków nosił na szyi czerwony lin, podobny do tego, który oddał mu tego popołudnia król Jerzy. Teraz chwycił tę monetę i przycisnął do krwi na ceglach.

— Dobrze zatem — powiedział. — Chodźmy do domu. — Często odkrywał, że mówi do magii. Nie rozkazuje, a po prostu mówi.

Magia była czymś żywym — każdy to wiedział — lecz dla Kella była jeszcze czymś więcej: przyjaciółką, członkiem rodziny. Była, mimo wszystko, jego częścią (dużo bardziej niż w przypadku większości osób) i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że go rozumiała, że wiedziała, co czuł — nie tylko wtedy, kiedy ją przywoływał, ale zawsze, w każdym uderzeniu serca i każdym oddechu.

Koniec końców był przecież antarim.

A antari potrafią przemawiać do krwi. Do życia. Do samej magii.

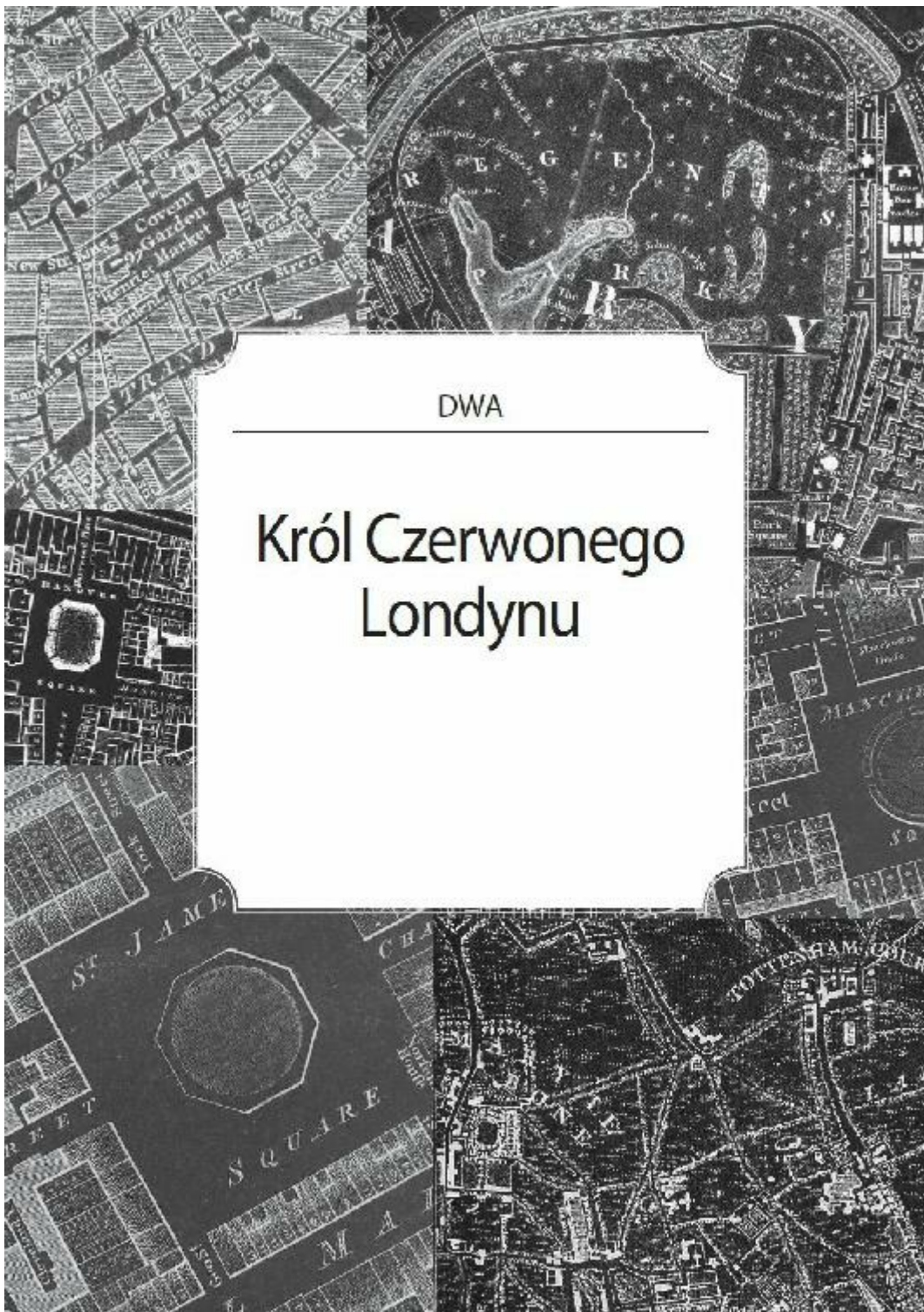
Pierwszego i ostatniego żywiołu, tego, który żył we wszystkim i do nikogo nie należał.

Poczuł pod dłonią magiczne drżenie; wraz z nią ściana z cegły równocześnie rozgrzewała się i ochładzała. Zawahał się, czekając, czy magia odpowie mimo braku

pytania. Ale ona zwlekała, czekając na rozkaz. Magia żywiołów potrafi przemawiać dowolnym językiem, ale magia antari — magia prawdziwa, magia krwi — mówiła jednym i tylko jednym. Przycisnął palce do ściany.

— As Travars — powiedział. „Podróżuj”.

Tym razem magia usłyszała go i posłuchała. Świat zafalował, a Kell zrobił krok do przodu i wszedł przez drzwi w ciemność, odrzucając Szary Londyn jak własne okrycie.



DWA

Król Czerwonego
Londynu

I

— Sanct! — obwieścił Gen, rzucając kartę na stos, figurą do góry.

Przedstawiała zakapturzoną postać z pochyloną głową i trzymającą runę o wyglądzie kielicha. Gen uśmiechnął się triumfalnie ze swego krzesła.

Parrish wykrzywił wargi i rzucił na stół pozostałe karty, figurami do dołu.

Mógłby oskarżyć Gena o oszustwo, ale to nie miało sensu. On również oszukiwał przez większą część godziny, a i tak nie wygrał ani jednego rozdania. Zrządził, przesuając monety przez wąski stół ku wysokiemu stosikowi drugiego strażnika.

Gen zebrał wygraną i zaczął tasować karty.

— Zagramy jeszcze raz? — spytał.

— Spasuję — odparł Parrish, wstając. Ciężkie fałdy płaszcza, rozchodzące się promieniście w czerwieni i złocie, przesunęły się po jego okrytych zbroją ramionach, a warstwy metalowych płytek napierśnika i nagolenników zabrzęczały, odpowiednio się układając.

— Ir chas era — powiedział Gen, przechodząc z języka królewskiego na prosty arnezyjski.

— Nie jestem rozgoryczony — odburknął Parrish. — Jestem splukany.

— Daj spokój — podpuszczał go Gen. — Do trzech razy sztuka.

— Muszę się odlać — mruknął Parrish, poprawiając krótki miecz.

— Więc idź sikać.

Parrish zawahał się, sondując wzrokiem korytarz i szukając oznak kłopotów.

Korytarz wyglądał spokojnie i pustawo, z wyjątkiem ładnych przedmiotów: portretów rodziny królewskiej, trofeów czy stołów (jak ten, przy którym grali); a na jego końcu znajdowała się para bogato zdobionych drzwi. Wykonane z drewna wiśniowego, nosiły żłobione i pokryte stopionym złotem królewskie godło kraju Arnes, czyli kielich i wschodzące słońce; ponad nim nici metalicznego światła tworzyły na wypolerowanym drewnie literę „R”.

Drzwi prowadziły do prywatnych komnat księcia Rhya, a Gen i Parrish jako członkowie jego osobistej straży trwali przed nimi na posterunku.

Parrish lubił księcia. Ten był zepsuty, oczywiście, ale to samo dotyczyło każdego władcy — tak przynajmniej Parrish przypuszczał, chociaż służył tylko jednemu — był też jednak dobroduszny i nadzwyczaj wyrozumiały dla swoich strażników (do diabła, sam dał Parrishowi talię kart, piękną, z połączanymi brzegami), a czasami, po nocy picia, porzucał pretensjonalny angielski i rozmawiał z nimi prostym językiem (jego

arnezyjski był nieskazitelny). Jeśli już, Rhy zdawał się mieć poczucie winy z powodu ciągłej obecności strażników, jak gdyby uważał, że na pewno mają coś lepszego do roboty, niż stać przed jego drzwiami i zachowywać czujność (i, w rzeczywistości w trakcie większości nocy była to bardziej kwestia dyskrecji niż czujności).

Najlepsze były te wieczory, kiedy Rhy i pan Kell wychodzili do miasta, a Parrish i Gen mogli podążać w pewnej odległości za tamtymi lub książę całkowicie zwalniał ich z obowiązku i pozwalał pozostać przy sobie raczej dla towarzystwa niż dla ochrony (wszyscy wiedzieli, że pan Kell potrafi zapewnić księciu bezpieczeństwo lepiej niż ktokolwiek z jego straży). Ale obecnie Kell wciąż był daleko — co wpędzało wiecznie niespokojnego Rhya w paskudny nastrój — więc książę wcześniej wycofał się do swoich komnat, strażnicy stanęli na warcie i Gen pozbawił Parrisha większej części jego zapłaty.

Parrish zagarnął ze stołu hełm i poszedł sobie ulżyć; do wyjścia towarzyszył mu odgłos liczenia monet przez Gena. Nie spieszył się, czując, że towarzysz jest mu to winien, skoro wygrał od niego tak wiele linów. Lecz kiedy w końcu wrócił powoli do korytarza przed książęcymi pokojami, z przykrością znalazł go pustym. Nigdzie nie widział Gena. Zmarszczył brwi; tu kończyła się pobłażliwość. Hazard to jedno, ale jeśli pozostawią pokoje księcia bez nadzoru, ich kapitan będzie bardzo niezadowolony.

Karty nadal leżały na stole i Parrish zaczął je sprzątać, lecz przerwał, kiedy usłyszał w komnacie księcia męski głos. Ten fakt sam w sobie nie był dziwny — Rhy lubił przyjmować gości i nie ukrywał swoich odmiennych preferencji, a Parrish na pewno nie miał prawa kwestionować jego skłonności.

Jednak Parrish natychmiast rozpoznał ów głos; nie należał do żadnego z ulubieńców Rhya. Mężczyzna ów wymawiał słowa po angielsku, lecz z obcym akcentem, bardziej twardo niż po arnezyjsku.

Ten głos brzmiał jak cień w lesie pośród nocy. Był cichy, mroczny i zimny.

I należał do Hollanda. Antariego z daleka.

Parrish nieco pobladł. Wielbił pana Kella — za co Gen codziennie go krytykował — lecz Holland go przerażał. Nie wiedział, czy powodem jest osobliwy spokój w tonie tamtego, jego wyblakły wygląd, czy może nawiedzone oczy — jedno oczywiście czarne, drugie mętnie zielone. A może chodziło o to, że wydawał się stworzony bardziej z wody i kamienia niż z ciała, krwi i duszy.

Jakkolwiek było, obcy antari zawsze przyprawiał Parrisha o gęsią skórę.

Niektórzy ze strażników nazywali go za plecami panem Horrorem, ale Parrish nigdy się nie ośmielił.

„Co? — zadrwiłby Gen. — Przecież nie potrafi cię usłyszeć przez ścianę dzielącą nasze światy”.

„Nie wiesz tego — odpowiedziałby Parrish szeptem. — Może i potrafi”.

A teraz Holland znajdował się w pokoju Rhya. Powinien tam być? Kto pozwolił mu wejść?

„Gdzie jest Gen?” — zastanowił się Parrish, kiedy zajmował swoje miejsce przed drzwiami. Nie zamierzał podsłuchiwać, ale między lewą stroną drzwi a prawą była szpara, kiedy więc odwrócił nieznacznie głowę, przez ową szczelinę dotarły do niego słowa.

— Przepraszam za najście — powiedział Holland opanowanym, cichym głosem.

— Absolutnie nic nie szkodzi — odrzekł od niechcienia Rhy. — Ale cóż to sprowadza cię do mnie zamiast do mojego ojca?

— Byłem już u niego w interesach — stwierdził Holland. — Do ciebie przyszedłem po coś innego.

Pod wpływem kuszącego tonu Hollanda Parrishowi poczerwieniały policzki. Może byłoby lepiej opuścić posterunek, niż podsłuchiwać. Nie ruszył się jednak i słuchał, jak Rhy opada na pokryte poduszkami siedzenie.

— A cóż to takiego? — spytał książę Rhy podobnie flirciarskim tonem.

— Są prawie twoje urodziny, czyż nie?

— Prawie — przyznał Rhy. — Powinieneś wziąć udział w uroczystości. O ile twój król i królowa poradzą sobie bez ciebie.

— Boję się, że sobie nie poradzą — odparł Holland. — Ale przyszedłem tu właśnie z ich powodu. Kazali mi dostarczyć upominek.

Parrish usłyszał w głosie Rhya wahanie.

— Hollandzie — zaczął, a do Parrisha dotarł szelest przesuwanych poduszek, gdy książę pochylał się do przodu na siedzeniu — znasz prawo. Nie mogę przyjąć...

— Znam prawo, młody książę — uspokoił go Holland. — Jeśli chodzi o ten dar, przyniosłem go tutaj, do twojego miasta, w imieniu moich państwa.

Na długą chwilę zapadło milczenie, po czym Parrish usłyszał, że Rhy wstaje.

— Dobrze zatem — powiedział książę.

Słychać było odgłos podawania i otwierania paczki.

— Co daje? — spytał Rhy po kolejnej chwili ciszy.

Holland dziwnie się zaśmiał, a może tylko uśmiechnął; tak czy inaczej, Parrish nie był wcześniej świadkiem żadnej z tych sytuacji.

— Siłę — odparł antari.

Rhy zaczął coś mówić, lecz w tym momencie w całym pałacu rozdzwoniły się zegary, oznajmiając godzinę i zagłuszając ostatnie zdania, które wymienili ze sobą mężczyźni w pokoju. Dzwony wciąż jeszcze rozbrzmiewały echem w korytarzu, gdy drzwi się otworzyły i wyszedł Holland, a jego różnobarwne oczy od razu spoczęły na

Parrishu.

Antari zamknął za sobą drzwi i przyjrzał się królewskiemu strażnikowi z westchnieniem pełnym rezygnacji. Przeciągnął dłonią po czarnych włosach.

— Odsyłasz jednego — mruknął, po części do siebie — a jego miejsce zajmuje drugi.

Zanim Parrish zdążył wymyślić odpowiedź, Holland wyjął z kieszeni monetę i pstryknął ją w powietrze ku niemu.

— Nie było mnie tutaj — oznajmił, kiedy moneta wzniosła się i opadła. Od momentu, w którym spoczęła w dłoni Parrisha, strażnik był w korytarzu sam i wpatrując się w monetę, zadawał sobie pytanie, jak tam trafiła, mając pewność, że o czymś zapominał. Ścisnął monetę, jak gdyby mógł w ten sposób złapać wymykające się wspomnienie i je zachować.

Ale wspomnienie już uleciało.

II

Nawet w nocy rzeka błyszczała na czerwono.

Kiedy Kell przeszedł z brzegu jednego Londynu na brzeg drugiego, ciemne wody Tamizy zastąpił ciepły, równomierny blask rzeki Isle. Mieniła się jak klejnot, oświetlona z wnętrza, ta strużka stałego światła wijącego się przez Czerwony Londyn. Źródło.

Żyła mocy. Arteria.

Niektórzy sądzili, że magia pochodzi z umysłu, inni, że bierze się z duszy, z serca lub z woli.

Ale Kell wiedział, że magia pochodzi z krwi.

Krew była magią, która się objawiała. Tam się rozwijała. I tam zatruwała.

Kell widział już, co się dzieje, kiedy moc walczy z ciałem, obserwował, jak ciemniała w żyłach zdeprawowanych, zmieniając ich krew z karmazynowej w czarną. Jeśli czerwony był kolorem magii w równowadze — harmonii pomiędzy mocą i człowieczeństwem — to w takim razie czarny był kolorem magii bez równowagi, bez porządku, bez ograniczeń.

Jako antari był stworzony z obu, z równowagi i chaosu; krew w jego żyłach, jak Isle Czerwonego Londynu, płynęła lśniącym, zdrowym szkarłatem, natomiast jego prawe oko miało kolor rozlanego atramentu, pełnej blasku czerni.

Chciał wierzyć, że jego siła pochodzi wyłącznie z krwi, lecz nie mógł zignorować podpisu mrocznej magii, który szpecił mu twarz. Magia wpatrywała się w niego z każdego zwierciadła i każdej pary zwykłych oczu, kiedy rozszerzały się z respektu lub strachu. Szumiała mu w czaszce, ilekroć wzywał moc.

Jednak jego krew nigdy nie ciemniała. Płynęła — prawdziwa i czerwona.

Dokładnie tak samo jak Isle.

Na rzece, na moście ze szkła, brązu i kamienia, stał pałac królewski. Był znany jako Soner Rast. „Bijące Serce” miasta. Jego zakrzywione wieże skrzyły się niczym kropelki światła.

Ludzie gromadzili się obok pałacu nad rzeką dniem i nocą, niektórzy z zamiarem przedstawienia swojej sprawy królowi lub królowej, ale większość po prostu pragnęła być blisko płynącej poniżej Isle. Uczni przychodzili na brzeg studiować źródło, magowie — z nadzieją na wykorzystanie jego mocy, natomiast goście z okolic stolicy chcieli przyjrzeć się pałacowi i rzece oraz wszędzie wzdłuż brzegu złożyć kwiaty — od lilii po pierwiosnki, od azalii po dzwoneczki.

Kell zatrzymał się w cieniu sklepu po drugiej stronie ulicy od strony Isle.

Patrzył na świetlisty niczym wschodzące nad miastem słońce pałac i przez chwilę widział go w taki sposób, w jaki najpewniej postrzegali go goście.

Podziwiał.

A potem ból szarpnął jego ramieniem i Kell się opamiętał. Skrzywił się, zawiesił ponownie podróżną monetę na szyi i ruszył ku rzece, której brzegi tętniły życiem.

Nocne Targowisko działało pełną parą.

W kolorowych namiotach w światłach Isle, latarni i księżycy przekupnie sprzedawali towary — jedni produkty żywnościowe, a inni ozdoby, magiczne i zwyczajne — miejscowym i pielgrzymom. Młoda kobieta oferowała śniedki, które goście mogli położyć na pałacowych schodach. Starzec prezentował na wyciągniętym ramieniu dziesiątki naszyjników, a każdy ozdobiony wypolerowanym kamieniem i symbolami, które miały wzmacniać kontrolę nad któryms z żywiołów.

Delikatna woń kwiatów ulotniła się przytłoczona aromatem gotowanego mięsa i świeżo zerwanych owoców, intensywnych przypraw korzennych i grzanego wina. Mężczyzna w ciemnych szatach zachwalał smażone w cukrze śliwki, a kobieta obok niego sprzedawała kamienie do wróżenia. Jeden ze sprzedawców nalewał parującą herbatę do małych szklanych kieliszków, naprzeciwko jaskrawy stragan drugiego wabił maskami, trzeci zaś oferował maleńkie flakoniki z wodą zaczerpniętą z Isle, a ich zawartość wciąż jeszcze słabo mieniła się blaskiem rzeki. Każdej nocy roku targowisko żyło, oddychało i prosperowało. Stragany ciągle się zmieniały, lecz energia pozostawała, stanowiąc część miasta, tak samo jak i rzeki, której mocą się żywiła. Kell szedł brzegiem, przeciskając się przez wieczorny tłum, delektując się smakiem i zapachem powietrza, upajając odgłosami śmiechu i muzyki, dudnieniem magii.

Uliczny czarodziej pokazywał gromadce dzieci sztuczki z ogniem. Kiedy z jego złączonych rąk buchnęły płomienie i ułożyły się w kształt smoka, jeden z chłopców cofnął się zaskoczony i wpadł prosto na Kella. Antari chwycił go za rękaw, żeby nie upadł na uliczne kamienie, i pomógł mu się wyprostować.

Chłopiec już miał wymamrotać podziękowanie i przeprosiny, kiedy podniósł głowę, dostrzegł pod włosami Kella jego czarne oko i wytrzeszczył dwoje własnych — jasnobrązowych.

— Mathieu — zganiła malca jakaś kobieta, kiedy oderwał się od ręki Kella i uciekł pod jej pelerynę. — Wybacz, panie — powiedziała po arnezyjsku, potrząsając głową. — Nie wiem, co mu...

W tym momencie zobaczyła twarz Kella i zamilkła. Przyzwoitość nie pozwoliła jej się odwrócić i uciec, jak zrobił to syn, lecz jej zachowanie było znacznie gorsze. Ukłoniła się na ulicy tak nisko, że Kella ogarnęła obawa, czy kobieta się nie przewróci.

— Aven, Kell — oznajmiła, zadyszana.

Antari poczuł ucisk w żołądku i chciał złapać ją za ramię, mając nadzieję podnieść ją, zanim ktoś inny zobaczy jej poddańczy gest, ale nie znajdował się dostatecznie blisko, zresztą było już na to za późno.

— Chłopiec... nie... nie patrzył — wyjąkała, szukając w głowie słów po angielsku, w języku królewskim.

Z tego powodu Kell wzdrygnął się jeszcze mocniej.

— To była moja wina — powiedział łagodnym tonem po arnezyjsku, chwytając ją za łokieć i skłaniając do powstania z ukłonu.

— On po prostu... po prostu... cię nie rozpoznał — ciągnęła kobieta, wyraźnie wdzięczna, że może mówić zwyczajnym językiem. — To przez twój strój.

Kell spojrział w dół, na siebie. Zamiast typowego ubrania nadal nosił brązową, postrzępioną kurtkę z Rzutu Kamieniem. Wcale nie zapomniał jej zmienić. Po prostu chciał się pokręcić anonimowo po jarmarku, tylko przez kilka minut, niczym jeden z miejscowych lub pielgrzymów. Niestety, fortel się nie udał. Słyszał teraz, że nowina rozchodzi się wśród zebranych, a kiedy goście Nocnego Targowiska uświadomili sobie, kto jest wśród nich, atmosfera całkowicie się zmieniła.

Do czasu, aż antari puścił ramię kobiety, tłum rozstępował się przed nim, śmiech i krzyki osłabły do nabożnych szeptów. Rhy wiedział, jak sobie radzić w takich chwilach, jak je wykorzystać, jak obrócić na własną korzyść.

A Kell chciał tylko zniknąć.

Spróbował się uśmiechnąć, ale wiedział, że jego mina przypomina raczej grymas, więc życzył kobiecie i jej synowi dobrej nocy, po czym ruszył szybko brzegiem rzeki. Gdy szedł, ciągnęły się za nim szepty ulicznych handlarzy i klientów. Nie odwracał się, lecz mamrotania towarzyszyły mu przez całą drogę, aż do zasypanych kwiatami schodów królewskiego pałacu.

Kiedy wspinał się po stopniach, strażnicy nie ruszyli się ze swoich stanowisk, potwierdzając jego obecność jedynie lekkim kiwnięciem. Był wdzięczny, że większość z nich się nie kłania — tylko strażnik Rhya, Parrish, wyraźnie nie był w stanie się oprzeć, ale przyzwoitość przynajmniej kazała mu zachować dyskrecję. Idąc po schodach, Kell zdjął kurtkę i odwrócił ją z prawej strony na lewą. Gdy wsunął ponownie ręce w rękawy, nie były już obszarpane i poplamione sadzą. Teraz miał na sobie strój piękny, elegancki, błyszcząco czerwony, tak jak płynąca pod pałacem Isle.

Czerwień zarezerwowano tu dla członków rodziny królewskiej.

Kell przystanął na najwyższym stopniu schodów, zapiął lśniące złote guziki i wszedł.

III

Znalazł ich na dziedzińcu, gdzie pod bezchmurnym nocnym niebem i baldachimem jesiennych drzew pili późną herbatkę.

Król i królowa siedzieli przy stole, podczas gdy Rhy leżał rozciągnięty na sofie, znowu rozwodząc się nad swoimi urodzinami i mnóstwem atrakcji, które miały się z nimi łączyć.

— Urodziny to jeden dzień — złażał go król Maxim, strzelisty mężczyzna o szerokich barach, błyszczących oczach i czarnej brodzie, nie podnosząc wzroku znad stosu dokumentów, które czytał. — Nie parę dni i na pewno nie tydzień.

— Dwadzieścia lat! — odparował książę Rhy, machając pustą filiżanką. — Dwadzieścia! Kilka dni świętowania z pewnością nie wydaje się przesadą. — Jego bursztynowe oczy skrzyły się psotnie. — A poza tym połowa fety i tak jest dla ludzi. Kim jestem, aby odmawiać im rozrywki?

— A druga połowa? — spytała królowa Emira. Długie ciemne włosy nosiła przeplecione złotą wstążką i zebrane w ciężki warkocz na plecach.

Rhy błysnął charakterystycznym dla siebie, ujmującym uśmiechem.

— Matko, to ty postanowiłaś znaleźć mi narzeczoną.

— Tak — przyznała z roztargnieniem, ustawiając równo zastawę — jednak wolałabym nie zmieniać z tej okazji pałacu w lupanar.

— Żaden lupanar! — obruszył się Rhy, przeczesując palcami gęste czarne włosy i naruszając wsunięty w nie cienki złoty okrąg. — Chodzi jedynie o skuteczny sposób oceny wielu koniecznych atrybutów u kogoś, kto... Ach, Kell!

Kell mnie poprze w moich dążeniach.

— Uważam ten pomysł za okropny — wyznał antari, który szedł ku nim wielkimi krokami.

— Zdrajca! — mruknął Rhy, udając znieważonego.

— Ale — dodał Kell, podchodząc do stołu — on zrobi to i tak. Równie dobrze możecie zorganizować przyjęcie w pałacu, gdzie utrzymacie go z dala od kłopotów. Albo je w każdym razie zminimalizujecie.

Rhy się rozpromienił.

— Brzmi logicznie, brzmi logicznie — oznajmił, przedrzeźniając głęboki głos swego ojca.

Król odłożył dokument, który trzymał, i przyjrzał się Kellowi.

— Jak twoja podróż?

— Dłuższa, niżbym chciał — odparł Kell, przetrząsając kieszenie swoich okryć, aż znalazł list od księcia regenta.

— Zaczynaliśmy się martwić — zauważyła królowa Emira.

— Król nie miewa się dobrze, a księżę jeszcze gorzej — odrzekł Kell, podając liścik. Maxim wziął go i odłożył na bok bez czytania.

— Siadaj — zaleciła królowa. — Blado wyglądasz.

— Dobrze się czujesz? — spytał król.

— Dość dobrze, panie — powiedział Kell, opadając z wdzięcznością na krzesło przy stole. — Jestem jednak zmęczony.

Królowa wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Cerę miała smaglejszą niż Kell — członkowie rodziny królewskiej cechowali się intensywną opalenizną, dzięki której, wraz z miodowymi oczyma i czarnymi włosami, wyglądali jak wyrzeźbieni z polerowanego drewna. Z powodu swojej jasnej karnacji i rudawych włosów Kell stale czuł, że do nich nie pasuje. Królowa odgarnęła z jego czoła kilka miedzianych kosmyków. Zawsze szukała prawdy w jego prawym oku, jak na tablicy do wróżb, w którą można zajrzeć, by zobaczyć przyszłość. Ale tym, co widziała, nigdy się nie dzieliła. Kell wziął jej dłoń i pocałował.

— Nic mi nie jest, Wasza Wysokość. — Posłała mu znużone spojrzenie, więc się poprawił: — Matko.

Pojawił się służący z herbatą, słodką i zaprawioną miętą. Kell wypił duży łyk i pozwolił swojej rodzinie rozmawiać, a jego umysł błędził wśród ich uspokajających głosów.

Kiedy prawie nie mógł już utrzymać otwartych oczu, przeprosił, gdyż zamierzał odejść. Rhy również wstał z sofy. Kell nie był zaskoczony. Odkąd zajął miejsce, czuł na sobie spojrzenie księcia. Teraz, kiedy życzyli rodzicom dobrej nocy, Rhy wyszedł za nim na korytarz, bawiąc się złotym kręgiem wsuniętym w czarne loki.

— Co przegapiłem? — spytał Kell.

— Niewiele — odrzekł Rhy. — Holland złożył wizytę. Dopiero co odszedł.

Kell zmarszczył brwi. Londyny Czerwony i Biały pozostawały w dużo bliższych kontaktach niż Czerwony i Szary, ale ich stosunki były dość formalne.

Holland zjawił się niemal o tydzień za wcześnie.

— Z czym wróciłeś dziś wieczorem? — spytał Rhy.

— Z bólem głowy — odpowiedział Kell, przecierając oczy.

— Wiesz, o czym mówię — naciskał księżę. — Co przeniosłeś przez drzwi?

— Nic poza kilkoma naszymi monetami. — Kell rozłożył szeroko ramiona.

— Obszukaj mnie, jeśli chcesz — dodał z uśmiechem. Rhy nigdy nie zdołał się zorientować, że jego okrycie ma wiele stron, i Kell już chciał odejść, uważając sprawę

za załatwioną, kiedy księżę go zaskoczył — sięgnął nie do jego kieszeni, lecz ku jego ramionom, po czym przyparł go do ściany.

Energicznie. Pobliskie malowidło przedstawiające króla i królową zatrzęsło się, ale nie spadło. Strażnicy rozstawieni w korytarzu zerknęli, jednak żaden nie ruszył się ze swojego miejsca.

Kell był rok starszy od Rhya, lecz prezentował się jak popołudniowy cień, wysoki i szczupły, podczas gdy księżę był zbudowany jak posąg i niemal równie silny.

— Nie kłam — ostrzegł Rhy. — Nie oszukuj mnie.

Kell mocno zacisnął usta. Księżę przyłapał go dwa lata temu. Oczywiście nie na gorącym uczynku, ale w inny, bardziej pokrętny sposób. Wypytał go w zaufaniu. Pili we dwóch na jednym z wielu pałacowych balkonów pewnej letniej nocy — poświata Isle pod nimi i pas nieba nad nimi — i prawda wyszła na jaw. Kell opowiedział wtedy bratu o układach, które zawierał w Londynie Szarym, Białym, a od czasu do czasu nawet w Czerwonym, o rozmaitych przedmiotach, które szmuglował. Rhy gapił się na niego i słuchał, kiedy zaś przemówił, wcale nie zamierzał palnąć mu kazania na temat spraw, w których przypadku antari postąpił źle lub niezgodnie z prawem. Zadał tylko pytanie: „Po co?!”.

„Nie wiem” — wyznał Kell i to była prawda.

Rhy usiadł wtedy prosto i popatrzył zaczerwienionymi od alkoholu oczyma.

„Nie zapewniliśmy ci wszystkiego? — spytał, wyraźnie zasmucony. — Brakuje ci czegoś?”

„Nie” — odparł Kell, co było prawdą i kłamstwem jednocześnie.

„Nie jesteś kochany? — wyszeptał Rhy. — Nie czujesz się witany jak członek rodziny?”

„Ale nim nie jestem, Rhy! Tak naprawdę nie jestem Mareshem, ponieważ jedyne, co ofiarowali mi król i królowa, to nazwisko. Czuję się bardziej jak czyjaś własność niż jak księżę”.

W tamtym momencie księżę uderzył go pięścią w twarz.

Po tym zdarzeniu Kell przez tydzień miał dwoje czarnych oczu zamiast jednego i nigdy więcej nie odezwał się w ten sposób, ale co się stało, to się stało. Przez krótki czas żywił nadzieję, że Rhy był zbyt pijany i nie będzie pamiętał tej rozmowy. Niestety, księżę zapamiętał wszystko. Nic nie powiedział królowi czy królowej i Kell przypuszczał, że z tego powodu ma u niego dług wdzięczności, teraz jednak, po każdym powrocie z podróży musiał znosić przesłuchanie i uwagi, że to, co robi, jest niemądre i niewłaściwe.

Teraz Rhy puścił jego barki.

— Dlaczego obstajesz przy kontynuowaniu tego zajęcia?

— Bawi mnie — odparł Kell, odsuwając go.

Książę potrząsnął głową.

— Słuchaj, przez całkiem długi czas przymykałem oko na twój dziecinny bunt, ale te drzwi zamknięto z jakiegoś powodu — ostrzegł. — Przenoszenie przedmiotów jest zdradą!

— Chodzi tylko o drobiazgi — wyjaśnił Kell, idąc dalej korytarzem. — To niczym nie grozi.

— Ależ grozi — odparł Rhy, dopasowując swój krok do jego. — Na przykład gdyby nasi rodzice kiedykolwiek się dowiedzieli...

— Powiedzielibyś im? — spytał Kell.

Rhy westchnął. Kell przyglądał się, jak książę próbuje sformułować kolejne odpowiedzi.

— Nie istnieje nic, czego bym ci nie dał — powiedział w końcu.

Antari poczuł w piersi bolesne ukłucie.

— Wiem.

— Jesteś moim bratem. Moim najbliższym przyjacielem.

— Wiem.

— Zakończ więc tę głupotę, zanim ja to zrobię.

Kell zmusił się do lekkiego, wyrażającego znużenie uśmiechu.

— Ostrożnie, Rhy — ostrzegł. — Zaczynasz przemawiać jak król.

Książę wykrzywił usta.

— Pewnego dnia nim będę. Będę cię tam potrzebował obok siebie.

Kell odpowiedział uśmiechem.

— Uwierz mi. Nie istnieje miejsce, w którym bardziej chciałbym być.

To była prawda.

Rhy poklepał go po ramieniu i udał się na spoczynek. Kell wepchnął ręce w kieszenie i obserwował, jak brat odchodzi. Mieszkańcy Londynu — i ci spoza stolicy — kochali swojego księcia. A dlaczegoż by nie mieli go kochać? Był młody, przystojny i dobry. Może za często i zbyt dobrze odgrywał rolę hulaki, ale za jego charyzmatycznym uśmiechem i kokieteryjnym zachowaniem krył się przenikliwy umysł i dobre intencje oraz chęć uszczęśliwienia wszystkich wokół. Miał niewielki talent do magii — i jeszcze mniej potrafił się na niej skupić — ale braki mocy nadrabiał urokiem osobistym. A jeśli Kell nauczył się czegokolwiek podczas swoich wycieczek do Białego Londynu, to tego, że przez magię władcy nie stają się wcale lepsi, lecz raczej gorsi.

Antari szedł dalej korytarzem do własnych pokojów, gdzie ciemne dębowe wrota prowadziły do długiej komnaty. Przez otwarte drzwi prywatnego balkonu wlewał się

czerwony poblask Isle, z wysokiego sufitu opadał gobelin, wydymając się niczym obłoki, a obok czekało zbytkowne łoże z baldachimem, wypełnione pierzem i przykryte jedwabiem. Przyzywało go. Kell potrzebował całej swojej silnej woli, by nie ulec pragnieniu. Zamiast się kłaść, przeszedł komnatę i wkroczył do drugiego, mniejszego pomieszczenia zastawionego księgami — różnymi tomami na temat magii, łącznie z tymi nielicznymi, które zdołał znaleźć o antarich i rozkazach krwi, gdyż większość zniszczono ze strachu podczas czystki Czerwonemu Londynu — i zamknął za sobą drzwi. W zadumie strzelił palcami i świeca stojąca na skraju jednej z półek natychmiast zapłonęła. W jej świetle dostrzegł serię symboli na tylnej stronie drzwi.

Odwrócony trójkąt, zestaw linii, okrąg — proste znaki, dość łatwe do odtworzenia, lecz wystarczająco od siebie różne. Drzwi do różnych miejsc w Czerwonym Londynie. Spojrzał na te pośrodku. Były stworzone z dwóch ukośnych kresek.

„X oznacza miejsce” — pomyślał, przyciskając palce do najnowszego nacięcia na ramieniu — krew ciągle była wilgotna — po czym przesunął nimi po znaku.

— As Tascen — powiedział zmęczonym głosem.

Ściana ustąpiła pod jego dotykiem i osobista biblioteka zmieniła się w ciasny pokoik, a komfortową ciszę królewskich komnat zastąpił hałas gospody poniżej i otaczającego ją miasta, dużo bliższego, niż było zaledwie chwilę wcześniej.

Nad drzwiami gospody wisiał szyld z jej nazwą: Is Kir Ayes, czyli „Rubinowe Pola”. Lokal prowadziła stara kobieta imieniem Fauna; wyglądała jak babcia, przemawiała jak żeglarz i miała temperament pijaczki. Gdy Kell był młodszy (ona już wtedy była stara, zawsze była stara), dogadał się z nią i od tego czasu korzystał z pokoju na szczycie schodów.

Pomieszczenie było proste i zniszczone, a także o kilka metrów za małe, ale należało wyłącznie do niego. Zakłęcia — nie do końca zgodne z prawem — znaczyły okno i drzwi, dzięki czemu nikt inny nie mógł tego miejsca odnaleźć ani nawet dostrzec. Na pierwszy rzut oka pokój wydawał się niemal pusty, lecz bliższy ogląd ujawniał, że przestrzeń pod wąskim łóżkiem i szuflady w komodzie były wypełnione pudłami, w których znajdowały się skarby ze wszystkich Londynów.

Kell podejrzewał, że sam również jest Kolekcjonerem.

Na widoku były jedynie tomik wierszy, szklana kula wypełniona czarnym piaskiem i zestaw map. Wiersze napisał mężczyzna o nazwisku Blake i Kell otrzymał je rok temu od jakiegoś Kolekcjonera w Szarym Londynie; grzbiet tomiku wytarł się już prawie na miazgę. Szklana kula była cackiem z Białego Londynu, które miało pokazywać w piasku ludzkie sny, ale Kell jeszcze jej nie wypróbował.

Mapy stanowiły przypomnienie.

Trzy płótna powieszono obok siebie były jedyną dekoracją ścian. Z dużej odległości wszystkie trzy mapy mogły się wydawać takie same — przedstawiały ten sam zarys tego samego wyspiarskiego kraju — ale w rzeczywistości na wszystkich powtarzało się jedynie słowo „Londyn”. Szary Londyn. Czerwony Londyn. Biały Londyn. Mapa po lewej przedstawiała Wielką Brytanię, od Kanału Angielskiego aż po szczyty Szkocji; wszystkie miejsca odtworzono ze szczegółami. Dla kontrastu mapa po prawej była niemal tych szczegółów pozbawiona. Kraj nazywał się Makt, stolicą rządziły bezwzględne bliźniaki nazwiskiem Dane, jednak teren poza miastem ciągle się zmieniał. Mapę pośrodku Kell znał najlepiej, ponieważ przedstawiała jego dom. Arnes. Nazwę państwa napisano eleganckimi literami przez długość wyspy, chociaż tak naprawdę wyspiarska kraina, w której leżał Londyn, była tylko czubkiem królewskiego imperium.

Trzy bardzo różne Londyny w trzech bardzo różnych krajach, a Kell był jednym z nielicznych żyjących, którzy widzieli je wszystkie. To była ironia losu, że nigdy nie zwiedził obszarów poza żadną ze stolic. Zobowiązany do służby królowi i koronie i stale trzymany pod ręką, nigdy nie wyprawił się dalej niż o dzień drogi od któregoś z Londynów.

Czuł zmęczenie, kiedy się przeciągał i zdejmował z ramion płaszcz.

Sprawdził kieszenie, aż znalazł zawiniątko od Kolekcjonera, które położył delikatnie na łóżku, ostrożnie rozpakował i wyjął niewielką srebrną pozytywkę. Pokojowe lampy pojaśniały, gdy podnosił przedmiot do światła i go podziwiał. Poczuł ból w ramieniu, odstawił pozytywkę i zwrócił uwagę na komodę.

Czekały tam miska z wodą i zestaw słoiczków. Podwinął rękaw czarnej koszuli i zajął się ramieniem. Miał wprawę i w ciągu kilku minut przemył skórę i nałożył balsam. Dla gojenia istniał rozkaz krwi — As Hasari — jednakże antari nie mogli go użyć dla siebie samych, zwłaszcza w przypadku drobnej rany, ponieważ tracili wtedy więcej energii, niż zyskiwali zdrowia.

Zresztą nacięcia na jego ramieniu już się zaczynały zasklepieć. Antari uleczali się szybko dzięki dużej ilości magii płynącej w żyłach, więc do poranka te powierzchowne ślady znikną, a skóra się wygładzi. Już prawie opuścił rękaw, kiedy jego uwagę przyciągnęła mała lśniąca blizna. Zawsze ją przyciągała. Tuż pod zgięciem łokcia. Linie tak mocno pobladyły, że symbol był już niemal nieczytelny.

Prawie!

Kell zamieszkał w pałacu jako pięciolatek. Symbol zauważył po raz pierwszy, kiedy miał lat dwanaście. Spędził później wiele tygodni, szukając tego znaku runicznego w pałacowych bibliotekach.

Oznaczał on „Wspomnienie”.

Przesunął teraz kciukiem po szramie. Wbrew swej nazwie symbol nie pomagał w zapamiętywaniu. Wręcz przeciwnie, miał dawać zapomnienie.

Zapomnienie jakiejś chwili. Dnia. Życia. Ale magia, która wiązała ciało danej osoby lub jej umysł, nie była po prostu tylko zakazana — stanowiła przestępstwo karane jak najsurowiej. Oskarżonych i uznanych za winnych pozbawiano mocy, co w świecie rządzonym przez magię było losem, jaki niektórzy uważali za gorszy od śmierci. A mimo to Kell miał na sobie znak takiego zaklęcia. Co gorsza, podejrzewał, że król i królowa sami ów znak usankcjonowali.

„K.L.”

Inicjały na jego nożu. Istniało tyle rzeczy, których nie rozumiał — których nigdy nie zrozumie — na temat owej broni, monogramu i życia, które się z tym łączyło. Były to litery angielskie? Czy arnezyjskie? Można je było znaleźć w obu alfabetach. Od czego skrótom było „L”? Lub nawet „K”? Nie wiedział nic o literach, które złożyły się na jego imię — „K” i „L” utworzyły wszak słowo „Kell”. Był tylko dzieckiem, kiedy przyniesiono go do pałacu. Czy nóż zawsze należał do niego? A może stanowił własność jego ojca? Czy symbol dostarczono wraz z nim i czy miał mu pomóc pamiętać, kim jest? Kim był wcześniej?! Męczył go ten brak wspomnień. Często przyłapywał się na tym, że wpatruje się w środkową mapę na ścianie i rozmyśla, skąd przybył. Od kogo pochodzi!

Kimkolwiek byli jego przodkowie, nie byli antari. Magia mogła przeżyć w krwi, lecz nie była dziedziczona. Nie przechodziła z rodzica na dziecko.

Wybierała własną drogę. Własny kształt. Czasami silny płodził słabego lub odwrotnie. Władający ogniem pochodzili nierzadko od magów wody, a poruszający ziemią — od uzdrowicieli. Mocy nie można pielęgnować niczym rośliny ani destylować przez pokolenia. Gdyby to było możliwe, antarich by siano i zbierano. Byli idealnymi naczyniami, potrafili kontrolować każdy żywioł, rzucać każde zaklęcie, używać własnej krwi do rozkazywania otaczającemu ich światu. Byli narzędziami, a w nieodpowiednich rękach także orężem. Może brak możliwości dziedziczenia stworzyła sama natura — dla utrzymania świata w równowadze, dla zachowania porządku.

Po prawdzie nikt nie wiedział, skąd się brali antari. Zdaniem jednych pojawiali się za sprawą przypadku, czegoś w rodzaju szczęśliwego rzutu kostką. Inni twierdzili, że są istotami boskimi, przeznaczonymi do wielkości.

Niektórzy uczeni, jak Tieren, uważali, iż antari są efektem wymiany między światami, splatania się różnych rodzajów magii, i właśnie z tego powodu obecnie wymierali. Ale niezależnie od wyznawanej teorii dotyczącej pochodzenia antarich,

większość ludzi wierzyła, że są to istoty święte.

Wybrane przez magię lub — być może — przez nią pobłogosławione. W każdym razie na pewno takie, które ona naznaczyła.

Kell w zamyśleniu podniósł palce do prawego oka.

W cokolwiek ludzie postanowili wierzyć, niepodważalny pozostawał fakt, że antarich było coraz mniej i przez to stawali się coraz cenniejsi. Dzięki swoim talentom zawsze byli osobami pożądanymi, a teraz, gdy byli nieliczni, nie spuszczano z nich wzroku, strzeżono ich i trzymano w pobliżu. Nie należeli do siebie, Kell — obojętnie, jak bardzo Rhy by temu zaprzeczał — był całkowitą własnością rodziny królewskiej.

Podniósł teraz srebrną pozytywkę i przekręcił małą metalową korbkę.

„Wartościowa rzecz — pomyślał — lecz mimo wszystko to tylko bibelot”.

Rozbrzmiała melodyjka, pozytywka drgała, łaskocząc dłoń Kella niczym ptaszek. Nie odstawił jednak urządzenia. Trzymając je mocno i wsłuchując się w wyszeptywane nuty, opadł na plecy na twarde łóżko i oglądał piękną małą zabawkę.

Jak stał się tym, kim jest? Co sprawiło, że jego oko przyjęło czarną barwę?

Urodził się z nim, czy może znak magii ujawnił się u niego później?

Pięciolatek. Przez pięć lat był synem innej pary. Czy rodzice odczuwali smutek, gdy go oddawali? A może z wdzięcznością ofiarowali go koronie?

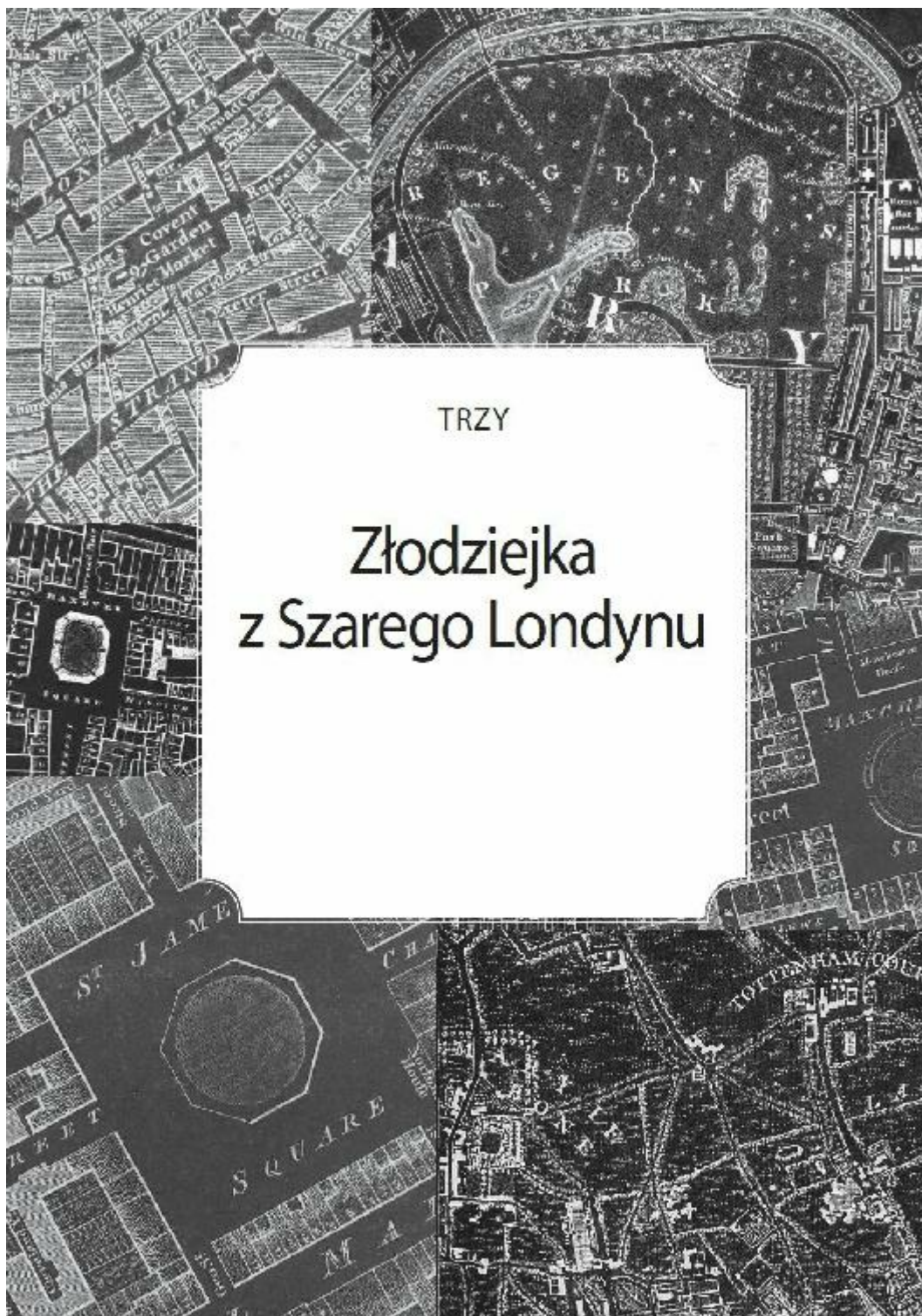
Król i królowa nie chcieli opowiadać o jego przeszłości, toteż szybko się oduczył wypytywać o tę kwestię, sam jednak stale się nad tym zastanawiał, nawet teraz. Męczyło go to.

O jakim życiu zapomniał?

Opuścił rękę i zbeształ się w myślach. Ile mogło zapamiętać pięcioletnie dziecko? Nie miało znaczenia, kim był, zanim trafił do pałacu. Ta osoba już się nie liczyła.

Już nie istniała.

Dźwięki z pozytywki umilkły i zapadła cisza. Kell ponownie nakręcił mechanizm i zamknął oczy, dając się uspić melodii Szarego Londynu i powietrzu Londynu Czerwonego.



TRZY

Złodziejka z Szarego Londynu

I

Lila Bard żyła według pewnej prostej zasady: jeśli jakiś przedmiot był wart posiadania, trzeba go było zabrać.

Podniosła srebrny zegarek kieszonkowy do słabego światła ulicznej latarni i podziwiała elegancki połysk metalu, zastanawiając się, co mogą oznaczać wygrawerowane na tylnej stronie koperty inicjały — „L.L.E.”. Ukradła zegarek jakiemuś dżentelmenowi w trakcie „przypadkowego” zderzenia na zbyt zatłoczonym chodniku, gdy prędko przeprosiła, kładąc mężczyźnie dłoń na ramieniu, co miało odwrócić jego uwagę od drugiej ręki sięgającej do kieszeni jego płaszcza. Palce miała nie tylko szybkie, ale i lekkie. Dotknęła cylindra, życzyła dobrej nocy i już była dumną nową posiadaczką czasomierza, a były właściciel, niczego nie podejrzewając, podążał w swoją stronę.

Nie dbała o zabierane przedmioty, za to ogromnie ceniła sobie to, co mogła za nie kupić: wolność. Kiepska wymówka, na pewno tak, ale lepsze to niż więzienie lub przytułek dla ubogich. Przesunęła kciukiem w rękawiczce po kryształowej tarczy zegarka.

— Która godzina? — spytał mężczyzna obok niej.

Lila natychmiast na niego spojrzała. To był posterunkowy.

Podniosła rękę do ronda cylindra — skradzionego tydzień wcześniej drzemiącemu szoferowi — i miała nadzieję, że ten gest zostanie odebrany jako powitanie, a nie nerwowy odruch mający na celu próbę ukrycia twarzy.

— Wpół do dziesiątej — mruknęła niskim głosem, wsuwając zegarek do kieszeni kamizelki pod peleryną. Próbowwała przy tym zasłonić przed policjantem kilka błyszczących tam egzemplarzy broni.

Lila była wysoka i chuda, o chłopięcej figurze, dzięki której mogła uchodzić za młodego mężczyznę, chociaż wyłącznie z dużej odległości. Z bliska to złudzenie znikало.

Wiedziała, że powinna się odwrócić i odejść, dopóki może, ale kiedy policjant szukał czegoś do zapalenia fajki i nie znalazł, wbrew sobie podniosła z ulicy kawałek drewna. Postawiła jeden wysoki but na podstawie słupa latarni, zwinnie wyciągnęła ciało i w płomieniu rozpała patyczek. Światło latarni odbiło się od jej podbródka, ust, kości policzkowych, widocznych pod cylindrem ostrych rysów twarzy. Przez jej pierś przebiegł przyjemny dreszcz, spowodowany bliskością niebezpieczeństwa, i zastanowiła się, nie po raz pierwszy zresztą, czy coś z nią jest

nie w porządku. Tak kiedyś powiedział jej Barron, ale Barron był przecież nudziarzem.

„Szukasz kłopotów — wytknąłby jej teraz. — Będziesz ich szukała, aż znajdziesz”.

„To kłopoty nas szukają — odparłaby. — Ciągłe szukają, aż znajdą. Równie dobrze mogę je znaleźć jako pierwsza”.

„Czemu chcesz umrzeć?”

„Nie chcę umierać — powiedziała by. — Chcę tylko przeżyć”.

Zeszła ze słupa latarni i — już z twarzą ponownie ukrytą pod cylindrem — wręczyła mężczyźnie rozżarzone drewnieko. Wymamrotał podziękowanie i zapalił fajkę, potem pyknął kilka razy i wyglądało na to, że ma zamiar odejść, w ostatniej chwili jednak się zawahał. Kiedy przyjrzał jej się po raz kolejny, tym razem z większą uwagą, jej serce zakolało.

— Powinieneś mieć na uwadze, młody panie — zaczął wreszcie — gdy spacerujesz tu sam, w środku nocy, że możesz zostać okradziony.

— Rabusie? — spytała, starając się mówić cicho. — Chyba nie w Eaton.

— Ależ tak. — Skinął głową i wyjął z kurtki złożoną kartkę. Lila wyciągnęła rękę i wzięła kartkę, chociaż od razu wiedziała, co przedstawia.

Portret pamięciowy poszukiwanej przez policję osoby. Wpatrzyła się w szkic, który pokazywał niewiele więcej niż zamazane kontury człowieka w masce, przypadkowym kawałku tkaniny na oczach i kapeluszu z szerokim rondem. — Ten kieszonkowiec bezczelnie obrabował nawet kilku dżentelmenów i pewną damę. Można by się takich jak on oczywiście spodziewać, ale przecież nie w tej okolicy. Naprawdę zuchwały z niego złodziejaszek.

Zapanowała nad uśmiechem. Posterunkowy mówił prawdę. Buchnąć komuś drobniaki w South Bank to była jedna sprawa, a kradzież srebra i złota z powozu w Mayfair zupełnie inna, ale złodzieje byli głupi, że trzymali się slumsów. Biedacy się przecież pilnowali, a bogacze kroczyli butnie, przypuszczając, że są bezpieczni, dopóki pozostają w dobrych dzielnicach miasta. Ale Lila wiedziała, że nie ma dobrych dzielnic. Istniały jedynie dzielnice cwaniaków i dzielnice głupców, a ona była szybka i wiedziała, gdzie się obracać.

Oddała afisz i uchyliła cylindra w stronę posterunkowego.

— Będę w takim razie uważał.

— Koniecznie — zalecił policjant. — Nie jest już tak jak kiedyś. Nic już takie nie jest...

Odszedł powoli, ćmiąc fajkę i mamrocząc o tym, jak rozpada się świat, lub o czymś podobnym. Lila nie usłyszała reszty jego wypowiedzi, gdyż zbyt głośno pulsowała jej w uszach krew.

Gdy mężczyzna zniknął z pola widzenia, westchnęła i osunęła się przy słupie latarni, nieprzytomna z ulgi. Zdjęła z głowy cylinder i obejrzała wciśnięte do środka maskę i kapelusz z szerokim rondem. Uśmiechnęła się do siebie. A potem znowu nałożyła na głowę cylinder, odepchnęła się od słupa i pogwizdując, ruszyła w stronę portu.

II

Statek „Król Mórz” nie był ani trochę tak imponujący, jakby mogła sugerować jego nazwa.

Opierał się ciężko o nabrzeże, farbę miał zdartą od soli, drewniany kadłub w niektórych miejscach po części przegnił, w innych na wylot przerdzewiał.

Ogólnie rzecz biorąc, statek wyglądał, jakby bardzo, bardzo powoli tonął w Tamizie.

W pionie trzymał go chyba tylko sam dok, który zresztą nie był wcale w dużo lepszym stanie, i Lila zadała sobie pytanie, czy pewnego dnia burta „Króla Mórz” i deski nabrzeża po prostu nie zgniją lub nie rozkruszą się, znikając razem w mętnych wodach zatoki.

Powell twierdził, że łajba jest równie solidna jak zawsze.

„Wciąż się nadaje na pełne morze” — przysięgał. Lila pomyślała, że statek ledwie się nadaje na słabe fale londyńskiego portu.

Postawiła but na rampie i deski zaskrzypiały pod nią, a później dźwięk zafalował, obejmując kolejne części statku, aż Lila zaczęła odnosić wrażenie, że cały protestuje przeciwko jej wejściu. Protest ten zignorowała, wchodząc na pokład i poluzniając tasiemkę przy szyi.

Jej ciało tęskniło za snem, niemniej wykonała swój conocny rytuał, przechodząc do dziobu statku i zaciskając palce na kole sterowym. Chłodne drewno w jej dłoniach, łagodne kołysanie pokładu pod stopami — dzięki temu czuła się naprawdę dobrze. Bo Lila Bard wiedziała w głębi duszy, że pragnie zostać piratem. Potrzebowała jedynie sprawnego statku. A kiedy będzie go miała... Podmuch wiatru szarpnął jej peleryną i przez chwilę widziała siebie daleko od londyńskiego portu, daleko od wszelkiego lądu, sunącą przed siebie przez otwarte morze. Zamknęła oczy i próbowała sobie wyobrazić muśnięcia morskiej bryzy chwytającej jej wytarte rękawy. Bębnienie wody oceanu o burty. Poczucie wolności — prawdziwej wolności — i przygody. Zadarła brodę, kiedy wyimaginowana mgiełka słonej wody połaskotała jej skórę.

Zrobiła głęboki wdech i uśmiechnęła się na myśl o smaku morskiego powietrza. Gdy koniec końców otworzyła oczy, z zaskoczeniem odkryła, że „Król Mórz” nie płynie. Wciąż stał nieruchomy w doku.

Odepchnęła się od balustrady, podążyła przez pokład i kiedy stukot jej butów odbijał się echem od drewna, po raz pierwszy tej nocy poczuła się w miarę bezpiecznie. Wiedziała, że tak naprawdę nie jest bezpieczna, nigdzie w mieście by

nie była, nawet w wyłożonym pluszem powozie w Mayfair i na pewno nie na zbutwiałym po części statku w szemranym krańcu portu, ale tu czuła się nieco lepiej. Swojsko? A może po prostu niewidoczna. Niewidoczna była najbezpieczniejsza. Żadne oczy nie patrzyły, jak przekraczała pokład. Nikt nie widział, jak schodziła po stromych schodkach, które prowadziły do wnętrza statku. Nikt nie szedł za nią przez wilgotny mały korytarz do kajuty na jego końcu.

Tu wreszcie rozwiązała tasiemkę przy szyi, zdjęła z ramion pelerynę i rzuciła ją na koję, która stała przyciśnięta do jednej ze ścian kajuty. Do peleryny dołączył cylinder, z którego na ciemną tkaninę — niczym klejnoty — wysypały się elementy przebrania. W rogu stał mały piecyk węglowy, słabo rozżarzone węgle ledwo ogrzewały pomieszczenie. Lila poruszyła je i za pomocą patyczka zapaliła parę łojowych świec rozstawionych po kajucie.

Potem zdjęła rękawiczki i również cisnęła na koję. Na koniec zsunęła skórzany pasek, odpinając pochwę ze sztyletem i kaburę. Była oczywiście lepiej uzbrojona, ale tylko te dwie rzeczy zdejmowała. Sztylet nie był niczym szczególnym, tylko niegodziwie ostrym nożem — rzuciła go na łóżko wraz z resztą przedmiotów — ale zawartość kabury stanowiła prawdziwe cacko: rewolwer skałkowy, który wysunął się z dłoni zamożnego martwego mężczyzny i wpadł w jej ręce rok temu. Caster — każda dobra broń zasługiwała na nazwę — był pięknym egzemplarzem, więc wsunęła go delikatnie, niemal z nabożeństwem, do szuflady biurka.

W trakcie nocnego spaceru do portu jej wcześniejsze uczucia osłabły, podniecenie się wypaliło i teraz opadła ciężko na fotel. Mebel poskarżył się równie mocno jak wszystko inne na statku, skrzypiąc żałośnie, kiedy położyła buty na biurku, którego zniszczona drewniana powierzchnia była zasłana mapami, w większości zrolowanymi, choć jedną Lila kiedyś rozwinęła i przycisnęła w rogach kamieniami i skradzionymi bibelotami. To była jej ulubiona mapa, ponieważ żadne z miejsc na niej nie zostało nazwane. Ktoś z pewnością wiedział, co to była za mapa i co pokazywała, ale Lila nie miała o tym pojęcia. Dla niej była to po prostu jakaś mapa.

Na biurku stało, opierając się o ścianę kadłuba, duże lustro o brzegach pokrytych parą i kropelkami srebra. Lila zerknęła na swoje odbicie i lekko się wzdrygnęła. Przeciągnęła palcami po włosach. Były postrzępione, ciemne, długie do linii podbródka.

Lila miała dziewiętnaście lat.

Dziewiętnaście, a każdy rok wydawał się głęboko w niej wyżłobiony.

Szarpnęła skórę pod oczyma, skubnęła policzki, musnęła palcem po wargach.

Minęło sporo czasu, odkąd ktoś nazwał ją ładną.

Nie żeby chciała być ładna. Uroda na nic by jej się zdała. I Bóg wie, że nie

zazdrościła damom ich obcisłych gorsetów, obfitych spódnic czy piskliwego śmiechu, który absurdalnie wykorzystywały. Ani sposobu, w jaki omdlewały i wspierały się na mężczyznach, udając słabość, by rozkoszować się własną siłą.

Lila nie widziała sensu w udawaniu osoby słabej.

Próbowała wyobrazić sobie siebie jako jedną z dam, które okradła tej nocy — tak łatwo się plątały w całej tej tkaninie, tak łatwo się potykały, a wtedy tak łatwo je było chwycić. Uśmiechnęła się. Jak wiele z tych dam z nią flirtowało?

Ile omdlewało, wspierało się na niej i udawało, że podziwiają jej siłę?

Poczuła w kieszeni ciężar nocnych zdobyczy.

Wystarczy.

Należało im się — za udawanie słabości. Może przestaną tak szybko omdlewać na widok cylindra i chwycić każdą wyciągniętą w ich stronę dłoń.

Przycisnęła tył głowy do oparcia fotela. Słyszała, jak Powell kręci się po swojej kabinie, pijąc jak co noc, przeklinając i mamrocząc opowieści dziobowym ścianom przerdzewiałego statku. Opowieści o krainach, których nigdy nie odwiedził. O dziewczętach, o których względy nigdy nie zabiegał. O skarbach, których nigdy nie zrabował. Był kłamcą, pijakiem i głupcem — wiedziała o tym wszystkim, patrząc na niego każdej nocy w Jałowej Fali. Ale miał wolną kajutę, a ona takiego właśnie pomieszczenia potrzebowała, doszli więc do porozumienia. Za jego gościnność oddawała mu co noc dolę z „utargu”, a on w zamian za to zapominał, że wynajmuje kajutę poszukiwanej listem gończym przestępczyni, w dodatku dziewczynie.

Chodził po swojej kabinie. Trwało to nawet kilka godzin, ale Lila tak bardzo przywykła do tego hałasu, że szybko zlał jej się z jękami i szemraniem starego „Króla Mórz”.

Głowa zaczęła jej właśnie opadać, kiedy ktoś zastukał trzy razy w jej drzwi.

A dokładniej zastukał dwa razy, lecz był wyraźnie bardzo pijany i zamiast zastukać po raz trzeci, przeciągnął jedynie ręką w dół po drewnie. Lila ciężko zdjęła z biurka obute nogi.

— Co jest? — zawołała, podnosząc się, kiedy drzwi się otworzyły. Stał w nich Powell, który chwiał się zarówno z powodu wypitego alkoholu, jak i subtelnego kołysania łajby.

— Liiiila — wyśpiewał jej imię. — Liiiiilaaaaaa.

— Co?

Zamachał butelką, którą trzymał w ręce, i płyn zachlupotał. Wyciągnął drugą rękę, nadstawiając garść.

— Moja dola.

Lila wepchnęła rękę do kieszeni i wyjęła garść monet. Większość z nich była

miedziakami, ale w mieszaninie błyszcząco też kilka kawałków srebra.

Wybrała je i wrzuciła Powellowi w dłoń. Mężczyzna zacisnął pięść i zabrzączał monetami.

— To nie wystarczy — powiedział, kiedy wrzuciła miedziaki z powrotem do kieszeni. Poczowała w kamizelce dotyk srebrnego zegarka, który ciepło ocierał się o jej zębra, ale go nie wyjęła. Nie była pewna dlaczego. Może go mimo wszystko polubiła? A może bała się, że jeśli zacznie mu dawać takie drogie przedmioty, Powell zacznie ich oczekiwać?

— Kiepska noc — wyjaśniła, zakładając ramiona na piersi. — Wyrównam różnicę jutro.

— Sprawiasz kłopoty — wybełkotał mężczyzna.

— Zgadza się — przyznała, obrzucając go słabym uśmiechem. Mówiła słodkim tonem, ale równocześnie szczerzyła ostrzegawczo zęby.

— Może sprawiasz ich więcej, niż jesteś warta — wymamrotał. — Na pewno więcej, niż jesteś warta dzisiejszej nocy.

— Dostaniesz resztę jutro — powtórzyła, opuszczając ręce do boków. — Jesteś pijany. Idź do łóżka.

Zaczęła się odwracać, ale Powell chwycił ją za łokieć.

— Wezmę to sobie dzisiaj — mruknął z szyderyczym uśmieszkiem.

— Powiedziałam ci, że nie mam...

Butelka wypadła mężczyźnie z ręki, kiedy przyparł Lilę do biurka i naciskał na nią biodrami.

— To nie muszą być pieniądze — wyszeptał, przesuwając wzrokiem po jej biuście. — Gdzieś pod spodem musisz mieć dziewczęce ciało. — Wyciągnął ku niej dłoń, więc uderzyła go kolanem w brzuch, a wtedy zarzuciło go do tyłu. — Nie powinnaś była tego robić — warknął, czerwieniejąc na twarzy.

Palcami gmerał przy sprzączce swojego paska.

Lila nie czekała na ciąg dalszy. Sięgnęła do szuflady po rewolwer, lecz w tym momencie Powell uniósł gwałtownie głowę, po czym rzucił się ku dziewczynie, złapał jej nadgarstek i przyciągnął ją ku sobie. A potem pchnął ją na koję i Lila wylądowała na cylindrze, rękawiczkach, pelerynie oraz na rzuconym tam ostrzu.

Niezdarnie sięgała po sztylet, kiedy Powell na nią natarł. Chwycił ją za kolano, lecz w tej samej chwili zacisnęła palce na skórzanej pochewce; gdy wyjmowała ostrze, mężczyzna szarpnął ją ku sobie, kiedy zaś złapał jej drugą rękę, zerwała się na nogi i wbiła mu nóż w brzuch.

I na tym tak po prostu zakończyła się walka w ciasnym pomieszczeniu.

Powell zagapił się na sztylet sterczący z jego brzucha, oczy wybałuszył ze

zdumienia i chociaż przez moment wyglądało na to, że mimo wszystko zamierza kontynuować atak, były to jedynie pozory, bo Lila umiała używać noża — wiedziała, gdzie ciąć, by skrzywdzić, i jak zabić.

Powell mocniej ścisnął jej rękę. Potem poluźnił uchwyt, zakołysał się, skrzywił, kolana się pod nim ugięły.

— Nie powinieneś był tego robić — odparowała jego słowami i wyszarpnęła sztylet, by mężczyzna nie upadł na ostrze.

Ciało uderzyło o podłogę i znieruchomiało. Wpatrywała się w nie przez chwilę, podziwiając jego bezruch, ciszę przerywaną jedynie odgłosem jej własnego pulsu i szumu wody muskającej kadłub statku. Kopnęła Powella czubkiem buta.

Nie żył.

Umarł i... narobił bałaganu.

Krew rozlała się na deskach, wypełniając szczeliny i przeciekając do niższych części statku. Lila musiała coś z tym zrobić. I to już!

Przykucnęła, wytarła ostrze o koszulę mężczyzny i wyjęła z jego kieszeni swoje srebrne monety. Następnie przestąpiła ciało, wydobyła rewolwer z szuflady i ubrała się. Kiedy zapięła pasek w talii i zarzuciła na ramiona pelerynę, podniosła z podłogi butelkę whisky. Ta nie rozbiła się, gdy spadła.

Lila zębami wyjęła korek i wylała zawartość na Powella, chociaż miał we krwi prawdopodobnie tak dużo alkoholu, że i bez whisky jego zwłoki od razu by się zapaliły.

Podniosła świecę i już miała dotknąć nią podłogi, kiedy przypomniała sobie o mapie. Tej, która wiodła donikąd. Wzięła ją z biurka i wsunęła pod pelerynę, później po raz ostatni rozejrzała się po kajucie i podpaliła martwego mężczyznę razem z jego statkiem.

Stała na nabrzeżu i stamtąd przyglądała się, jak „Król Mórz” płonie.

Wpatrywała się w statek, jej twarz rozgrzewał ogień, tańcząc na brodzie i policzkach, tak jak wcześniej światło latarni podczas rozmowy z posterunkowym.

„Szkoa” — pomyślała.

Nawet polubiła tę rdzewiejącą łajbę. Ale ten statek nie należał do niej. Nie, jej własny będzie dużo lepszy.

„Król Mórz” zaskrzypiał, gdy płomienie wgryzły się w jego powłokę, po czym objęły cały szkielet, a Lila obserwowała, jak martwy statek zaczyna tonąć. Została do czasu, aż usłyszała odległe krzyki i odgłosy butów osób, oczywiście spóźnionych, lecz mimo to nadciągających.

W końcu westchnęła i wyruszyła na poszukiwanie innego miejsca, w którym mogłaby spędzić noc.

III

Kiedy Lila z cylindrem i mapą pod pachą zbliżała się do Rzutu Kamieniem, Barron stał na schodach, wpatrując się nieobecny wzrokiem w stronę portu.

Podążała za jego spojrzeniem, a wówczas zobaczyła resztki pożaru nad szczytami budynków i dym kłębiący się na zachmurzonym nocnym niebie.

Początkowo udawał, że jej nie zauważa. Nie mogła go za to winić. Podczas ich ostatniego spotkania, niemal przed rokiem, wyrzucił ją za kradzież (nie okradła jego osobiście, ma się rozumieć, lecz jakiegoś gościa lokalu), a wtedy uciekła, przeklinając po równo jego i jego małą karczmę.

„Dokąd zatem pójdziesz?” — zagrział za nią Barron. Nigdy wcześniej tak na nią nie krzyczał.

„Znaleźć przygodę” — zawołała wtedy, nie odwracając się za siebie.

Teraz podchodziła, szurając buciorami po ulicznych kamieniach. Barron ćmił cygaro.

— Tak szybko z powrotem? — spytał, nie podnosząc wzroku. Wspięła się po stopniach i zgarbiła obok drzwi karczmy. — Znalazłaś już przygodę? Albo ona ciebie?

Nie odpowiedziała. Słyszała ze środka pogrękiwanie kufla i dźwięki wydawane przez upijających się ochlapusów. Nienawidziła tych odgłosów i nienawidziła większości takich lokali, ale nie Rzutu Kamieniem. Wszystkie inne ją odpychały, budziły w niej szczerą odrazę, ale ta konkretna karczma przyciągała ją niczym za sprawą grawitacji, słabej, lecz nieustannej siły ciężenia. Nawet kiedy Lila nie chciała, zawsze ostatecznie trafiała tutaj. Ileż to razy w ciągu minionego roku stopy same przyprowadziły ją pod te schody? Ileż razy o mało nie weszła do środka? O czym Barron naturalnie nie musiał wiedzieć. Przyglądała mu się, gdy odchylił głowę i patrzył w niebo, jak gdyby mógł zobaczyć tam coś poza chmurami.

— Co się przydarzyło „Królowi Mórz”? — spytał.

— Doszczętnie spłonął. — Dreszcz aroganckiej dumy wypełnił jej pierś, kiedy zobaczyła, jak oczy mężczyzny z zaskoczenia odrobinę się rozszerzają.

Lubiła go szokować. A nie było to łatwe.

— Akurat teraz? — spytał lekko.

— Wiesz, jak to jest — odparła, wzruszając ramionami. — Stare drewno tak szybko staje w płomieniach.

Barron przypatrywał jej się przez długi czas, po czym pyknął z cygara.

— Powell powinien był bardziej uważać na swój żaglowiec.

— Taaa — zgodziła się, miętosząc rondo cylindra.

— Pachniesz dymem.

— Muszę wynająć pokój.

Słowa stanęły jej w gardle.

— Zabawne — rzekł Barron i znów zaciągnął się cygarem. — Wyraźnie pamiętam, jak sugerowałaś, że mam sobie wziąć swoją karczmę i wszystkie jej liczne... aczkolwiek skromne... pokoje, a potem wepchnąć sobie każdy z nich w swój...

— Sytuacja się zmieniła — stwierdziła, wyrwała mu cygaro i pociągnęła.

Obserwował ją w świetle lampy.

— Nic ci nie jest?

Lila patrzyła na dym, który wydychała.

— Nigdy mi nic nie jest.

Oddała mu cygaro i wygrzebała z kieszeni kamizelki srebrny zegarek. Był ciepły i gładki. Nie wiedziała, za co go tak lubi, ale takie właśnie żywiła doń uczucia. Może dlatego, że go wybrała. Wybrała go, zabierając. I wybrała go, zatrzymując. I być może na początku wyboru dokonała przypadkowo, ale tak naprawdę istniała konkretna przyczyna. Może zatrzymała ten zegarek z jakiegoś powodu. Albo po prostu dla tej chwili. Wyciągnęła go w stronę Barrona.

— Zapłacę nim za kilka nocy?

Właściciel Rzutu Kamieniem przyjrzał się srebrnemu czasomierzowi. A potem wyciągnął rękę i zacisnął palce Lili na przedmiocie.

— Zatrzymaj go — rzucił od niechcienia. — Wiem, że potrafisz zdobywać pieniądze na czynsz.

Lila schowała zatem zegarek, ciesząc się jego ciężarem w kieszeni, po czym uprzytomniła sobie, że ze statku odeszła z niczym. No cóż, prawie z niczym.

Cylinder, mapa prowadząca dokądś — lub donikąd — parę noży, rewolwer skałkowy, kilka monet i srebrny zegarek.

Barron pchnął przed nią drzwi, ale kiedy się odwróciła i ruszyła do środka, zagroził jej drogę.

— Nikt stąd nie stanie się twoją zdobyczą. Rozumiemy się?

Sztywno kiwnęła głową.

— Nie zostanę długo — odrzekła. — Tylko do czasu, aż opadnie dym.

Z sali barowej dotarł do nich trzask rozbitego szkła, więc Barron westchnął i wszedł, wołając przez ramię:

— Witaj z powrotem.

Lila również westchnęła i popatrzyła w górę, chociaż nie na niebo, lecz w górne okna obskurnej małej karczmy. Lokal nie bardzo kojarzył się z pirackim okrętem,

miejszem wolności i przygody.

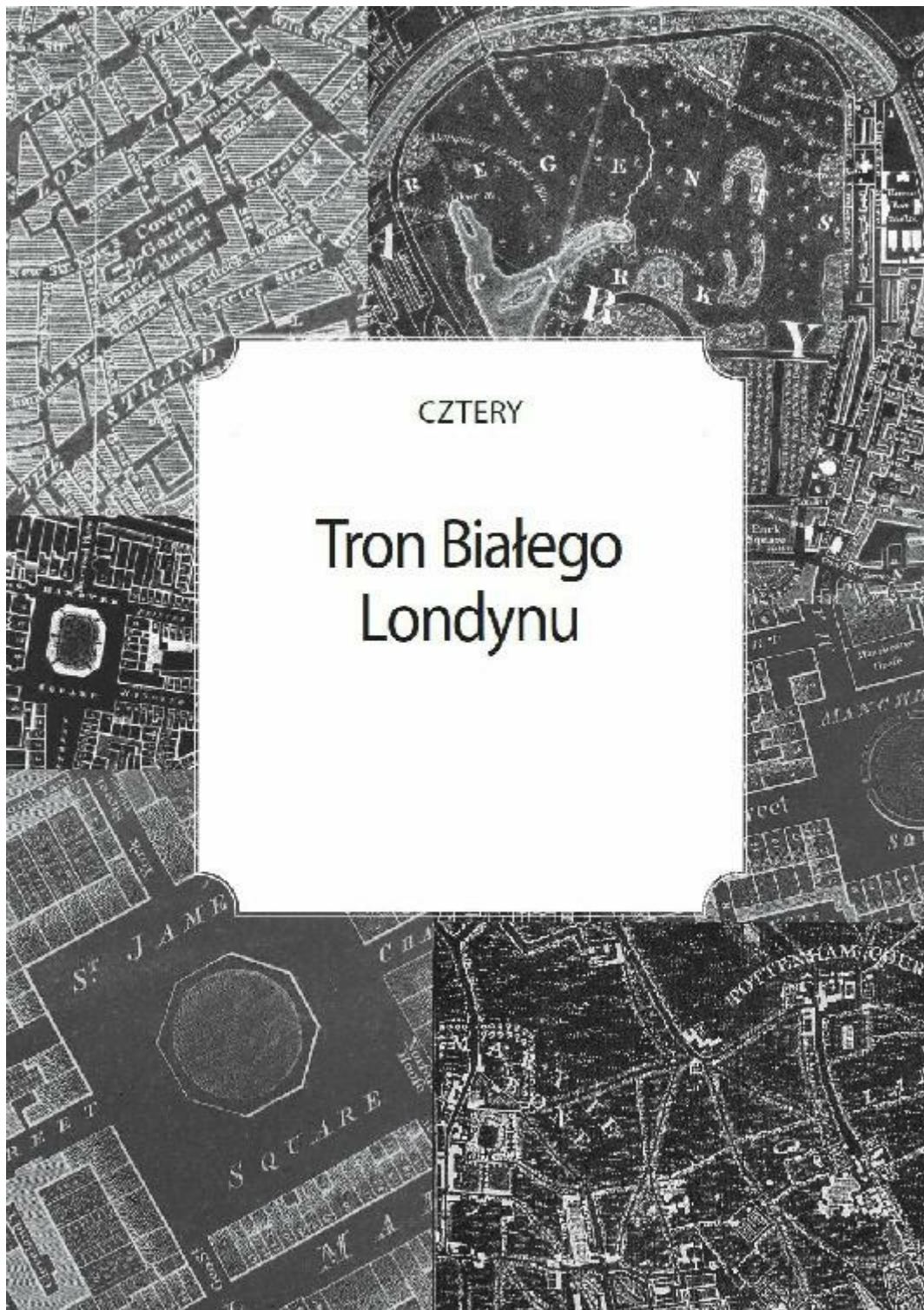
„Tylko do czasu, aż opadnie dym” — powtórzyła w myślach.

Może nie będzie tak źle. Ostatecznie nie wróciła do Rzutu Kamieniem z podkulonym ogonem. Ukrywała się. Była poszukiwana. Uśmiechnęła się, dumając nad ironią przebijającą przez to określenie.

Na słupie obok drzwi łopotała kartka. To był ten sam afisz, który pokazał jej policjant. Patrząc na zerkającą na nią spod słowa POSZUKIWANY postać w kapeluszu z szerokim rondem i w masce, Lila znów się uśmiechnęła. Nazwali ją Złodziejem-Cieniem. Narysowali ją wyższą i jeszcze chudsza, niż była w rzeczywistości, rozciągnęli ją w jakąś zjawę spowitą w czerń i przerażającą.

Postać z baśni. Istotę z legend.

Mrugnęła do „Cienia”, po czym wkroczyła do karczmy.



CZTERY

Tron Białego Londynu

I

— Może zamiast tego powinniśmy zorganizować maskaradę.

— Skup się.

— Albo może bal kostiumowy. Coś z odrobiną błysku.

— Przestań, Rhy. Skoncentruj się.

Książe siedział na krześle z wysokim oparciem, stopy w butach ze złotymi klamrami ułożył na stole, w dłoniach obracał szklaną kulę. Kula była częścią większej, bardziej skomplikowanej wersji tej samej gry, którą Kell przehandlował w Rzucie Kamieniem. Zamiast kamyków, kałuż czy sterty piasku ułożonych na małej planszy, tu do testu służyło pięć szklanych kul, z których każda zawierała jeden żywioł. Cztery nadal tkwiły na stole w kuferku z ciemnego drewna, z wnętrzem wyłożonym jedwabiem i krawędziami pokrytymi złotem. Kula w rękach Rhya zawierała garść ziemi, która przesuwiała się z boku na bok wraz z ruchem jego palców.

— Kostiumy złożone z warstw, które można zdejmować... — ciągnął książe.

Kell westchnął.

— Możemy wszyscy rozpocząć noc w pełnym stroju, a zakończyć w...

— Nawet nie próbujesz.

Rhy jęknął. Zdjął obute nogi ze stołu, stawiając je z głuchym odgłosem na podłodze, wyprostował się i przytrzymał szklaną kulę między sobą i Kellem.

— No dobra — powiedział. — Obserwuj moje magiczne zdolności. — Popatrzył spod przymrużonych powiek na drobinki uwięzione wewnątrz szkła i usiłując się skupić, przemówił do piasku szeptem po angielsku. Niestety, piasek ani drgnął. Kell przyglądał się, jak między oczyma księcia pojawia się zmarszczka, gdy się koncentrował, mamrotał coś pod nosem i czekał na odzew ziemi, a rozdrażnienie w nim rosło coraz bardziej. W końcu piasek wewnątrz szkła lekko (aczkolwiek niechętnie) się poruszył.

— Zrobiłem to! — wykrzyknął Rhy.

— Potrząsałaś nią — wytknął mu Kell.

— Nie ośmieliłbym się!

— Spróbuj jeszcze raz.

Rhy prychnął skonsternowany i osunął się na krzesło.

— Sanct, Kell. Co jest ze mną nie tak?

— Ależ nic — upierał się antari.

— Mówię jedenastoma językami — ciągnął książe. — Niektóre wiążą się z

krajami, których nigdy nie odwiedziłem i prawdopodobnie nigdy nie postawię w nich stopy, a jednak nie potrafię skłonić grudy ziemi, by się poruszyła, a kropli wody do uniesienia się z sadzawki. — Wściekał się. — To nie do wytrzymania! — warknął. — Dlaczego jest mi tak trudno opanować język magii?

— Ponieważ nie możesz władać żywiołami swoim czarem, uśmiechem ani pochodzeniem — wyjaśnił Kell.

— Nie szanują mnie — powiedział Rhy z beznamiętnym uśmiechem.

— Ziemi pod twoimi stopami nie obchodzi, że będziesz królem. Ani wody w twoim kubku. Ani powietrza, którym oddychasz. Musisz mówić do nich jak do równych sobie lub nawet do lepszych od siebie, pokornie niczym suplikant.

Rhy westchnął i przetarł oczy.

— Wiem, wiem. Chcę tylko... — zamilkł.

Kell przybrał marsową minę. Księżę wyglądał na szczerze zmartwionego.

— Czego?

Rhy podniósł głowę i wymienili spojrzenia, jasnozłote oczy księcia błyszcząły, choć niczego nie tłumaczyły.

— Chciałbym się napić — stwierdził, zmieniając temat. Wstał z krzesła i przeszedł przez komnatę, aby sobie nalać trunku z karafki na stole przy ścianie.

— Naprawdę się staram, Kellu. Chcę być dobry lub przynajmniej lepszy niż teraz. Ale wszyscy nie możemy być... — Wypił łyk i zamachał bratu ręką. Kell przypuszczał, że wyraz, którego szukał Rhy, brzmiał antari. Użył jednak słowa „tobą”.

— Co mogę powiedzieć? — spytał, przeczesując dłonią włosy. — Jestem jednym z kilku.

— Jednym z dwóch — poprawił go księżę.

Kell zmarszczył czoło.

— Zamierzałem właśnie spytać. Co tu robił Holland?

Rhy wzruszył ramionami i wrócił do kuferka z żywiołami.

— To samo, co zawsze. Dostarczał pocztę.

Kell przyjrzał się księciu. Coś mu nie pasowało. Rhy, kiedy kłamał, zawsze się wiercił, a teraz właśnie przenosił ciężar ciała z nogi na nogę i stukał palcami o otwarte wieko kuferka. Jednak, zamiast naciskać, antari odpuścił i sięgnął do kuferka po drugą ze szklanych kul, tę wypełnioną wodą. Zważył ją w dłoni, rozczapierzył palce.

— Próbujesz za mocno — powiedział.

Polecił wodzie w szkle, by się poruszyła, a ona wykonała polecenie, wirując wewnątrz kuli najpierw słabo, a potem coraz szybciej i gwałtowniej, aż utworzyła mały, zwarty cyklon.

— Ponieważ to jest trudne! — odparł Rhy. — Nawet jeśli w twoim wykonaniu to

wygląda na łatwe, nie znaczy, że takie jest.

Kell nie przyznałby się bratu, że aby poruszyć wodę, nawet nie musi wypowiadać słów. Wystarczyło, że je myślał, że je czuł, a żywioł go słuchał i reagował. Cokolwiek płynęło przez wodę, piasek, ziemię czy pozostałe żywioły, przepływało także przez niego i mógł im rozkazać — tak jak własnej ręce czy nodze — żeby się poruszyły. Jedynym wyjątkiem była krew. Chociaż płynęła równie swobodnie jak inne, nie przestrzegała praw właściwych żywiołom — nie można było na nią oddziaływać, zmusić do poruszenia się czy znieruchomienia. Miała własną wolę i należało zwracać się do niej nie jak do przedmiotu, lecz jak do kogoś równego sobie, jak do przeciwnika. Właśnie dlatego antari tak bardzo się wyróżniali. Posiadali władzę nie tylko nad żywiołami, lecz także nad krwią. Podczas gdy zaklinanie żywiołów miało po prostu wspomóc umysł w osiągnięciu skupienia, w znalezieniu własnej synchronii z magią, stanowiąc kontemplację i pieśń, tak samo jak wezwanie, rozkazy krwi antarich były — zgodnie z nazwą — rozkazami. Rozkazami były słowa, które Kell wypowiadał, gdy chciał otworzyć drzwi lub uleczyć rany własną krwią. Musiał je wydać, jeśli chciał krew do czegoś skłonić.

— Jak to jest? — spytał niespodziewanie Rhy.

Kell oderwał wzrok od szkła, a jednak woda w środku wciąż się obracała.

— Co?

— Móc się przemieszczać. Oglądać inne Londyny. I jakie one w ogóle są?

Kell się zawahał. Przy jednej ze ścian stał stolik do wróżb. W przeciwieństwie do czarnych tablic informacyjnych, na których wyświetlano wiadomości dla całego miasta, stolik służył innemu celowi. A wróżyło się nie za pomocą kamieni, lecz płytkiej sadzawki spokojnej wody, która za sprawą czarów ukazywała na swojej powierzchni czyjeś myśli, wspomnienia, uchwycone obrazy. W blacie można się było przejrzeć. Tak, ale przy jego użyciu można się było również podzielić myślami z kimś innym, znaleźć pomoc, gdy wypowiedziane słowa nie wystarczały lub po prostu ich brakowało.

Teraz, wykorzystując stół, Kell mógłby pokazać Rhyowi to, co sam widział.

Rhy byłby w stanie zobaczyć inne Londyny, tak jak widział je on. Kell czasem nieco egoistycznie myślał, że chciałby dzielić się widokami z bratem, żeby nie czuć się tak bardzo samotnym, żeby ktoś inny również zobaczył to, co on oglądał. Z drugiej strony jednak odkrył już dawno, że ludzie tak naprawdę nie chcą takich rzeczy wiedzieć. Wydaje im się, że chcą, lecz owa wiedza tylko ich unieszczęśliwia. Po co wypełniać głowę sprawami, w których nie możesz brać udziału? Po co zastanawiać się nad miejscami, do których nie możesz się udać?

Co dobrego przyjdzie z tego Rhyowi, który, mimo wszystkich przywilejów, jakie

gwarantował mu książęcy status, nigdy nie zdoła postawić stopy w innym Londynie?

— Zwyczajnie — odparł więc tylko, odkładając kulę do kuferka.

Gdy jego palce opuściły szklaną powierzchnię, cyklon natychmiast się uspokoił, woda zakolysała się i zatrzymała. Zanim Rhy zdołał zadać kolejne pytania, Kell wskazał na kulę w jego ręce i polecił mu ponownie spróbować poruszyć piasek.

Rhy starał się, lecz znów mu się nie udało. Mruknął coś z irytacją i rzucił kulę na stół.

— Jestem za słaby i obaj o tym wiemy.

Kell chwycił toczącą się kulę, kiedy dotarła do krawędzi stołu i zaczęła spadać.

— Praktyka... — zaczął.

— Praktyka na nic mi się nie zda.

— Twój problem, Rhy — zbeształ go Kell — polega na tym, że nie chcesz się uczyć magii tak, by się jej nauczyć. Chcesz się jej uczyć tylko dlatego, że twoim zdaniem pomogłaby ci wabić kochanków.

Książę wydał usta.

— Nie rozumiem, dlaczego miałby to być problem — odciął się. — A magia rzeczywiście tak działa. Widziałem, jak dziewczęta... a także chłopcy...

umizgują się do ciebie na widok twojego czarnego oka. — Wstał. — Zapomnijmy o lekcji. Nie mam dziś nastroju do nauki. Wyjdźmy.

— Po co? — spytał Kell. — Żebyś mógł użyć mojej magii do wabienia kochanków dla siebie?

— Przedni pomysł — odrzekł Rhy. — Ale nie. Musimy wyjść, bo...

widzisz... mamy misję do wypełnienia.

— Czyżby? — zachnął się Kell.

— Tak. Bo skoro nie planujesz mnie poślubić... i nie zrozum mnie źle, sądzę, że tworzylibyśmy naprawdę stylową parę... muszę spróbować poszukać sobie żony.

— I myślisz, że ją znajdziesz, włócząc się po mieście?

— Na Boga, nie — odparł Rhy z krzywym uśmiechem. — Ale kto może wiedzieć, jaką rozrywkę znajdę podczas takiej włóczęgi.

Kell przewrócił oczyma i wyłożył kule.

— Kontynuujmy — powiedział.

— Dostyc — jęknął książę.

— Skończymy — odparł Kell. — jak tylko zdołasz powstrzymać płomień.

Ze wszystkich żywiołów ogień był jedynym, wobec którego Rhy wykazywał... No cóż, może określenie „talent” jest słowem zbyt mocnym, ale choćby cień zdolności. Kell oczyścił drewniany stół, po czym umieścił przed księciem metalowy półmisek, kawałek białej kredy, flakonik z oliwą oraz dziwne małe urządzenie, które wyglądało jak dwa

skrzyżowane kawałki poczerńniętego drewna, połączone w środku zawiasem. Rhy westchnął, wziął kredę i wyrysował na stole wokół talerza krąg wiązania. Później wylał zawartość flakonika na półmisek, a oliwa zebrała się w środku w postaci plamy nie większej niż moneta dziesięciolinowa. W końcu książę podniósł urządzenie, które łatwo wpasowało się w jego dłoń. Była to zapalarka. Kiedy Rhy wziął ją w rękę i ścisnął, dwa trzpienie otarły się o siebie i wyskoczyła iskra, która spadła z zawiasu na oliwę i ją zapaliła.

Mały błękitny płomień tańczył na powierzchni oliwy, a Rhy strzelił palcami, pokręcił szyją i podwinął sobie rękawy.

— Szybciej, bo światło zgaśnie — popędzał go Kell.

Książę posłał mu ostre spojrzenie, niemniej podniósł ręce nad wyrysowanym kredą kręgiem, dłońmi do środka, i zaczął mówić do ognia nie po angielsku, lecz po arnezyjsku. Ten język był płynniejszy, łagodnie perswazyjny, lgnący do magii. Słowa płynęły szeptem, spokojną, nieprzerwaną linią dźwięku, który w pomieszczeniu wokół nich wydawał się przyjmować jakąś formę.

Ku ich zdumieniu Rhy osiągnął cel. Płomień w naczyniu białiał i rósł, obejmował niespalone resztki oliwy i płonął dalej, poza płamą.

Rozprzestrzeniał się, pokrywając powierzchnię półmiska i rozbłyskując w powietrzu przed obliczem księcia.

— Popatrz! — zawołał Rhy, wskazując światło. — Popatrz, zrobiłem to!

Tak rzeczywiście było. A jednak, nawet gdy przestał przemawiać do płomienia, ogień ciągle rósł.

— Nie rozprasza się — nalegał Kell, kiedy biały ogień się rozszerzał, liżąc krawędzie kredowego kręgu.

— No i? — spytał wyzywająco książę, gdy płomień zawirował i przylgął do magicznego kręgu. — Ani słowa pochwały? — Odwrócił się od ognia w stronę Kella i równocześnie przesunął palcami po blacie stołu. — Nawet nie...

— Rhy! — ostrzegł go Kell, ale było już za późno. Książę musnął ręką okrąg, rozmazując linię z kredy.

W tym momencie ogień się oderwał. Rozbłysnął nad stołem, nieoczekiwany i gorący, a Rhy, gdy chciał się odsunąć, o mało nie przeokoziłkował przez oparcie krzesła.

Jednym ruchem Kell wyjął nóż, przeciągnął sobie ostrzem przez dłoń i przycisnął skrwawioną ranę do blatu stołu.

— As Anasae — rozkazał. „Rozprosz się”. Zaczarowany ogień zgasł natychmiast, po prostu rozplywając się w powietrzu.

Kell szybko odwrócił głowę ku księciu.

Rhy stał teraz, nagle znieruchomiały.

— Przepraszam — bąknął z zawstydzoną miną. — Wybacz, nie powinienem był... Nie cierpiał zmuszać Kella do używania magii krwi, ponieważ czuł się osobiście odpowiedzialny — i często był — za ofiarę, która się z tym łączyła.

Swego czasu sprawił bratu dużo bólu i nigdy sobie tego w pełni nie wybaczył.

Teraz Kell podniósł jakiś gałganek i wytarł zranioną rękę.

— Nic się nie stało — oznajmił, odrzucając szmatkę. — Nic mi nie jest.

Sądzę jednak, że na dzisiaj skończyliśmy.

Rhy niepewnie skinął głową.

— Muszę się jeszcze napić — wyznał. — Czegoś mocnego.

— Zgoda — odparł Kell z uśmiechem pełnym znużenia.

— Ejże, od wieków nie byliśmy w Aven Stras — zauważył Rhy.

— Nie możemy tam pójść — oświadczył Kell, chociaż w rzeczywistości chciał powiedzieć: „Nie mogę ci na to pozwolić”. Wbrew nazwie, która oznaczała „Błogosławione Wody”, Aven Stras stało się jakiś czas temu ulubionym miejscem lokalnych podejrzanych typków.

— Daj spokój — odburknął Rhy, odzyskawszy typowe dla siebie opanowanie. — Niech Parrish i Gen wygrzebią jakieś mundury i pójdziemy wszyscy jako...

W tym momencie ktoś odchrząknął, a gdy Rhy i Kell się odwrócili, zobaczyli stojącego w progu króla Maxima.

— Panie — powiedzieli jednym głosem.

— Chłopcy, jak idą nauki? — zapytał.

Rhy obrzucił Kella twardym spojrzeniem, a ten, uniósłszy brew, powiedział jedynie:

— Raz lepiej, raz gorzej. Właśnie skończyliśmy.

— To dobrze — stwierdził król, wyjmując jakiś list.

Kell nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnie wyjść i napić się wraz z Rhyem, dopóki nie zobaczył koperty i nie zrozumiał, że wyprawa nie dojdzie do skutku. Serce w nim zamarło, ale niczego po sobie nie pokazał.

— Muisz przekazać moją wiadomość — ciągnął król — naszemu silnemu sąsiadowi.

Kell poczuł w piersi ucisk wywołany dobrze mu znaną mieszaniną strachu i podniecenia, która zawsze nierozzerwalnie łączyła się z wycieczkami do Białego Londynu.

— Oczywiście, panie — powiedział.

— Holland przyniósł wczoraj list — tłumaczył król. — Ale nie mógł zostać i poczekać na odpowiedź. Powiedziałem, że prześlę ją przez ciebie.

Kell zmarszczył brwi.

— Mam nadzieję, że wszystko w porządku — rzucił ostrożnie. Rzadko zaznajamiał się z treścią królewskich wiadomości, które przekazywał, ale na ogół potrafił wyczuć ich ton — korespondencja z Szarym Londynem sprowadzała się do czystej formalności, miasta miały bowiem ze sobą niewiele wspólnego, natomiast dialog z Białym Londynem był nieustanny, zawiły i tworzył na czole króla kolejne zmarszczki. „Silny sąsiad” (jak król nazywał Biały Londyn) był miejscem rozdartym przez przemoc i władzę, a imię w podpisie królewskich listów zmieniało się zatrwajając często. Najprościej byłoby przerwać wymianę korespondencji i pozwolić Białemu Londynowi niszczyć, ale władcy Czerwonego nie potrafili, nie mogli tego zrobić.

Czuli się odpowiedzialni za umierające miasto.

I byli za nie odpowiedzialni.

Bo przecież to właśnie Czerwony Londyn postanowił się odciąć od pozostałych i w ten sposób Biały — który tkwił pomiędzy Czerwonym a Czarnym — został uwięziony i zmuszony do zamknięcia wrót, samotnej walki z ciemną zarazą i zepsutą magią. Decyzja ta przez stulecia była źródłem udręki królów i królowych, ale w owym czasie Biały Londyn był naprawdę silny — silniejszy nawet niż Czerwony — i władcy Czerwonego wierzyli (albo tylko twierdzili, że wierzą), iż jedynie dzięki temu wszyscy przetrwają. Mieli rację, a jednocześnie się mylili. Szary Londyn wycofał się w spokojną nieświadomość. Czerwony nie tylko przetrwał, ale i rozkwitł. Biały Londyn jednak na zawsze się zmienił. Miasto, niegdyś wspaniałe, popadło w chaos i rozgardiasz. Krew i popiół.

— Wszystko jest w jak najlepszym porządku — zapewnił król, wręczając Kellowi liścik i odwracając się ku drzwiom.

Antari ruszył za Maximem, kiedy Rhy złapał go za ramię.

— Obiecuj — wyszeptał cicho — że tym razem wrócisz z pustymi rękoma.

Kell się zawahał.

— Obiecuję — odparł, zastanawiając się, ile razy wcześniej wypowiedział te słowa i jak puste już się stały.

Ale gdy wyjmował spod kołnierza kawałek bladego srebra, miał nadzieję, że może tym razem okażą się prawdziwe.

II

Kell przeszedł przez drzwi pomiędzy światami i zadygotał. Czerwony Londyn zniknął, zabierając ze sobą wszelkie ciepło; wysokie buty antariego uderzyły w chłodny kamień, a jego oddech rozkwitł parą w powietrzu, więc mocniej otulił się płaszczem — czarnym ze srebrnymi guzikami.

Priste ir Essen. Essen ir Priste.

„Moc w Równowadze. Równowaga w Mocy”.

Motto równych części, mantra i modlitwa, słowa, które biegły pod królewskim godłem w Czerwonym Londynie i które można było znaleźć także w sklepach i domach. Ludzie w świecie Kella nie uważali zasobów magii za nieskończone ani za podstawowe. Powinno się jej używać, lecz nie nadużywać, traktować z szacunkiem, ale i ostrożnie.

Biały Londyn miał do tej sprawy zupełnie inne podejście.

Tutaj magii nie postrzegano jako równoprawnej. Była czymś, co należało podbić. Ujarzmić. Opanować! Czarny Londyn ją wpuścił, pozwolił jej sobą zawładnąć, pozwolił jej się zniszczyć. W obliczu upadku tamtego miasta Biały Londyn przyjął odmienną taktykę, postanowił związać moc w każdy możliwy sposób. „Moc w Równowadze” stała się „Mocą Zdominowaną”.

A kiedy ludzie starali się zapanować nad magią, ta im się przeciwstawiła.

Skurczyła się w sobie, zagrzebała w ziemi, stała się niedosiężna. Mieszkańcy rozszarpywali skorupę świata, odgrzebując te resztki magii, które wciąż mogli uchwycić. Ale ona była rzadka i stawała się coraz rzadsza, tak jak i ci, którzy o nią walczyli. Wyglądało na to, że do rezygnacji postanowiła zmusić swoich zdobywców głodem. I bez wątpienia powoli osiągała swój cel.

Ta walka miała pewien skutek uboczny i on właśnie był powodem, dla którego Kell nazwał tutejszy świat „białym”: każdy centymetr miasta, dniem czy nocą, latem czy zimą, pokrywał ten sam całun, jak gdyby cienka warstwa śniegu lub popiołu. Przesłaniał wszystko. I wszystkich. Magia była tu zaciekła i złośliwa, wysysała z otoczenia i ciepło, i kolor, pozbawiając je wszystkiego i zostawiając po sobie tylko blade, rozdęte zwłoki.

Kell zawiesił sobie na szyi monetę Białego Londynu — ciężki żelazny krążek — i wsunął ją pod kołnierz. Czysta czerń jego płaszczu wyróżniała go na tle wyblakłego tła ulic miasta. Poplamioną krwią rękę wepchnął do kieszeni, zanim intensywna czerwień da komuś do myślenia. Perłowa powierzchnia na wpół zamarznętej rzeki —

która tutaj nie nazywała się Tamizą ani Isle, lecz Sijlt — rozciągała się za jego plecami, a na drugim brzegu horyzontu sięgała północnej strony miasta. Przed Kellem znajdowała się strona południowa, a kilka przecznic dalej strzelał w niebo ostrymi iglicami zamek, którego kamienna masa przyćmiewała otaczające go ze wszystkich stron budynki.

Kell nie tracił czasu, zmierzając bezpośrednio ku tej właśnie budowli.

Ponieważ był tyczkowaty, miał zwyczaj się garbić, ale gdy chodził ulicami Białego Londynu, wyciągał się do pełnego wzrostu, zadzierał podbródek i prostował ramiona, a jego buty głośno stukały na bruku. Nie tylko jego postawa się zmieniała. W domu Kell ukrywał swoją moc. Tutaj lepiej było tego nie robić. Pozwalał swojej magii wypełnić powietrze, a ono, głodne, pochłaniało ją, grzejąc się przy jego skórze i parując w pasmach mgły. Stąpał w ten sposób po kruchym lodzie. Musiał pokazać swoją siłę, dopóki nadal mocno w nią wierzył. Za mało mocy, i zostanie odebrany jako ofiara. Za dużo — uznają go za łakomy kąsek.

W teorii mieszkańcy tego miasta znali go lub o nim słyszeli, a on wiedział, że pozostaje pod ochroną Białej Korony. I także w teorii nikt nie powinien być na tyle głupi, żeby igrać z rządzącymi bliźniakami Dane. Ale głód — głód energii, głód życia — zmieniał ludzi. Skłaniał ich do różnych czynów.

Z tego powodu Kell zachowywał czujność, a idąc, obserwował zachodzące słońce, ponieważ wiedział, że Biały Londyn najniewinniej wygląda w świetle dziennym. Nocą miasto jeszcze bardziej się zmieniało. Cisza — nienaturalne, ciężkie, wstrzymujące dech milczenie — zniknęła, ustępując miejsca hałasom, wybuchom śmiechu, pomrukowi namiętności, temu, co niektórzy uważali za metodę wzywania mocy, ale przeważnie odgłosom walk i zabijania. Miasto skrajności. Może fascynujące, ale i mordercze. Już dawno temu ulice byłyby ciemnoczerwone od krwi, gdyby nożownicy nie wysysali swoich ofiar do cna.

Skoro słońce nadal stało na niebie, przedstawiciele biedoty (i zbłąkane duszyczki) ociągali się w progach, wypatrywali z okien i kręcili się w prześwitach pomiędzy budynkami.

Wszyscy oni przyglądali się przechodzącemu Kellowi. Mieli wymizerowane spojrzenia i kościste rysy. Ich ubrania były wyblakłe jak całe miasto. Tak samo ich włosy, oczy i pokryta znakami skóra. Piętna i blizny, okaleczenia, które miały im pomóc związać z własnym ciałem przyzywaną magię. Im słabsi byli, tym więcej przybywało im szram, gdy niszczyli własną skórę w szaleńczej próbie przytrzymania tej niewielkiej ilości mocy, którą udało im się wezwać.

W Czerwonym Londynie takie znaki postrzegano jako coś, co kalało nie tylko ciało, lecz także magię poprzez przywiązanie jej do ciała. Tutaj wyłącznie silni mogli

sobie pozwolić na wzdarcie wobec tych symboli, a i nawet wówczas nie uważali ich za objaw hańby, tylko desperacji. Ale nawet ci, którzy byli ponad takie praktyki, opierali się na sile amuletów i talizmanów (choć Holland nie nosił żadnej biżuterii poza broszą, która naznaczała go jako sługę tronu). Magia nie przychodziła tutaj chętnie. Język żywiołów zarzucono, kiedy przestały być posłuszne (mieszkańcy potrafili wezwać jedynie jakąś wypaczoną energię, stanowiącą osobliwą mieszankę ognia i czegoś mroczniejszego, zdeprawowanego). To, czym magia mogła być, zostało przejęte, ukształtowane w amulety, uroki i zaklęcia wiązania. Nigdy nie było jej dość, nigdy nie zaspokajała.

A jednak ludzie nie odeszli i z Białego Londynu.

Moc rzeki Sijlt — nawet na w pół zamrożonej — przywiązywała ich do miasta, choć jego magia pozostawała jedynie migotaniem ciepła.

W każdym razie zostali i życie toczyło się dalej. Ci, którzy nie padli (jeszcze) ofiarą nękającego głodu magii, wciąż wykonywali codzienną pracę, pilnowali swoich spraw i ze wszystkich sił starali się zapomnieć o tym, że ich świat powoli umiera. Wielu kurczowo trzymało się wiary, że magia powróci.

Że jakiś dostatecznie silny władca ponownie tchnie moc w żyły świata i go wskrzesi.

I tak czekali.

Kell zastanawiał się, czy mieszkańcy Białego Londynu naprawdę wierzą, że Astrid i Athos Dane'owie są wystarczająco silni, czy też ludzie po prostu czekają, aż pojawi się jakiś mag, dokona przewrotu i obali władców. Bo ktoś wreszcie na pewno to zrobi. Zawsze ktoś taki w końcu się pojawiał.

W pobliżu zamku cisza zgęstniała jeszcze bardziej.

Londyn Szary i Czerwony miały dla swoich władców pałace.

A Biały Londyn miał zamek, twierdzę!

Zamek otoczony był wysokim murem. Pomiedzy tym murem i sklepioną cytadelą znajdował się szeroki kamienny dziedziniec, który niczym fosa biegł wokół potężnej budowli, a wypełniony był marmurowymi figurami. Niesławny Krös Mejkt, „Kamienny Las”, składał się nie z drzew, lecz z posągów.

Plotkowano, że te postacie nie zawsze były z kamienia, że „las” był tak naprawdę cmentarzem zachowanym przez Dane'ów dla przypomnienia o osobach, które zabili, i wszystkim, którzy teraz wchodzili przez bramę w murze, miał uświadamiać, co się przydarzyło zdrajcom w rządzonej przez bliźniaki Londynie.

Kell przeszedł przez bramę w murze, przemierzył dziedziniec i dotarł do masywnych kamiennych schodów. Prowadzące do twierdzy stopnie z obu stron otaczało dziesięciu strażników, równie nieruchomych jak posągi w „lesie”.

Byli jedynie marionetkami, odartymi przez króla Athosa ze wszystkiego poza oddechem w płucach, krwią w żyłach i jego rozkazami w uszach. Ich widok przyprawiał Kella o ciarki. W Czerwonym Londynie używanie magii do kontrolowania, posiadania lub wiązania ciała i umysłu innej osoby było zakazane. Tutaj była to jeszcze jedna oznaka siły Athosa i Astrid, ich mocy, a zatem i prawa do rządzenia.

Strażnicy stali w bezruchu; tylko ich puste oczy podążały za nim, kiedy zbliżył się do ciężkich drzwi, a potem je minął. W środku pod sklepionymi ścianami przedpokoju stali kolejni członkowie straży, zastygli jak kamienie z wyjątkiem ruchliwych oczu. Kell przeciął pomieszczenie i wszedł do drugiego, tym razem pustego korytarza. Dopiero kiedy zamknęły się za nim drzwi, mógł odetchnąć i odrobinę zmniejszyć czujność.

— Nie robiłbym tego jeszcze — odezwał się jakiś głos w ciemności.

Chwilę później ktoś wychynął z cienia. W migotliwym świetle umieszczonych na ścianach pochodni, które płonęły stale, nigdy się nie wypalając, Kell zobaczył mężczyznę.

Holland.

Antari miał prawie bezbarwną skórę, a antracytowe włosy opadały mu na oczy. Jedno z nich było szarawozielone, a drugie — lśniące i czarne. Kiedy Holland i Kell zmierzyli się wzrokiem, miało się wrażenie, że dwie skały zderzają się ze sobą i strzelają iskrami.

— Przyszedłem z listem — powiedział Kell.

— Doprawdy? — odparował sucho Holland. — Myślałem, że wpadłeś na herbatę.

— No cóż, przypuszczam, że herbaty również się napiję, skoro już tu jestem.

Biały antari wykrzywił usta w coś, co nie było uśmiechem.

— Do Athosa czy do Astrid? — rzucił, niczym zagadkę.

Ale kiedy chodziło o bliźniaki Dane, na zagadki nie było właściwych odpowiedzi, nie było też wyboru. Kell nigdy nie potrafił zdecydować, z którym z nich dwojga wolałby się spotkać. Nie ufał rodzeństwu, ani razem, ani — oczywiście — osobno.

— Do Astrid — odrzekł, zastanawiając się, czy dobrze wybrał.

Holland nie dał po sobie poznać, co myśli, tylko kiwnął głową i go poprowadził.

Zamek zbudowano jak kościół (i może nim niegdyś był), a jego szkielet był ogromny i pusty. Wiatr gwizdał w korytarzach, gdzie kroki antarich rozbrzmiewały echem na kamieniu. No cóż, dokładnie mówiąc, rozbrzmiewały kroki Kella. Holland poruszał się z przerażającą gracją drapieżnika. Jedno z jego ramion okrywała krótka biała peleryna, która, gdy szedł, lekko powiewała. Pelerynę utrzymywała w miejscu klamra, a raczej srebrna okrągła brosza z wyrytymi oznaczeniami, wyglądająca z

pewnej odległości jak zwyczajna ozdoba.

Ale Kell znał historię Hollanda i srebrnej klamry.

Usłyszał tę opowieść, ma się rozumieć, nie z ust antariego, lecz zapłacił za nią pewnemu mężczyźnie w Osmalonej Kości, wymieniając kilka lat temu pełną historię za lina z Czerwonego Londynu. Wcześniej nie mógł zrozumieć, dlaczego Holland — zapewne najpotężniejsza osoba w mieście i być może na całym świecie — służy takim mordercom jak Astrid i Athos. Zanim poprzedni król został obalony, Kell był w Białym Londynie kilka razy i zawsze widział

Hollanda u boku tamtego władcy, lecz jako sojusznika, a nie jako sługę. Tak, Holland był wtedy inny — młodszy i bardziej wyniosły — ale chodziło o coś jeszcze, o coś więcej: miał światło w oczach. Ogień! Potem, pomiędzy jedną wizytą Kella i następną, ogień zniknął, tak samo jak król, którego zastąpili Dane'owie. A Holland stanął u ich boku, jak gdyby nic się nie zmieniło. Tyle że on sam był już inny, stał się chłodny, nieczuły i ponury. Kell chciał wiedzieć, co się stało — co tak naprawdę się stało!

Dlatego postanowił poszukać odpowiedzi. I znalazł ją, tak jak znajdował większość rzeczy — a pozostałe znajdowały jego — w karczmie, która zawsze stała w tym samym miejscu.

Tutaj nosiła nazwę Osmalona Kość.

Gawędziarz trzymał kurczowo monetę, jak gdyby wydzielala ciepło, garbił się na stołku i snuł opowieść po maktzańsku, czyli w gardłowym ojczystym języku tego okrutnego miasta.

„Ön vejr tök...” — zaczął pod nosem. „Ta opowieść zaczyna się...”

Do naszego tronu nie można się urodzić. Nie dziedziczymy tu władzy przez krew. Ale jest ona brana przy użyciu krwi. Ktoś wycina sobie drogę do tronu i utrzymuje go najdłużej, jak potrafi — rok, może dwa — czyli do czasu, aż upadnie, władzę zaś zdobędzie ktoś inny. Królowie przychodzą tu i odchodzą.

To nieustanny, cykliczny proces. Sprawa jest też na ogół prosta. Morderca zajmuje miejsce zamordowanego.

Siedem lat temu — kontynuował mężczyzna — po zabójstwie ostatniego króla, niemało osób próbowało rościć sobie prawo do korony, w końcu jednak pozostało ich troje. Astrid, Athos i Holland.

Kell wybałuszył oczy. Chociaż wiedział, że Holland służył poprzedniemu monarsze, nie miał pojęcia o jego dążeniu do władzy. Ale miało to sens; Holland był antarim w świecie, w którym moc oznaczała wszystko. Powinien być oczywistym zwycięzcą. A jednak bliźniaki Dane okazały się tak samo potężne, jak bezlitosne i przebiegłe. I razem go pokonały. Lecz go nie zabiły.

Zamiast tego przywiązały go do siebie.

Początkowo Kell pomyślał, że źle zrozumiał rozmówcę — jego maktański nie był tak bezbłędny jak arnezyjski — i kazał mu powtórzyć to słowo. Vöxt.

„Chodzi o tę klamrę — wyjaśnił gawędziarz z Osmalanej Kości, stukając się w pierś. — Srebrny krąg”.

Tłumaczył, że stanowi ona zaklęcie przywiązania. A było to zaklęcie mroczne. Wypowiedziane przez samego Athosa, który posiadał niezwykle dar panowania nad innymi. Jednakże zaklęcie nie zmieniło Hollanda w bezmyślnego niewolnika, jak strażników, którzy stali w rzędach w zamkowych korytarzach. Nie mówiło mu, co ma myśleć, czuć czy pragnąć. Kazało mu jedynie działać.

„Biały król jest sprytny — dodał mężczyzna, bawiąc się monetą. — Straszny, ale sprytny”.

Holland zatrzymał się raptownie, toteż Kell zmusił się do skupienia na chwili obecnej, na zamkowym korytarzu i czekających przed nimi drzwiach.

Patrzył, jak drugi antari podnosi rękę do miejsca, w którym na drewnie drzwi wypalono krąg symboli. Przez chwilę Holland zręcznie kreślił po nich palcami, dotykając kolejno czterech symboli, aż drzwi otworzyły się do środka, a wtedy przeprowadził Kella.

Sala tronowa była dokładnie tak samo rozległa i pusta jak reszta zamku, ale także okrągła i wykuta z olśniewająco białego kamienia, od obłych ścian i łukowatego zebrowania sufitu po skrzącą się podłogę i ustawione pośrodku na podwyższeniu bliźniacze trony. Kell zadrżał, mimo iż w sali nie było zimno.

Wszystko wokół tylko wyglądało jak wykute z lodu.

Czuł, że Holland niepostrzeżenie wymyka się z pomieszczenia, lecz nie odwrócił oczu ani od tronu, ani od siedzącej na nim kobiety.

Astrid Dane stapałaby się z otoczeniem, gdyby nie jej żyły.

Niczym nici odznaczały się na jej rękach i skroniach; reszta była doskonałym studium w bieli. Jakże wielu tutejszych próbowało ukryć fakt, że bledną, pokrywając skórę lub ją malując, żeby wyglądać zdrowiej. Królowa Białego Londynu niczego takiego nie robiła. Jej długie bezbarwne włosy były splecione w warkocz, a porcelanowa skóra zlewała się z tuniką. Cały strój przylegał do jej ciała jak zbroja; kołnierz, wysoki i sztywny, osłaniał szyję, a sama tunika sięgała od podbródka do przegubów dłoni i do pasa, mniej z poczucia skromności — tego Kell był pewny — niż dla ochrony. Poniżej błyszczącego srebrnego pasa kobieta nosiła obcisłe spodnie, wciśnięte w wysokie buty (plotka głosiła, że jakiś mężczyzna splunął kiedyś na nią, ponieważ nie chciała włożyć sukni, a wtedy odcięła nieszczęśnikowi wargi).

Jedynym kolorem poza bielą była barwa jej jasnoniebieskich oczu oraz zielenie i

czerwienie talizmanów, które zawiesiła sobie na szyi i nadgarstkach oraz wsunęła we włosy.

Astrid zasiadała na jednym z dwóch tronów, a jej długie szczupłe ciało było pod ubraniem napięte niczym struna. Szczupłe, lecz na pewno nie słabe.

Kręciła w palcach wisior naszyjnika, którego powierzchnia przywodziła na myśl oszronione szkło, a krawędzie — czerwoną krew ze świeżej rany.

„Dziwne — pomyślał Kell — widzieć coś tak jaskrawego w Białym Londynie”.

— Czuję jakąś słodycz — zagaiła. Wcześniej wpatrywała się w sufit. Teraz jej oczy powędrowały w dół i spoczęły na Kellu. — Witaj, kwietny chłopcze.

Mówiła po angielsku. Kell wiedział, że nie uczyła się tego języka, a zamiast tego — jak Athos — polegała na magii. Gdzieś pod dopasowanym strojem miała wrytą w skórę runę translatorską. W odróżnieniu od rozpaczliwych tatuaży wykonanych przez głodnych mocy mieszkańców, runa językowa była jak odpowiedź żołnierza na problem polityka. Dla Czerwonego Londynu język angielski był symbolem wyższych sfer, ale w Białym uważano go za mało przydatny. Holland powiedział kiedyś Kellowi, że jest to kraina wojowników, a nie dyplomatów. Cenili bitwy bardziej niż sale balowe i nie widzieli żadnej wartości w języku, którego ich lud nie rozumie. Zamiast marnować lata na naukę języka do rozmów z innymi królami, ci, którzy obejmowali tron, brali po prostu wraz z nim znak runiczny.

— Wasza Wysokość — odparł Kell.

Królowa podniosła się do pozycji siedzącej. Leniwość jej ruchów była farsą. Astrid Dane była wężem, powolnym tylko do czasu, aż zdecyduje się zaatakować.

— Chodź bliżej — poleciła. — Niech no zobaczę, jak urosłeś.

— Już od jakiegoś czasu jestem dorosły — oznajmił Kell.

Przeciągnęła paznokciem po poręczu tronu.

— Ale jeszcze nie słabniesz.

— Jeszcze nie — odrzekł, siląc się na powściągliwy uśmiech.

— Chodź do mnie — powtórzyła, wyciągając rękę. — Albo ja przyjdę do ciebie.

Kell nie był pewny, obietnica to czy groźba, ale i tak nie miał wyboru, więc ruszył przed siebie, prosto w gniazdo węża.

III

Bicz trzasnął w powietrzu, rozwidlony koniec rozciął skórę na plecach chłopca. Ten nie krzyknął — czego Athos żałował — ale gwałtownie syknął z bólu przez zaciśnięte zęby.

Był przyszpilony do kwadratowej metalowej ramy jak ćma, ramiona rozłożono mu szeroko, każdy nadgarstek przywiązano do jednej z dwóch pionowych sztab, które tworzyły boki kwadratu. Głowa zwisała chłopcu na piersi, po twarzy spływały pot i krew, kapiąc z jego brody.

Miał szesnaście lat i nie ukłonił się władcom.

Athos i Astrid jechali ulicami Białego Londynu na białych wierzchowcach, otoczeni swoimi żołnierzami o pustych oczach, delektując się widokiem strachu na obliczach ludzi i ich posłuszeństwem. Kolana klękających uderzały o kamień. Głowy pochylały się nisko.

Lecz jeden chłopiec — jak Athos później się dowiedział, imieniem Beloc, które to słowo młokos wykaształ zakrwawionymi ustami — stał w miejscu, z głową ledwo pochyloną do przodu. Oczy tłumu podążyły ku niemu, wśród ludzi przetoczyła się instynktowna fala — szok, tak, ale pod nim zdumienie graniczące z aprobatą. Athos ściągnął lejce i popatrzył z góry na chłopca, zdumiony tym przejawem upartego młodzieńczego nieposłuszeństwa.

Athos, naturalnie, też był kiedyś chłopcem. Miał wtedy na swoim koncie głupie, zuchwałe wyczyny. Ale w walce o koronę dostał wiele lekcji, a jeszcze więcej, odkąd przejął tron, i nade wszystko dowiedział się, że nieposłuszeństwo jest jak chwast — coś, co trzeba wyrwać z korzeniami.

Jego siostra, obok na wierzchowcu, obserwowała z rozbawieniem, jak Athos rzucił monetę stojącej obok chłopca matce.

— Öt vosa rijke — powiedział. „Za poniesione straty”.

Tej nocy żołnierze o pustych oczach przyszli, wyłamali drzwi do małego domu Beloca i wyciągnęli chłopca, kapiącego i krzyczącego, na ulicę; jego matkę wstrzymało zaklęcie nabazgrane na kamiennych ścianach, toteż nie była w stanie zrobić niczego więcej poza lamentowaniem.

Żołnierze ciągnęli chłopca przez całą drogę do pałacu i rzucili go, pokrwawionego i pobitego, na skrzącą się białą podłogę przed tronem Athosa.

— Popatrzcie na niego — złażał Athos swoich ludzi. — Poraniliście go. — Stał, patrząc na chłopca z góry. — A to przecież moje zadanie.

Teraz bicz znowu rozdarł powietrze oraz skórę nieszczęśnika, ale tym razem, w końcu, Beloc krzyknął.

Bicz opadł z dłoni Athosa jak płynne srebro, tworząc stosik na podłodze, obok jego buta. Król zaczął go nawijać wokół ręki.

— Wiesz, co w tobie widzę? — Zwinął srebrny sznur i wsunął go do kabury przy pasie. — Ogień.

Beloc wypluł krew na podłogę między nimi. Athos wykrzywił wargi.

Przeszedł wielkimi krokami komnatę, chwycił szczękę chłopca i uderzył jego głową w drewno ramy. Beloc jęknął z bólu, dźwięk wyszedł stłumiony, gdyż ręka króla spoczywała na jego ustach. Król przysunął wargi do jego ucha.

— Przepala cię — wyszeptał przy policzku chłopca. — Nie mogę się doczekać, kiedy nad nim zapanuję.

— Nö kijn avost — mruknął Beloc, kiedy Athos go puścił. „Nie boję się śmierci”.

— Wierzę ci — rzucił gładko król. — Ale nie zamierzam cię zabić.

Chociaż, jestem pewny — dodał, gdy się odwracał — że zapragniesz, bym to zrobił.

W pobliżu stał kamienny stół, a na nim znajdował się metalowy kielich wypełniony atramentem, obok niego zaś leżał bardzo ostry nóż. Athos podniósł ze stołu oba przedmioty i przyniósł je do przyszpilonego ciała Beloca.

Chłopiec otworzył szeroko oczy, kiedy pojął, co ma się zdarzyć, i próbował walczyć z więzami, ale te nie ustąpiły.

Król się uśmiechnął.

— Słyszałeś w takim razie o znakach, które robię.

Wszyscy wiedzieli o zamiłowaniu Athosa do — sprawnego — wiązania zaklęciami. Jego znaki pozbawiały ofiarę wolności, odrębności, duszy. Teraz poświęcił nieco czasu na przygotowanie noża, pozwalając, by strach chłopca wypełnił pomieszczenie, kiedy mieszał atrament i powlekał nim ostrze. Przez całą długość było ono wyżłobione i atrament wypełniał nacięcie. Kiedy zabarwiony nóż był gotowy, król wyjął go gestem uwodzicielsko powolnym, okrutnym. Znow się uśmiechnął i podniósł czubek do falującej piersi chłopca.

— Zamierzam pozwolić ci zachować umysł — oznajmił. — Wiesz, po co?

— Czubek ostrza wbijał się i Beloc wstrzymał oddech. — Żebym mógł się przyglądać wojnie toczącej się w twoich oczach za każdym razem, gdy twoje ciało zamiast twojej woli usłucha mojej.

Athos przycisnął nóż i Beloc powstrzymał krzyk, kiedy ostrze wykrawało drogę przez jego ciało, w dół od szyi ku sercu. Rysując linie zaklęcia, król szeptał coś cicho i nieustannie. Skóra pękła, a krew wezbrała i wsączyła się w otwory w nożu. Ale Athos

wydawał się nie zwracać na to uwagi i z na wpół zamkniętymi oczami prowadził ostrze.

Kiedy skończył, odłożył nóż, odstąpił o krok i podziwiał swoją robotę.

Beloc zwisał w więzach, pierś mu falowała. Krew i atrament spływały po jego skórze.

— Stań prosto — rozkazał król i ogarnęło go zadowolenie, gdy patrzył, jak chłopiec próbuje się sprzeciwić i jego mięśnie drżą w buncie przeciw poleceniu, lecz później się poddaje i podciąga poranione ciało w pozory żądanej postawy. W jego oczach płonęła nienawiść, żywa jak nigdy, jednak ciało należało teraz do Athosa.

— O co chodzi? — spytał król.

Pytanie nie było skierowane do chłopca, lecz do Hollanda, który ukazał się w wejściu. Antari ocenił wzrokiem scenę (krew, atrament, torturowanego człowieka z gminu), a jego mina mieściła się pomiędzy nieobecny zaskoczeniem i brakiem zainteresowania. Jak gdyby ten widok nic dla niego nie znaczył.

Było to kłamstwem.

Holland lubił udawać nieczulego, ale Athos wiedział, że to tylko pozory.

Mógł symulować odrętwienie, lecz bez wątplenia nie był odporny na uczucia.

Na ból.

— Ös-vo tach? — spytał Holland, kiwając ku Belocowi. „Jesteś zajęty?”

— Nie — odparł Athos, wycierając dłonie w ciemną szmatkę. — Sądzę, że na razie skończyliśmy. O co chodzi?

— On tu jest.

— Rozumiem — stwierdził król, odkładając ręczniczek. Jego biały płaszcz wisiał na fotelu i teraz podniósł go i zarzucił sobie na ramiona jednym płynnym ruchem, po czym zapiął klamrę przy szyi. — Gdzie jest teraz?

— Zaprowadziłem go do twojej siostry.

— No to mam nadzieję, że się nie spóźnimy.

Athos odwrócił się do drzwi, ale nie umknęło mu, że Holland zerka ponownie na przypiętego do metalowej ramy chłopca.

— Co powinienem z nim zrobić? — spytał antari.

— Nic — odparł król. — Ciągłe będzie tutaj, kiedy wrócę.

Holland skinął głową, ale zanim zdążył się obrócić do drzwi, Athos podniósł rękę do jego policzka. Antari nie cofnął się, nawet nie zeszytniał pod dotykiem.

— Zazdrosny? — spytał król. Różnobarwne oczy Hollanda wytrzymały wzrok jego zielonych; szarozielone i czarne równie opanowane, równie nieruchome. — Cierpiał — dodał łagodnie. — Ale nie tak jak ty. — Przysunął usta bliżej. — Nikt nie cierpi tak pięknie jak ty.

Uczucia były widoczne w kąciku ust Hollanda, w zmarszczce pod okiem.

Gniew. Ból. Wyzwanie. Athos uśmiechnął się zwycięsko.

— Lepiej chodźmy — powiedział, opuszczając rękę. — Zanim Astrid w całości
połknie naszego młodego gościa.

IV

Astrid przywoływała.

Kell żałował, że nie może położyć listu na wąskim stole, który stał pomiędzy tronami, i odejść, zachowując dystans. Niestety królowa siedziała tam, wyciągając dłoń po kopertę i po niego.

Wyjął z kieszeni list króla Maxima i podał Astrid. Ona jednak nie wzięła wiadomości, ale przesunęła rękę i zacisnęła ją na jego nadgarstku. Cofnął się instynktownie, lecz jej uścisk tylko się wzmocnił. Pierścienie na jej palcach jarzyły się i powietrze trzaskało, a kiedy wymówiła bezgłośnie jakieś słowo, po ramieniu Kella przemknęła w górę błyskawica, za którą niemal natychmiast podążył ból. List wypadł antariemu z ręki i magia w jego krwi gwałtownie się poruszyła, żądając od niego reakcji. Zapanował wszakże nad pragnieniem. To była gra. Gra Astrid. Ponieważ to ona pragnęła, żeby walczył, zabraniał sobie tego, nawet gdy z rozkazu jej mocy — najbliższej żywiolowi, jaki królowa potrafiła wezwać, ostremu, elektrycznemu i nienaturalnemu — ugięły się pod nim nogi.

— Lubię, kiedy klękasz — oznajmiła łagodnie Astrid, puszczając jego nadgarstek.

Kell przycisnął płasko dłonie do chłodnej kamiennej posadzki i zrobił drżący wdech. Wówczas królowa wzięła list z podłogi i położyła go na stole, po czym opadła z powrotem na tron.

— Powinnam cię zatrzymać — dodała, stukając w zadumie palcem w wisior na szyi.

Kell wstał powoli. W ślad za pełną energii błyskawicą jego ramieniem znów szarpnął przejmujący ból.

— Po co? — spytał.

Jej ręka puściła naszyjnik.

— Ponieważ nie lubię rzeczy, które do mnie nie należą — odparła Astrid.

— Nie ufam im.

— A w ogóle czemuś ufasz? — dociął jej, pocierając przegub dłoni. — Lub może komuś?

Przyjrzała mu się, wydymając blade wargi.

— Ciała w mojej podłodze, one wszystkie komuś zaufały. Teraz stąpam po nich w drodze na herbatę.

Kell mimowolnie spojrział na kamienną posadzkę. Krążyły oczywiście plotki na temat pochodzenia jej ciemniejszych fragmentów.

W tym momencie drzwi gwałtownie się otworzyły, więc odwrócił się ku nim. Do środka wszedł zamaszystym krokiem król Athos, kilka metrów za nim włókł się Holland. Athos stanowił żywe odbicie swojej siostry, różniły go jedynie szersze ramiona i krótsze włosy. Poza tym był jej dokładną repliką — od cery, przez szczupłe, lecz umięśnione ciało, po niczym nie dające się usprawiedliwić okrucieństwo.

— Słyszałem, że mamy towarzystwo — zagaił wesoło.

— Wasza Wysokość — powiedział Kell, skinąwszy głową. — Akurat wychodziłem.

— Już? — spytał król. — Zostań i napij się.

Zawahał się. Odrzucenie zaproszenia księcia regenta to było jedno, odmowa Athosowi Dane'owi — coś zupełnie innego.

Widząc jego niezdecydowanie, król się uśmiechnął.

— Popatrz, siostrze, jak on się martwi.

Kell nie wiedział, że Astrid wstała z tronu, dopóki nie stanęła obok niego, przesuając palcem w dół po srebrnych guzikach jego płaszcza. Chociaż był antarim, przy Dane'ach i tak czuł się jak mysz osaczona przez węże. Zmusił się do bezruchu i po raz drugi nie uchylił się przed dotykiem królowej, na wypadek gdyby miał ją w ten sposób do czegoś sprowokować.

— Chcę go zatrzymać, bracie — wyznała Astrid.

— Obawiam się, że sąsiadująca z nami korona nie byłaby z tego zadowolona — oświadczył jej Athos. — Ale on zostanie, by się z nami napić.

Zostaniesz, prawda, panie Kell? — Kell poczuł, że powoli kiwa głową, a wtedy uśmiech Athosa się rozszerzył, zęby błysnęły jak ostrza noży. — Wspaniale.

Pstryknął palcami i pojawił się służący, który zwrócił na swego pana martwe spojrzenie.

— Fotel — rozkazał Athos. Służący przyniósł fotel i postawił go za Kellem, po czym się usunął, cichy jak duch. — Siadaj — polecił król.

Kell nie usiadł. Patrzył, jak władca wspina się na podium i podchodzi do stolika pomiędzy tronami. Na stole stała karafka ze złotym płynem i dwa puste szklane kielichy. Athos podniósł jeden z nich, ale nie nalał płynu z karafki.

Zamiast tego odwrócił się ku Hollandowi.

— Chodź tutaj.

Drugi antari wcześniej wycofał się pod ścianę, niemal się w nią wtapiając, mimo prawie czarnych włosów i całkowicie czarnego oka. Teraz się ujawnił, nadchodząc powolnym, bezgłośnym krokiem. Kiedy dotarł do Athosa, król wyciągnął pusty kielich i powiedział:

— Zrań się.

Kell poczuł napływające mdłości. Palce Hollanda podryfowały na chwilę ku

zapięciu na ramieniu, a potem ku odsłoniętej części krótkiej peleryny.

Podwinął rękaw, ujawniając siateczkę żył, ale też płataninę blizn. Antari uleczali się szybciej niż większość zwykłych ludzi. Jego nacięcia musiały być zatem głębokie.

Holland wyciągnął nóż z za paska, a następnie podniósł ramię i ostrze nad kielich.

— Wasza Wysokość — wtrącił się Kell pospiesznie. — Nie gustuję we krwi. Mógłbym prosić o inny napój?

— Oczywiście — zgodził się lekko Athos. — Żaden kłopot.

Kell już miał westchnąć z ulgą, kiedy król zwrócił się ponownie do Hollanda, który właśnie zaczął opuszczać rękę, i obrzucił go złowróżbnym spojrzeniem.

— Myślałem, że kazałem ci się zranić.

Kell wzdrygnął się, kiedy Holland podniósł rękę nad kielich i przeciągnął nożem po skórze. Nacięcie było powierzchowne, niczym zadrapanie, wykonane jedynie na taką głębokość, by upuścić nieco krwi. Ta wezbrała i popłynęła cienką strużką do szkła.

Athos uśmiechnął się i wytrzymał spojrzenie Hollanda.

— Nie mamy całej nocy — ostrzegł. — Dźgnij mocniej.

Biały antari zacisnął szczęki, ale wykonał polecenie. Wbił sobie nóż głęboko w ramię i intensywnie ciemnoczerwona krew spłynęła do szkła. Kiedy kielich był pełen, Athos podał go siostrze i przesunął palcem po policzku Hollanda.

— Wypij do dna — powiedział łagodnie, tonem, jakim rodzic mówi do dziecka. Holland odszedł, a Kell uprzytomnił sobie, że sam nie tylko zajął wskazane miejsce, ale ściska teraz poręczę fotela tak mocno, że aż pobielają mu kłykcie. Zmusił się do rozluźnienia palców, a Athos tymczasem szarpnął ze stołu drugi kielich i nalał do niego jasnozłotego płynu.

Podniósł go i zaprezentował Kellowi, po czym napił się, pokazując, że zarówno kielich, jak i jego zawartość są godne zaufania, następnie zaś nalał nową miarkę i zaoferował kielich Kellowi gestem człowieka przywykłego do skrytobójstwa.

Kell przyjął kielich i wypił zbyt szybki i zbyt duży łyk, próbując uspokoić skołatane nerwy. Gdy opróżnił kielich, Athos natychmiast mu dolał. Napój był lekki i słodki, lecz mocny, i dobrze wchodził. W tym czasie Dane'owie dzielili się drugim kielichem, a od krwi Hollanda ich wargi stawały się jaskrawoczerwone.

„Moc jest we krwi” — pomyślał Kell, czując w żyłach ciepło.

— To zadziwiające — powiedział, starając się wypić drugą porcję wolniej niż pierwszą.

— Co takiego? — spytał Athos, osuwając się na swój tron.

Kell kiwnął głową w stronę kielicha z krwią Hollanda.

— Że udaje wam się zachować tak białe ubrania. — Dopił drugą porcję, a Astrid

się roześmiała i naląła mu trzecią.

V

Powinien był pozostać przy jednym kielichu.

Albo przy dwóch.

Wydawało mu się, że wypił tylko trzy, ale nie mógł mieć całkowitej pewności. Nie czuł pełnych efektów działania napoju — do czasu, aż wstał i biała kamienna posadzka niebezpiecznie się pod nim zachwiała. Wiedział, że picie tak dużych ilości jest nierozważne, lecz wstrząsnął nim widok krwi Hollanda. Nie umiał wyrzucić z pamięci miny drugiego antarego, spojrzenia, które przemknęło przez twarz tamtego, zanim zagłębił nóż. Oblicze Hollanda zawsze było wieczną maską groźnego spokoju, aż maska ta pękła, choć tylko na sekundę. A Kell nie zrobił nic. Nie błagał Athosa — ani nawet na niego nie naciskał — żeby odstąpił od pomysłu. Nic by to nie dało, ale przecież powinien spróbować. Obaj byli magami antari. Jedynie przypadek rzucił Hollanda tutaj, do bezwzględnego Białego Londynu, a Kella do tryskającego energią Czerwonego. Co by było, gdyby stało się odwrotnie?

Kell zrobił niepewny wdech, powietrze przed jego wargami zamgliło się.

Chłód nieszczególnie pomógł oczyścić umysł, ale Kell wiedział, że nie może wrócić do domu, jeszcze nie, nie w takim stanie. Ruszył więc ulicami Białego Londynu.

To również było nierozważne. Lekkomyślne. Zawsze był lekkomyślny.

„Dlaczego?” — zastanowił się, nagle na siebie rozgniewany. Dlaczego stale tak postępował? Z jakiego powodu opuszczał bezpieczne miejsca i wchodził w cień, w ryzyko, w zagrożenie?

„Po co?” — usłyszał w głowie błagalne pytanie Rhya rzucone tamtej nocy na dachu.

Nie wiedział. Żałował, że nie wie, ale nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że chce to przerwać. Gniew wyparował, pozostawiając po sobie coś ciepłego i stałego. A może ciepło pozostało po napoju.

Trunek był dobry, czymkolwiek był. Mocny. Ale nie była to moc, która później osłabia. Nie, raczej taka, która wzmacnia. Od której krew szumi. Która sprawia, że... Kell zadarł podbródek, by spojrzeć w niebo, i o mało nie stracił równowagi.

A musiał się skupić.

Był raczej pewny, że zmierza w kierunku rzeki. Powietrze przy jego wargach było przejmująco zimne i nadchodził zmrok — kiedy słońce zdążyło zejść? — a w resztkach światła miasto wokół niego zaczynało się budzić.

Cisza zmieniała się w hałas.

— Jaki ładny — wyszeptała po maktańsku stojąca w drzwiach budynku starsza kobieta. — Ładna skóra. Ładne kości.

— Tędy, panie — zawołała druga.

— Wejdź do środka.

— Daj odpocząć stopom.

— Daj odpocząć kościom.

— Ładne kości.

— Ładna krew.

— Użycz swojej magii.

— Użycz swego życia.

— Wejdź do środka.

Kell usiłował się skoncentrować, ale nie mógł zebrać myśli. Ilekroć udawało mu się to choć na chwilę, coś rozpraszało i przeganiało koncepty w jego głowie, aż czuł się oszołomiony, a nawet nieco ogłuszony. Wszystkimi zmysłami wyczuwał niebezpieczeństwo. Za każdym razem gdy zamykał oczy, widział płynącą do kielicha krew Hollanda, starał się więc nie opuszczać powiek.

Nie zamierzał kierować swoich kroków do karczmy. Stopy zawiodły go tam same. Ciało samo tam podążyło. I teraz odkrył, że wpatruje się w szyld nad drzwiami do Osmalonej Kości.

Mimo że była stałym punktem we wszystkich Londynach, karczma w Białym nie przypominała tych w pozostałych miastach. Wprawdzie Kella i do niej coś ciągnęło, jednak powietrze pachniało tu krwią i popiołem, a uliczne kamienie pod jego butami były chłodne. Wręcz wysysały z niego ciepło. Wyciągały z niego moc. Stopy usiłowały go zaprowadzić ku Osmalonej Kości, a on nakazał im stać w miejscu.

„Iść do domu” — pomyślał.

Rhy miał rację. Nic dobrego nie mogło wyniknąć z jego interesów. Nic dostatecznie dobrego. Nic, co byłoby warte wysiłku. Błyskotki, którymi handlował, nie przynosiły mu spokoju. To była tylko głupia zabawa. I teraz nadeszła pora, by ją zakończyć.

Uczepił się tej myśli, kiedy wyciągał nóż z pochwy i podnosił do przedramienia.

— To ty — usłyszał za sobą czyjś głos.

Odwrócił się, wsuwając jednocześnie ostrze do pochewki u boku.

W wylocie alejki stała kobieta, jej twarz skrywał kaptur wytartej niebieskiej peleryny. Gdyby znajdowali się w innym Londynie, niebieski mógłby być w kolorze szafirów lub morza. Tutaj był w słabiutkim odcieniu, przywodzącym na myśl niebo pokryte warstwami chmur.

— Znam cię? — spytał, mrużąc oczy w ciemnościach.

Potrząsnęła głową.

— Ale ja znam ciebie, antari.

— Nie, nie znasz — oznajmił z dużą dozą pewności.

— Wiem, co robisz, kiedy nie jesteś w zamku.

Pokręcił głową.

— Dziś wieczorem nie robię żadnych interesów.

— Proszę — jęknęła, a wtedy zobaczył, że kobieta kurczowo ściska kopertę. — Nie chcę, żebyś mi cokolwiek przynosił. — Wyciągnęła list. — Chcę tylko, żebyś go ze sobą zabrał.

Zmarszczył brwi. List? Światy od stuleci były od siebie odcięte. Do kogo mogła pisać?!

— Do mojej rodziny — tłumaczyła się, wycytując pytanie z jego oczu. — Zostaliśmy rozdzieleni przed wiekami, kiedy Czarny Londyn upadł i drzwi zostały zamknięte. Przez stulecia nasze rodziny próbowały utrzymać kontakt...

ale teraz tutaj zostałam tylko ja. Wszyscy inni nie żyją. Tam również pomarli wszyscy poza jedną osobą. Olivar. To ostatni członek mojej rodziny. Jest po tamtej stronie drzwi i umiera, a ja pragnę jedynie... — Przyłożyła list do piersi. — Zostaliśmy tylko my oboje.

Kellowi nadal kręciło się w głowie.

— Jak się w ogóle dowiedziałaś, że choruje? — spytał.

— Ten drugi antari — wyjaśniła, rozglądając się na boki, jakby z obawy, że ktoś ją usłyszy. — Holland. Przyniósł mi list.

Kell nie potrafił sobie wyobrazić, że Holland raczyłby łaskawie przeszmuglować pomiędzy Londynami cokolwiek, nie mówiąc już o korespondencji ludzi z gminu.

— Nie chciał — dodała kobieta. — Olivar oddał mu za przekazanie listu wszystko, co miał, i nawet mimo tego... — podniosła rękę do kołnierza, być może w poszukiwaniu jakiegoś naszyjnika, lecz znalazła wyłącznie własną skórę — ...resztę dopłaciłam ja.

Kell spojrzał, marszcząc brwi. Coś takiego jeszcze mniej mu pasowało do charakteru Hollanda. Nie żeby Holland był bezinteresowny, ale Kell wątpił, by był w ten sposób zachłanny, wątpił, by mu zależało na tego rodzaju zapłacie. Z drugiej strony, wszyscy mają sekrety, a Holland był człowiekiem tak skrytym, że Kell nie mógł się nie zastanawiać, jak dobrze w rzeczywistości zna naturę tamtego.

Kobieta ponownie wyciągnęła list.

— Nijk shöst — powiedziała. — Proszę, panie Kell.

Spróbował się skupić, pomyśleć. Obiecał przecież Rhyowi... Lecz tutaj chodziło

przecież jedynie o list. A formalnie rzecz biorąc i na mocy praw ustanowionych przez władców wszystkich trzech Londynów, listy były nieuniknionym wyjątkiem od „reguły nieprzenoszenia”. Pewnie w zamyśle chodziło o wymianę korespondencji wyłącznie między samymi tronami, ale tak czy inaczej...

— Mogę zapłacić z góry — naciskała. — Nie musisz wracać, aby dokończyć naszą transakcję. To jest ostatni i jedyny list. Proszę. — Włożyła rękę do kieszeni, wyjęła mały pakunek zawinięty w tkaninę i zanim Kell zdążył zgodzić się lub odmówić, wcisnęła mu list i zapłatę. Gdy tkanina dotknęła jego skóry, ogarnęło go dziwne uczucie. A kobieta już się odsunęła.

Spojrzał na list, na kopercie napisano piórem adres. Potem przeniósł wzrok na paczuszkę. Zaczął ją odwijać, ale kobieta błyskawicznie wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń.

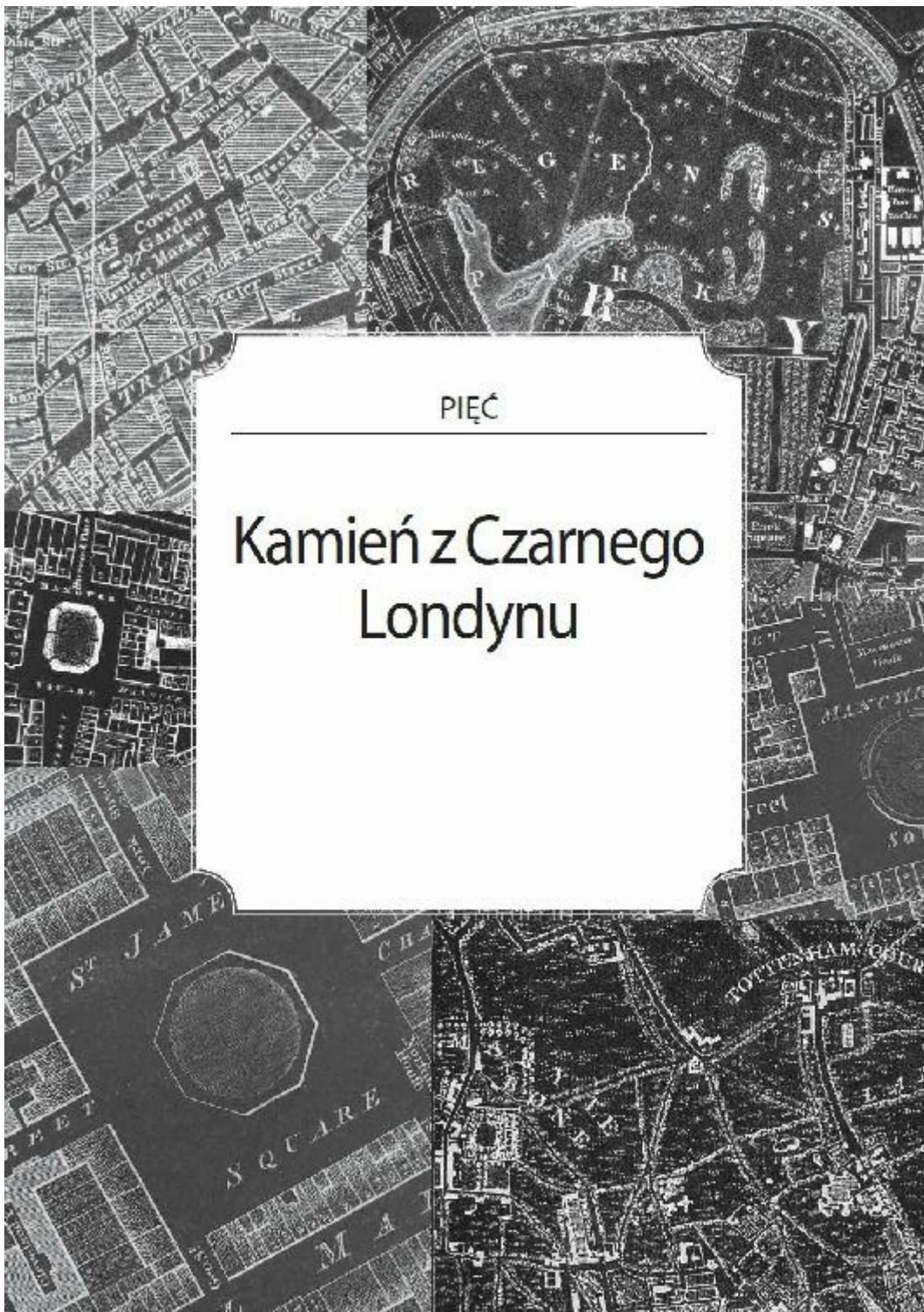
— Nie bądź głupcem — wyszeptała, rozglądając się wokół. — W tej dzielnicy za byle monetę poderzną ci gardło. — Zacisnęła jego palce na paczce. — Nie tutaj — ostrzegła dodatkowo. — Ale przysięgam, wystarczy za zapłatę. Musi wystarczyć. — Zabrała rękę. — To wszystko, co mogę dać.

Popatrzył na pakunek z chmurną miną. Tajemnica kusiła, a jednak w całej tej sprawie było zbyt wiele pytań, zbyt wiele elementów, które nie pasowały do siebie, podniósł więc wzrok i zamierzał odmówić...

Ale nie miał już komu.

Kobieta zniknęła.

Stał oszołomiony w drzwiach do Osmalonej Kości. Co się właśnie zdarzyło? Chociaż postanowił, że już nie będzie robił interesów, to klientka sama go znalazła. Zagapił się na list i zapłatę, czymkolwiek była. Nagle w oddali ktoś krzyknął i Kell wrócił do rzeczywistości — w ciemność i niebezpieczeństwo. Wcisnął list i paczkę do kieszeni płaszcza, przeciągnął nożem po skórze ramienia i starając się lekceważyć strach, który wezbrał wraz z jego krwią, stworzył przejście i wrócił do domu.



PIĘĆ

Kamień z Czarnego Londynu

I

Kiedy Lila wracała do Rzutu Kamieniem, srebro pobrzękiwało w jej kieszeni.

Słońce dopiero co zaszło nad miastem, a jej udało się już zdobyć spory łup.

Okradanie ludzi przed nocą było ryzykowne, co najwyżej w takim przebraniu mogła obrabować kogoś mocno zawianego albo przy bardzo słabym oświetleniu — ale musiała ryzykować, jeśli chciała zebrać pieniądze. Bo za mapę i srebrny zegarek nie kupi statku ani nie zyska fortuny.

Ponadto lubiła ciężar monet w kieszeni. Brzęczały niczym obietnica.

Ruszyła przed siebie dumnym krokiem. Pirat bez statku, oto kim była, i to na wskroś. Tak, pewnego dnia zdobędzie statek, a wtedy na nim odpłynie i raz na zawsze porzuci to przekłete miasto.

Idąc wolnym krokiem po bruku, zaczęła (jak często wcześniej) sporządzać w głowie listę wszystkich rzeczy, których będzie potrzebowała, jeśli ma zostać prawdziwym piratem. Na przykład pary dobrych skórzanych marynarskich butów z cholewami. Szabli i, naturalnie, pochwy do niej. Miała rewolwer, Castera — piękny przedmiot — i swoje noże, wszystkie dość ostre, ale przecież każdy pirat ma szablę i pochwę. Przynajmniej ci, których Lila spotkała, i ci, o których czytała w książkach. Nigdy nie miała dużo czasu na czytanie, ale tak, potrafiła czytać (to była dobra umiejętność dla złodziejki, a Lila szybko się uczyła), więc gdy akurat kradła książki, wybierała tylko te o piratach i przygodach.

Więc para dobrych butów, szabla i pochwa. Och, i kapelusz. Lila miała czarny, z szerokim rondem, ale niezbyt efektowny. Nie miał nawet pióra czy wstążki ani...

Minęła chłopca, który siedział na ganku kilkoro drzwi od Rzutu Kamieniem, i zwolniła, przerywając swoje rozmyślenia. Chłopiec był w łachmanach i chudy, o połowę młodszy od niej i brudny niczym wycior do czyszczenia komina. Wyciągał otwarte dłonie, więc sięgnęła do kieszeni. Nie wiedziała, co ją do tego zmusiło — być może dobry humor lub fakt, że noc była jeszcze młoda — ale przechodząc, wrzuciła w dłonie dzieciaka kilka miedziaków. Nie przystanęła, nie porozmawiała, nie wysłuchiwała jego podziękowań, ale wspomogła.

— Bądź teraz ostrożna — powiedział Barron, kiedy dotarła do schodów prowadzących do karczmy. Nie zauważyła, że wyszedł. — Ktoś mógłby pomyśleć, że masz serce pod tym całym żelastwem.

— Żadnego serca — odparowała, rozsuwając pelerynę i pokazując rewolwer w kaburze i jeden z noży. — Tylko żelastwo.

Mężczyzna westchnął i potrząsnął głową, ale dostrzegła u niego lekki uśmieszek i swego rodzaju dumę. Nie wiedziała, jak zareagować.

— Masz coś do jedzenia? — spytała, kopiąc schodek czubkiem sfatygowanego buta.

Kiwnął ku drzwiom i już miała wejść za nim do środka na duże piwo i miszkę zupy — jeśli to zamówi, oszczędzi sporo grosza — kiedy usłyszała za sobą odgłosy przepychanki. Odwróciła się i zobaczyła, jak kilku uliczników — dokładnie trzech, nie starszych od niej — poszturkuje chłopca w łachmanach.

Jeden z podrostków był gruby, drugi chudy, trzeci niski, a wszyscy trzej bez wątpienia wyglądali na łotrów spod ciemnej gwiazdy. Obserwowała, jak niski zagrada chłopcu drogę. Gruby przyparł go do ściany. Chudy szybkim ruchem wyrwał mu z ręki miedziaki. Chłopiec prawie się nie opierał. Popatrzył tylko na swoje dłonie z ponurą rezygnacją. Teraz były puste tak samo jak kilka minut wcześniej.

Lila zacisnęła pięści, kiedy trzech opryszków odeszło boczną drogą.

— Lila! — ostrzegł ją Barron.

Wiedziała, że nie są warci zachodu. Z jakiegoś powodu okradała bogatych — bo więcej im mogła zabrać. Te kanalie na pewno nie posiadały nic, czego by chciała, poza kilkoma monetami odebranymi chłopcu. Monetami, z którymi Lila lekko się przecież rozstała. Ale nie w tym rzecz!

— Nie podoba mi się to spojrzenie — wytknął jej właściciel karczmy, widząc, że dziewczyna nie zamierza wejść do środka.

— Potrzymaj mój cylinder. — Rzuciła mu go w ręce, równocześnie wyciągając ze środka elementy przebrania.

— Nie są tego warci — pouczył ją. — A jeśli nie zauważyłaś, jest ich trzech, a ty jedna.

— Człowieku małej wiary — mruknęła, oklepując i kształtując miękki kapelusz z szerokim rondem. — A poza tym, Barronie, chodzi o zasadę.

Mężczyzna westchnął.

— Zasady czy nie, Lila, któregoś dnia ktoś cię zabije.

— Będiesz za mną tęsknił? — spytała.

— Jak cholera — odparował.

Posłała mu leciutki uśmieszek i zasłoniła sobie oczy maską.

— Zatroszcz się o dzieciaka — poprosiła, naciągając na twarz rondo kapelusza.

Kiedy zeskoczyła ze stopnia, Barron chrząknął.

— Hej, ty — usłyszała, jak wołał do chłopca skulonego na pobliskim ganku i wciąż wpatzonego w puste ręce. — Chodź no tutaj...

A potem odeszła.

II

„Naresk Vas 7”.

Taki adres napisano na kopercie.

Kell już wytrzeźwiał, postanowił więc pójść prosto pod ten adres i zakończyć całą tę dziwną sprawę listu. Rhy nie musi się o tym dowiedzieć.

Kell nawet zostawi paczuszkę — wraz z tajemniczą zawartością — w swoim sekretnym pokoju w Rubinowych Polach, a dopiero później skieruje kroki do pałacu, dzięki czemu wróci z pustymi rękoma i czystym sumieniem.

Plan wydawał się dobry albo przynajmniej najlepszy z kilku złych.

Ale kiedy Kell doszedł do skrzyżowania Otrech i Naresk i zobaczył dom z adresem z koperty, zwolnił, zatrzymał się, po czym zrobił dwa kroki w bok i skrył się w najbliższym cieniu.

Coś było nie w porządku.

Nie w jakiś oczywisty sposób, ale czuł to pod skórą, w kościach.

Naresk Vas wyglądała na ulicę opustoszałą, lecz tylko pozornie.

Tak to było z magią. Była wszędzie. We wszystkim. I w każdej osobie! A podczas gdy w powietrzu i ziemi krążyła w słabym, regularnym rytmie, znacznie głośniej drgała w ciałach istot żywych. I gdyby Kell spróbował — gdyby sięgnął zmysłami — mógłby ją wyczuć. To było wrażenie, nie tak silne jak widok, dźwięk czy zapach, niemniej ucieleśnienie magii niewątpliwie kryło się w mroku po drugiej stronie ulicy.

Co znaczyło, że nie był tu sam.

Wstrzymał oddech i wycofał się w alejkę, skupiając wzrok na domu z adresu. A potem faktycznie zobaczył, że coś się porusza. W ciemnościach pomiędzy numerami 7 i 9 Naresk Vas czaiła się postać w kapturze. Niewiele mógł dojrzeć poza błyskiem broni u boku mężczyzny.

Przez sekundę — ponieważ od spotkania z Dane’ami wciąż jeszcze nie był sobą — pomyślał, że to może Olivar, adresat listu. Ale nie, to nie mógł być on.

Kobieta twierdziła, że jest umierający. Zresztą nawet gdyby ów Olivar poczuł się na tyle dobrze, że postanowiłby powitać go na ulicy, po prostu nie mógł wiedzieć, że go tu spotka, skoro Kell dopiero co przyjął to zlecenie. Czyli to nie był Olivar. A skoro nie on, to kto?

Na myśl o niebezpieczeństwie Kell poczuł ciarki na skórze.

Wyjął kopertę z kieszeni, przestudiował adres, potem wstrzymał oddech, złamał pieczęć i wyciągnął list.

Zdławił siarczyste przekleństwo.
Nawet w mroku widział, że kartka jest czysta.
Jedynie kawałek pustego, złożonego na pół pergaminu.
Zakręciło mu się w głowie. Ktoś zastawił na niego pułapkę.
Jeśli ten ktoś — kimkolwiek był — nie przyszedł po list, w takim razie...
Sanct! Kell sięgnął do kieszeni po tkwiącą tam ciągle paczkę. Zapłata.
Kiedy objął palcami materiał, znów poczuł to dziwne mrowienie w ramieniu.
Co przyjął?
Co zrobił?
W tej właśnie chwili cień po przeciwnej stronie ulicy podniósł głowę.
Papier w dłoni Kella przyciągnął światło latarni ledwie na moment, ale cieniowi to wystarczyło. Ruszył ku antariemu.
A antari odwrócił się i zaczął uciekać.

III

Lila podążała tropem zbirów przez kręte londyńskie ulice, czekając, aż młodzi mężczyźni się rozejdą. Barron miał rację: przeciwko wszystkim trzem nie miała zbyt dużych szans, ale postawiła sobie za cel jednego. A kiedy jeden z nich wybrał inną drogę, a potem i tamci dwaj się rozstali, poszła za tym, którego sobie upatrzyła.

Ścigała chudego, tego, który zabrał pieniądze dzieciakowi w łachmanach.

Trzymając się ciemności, szła za nim przez labirynt coraz węższych dróg.

Ukradzione miedziaki grzechotały mu w kieszeni, spomiędzy zębów sterczał kawałek drewnianka. Ostatecznie chudzielec skręcił z alejki, a Lila sunęła za nim bezgłośnie, niewidoczna, niezauważalna.

Gdy zostali sami, natychmiast dopadła go w jednym kroku i przyłożyła mu nóż do szyi, przyciskając wystarczająco mocno, żeby upuścić nieco krwi.

— Opróżnij kieszenie — warknęła chropawym głosem.

Nie ruszył się.

— Popelniasz błąd — odparł, przeżuając w ustach drewnianko.

Przesunęła nóż i teraz wbijał mu się w grdykę.

— Doprawdy?

I wtedy usłyszała za sobą szuranie pospiesznie podbiegającej osoby. W ostatniej chwili się uchyliła i tylko dlatego zdołała uniknąć ciosu. Z odsieczą przybył drugi z opryszków. Niski gnojek jedną umięśnioną dłoń zacisnął w pięść, w drugiej ścisnął metalową sztabę. A później, sekundę później, dotarł do nich w końcu również gruby, czerwony na policzkach i zasapany.

— To ty! — zawołał i przez moment Lila sądziła, że ją rozpoznał. Potem jednak zdała sobie sprawę, że rozpoznał jedynie postać z policyjnego afisza.

— Złodziej-Cień.

Chudy wypluł patyczek i uśmiechnął się.

— Wygląda na to, panowie, że zarobiliśmy na nagrodę.

Lila się zawahała. Wiedziała, że potrafi pokonać jednego podrostka, podejrzewała, że może da radę dwóm. Ale trzem? Może gdyby stali nieruchomo, lecz ci stale się przesuwali, tak że nigdy nie widziała wszystkich naraz. Usłyszała kliknięcie noża sprężynowego i stuknięcie metalowej sztaby o uliczne kamienie. Miała broń w kaburze, jeden nóż w dłoni, a drugi w bucie, ale nie byłaby dość szybka, by powalić trzech przeciwników.

— Czy afisz mówił: „żywy lub martwy”? — spytał niski.

— Wiesz, wydaje mi się, że tego nie napisano — odrzekł chudy, ścierając krew z szyi.

— Myślę, że szukają martwego — dodał gruby.

— Nawet gdyby chcieli żywego — perswadował chudy — pewnie nie będą mieli nic przeciwko, jeśli będzie mu brakowało niektórych części ciała. — Natarł na Lilę, która odskoczyła, niechcący wchodząc w zasięg grubego.

Próbował ją złapać, więc ciachnęła nożem, kalecząc go do krwi, zanim dopadł ją niski. Ale kiedy ramiona młokosa objęły jej pierś, poczuła, że jego uścisk sztywnieje.

— A co to takiego? — syknął. — Nasz chłopiec jest...

Lila nie czekała dłużej. Mocno trzasnęła go butem w stopę, a on stracił oddech i ją puścił. Tylko na chwilę, ale to jej wystarczyło do zrobienia tego, co musiała zrobić, tego, czego robić naprawdę nienawidziła.

Uciekła.

IV

Kiedy Kell biegł alejkami i bocznymi uliczkami, słyszał za sobą odgłosy kroków, najpierw jednej osoby, potem dwóch, w końcu trzech — no chyba że ten trzeci dźwięk to było łomotanie jego serca. Nie przystawał i nie oddychał, dopóki nie dotarł do Rubinowych Pól. Fauna spojrzała mu w oczy, gdy mijał ją po drodze, i zmarszczyła stare czoło, gdyż prawie nigdy nie wchodził frontowymi drzwiami. Nie zatrzymała go jednak ani o nic nie spytała. Dźwięki kroków ucichły kilka przecznic wcześniej, lecz Kell, wspinając się ku pokojowi na szczycie schodów, ciągle sprawdzał znaki na stopniach i na drzwiach — dzięki zaklęciom przypisanym do budynku, do drewna i do kamienia pomieszczenie miało pozostać ukryte przed wzrokiem wszystkich poza nim.

Zamknął drzwi i oparł się o boazerię, a wtedy zapłonęły świece w wąskim pokoiku.

Ktoś zastawił na niego pułapkę. Ale kto? I po co?!

Nie był pewny, czy rzeczywiście chce to wiedzieć, ale musiał poznać prawdę. Wyjął więc z kieszeni paczkę. Była zawinięta w kawałek wyblakłej szarej tkaniny, a kiedy ją rozwinął, w dłoń wpadł mu z grubsza ociosany kamień.

Był na tyle mały, że mieścił się w zaciśniętej pięści, równie czarny jak prawe oko Kella i szumiał w jego ręce — cicha, głęboka vibracja niczym dźwięk kamertonu przyzywała moc antariego. Kamień lgnął do niej.

Rezonował. Wzmacniał ją. Kellowi przyspieszył puls.

Coś w nim chciało natychmiast odrzucić czarny kamień. A coś innego pragnęło ścisnąć go jeszcze mocniej.

Kiedy podniósł go do światła świecy, zobaczył, że jedna ścianka jest poszarpana, jak gdyby odłupana, druga natomiast gładka. I na tej gładkiej powierzchni słabo jarzył się symbol.

Kiedy go zobaczył, serce w nim zamarło.

Nigdy przedtem nie widział tego kamienia, jednak znak rozpoznał od razu.

Spisano go w języku, którym niewiele osób potrafiło mówić, a jeszcze mniej go używało. W języku, który płynął w jego żyłach i pulsował w jego czarnym oku.

W języku, który Kell nazywał po prostu antari.

Ale język magii nie zawsze należał wyłącznie do antarich. Mówiły o tym opowieści. Opowieści o czasie, kiedy inni ludzie potrafili przemawiać bezpośrednio do magii (nawet jeśli nie mogli rozkazywać jej za pomocą krwi).

Opowieści o świecie tak bardzo związanym z mocą, że każdy mężczyzna, kobieta i dziecko biegle mówili w jej języku.

O mieszkańcach Czarnego Londynu, do których należał język magii.

Jednak po upadku tamtego miasta wszystkie relikty zostały zniszczone, w ramach oczyszczenia, czystki usunięto siłą każdą pozostałość w każdym ze światów — w ten sposób próbowano powstrzymać zarazę mocy, która to miasto pochłonęła.

Z tego powodu nie było ksiąg napisanych w języku antari. Nieliczne teksty, które przetrwały, były fragmentarycznymi zbiorami zapisanych fonetycznie zaklęć, natomiast pierwotny język praktycznie został wykorzeniony.

Kella przyprawił zatem o dreszcz widok zaklęcia wyrysowanego tak, jak powinno wyglądać, nie literami, lecz runą.

Jedyną runą, jaką znał.

Posiadał jedną jedyną książkę na temat języka antari, powierzył mu ją jego nauczyciel, Tieren. Był to oprawiony w skórę dziennik wypełniony rozkazami krwi — zaklęciami, którymi można było wezwać światło lub ciemność, pobudzać wzrost, odegnąć czar. Wszystkie zaklęcia zapisano i wytłumaczono w języku Kella, na okładce zaś był ten właśnie symbol.

„Co oznacza?” — spytał nauczyciela.

„To słowo — wyjaśnił Tieren — należy do każdego świata i do żadnego.

Określa magię. Odnosi się do jej istnienia i jej stworzenia... — Tieren podniósł palec do runy. — Gdyby magia miała nazwę, to byłoby to” — powiedział, śledząc linie symbolu — vitari.

Teraz Kell przesunął kciukiem po runie na kamieniu i słowo rozbrzmiało echem w jego głowie.

Vitari.

W tym momencie usłyszał kroki na schodach i zeszywniał. Nikt nie powinien widzieć tych schodów, a cóż dopiero korzystać z nich, a jednak słyszał odgłos butów. Jak prześladowcy go tutaj wysłedzili?

I właśnie wtedy zobaczył wzór na kawałku jasnej tkaniny, w którą wcześniej owinięty był kamień i która obecnie leżała rozłożona na jego łóżku. Na tkaninie nabazgrano symbole. Zaklęcie śledzenia.

— Sanct! — zaklął.

Wepchnął kamień do kieszeni i rzucił się ku oknu, gdy małe drzwi za nim gwałtownie się otworzyły. Wspiął się na parapet i wyskoczył, twardo lądując na ulicy poniżej, po czym zerwał się na nogi, a intruzi wtargnęli do jego pokoju.

Ktoś zastawił na niego pułapkę. Ktoś chciał, żeby zabrał z Białego Londynu zakazany relikwiarz i wniósł do swojego miasta!

Jakaś postać przeskoczyła za nim przez okno, więc odwrócił się na pięcie, żeby stawić czoła przeciwnikom. Spodziewał się dwóch, ale zastał tylko jednego.

Zakapturzony nieznajomy zwolnił, a później się zatrzymał.

— Kim jesteś? — zapytał Kell.

Nieznajomy nie odpowiedział. Ruszył ku Kellowi wielkimi krokami, równocześnie sięgając po oręż u biodra, a antari w słabym świetle alejki zobaczył na grzbiecie jego ręki szramę w kształcie litery „X”. Znak zabójców i zdrajców. „Nożownik do wynajęcia”. Ale kiedy mężczyzna wyciągnął broń, Kell znieruchomiał. Wróg dysponował nie jakimś zardzewiałym sztyletem, lecz lśniącym krótkim mieczem z charakterystycznym symbolem na rękojeści.

Kielich i wschodzące słońce. Godło tutejszej rodziny królewskiej. Takim ostrzem posługiwali się członkowie królewskiej straży. I tylko oni.

— Skąd go masz? — warknął Kell, czując ogarniający go gniew.

Zabójca zacisnął mocniej palce na krótkim mieczu. Broń zaczęła się tępo jarzyć i Kell bezwiednie napiął wszystkie mięśnie. Miecze królewskich strażników nie były po prostu piękne czy ostre; były zaczarowane! Kell sam pomógł stworzyć zaklęcie dla metalu, który jednym tylko cięciem miał osłabiać moce magów. Ostrza zaprojektowano tak, żeby kładły kres konfliktom, zanim jeszcze się zaczęły, aby usuwały niebezpieczeństwo magicznego odwetu. Ze względu na ich moc i ze strachu, że trafią w niewłaściwe ręce, królewskim strażnikom polecono trzymać miecze przy sobie przez cały czas. Jeśli któryś z nich zgubił swój półmiecz, prawdopodobnie stracił również życie.

— Sarenach — zażądał zabójca. „Poddaj się”. Rozkaz zaskoczył Kella.

Nożownicy do wynajęcia zabijali i brali łupy, nie więźniów.

— Odłóż ten miecz — polecił Kell.

Spróbował siłą woli wyrwać broń z ręki skrytobójcy, ale zaklęcie działało przeciwko niemu. Miało przecież zapobiec wpadnięciu tegoż oręża w niepowołane ręce. Co już się zresztą stało. Kell zaklął i wyciągnął z pochwy sztylet. Był dobre trzydzieści centymetrów krótszy niż królewskie ostrze.

— Poddaj się — powtórzył zabójca dziwnie spokojnym głosem.

Uniósł brodę i Kell uchwycił w oczach tamtego migotanie magii. Zaklęcie przymusu? Zdążył tylko pomyśleć, że wykorzystano zakazaną magię, gdy mężczyzna zrobił wypad i rozjarzona broń przecięła powietrze przed Kellem.

Ten odskoczył w tył, uchylając się przed ciosem, w tym momencie jednak na drugim końcu alejki pojawiła się druga postać.

— Poddaj się — polecił mu drugi zabójca.

— Najpierw pierwszy — mruknął ostro Kell.

Wyrzucił rękę w powietrze i uliczny bruk zadrżał, po czym wystrzelił w górę w chmurze kamieni i ziemi, tarasując drogę drugiemu napastnikowi.

Pierwszy wciąż się zbliżał, wciąż ciął ostrzem, więc Kell znów odskoczył w tył, uchylając się przed mieczem. Niemal mu się udało — ostrze wprawdzie złapało jego ramię, przecinając materiał, ale zabrakło kilku milimetrów, żeby dosięgło skóry. Kiedy broń znowu cięła, Kell rzucił się w bok, tym razem jednak ostrze przecięło mu skórę na żebrach. Poczuł przeszywający ból w piersi, kiedy krew wezbrała i spłynęła mu po brzuchu. Zabójca nacierał, więc Kell wycofał się o krok, po czym próbował zmusić uliczne kamienie do stworzenia ściany między nimi dwoma. Kocie łby zadrżały i znieruchomiały.

— Poddaj się — rozkazał zabójca znów nazbyt opanowanym tonem.

Kell przycisnął sobie dłoń do gorsu, próbując zatamować krew i jednocześnie uchylając się przed kolejnym ciosem.

— Nie.

Obrócił w dłoni sztylet, chwycił go za czubek i z całych sił nim rzucił.

Ostrze trafiło w cel i zagłębiło się w ramieniu przeciwnika. Ale ku przerażeniu Kella mężczyzna nie wypuścił z ręki półmiecza. Wciąż nacierał. Jego rysy nawet nie wyrażały bólu, kiedy wyrывał sztylet i go odrzucał.

— Oddaj kamień — polecił, patrząc pustym wzrokiem.

Kell zacisnął palce na talizmanie w kieszeni. Szumiał w jego dłoni, a antari zrozumiał, że gdy go trzyma, nie chce go puścić — nie chciałby tego, nawet gdyby mógł go oddać, czego zrobić nie mógł, czego nie robi, dopóki się nie dowie, jakie jest przeznaczenie kamienia i kto go szuka. Nie mógł wręcz znieść myśli o rozstaniu się z przedmiotem. To było niedorzeczne. Niemniej coś w Kellu gorąco pragnęło go zatrzymać.

Zabójca znowu szedł ku niemu.

Kell usiłował zrobić kolejny krok do tyłu, niestety, jego barki napotkały prowizoryczną barykadę.

Nie miał dokąd uciec.

Ciemność skrzyła się w oczach zabójcy, a jego ostrze świstało w powietrzu, więc antari po prostu rozłożył puste ręce i rozkazał: „Zatrzymaj!”, jak gdyby rzeczywiście mógł w ten sposób powstrzymać przekłętą istotę.

A jednak jakoś ją powstrzymał.

Słowo rozbrzmiało w alejce, a pomiędzy jednym echem i następnym noc wokół Kella się zmieniła. Czas zdawał się zwalniać, podobnie obaj mężczyźni.

Z kolei kamień, który Kell zaciskał kurczowo w ręce, obudził się. Własna magia Kella uchodziła przez ranę na jego żebrach, kamień natomiast szumiał mocą i spomiędzy palców antariego wydobył się gęsty czarny dym. Przesunął się po jego ramieniu, przez pierś i w dół po wyciągniętej dłoni, a później popędził ku zabójcy,

choć kiedy go dosięgnął, nie uderzył ani nie zwałił go z nóg. Zawirował natomiast i owinał się wokół ciała, obejmując nogi, ramiona i piersi. A wszędzie, gdzie dym dotknął ciała zabójcy, natychmiast go zamrażał, zatrzymując go między jednym krokiem a następnym, między jednym oddechem a kolejnym.

Czas znów zaczął płynąć i Kell wstrzymał oddech; w uszach słyszał dudnienie własnego pulsu, a w jego ręce szumiał kamień.

Skradzione królewskiemu strażnikowi ostrze zawisło w pół ciosu, o centymetry od twarzy Kella. Skrytobójca stał w bezruchu, jego płaszcz zatrzymał się za nim w pół drgnienia. Przez tafelę mętnego lodu, kamienia czy czymkolwiek była, Kell widział zeszywniały kształt mężczyzny i jego otwarte, puste oczy. Nie było to obojętne spojrzenie kogoś przymuszanego do czegoś, lecz pustka człowieka martwego.

Kell zagapił się na kamień wciąż szumiący w jego dłoni i w pałający symbol na czarnej powierzchni.

Vitari.

„To słowo określa magię. Odnosi się do jej istnienia i jej stworzenia”.

Czy mogło ono oznaczać także sam akt stworzenia?

Dla tworzenia nie istniał rozkaz krwi. Złota zasada magii mówiła, że magii nie można tworzyć. Świat składał się z dawania i brania, magię zaś można było wzmacniać lub osłabiać, jednak nie mogła się objawić z niczego. Niemniej...

Kell wyciągnął rękę i dotknął zlodowaciałego mężczyzny.

Czy krew antariego mogła w jakiś sposób wezwać tę moc? Ale przecież nie wydał rozkazu krwi, nie zrobił niczego z wyjątkiem wypowiedzenia słowa „Zatrzymaj”.

Reszty dokonał kamień.

Ale to było niemożliwe! Nawet używając najsilniejszej magii żywiołów, człowiek musiał się skupić na formie, którą pragnął powołać do życia. A przecież Kell wcale sobie nie wyobraził zmrożonej skorupy, co po prostu znaczyło, że kamień nie wypełnił jego rozkazu. Dokonał własnej interpretacji!

Dokonał stworzenia! Czy w taki sposób magia funkcjonowała kiedyś w Czarnym Londynie? Bez granic, bez reguł, bez czegokolwiek poza chęcią i wolą?

Kell zmusił się i schował talizman z powrotem do kieszeni. Jego palce nie chciały się z nim rozstać. Wypuszczenie go z rąk wymagało pełnej koncentracji, a w chwili, gdy kamień wyslizgnął się z jego dłoni do kieszeni płaszcza, Kellem wstrząsnął zimny dreszcz, zakręciło mu się w głowie i świat przed jego oczyma się zakołysał. Mag poczuł się osłabiony i ranny. Wycieńczony. „Czy nie płacę mimo wszystko za nic?” — zadał sobie pytanie. Ale wiedział, że płaci za „coś”. To było coś potężnego. Coś niebezpiecznego.

Usiłował się wyprostować, lecz ból szarpnął jego brzuchem, więc tylko jęknął i

osunął się przy ścianie alejki. Bez swojej mocy nie mógł kazać się ranie zasklepić, nie mógł nawet utrzymać w żyłach własnej krwi. Musiał wstrzymać oddech, oczyścić umysł, pomyśleć. Ale w tym momencie kamienna ściana, której dotykał plecami, zaczęła drżeć. Odepchnął się od niej w ostatniej chwili, gdyż sekundę później się rozpadła, a na jej miejscu stała druga postać w kapturze.

— Poddaj się — polecił mężczyzna tym samym spokojnym głosem co jego poprzednik.

Kell nie mógł się poddać.

Nie ufał kamieniowi — mimo że kusila go możliwość ponownego schwycenia go — nie potrafił go kontrolować i nie mógł mu powierzyć własnego losu, rzucił się zatem przed siebie i podniósł z ziemi swój sztylet, kiedy zaś napastnik do niego podszedł, wbił mu ostrze w pierś. Przez sekundę martwił się, że mężczyzna nie upadnie, bał się, że zakłęcie przymusu utrzyma go na nogach, tak jak pierwszego. Wbił ostrze głęboko i szarpnął nim w górę, przez narządy i kości, a wtedy, w końcu, pod zabójcą ugięły się kolana. Na krótki moment zakłęcie przymusu straciło moc i w oczach przeciwnika pojawiło się światło. A potem zgasło.

Kell nie po raz pierwszy kogoś zabił, niemniej nadal czuł się chory, kiedy wyciągnął sztylet i napastnik upadł martwy u jego stóp.

Alejka zakotłosała mu się przed oczyma i chwycił się kurczowo za brzuch, nie mogąc złapać oddechu, gdy ból przetaczał się przez jego ciało. I wówczas usłyszał w oddali kolejne kroki i zmusił się do wstania. Potknął się o ciała, jedno martwe, drugie złodowaciałe, i uciekł.

V Nie mógł zatamować wypływającej krwi.

Przesączała się przez jego gors, materiał koszuli lepił się do ciała, gdy Kell biegł — potykając się — przez wąskie uliczki zebrane niczym labirynt w zakątkach Czerwonego Londynu.

Kurczowo ścisnął kieszeń, starając się zapewnić kamieniowi bezpieczeństwo, a gdy wyczuwał go palcami, przebiegały przez nie ciarki.

Powinien pobiec w stronę rzeki, wrzucić talizman w roziskrzone wody Isle i pozwolić mu zatonać. Powinien, lecz tego nie zrobił i w ten sposób został sam na sam z problemem.

I był ścigany.

Skreślił za róg zbyt ostro i wpadł na ścianę, powstrzymując okrzyk, gdy poranionym bokiem uderzył w cegły. Nie mógł ciągle biec, ale musiał uciekać.

Tam, gdzie nie będą mogli go znaleźć.

Gdzieś, gdzie nie będą mogli go ścigać.

Zatrzymał się, sięgnął po sznur z monetą z Szarego Londynu i zdjął z szyi.

Odgłosy kroków odbijały się echem, ciężkie i zbyt bliskie, ale Kell się nie poddawał — przycisnął rękę do zalanych krwią żeber i skrzywił się. Podniósł dłoń z monetą do kamiennej ściany, mówiąc: — As Travars.

Poczuł, jak słowo wychodzi z jego ust, a równocześnie drży przy jego ręce.

Ale nic się nie zdarzyło. Ściana została w miejscu, tak samo jak Kell.

Jego bokiem szarpnął dziki ból od królewskiego ostrza i zaklęcia pozbawiającego mocy.

„Nie” — błagał milcząco. Magia krwi była najsilniejszym rodzajem na świecie. Nie można jej było zablokować, nie zwyczajnym zaklęciem. Była silniejsza. Na pewno była silniejsza! Zamknął oczy.

— As Travars — powtórzył. Nie powinien mówić nic innego, nie powinien naciskać, ale był zmęczony, broczył krwią i usiłował skupić wzrok oraz własne pokłady mocy, dodał więc: — Proszę!

Przełknął ślinę, przyłożył czoło do cegieł, wsłuchał się w kroki, które wciąż się przybliżały, po czym znowu powiedział: — Proszę, pozwól mi przejść.

Kamień w jego kieszeni zaszumiał wyszeptaną obietnicą wsparcia, i już Kell miał go wyjąć i wezwać jego moc, kiedy ściana w końcu się zatrzęsła i ustąpiła pod dotykiem.

Świat zniknął, a chwilę później pojawił się ponownie i Kell upadł na brukowaną ulicę, a subtelne, równomierne światło Czerwonego Londynu zastąpiła wilgotna, zadymiona noc Szarego. Kell pozostał przez chwilę w pozycji na czworakach i naprawdę się zastanawiał, czy nie stracić przytomności właśnie tu, w tej alejce. Ostatecznie jednak zdołał jakoś wstać.

Gdy się podnosił, miasto wokół niebezpiecznie zawirowało. Zrobił dwa kroki i od razu zderzył się z mężczyzną w masce i kapeluszu z szerokim rondem.

Pomyślał, że dziwnie jest nosić przebranie, ale w swoim obecnym stanie nie powinien nikogo oceniać po pozorach.

— Wybacz — wymamrotał, otulając się szczelniej płaszczem, aby ukryć krew.

— Skąd przyszedłeś? — spytał tamten, a Kell przyjrzał się dokładniej i uprzytomnił sobie, że pod przebraniem wcale nie kryje się mężczyzna, lecz kobieta. Nawet nie kobieta. Dziewczyna. W mroku wydawała się szczuplutka, jak cień, jak wieczorny cień, jak sam Kell, a nawet bardziej. Cień zbyt długi i zbyt cienki. Ale była ubrana jak mężczyzna — w wysokie buty i pelerynę (a pod nią miała kilka błyszczących sztuk broni). No i ta maska oraz kapelusz.

Wyglądała na zdyszana, jak gdyby i ona biegła.

„Dziwne” — pomyślał znowu Kell.

Zachwiał się trochę na nogach.

— Nic ci nie jest, panie? — spytała dziewczyna w przebraniu.

Z drugiej strony ulicy dotarły do niego odgłosy kroków i mimowolnie napiął mięśnie, po czym przypomniał sobie, że jest teraz bezpieczny, że jest bezpieczny tutaj. Dziewczyna pospiesznie zerknęła za siebie i ponownie zwróciła na niego uwagę. Zrobił krok ku niej i nogi niemal się pod nim ugięły.

Ona podeszła, by go podtrzymać, ale wcześniej oparł się o ścianę.

— Nic mi nie będzie — wyszeptał drżącym głosem.

Dziewczyna zadarła podbródek. W oczach miała jakąś siłę i bezczelność.

Wyzwanie. Potem się uśmiechnęła. Nie całym ustami, lecz tylko kącikami, a Kell pomyślał (choć myślało mu się jak przez mgłę, był lekko zamroczony), że w innych okolicznościach mogliby zostać przyjaciółmi.

— Masz na twarzy krew — zauważyła.

„A gdzie jej nie mam?”

Podniósł rękę do policzka, ale dłoń też miał wilgotną od krwi, więc na niewiele się to zdało. Dziewczyna podeszła bliżej. Wyjęła z kieszeni małą, ciemną chusteczkę i musnęła nią jego szczękę, a potem wcisnęła materiał w jego palce.

— Zatrzymaj ją — powiedziała, po czym się odwróciła i odeszła zamaszystym krokiem.

Kell przez chwilę spoglądał za tą niezwykłą osobką, a następnie osunął się przy ścianie alejki.

Podniósł głowę i wpatrywał się w niebo Szarego Londynu, bezgwiezdne i ponure nad dachami budynków. Potem sięgnął do kieszeni po kamień z Czarnego Londynu i zastygł.

Kamienia tam nie było.

Przetrząsał ze złością kieszenie, każdą po kolei, lecz bez rezultatu. Talizman zniknął. Zziajany, zakrwawiony i wyczerpany Kell popatrzył na chusteczkę ścisną kurczowo w dłoni.

Nie mógł w to uwierzyć.

Został okradziony.



SZEŚĆ

Złodzieje się poznają

I

W innym Londynie miejskie dzwony wybiły ósmą.

Dźwięk dochodził ze świątyni na skraju miasta, ale rozbrzmiewał donośnie nad mieniącą się Isle i nad ulicami, wlewając się w otwarte okna i otwarte drzwi, przemieszczając alejką, aż dotarł do Rubinowych Pól i, tuż za karczmą, w ciemności, do zamrożonej postaci mężczyzny.

Mężczyzny ze znakiem „X” na grzbiecie dłoni i ze skradzionym królewskim mieczem, ciągle wzniesionym nad głową. Mężczyzny uwięzionego w lodzie, kamieniu lub innym, bardziej osobliwym materiale.

Kiedy dzwony ucichły, w powłoce nad jego twarzą zaczęła się tworzyć nierówna rysa. Potem druga, po jego ramieniu w dół. I trzecia, wzdłuż ostrza.

Małe szczeliny, które szybko się pogłębiały, rozchodząc się po twardej powierzchni jak smugi.

„Zatrzymaj” — rozkazał wcześniej młody antari napastnikowi i wprawdzie ten go nie posłuchał, ale magia tak. Wylała się z czarnego kamienia, który Kell trzymał w ręce, owinęła się wokół mężczyzny i stężała w skorupę.

A teraz skorupa pękała.

Nie tak, jak powinna pękać, gdy powierzchnia się łamie i kawałki kruszeją, sypiąc się na ulicę. Nie, ta skorupa się rozpadała, a jednak ani na chwilę nie uwolniła tkwiącego pod nią mężczyzny. Zamiast tego przywarła do niego i nie spływała z ciała, lecz się w nie wtapiała, przesączaając się przez ubranie i skórę. Aż zniknęła... A raczej nie zniknęła, lecz została wchłonięta.

Mężczyzna, który jeszcze przed chwilą był lodową bryłą, zadrżał i zrobił wdech. Królewski półmiecz wyslizgnął się z jego palców i zastukotał o kamienny bruk, podczas gdy ostatnie, drgające krople magii zalśniły jak oliwa na jego skórze, po czym całkowicie w nią wsiąkły, ujawniając się niczym atrament w pociemniałych żyłach. Mężczyzna zwiesił głowę, oczy miał otwarte, lecz puste. Czerń źrenic się powiększyła, a potem rozlała na tęczówki i białka.

Zakłęcie przymusu, które rzucono na niego wcześniej, pozbawiło go możliwości oporu i pozwoliło innej magii wślizgnąć się w jego ciało, wypełnić żyły, mózg i mięśnie, przejąc wszystko, czego dotknęła, aż niegdysiejszą czerwień jego wnętrza zastąpiła czysta, mroczna, płonąca czerń.

Mężczyzna — lub raczej to coś, co miał teraz w środku — powoli podniósł głowę. Kiedy obserwował alejkę, czarne oczy mu błyszczały, wilgotne na tle matowej

ciemności. Ciało jego towarzysza leżało w pobliżu, tamten jednak był zupełnie martwy, wszelkie światło w nim zgasło. Niczego nie dało się ocalić.

Niczego rozpalić. Zresztą w ciele wypełnionego mroczną magią zabójcy również nie zostało zbyt wiele życia — tliło się go jedynie absolutne minimum — ale na razie powinno to wystarczyć.

Wyprostował ramiona i ruszył przed siebie, na początku niepewnie, jak człowiek nieprzywykły do własnego ciała. A potem stąpał szybciej, pewniej.

Wciąż wyprostowany, szedł wielkimi krokami ku światłom najbliższego budynku. Jego usta rozciągnęły się w uśmiech. Było późno, ale w oknach płonęły lampy, a powietrze — niczym bicie dzwonów — wypełniał śmiech, perlisty, rozkoszny i wiele obiecujący.

II

Lila nuciła sobie, wracając do Rzutu Kamieniem.

Po drodze zaczęła zdejmować przebranie: najpierw maskę, potem kapelusz z szerokim rondem. Kiedy wcześniej wpadła na pijaka w alejce, zapomniała, że je nosi, na szczęście mężczyzna był tak mocno wstawiony, że ledwie ją zauważył. Dokładnie tak samo nie zauważył, że wycierając go chusteczką, wsunęła rękę do jego płaszcza, a gdy wciskała mu chustkę w dłoń, jej palce objęły zawartość jego kieszeni. Łatwa zdobycz.

Prawdę powiedziawszy, Lila wciąż była na siebie zła za ucieczkę — czy raczej za to, że dała się wciągnąć w pułapkę i musiała się salwować ucieczką — przed trzema ulicznikami.

„A jednak — pomyślała, zaciskając palce na solidnym łupie w kieszeni peleryny — wyprawa nie była kompletną stratą czasu”.

Widząc przed sobą karczmę, wyjęła z kieszeni przedmiot i przystanęła pod latarnią, by mu się lepiej przyjrzeć. Gdy go obejrzała, opuścił ją dobry humor.

Miała nadzieję na coś metalowego, srebrnego lub złotego, ale bryła okazała się kamieniem. Nie kamieniem szlachetnym czy klejnotem. Nawet nie kawałkiem kryształu. Przedmiot wyglądał jak zwykły rzeczny kamień — lśniący i czarny — o jednej ścianie gładkiej, a drugiej chropowatej, jak gdyby został rozbity lub odłupany od większego kawałka skały. Jaki dzentelmen spaceruje po mieście z kamieniem w kieszeni? W dodatku takim dziwnym kamieniem?

Wydało jej się jednak, że coś czuje, jakieś ciarki w miejscu, w którym jej skóra dotykała powierzchni kamienia. Podniosła go do światła i przez chwilę patrzyła nań spod przymrużonych powiek, po czym zapanowała nad uczuciami i uznała ostatecznie kamyk za bezwartościowy — w najlepszym razie był to zapewne jakiś sentymentalny drobiazg. W kiepskim nastroju wepchnęła go znów do kieszeni i wspięła się po schodach do Rzutu Kamieniem.

Chociaż w karczmie panował tłok, kiedy weszła, Barron popatrzył na nią, najpierw na jej twarz, później na przebranie wsunięte pod pachę. Przemknęło jej przez głowę, że chyba widzi przeblysł troski, i z tego powodu aż się wzdrygnęła. Nie była jego krewną. Nie stanowili rodziny. Nie potrzebowała, żeby się o nią martwił, i nie pragnęła być dla niego ciężarem.

— Wpadłaś w tarapaty? — spytał, gdy mijała kontuar, kierując się prosto ku schodom na górę.

Nie zamierzała się przyznawać, że w alejce trafiła w pułapkę ani że uciekła przed walką, a jej łup nie był nic wart, więc tylko wzruszyła ramionami.

— Nic, z czym nie mogłam sobie poradzić.

Chudy chłopiec ze stopni ganku siedział teraz na narożnym stolku i jadł potrawkę z miski. Lila uświadomiła sobie, że jest głodna — to znaczy bardziej głodna niż zwykle, ponieważ prawdziwej sytości nie czuła od lat — ale była też zmęczona i z ulgą odkryła, że bardziej ciągnie jej kości do łóżka niż żołądek do stołu. Poza tym nie odzyskała utraconych miedziaków. Miała oczywiście srebrne monety, ale musiała je oszczędzać, jeśli chciała kiedykolwiek opuścić tę karczmę i to miasto. Aż za dobrze wiedziała, jak kończą złodzieje, którzy wydają wszystko, co ukradną.

Nie miała zamiaru zadowalać się takim marnym losem. A teraz, kiedy ktoś poznał jej sekret — zakłęła na myśl o trzech ulicznikach, którzy bez trudu odkryli to, czego nie ustaliło kilkudziesięciu policjantów, a mianowicie, że poszukiwany listem gończym mężczyzna wcale nie jest mężczyzną — kradzieże staną się jeszcze trudniejsze. Potrzebowała znacznie większych łupów, i to szybko.

Zaburczało jej w brzuchu. Wiedziała, że Barron dałby jej posiłek za darmo, gdyby potrafiła się przemóc i go poprosić. Ale nie, nie mogłaby. Nie zrobi tego!

Lila Bard może była złodziejką, ale na pewno nie była żebraczką.

A gdy będzie odchodziła — bo przecież kiedyś odejdzie — miała szczery zamiar zwrócić mu pieniądze, które była mu dłużna, wszystkie.

Weszła po stopniach.

Na szczycie wąskich schodów mieścił się mały podest z zielonymi drzwiami. Pamiętała, jak trzasnęła tymi drzwiami, przepchnęła się obok Barrona i popędziła po stopniach w dół, pozostawiając za sobą jedynie własną wściekłość. Przypomniała sobie kłótnię — okradła stałego klienta i Barron ją za to zganił. Co gorsza, domagał się czynszu, ale zakazał jej płacić za zakwaterowanie i wyżywienie z pieniędzy, które sobie „pożyczyła”. Chciał wyłącznie pieniędzy uczciwych, a Lila nie miała możliwości zdobycia takowych, więc zaproponował, że w ramach zapłaty mogłaby mu pomóc w prowadzeniu karczmy. Stanowczo odmówiła. Zgoda na tę propozycję oznaczałaby dla niej pozostanie w miejscu, a wtedy utknęłaby tu na zawsze.

Łatwiej było zatem porzucić karczmę i uciec. „Ale — powiedziała sobie — nie od czegoś!” Nie, Lila uciekała „ku czemuś”. Ku czemuś lepszemu. Nawet jeśli do tej pory nic nie osiągnęła, kiedyś jej się uda.

„To nie jest życie! — krzyczała, wpychając pod pachę te nieliczne rzeczy, które posiadała. — To nic nie jest. To mi nie wystarczy. Za cholerę nie wystarczy”.

Wtedy jeszcze nie nosiła przebrania, a nie była dostatecznie śmiała, żeby bez niego napadać ludzi na ulicach.

„Musi być jeszcze coś więcej — pomyślała. — I ja muszę być kimś więcej”.

Złapała wówczas czyjś kapelusz z szerokim rondem z haka przy drzwiach i wypadła jak burza. Od tamtej pory kapelusz należał do niej.

Barron nie próbował jej zatrzymać. Po prostu zszedł jej z drogi.

„Dla lepszego życia trzeba coś poświęcić”.

Minał rok — a dokładnie jedenaście miesięcy, dwa tygodnie i parę dni — odkąd wybiegła z tego małego pokoju i oddaliła się od Rzutu Kamieniem, przysięgając, że nigdy nie wróci.

A jednak była tu znowu. Dotarła na szczyt schodów — każdy stopień, tak samo jak ona, protestował przeciwko jej powrotowi — i weszła do pomieszczenia.

Na widok pokoju ogarnęło ją uczucie odrazy pomieszanej z ulgą.

Śmiertelnie zmęczona, wyjęła kamień z kieszeni i upuściła go z głuchym łoskotem na drewniany stół przy drzwiach.

Barron położył jej cylinder na łóżku. Osunęła się obok i zaczęła rozsznurowywać botki. Były przetarte nieomal na wylot i wzdrygnęła się na myśl o cenie przyzwoitej pary nowych. Nie było łatwo ukraść buty. Zabrać człowiekowi kieszonkowy zegarek to jedna rzecz. Ale zabranie mu butów to coś zupełnie innego.

Męczyła się jeszcze ze sznurówką pierwszego buta, kiedy usłyszała jakiś dźwięk, jak gdyby „uff”, podniosła więc głowę i zobaczyła, że w jej sypialni stoi jakiś mężczyzna.

Nie wszedł drzwiami — były zamknięte na klucz — a jednak tu trafił i teraz przyciskał do ściany zakrwawioną rękę. Między jego dłonią i drewnianymi deskami tkwiła jej chusteczka, Lila zauważyła też zanikający znak na boazerii.

Włosy zakrywały mu oczy, ale mimo to i tak od razu go rozpoznała.

To był mężczyzna z alejki. Ten pijany.

— Oddaj go — nakazał, oddychając ciężko. Mówił z lekkim obcym akcentem, którego nie potrafiła określić.

— Jak tu wszedłeś, do jasnej cholery? — spytała, zrywając się z łóżka.

— Musisz go oddać. — Tutaj, w świetle dusznego małego pokoju, spostrzegła, że koszula lepi się mężczyźnie do piersi, a czoło błyszczy od potu.

— Nie powinnaś... go... brać...

Zerknęła na kamień leżący na stole. Spojrzenie przybysza natychmiast podążyło w tym samym kierunku i tam się zatrzymało. Oboje równocześnie rzucili się po kamień. Albo raczej Lila rzuciła się po kamień. Nieznajomy odepchnął się od ściany, zachwiał się mocno, po czym zwałił się u jej stóp.

„Świetnie” — pomyślała, wpatrując się w jego ciało. Dotknęła jego ramienia czubkiem buta, a kiedy mężczyzna się nie poruszył, klękła i obróciła go. Wyglądało

na to, że miał za sobą paskudną noc. Czarna koszula kleiła się do jego skóry. Początkowo Lila sądziła, że to pot, ale kiedy dotknęła tkaniny, palce miała czerwone. Zastanawiała się, czy nie przeszukać jego kieszeni i nie wyrzucić ciała przez okno, wtedy jednak zobaczyła, że jego pierś pod brudną koszulą podnosi się i opada, i zdała sobie sprawę, iż w rzeczywistości mężczyzna nie umarł.

Jeszcze nie.

Z bliska nie był wcale tak stary, jak jej się wydawało w pierwszej chwili.

Pod odrobiną sadzy i krwi jego skóra była gładka, a oblicze ciągle miało chłopięce rysy. Wyglądał na starszego od niej o rok czy dwa, ale niedużo więcej. Odgarnęła mu z czoła miedziane włosy, a jego powieki zatrzepotały i zaczęły się unosić.

Lila pospiesznie się wycofała. Jedno oko miał pięknie niebieskie. Drugie było czarne jak smoła. Nie o czarnej tęczówce jak u niektórych ludzi, których Lila kiedyś spotkała, tych z Dalekiego Wschodu, ale całkowicie, nienaturalnie czarne, od końca do końca, bez śladu bieli czy innego koloru.

Mężczyzna zaczął przyciągać jej wzrok, więc sięgnęła po najbliższy przedmiot — książkę — i uderzyła go nią. Zwiesił głowę, jego ciało zwiotczało. Nie odzyskiwał przytomności i Lila odłożyła książkę, po czym złapała go za nadgarstki.

„Pachnie kwiatami” — pomyślała z roztargnieniem, gdy ciągnęła ciało po podłodze.

III

Kiedy się ocknął, był przywiązany do łóżka.

Przeguby jego dłoni spowijał szorstki sznur, przyciskający je do wezgłowia.

Kellowi łomotało w głowie, po każdej próbie poruszenia ciałem zebra przejmował tępy ból, ale na szczęście przynajmniej krwawienie ustało. A gdy sięgnął zmysłami po swoją moc, z ulgą poczuł, że w nim rośnie i będzie mógł z niej korzystać. Zakłęcie królewskiego ostrza przestawało działać.

Po kilku chwilach badania swojego stanu uprzytomnił sobie, że nie jest w pomieszczeniu sam. Podniósłszy głowę z poduszki, zobaczył usadowioną na krześle w nogach łóżka złodziejkę, która przyglądała mu się, nakręcając srebrny zegarek. Nie miała już przebrania i jej twarz go zaskoczyła. Ciemne włosy nosiła przycięte wzdłuż szczęki z ostrym podbródkiem. Wyglądała na osóbkę młodą, lecz bystrą i była koścista niczym zagłodzony ptaszek. Okrągłe miała jedynie oczy, oba brązowe, choć niezupełnie w tym samym odcieniu.

Kell otworzył usta, by zacząć rozmowę pytaniem typu: „Rozwiązesz mnie?”

albo: „Gdzie jest kamień?”, zamiast tego jednak wbrew sobie zauważył: — Jedno oko masz jaśniejsze niż drugie.

— A ty masz jedno czarne — odparowała. Jej ton był ostrożny, lecz Kell nie słyszał w nim przerażenia. Jeśli się bała, potrafiła bardzo dobrze to ukrywać.

— Kim jesteś? — spytała.

— Potworem — odrzekł chrypliwie. — Lepiej mnie wypuść.

Wydała z siebie krótki drwiący śmiech.

— Potwory nie mdleją w obecności dam.

— Damy nie przebierają się za mężczyzn i nie rabują — dociął jej.

Jej uśmiech jedynie się rozszerzył.

— Kim naprawdę jesteś?

— Kimś przywiązanym do twojego łóżka — oznajmił rzeczowo.

— I?

Zmarszczył czoło.

— I w tarapatach.

Ta odpowiedź przynajmniej trochę ją zaskoczyła.

— Pomijając coś tak oczywistego jak fakt, że jesteś przywiązany do mojego łóżka?

— Tak — przyznał, starając się mimo więzów usiąść prosto i spojrzeć jej w oczy. — Musisz mnie wypuścić i oddać przedmiot, który mi ukradłaś. — Zlustrował pokój w

nadziei, że zobaczy kamień, ale na stole już go nie było. — Nie wydam cię — dodał. — Będziemy udawać, że twoja kradzież nigdy się nie zdarzyła. Ale naprawdę potrzebuję tego przedmiotu.

Żywił nadzieję, że dziewczyna zerknie, przesunie się lub choćby pochyli w kierunku talizmanu, ale nie poruszyła się ani nie odwróciła wzroku od swego więźnia.

— Jak tutaj wszedłeś? — spytała.

Kell przygryzł policzek.

— Nie uwierzysz — odparł lekceważąco.

Wzruszyła ramionami.

— Przypuszczam, że musisz sprawdzić.

Zawahał się. Nie przestraszyło jej jego czarne oko, nie wydała go też policji ani nie wezwała nikogo na pomoc, chociaż ranny człowiek wszedł do jej pokoju przez ścianę. Świat Szarego Londynu tak niewiele wiedział o magii i tak dużo w związku z nią zapomniał, a jednak było coś w tym spojrzeniu, jakieś wyzwanie, które kazało się Kellowi zastanowić, czy dziewczyna nie udowodni mu za chwilę, że się pomylił. Jeśli tylko będzie mogła.

— Jak ci na imię? — spytał.

— Nie zmieniaj tematu.

— Nie zmieniam — odparł, owijając palce wokół sznurów, którymi był przywiązany do łóżka. — Chcę jedynie poznać swojego pogromcę.

Zanim odpowiedziała, przyglądała mu się przez chwilę w zadumie.

— Delilah Bard. Ale możesz mi mówić Lila. — „Lila”. Imię powinno zabrzmieć łagodnie, ale wymówiła je ostro, jakby wyrzynała nożem pierwszą sylabę, a drugą pozostawiała jako szum metalu w powietrzu. — A mój więzień?

— Kell — powiedział. — Mam na imię Kell i przychodzę z innego Londynu, a wszedłem do twojego pokoju przy użyciu magii.

Faktycznie, jej wargi zadrżały.

— Magii — powtórzyła szyderczym tonem.

— Tak — przyznał.

Wypowiadając to słowo, tym razem zwiększył nacisk na sznury i te zapłonęły ogniem, po czym natychmiast spaliły się na popiół. Pokaz był może trochę pretensjonalny, ale odniósł pożądany skutek. Lila zeszywniała w widoczny sposób na krześle, podczas gdy Kell rozsiadł się na łóżku w pełni wyprostowany. Na moment ogarnęła go fala zawrotów głowy, więc siedząc spokojnie i pocierając nadgarstki, poczekał, aż pomieszczenie przestanie wirować.

— Precyzyjnie mówiąc — wyjaśnił — wykorzystałem magię do stworzenia drzwi.

Obmacał się i odkrył, że jego sztylet gdzieś zniknął. Dziewczyna go rozbroiła.

Skrzywił się, po czym powoli zsunął obute nogi z łóżka i postawił na podłodze.

— Kiedy opróżniłaś mi kieszeń w alejce, równocześnie dałaś mi swoją chusteczkę. Mogłem więc jej użyć do stworzenia drzwi, które zaprowadziły mnie do ciebie. — Nawiasem mówiąc, zadanie okazało się znacznie trudniejsze, niż można by sądzić z tego streszczenia. Drzwi, które tworzył Kell, miały prowadzić do miejsc, nie do ludzi. Dopiero po raz drugi udało mu się za pomocą magii znaleźć drogę do jakiejś osoby. Na dodatek, z każdym krokiem tracił moc. Wszystko to go trochę przerastało. Na szczęście ostatnie resztki magii pozwoliły mu się przenieść tutaj, a wtedy...

— Z innego Londynu — powiedziała Lila.

— Tak.

— I stworzyłeś drzwi.

— Tak.

— Przy użyciu magii.

— Tak. — W tym momencie spojrzał jej w oczy, spodziewając się zobaczyć w nich konsternację, sceptycyzm i niedowierzenie, lecz znalazł coś innego.

Wpatrywała się w niego beznamiętnie... A właściwie nie, nie beznamiętnie. Jej spojrzenie było poważne. Oceniające. Miał nadzieję, że dziewczyna nie poprosi go o kolejny pokaz. Jego moc powracała bardzo powoli i musiał ją oszczędzać.

Lila wskazała palcem miejsce na ścianie, tam, gdzie wciąż pozostawał widmowy ślad po stworzonych przez Kella drzwiach.

— Sądzę, że to tłumaczy ten znak.

Kell spojrzał, lekko marszcząc brwi. Większość mieszkańców Szarego Londynu nie była w stanie zobaczyć echa zaklęć albo przynajmniej nie zwracała na nie uwagi. Znaki, jak większość przejawów magii, wykraczały poza zmysły tutejszych ludzi.

— A kamień? — spytała.

— Magia — uciął. „Czarna magia. Silna magia. Martwa magia”. — Zła.

I w końcu dziewczyna popełniła błąd. Przez ułamek sekundy spoglądała ku komodzie pod ścianą. Kell się nie wahał. Ruszył ku górnej szufladzie, lecz zanim jego palce dotknęły drewna, poczuł przy swoim gardle dotyk noża. Ten pojawił się nagle i znikąd. Z kieszeni. Z rękawa. Tak czy owak, cienkie ostrze dotykało teraz skóry Kella tuż pod jego podbródkiem. A uśmiech Lili był równie ostry, jak metalowy czubeczek tegoż noża.

— Usiądź, zanim cię zmuszę, magiczny chłopcze.

Opuściła nóż i Kell osunął się powoli na podłogę w nogach łóżka. Wtedy dziewczyna zaskoczyła go po raz drugi, wyjmując talizman nie z górnej szuflady komody, na którą wcześniej spojrzała, ale znów nie wiadomo skąd. W jednej chwili dłoń miała pustą, w następnej po prostu dźrzyła w niej kamień, a jej umiejętnościom

kuglarskim nie sposób było nic zarzucić. Kell przełknął ślinę i rozmyślał. Mógłby wyrwać jej nóż z ręki, ale prawdopodobnie miała drugi i, co gorsza, miała kamień. Była człowiekiem i nic nie wiedziała o magii, ale gdyby poprosiła o coś kamień, równie dobrze mógłby jej posłuchać. Kell przypomniał sobie pokrytego zlodowaciałą skałą zabójcę.

Lila przesunęła kciukiem po talizmanie.

— Co w nim jest takiego niedobrego?

Zawahał się, dobierając słowa.

— Nie powinien istnieć.

— Ile jest wart?

— Twoje życie — odparował, zaciskając pięści. — Ponieważ, wierz mi, ten, kto mnie ściga, zabije cię w okamgnieniu, by go odebrać.

Spojrzała ku oknu.

— Gonią cię?

Kell potrząsnął głową.

— Nie — wycedził. — Nie potrafią przejść tutaj za mną.

— W takim razie nie mam się o co martwić.

Znow skupiła uwagę na talizmanie. Kell widział, że ciekawość dziewczyny rośnie, i zadał sobie pytanie, czy kamień oddziałuje na nią tak samo jak na niego.

— Lila — powiedział spokojnie. — Proszę, odłóż go.

Przyglądała się symbolowi na kamieniu, mrużąc oczy, jak gdyby miało jej to ułatwić odczytanie jego znaczenia.

— Co to znaczy? — spytała, a gdy Kell nie odpowiedział, dodała: — Jeśli mi powiesz, oddam ci go.

Nie wierzył jej, ale i tak odpowiedział.

— Ten symbol oznacza magię — wyjaśnił. — Vitari.

— Magiczny kamień, który nazywa się „magia”? Niezbyt to oryginalne. Jak działa?

— Nie wiem. — W pewnym sensie mówił prawdę.

— Nie wierzę ci.

— Nie obchodzi mnie to.

Przybrała marsową minę.

— Zaczynam myśleć, że nie chcesz go odzyskać.

— Nie chcę — zgodził się i to również była w dużej mierze prawda, chociaż coś w ciele Kella nie pragnęło niczego bardziej, niż wziąć ponownie kamień w dłoń. — Ale muszę. Poza tym odpowiedziałem na twoje pytanie.

Lila oglądała talizman.

— Magiczny kamień, który nazywa się magia — powtórzyła zadumany głosem, obracając przedmiot w palcach. — Co prowadzi do wniosku, że on...

Co? Czyni magię?! A może wykonuje magiczne sztuczki? — Najwyraźniej dostrzegła odpowiedź na zaniepokojonym obliczu Kella, ponieważ uśmiechnęła się triumfalnie: — Czyli jest źródłem mocy... — Wyglądało na to, że mówi do siebie. — Może coś potrafi? Zastanawiam się, jak działa...?

Kell sięgnął po talizman, ale gdy jego ręka była w połowie drogi, Lila cięła nożem przez powietrze i przez jego dłoń. Kell zrobił gwałtowny wdech, patrząc, jak jego krew kapie na podłogę.

— Ostrzegałam cię — oświadczyła dziewczyna, machając nożem, jak grozi się palcem.

— Lila — powiedział ze znużeniem i przycisnął sobie rękę do piersi. — Proszę. Oddaj go.

Ale wiedział, że tego nie robi. Kiedy jej palce objęły talizman, Kell zobaczył w jej oczach szelmowski błysk — zapewne podobny do tego, który pojawił się w jego oku podczas kontaktu z kamieniem. Co Lila wezwie? Co może przywołać mała chuda istota ludzka?!

Dziewczyna wyciągnęła ceremonialnie przed siebie obie ręce, a on obserwował, trochę z ciekawością i trochę z troską, dym, który zaczął się wydobywać z jej palców. Dym owinał się wokół jej pustej ręki, skręcając się i gęstniejąc, a po chwili dziewczyna trzymała piękną szablę w lśniącej pochwie.

Lila wybałuszyła oczy, zszokowana i zadowolona.

— Udało się — wyszeptała na wpół do siebie.

Rękojeść promieniała tą samą szklistą czernią co oko Kella i nieszczęsny kamień. A kiedy dziewczyna wyciągnęła szablę z pochwy, metal — a jakże, również czarny — błysnął w świetle, solidny jak kuta stal. Lila sapnęła z zachwytem. Kell natomiast na widok szabli westchnął z ulgą — bo przecież mogło być znacznie gorzej — a później patrzył, jak dziewczyna opiera broń o ścianę.

— Więc zobaczyłaś — zauważył ostrożnie. — Teraz oddaj kamień. — Nie zdawała sobie sprawy... nie mogła sobie zdawać sprawy... że tego rodzaju magia jest zła ani że kamień żywi się jej siłą. — Proszę. Zanim zrobisz sobie krzywdę.

Obrzuciła go drwiącym i gniewnym spojrzeniem, a potem pogłaskała kamień.

— Och, nie — odparła. — Dopiero się rozgrzewam.

— Lila... — zaczął Kell, ale było za późno. Czarny dym już się wysączał z jej kłykci, dużo gęstszy niż przedtem, i przyjmował kształt w pokoju pomiędzy nimi dwojgiem. Tym razem, zamiast oręza, pojawiła się postać młodego mężczyzny. Nie było jakiego mężczyzny, z czego Kell zdał sobie sprawę, kiedy z dymu wyłoniły się rysy i utworzyły

ciało.

To był on sam!

Podobieństwo było niemal idealne — od płaszcza ze strzępiącym się skrajem po rudawe włosy, które opadały sobowtórowi na twarz, zasłaniając czarne oko. Tyle że ten nowy Kell nie miał oka niebieskiego. Oba lśniły równie intensywnie i czarno jak kamień w ręce Lili. Zjawa się nie poruszyła, a tylko stała w miejscu, czekając.

Kell, który był Kellem, piorunował wzrokiem Kella, który nim nie był.

— Co ci się zdaje, że robisz? — Skierował swoje pytanie do Lili.

— Tylko trochę się bawię — odrzekła.

— Nie możesz tworzyć ludzi!

— Najwyraźniej mogę — odparowała.

I wtedy czarnooki Kell zaczął się ruszać. Zdjął płaszczy i rzucił na najbliższe krzesło. Chwilę później Kell patrzył z przerażeniem, jak jego sobowtór zaczyna rozpinać koszulę, jeden guzik po drugim.

Na ten widok wydał z siebie krótki zduszony śmiech.

— Chyba sobie ze mnie żartujesz. — Lila tylko się uśmiechnęła i obróciła kamień w dłoni, a w tym czasie Kell, który nie był Kellem, wyslizgnął się powoli, uwodzicielsko, z koszuli, aż obnażył tors. Teraz jego palce zaczęły rozpinać pas w talii.

— W porządku, wystarczy — polecił Kell. — Przerwij to.

Westchnęła.

— Nie umiesz się bawić.

— To nie jest zabawne!

— Może nie dla ciebie — stwierdziła z uśmiechem, kiedy drugi Kell kontynuował striptiz, wysuwając pasek ze szlufek.

Lila nie widziała tego, co widział Kell: że wcześniej obojętna twarz sobowtóra zaczyna się zmieniać. To była subtelna zmiana w magii — pusta przestrzeń zaczynała się wypełniać.

— Lila — naciskał Kell. — Posłuchaj mnie. Przerwij to, natychmiast!

— No dobrze — mruknęła, zaglądając Kellowi w czarne oko. — Hmm...

jak mam to zrobić?

— Kazałaś mu się pojawić — odparł, zrywając się na równe nogi. — Teraz każ mu odejść!

Dziewczyna zmarszczyła czoło i zjawa przestała się rozbierać, lecz nie zniknęła.

— Lila!

— Staram się — odparła, ściskając mocniej kamień.

Co więcej, twarz widmowego Kella wykrzywiła się, zmieniając się szybko z bezmyślnej, poprzez świadomą, w przepelnioną złością. Osobnik wydawał się

naprawdę wiedzieć, co się dzieje. Jego oczy błysnęły od oblicza Lili do jej ręki i z powrotem do twarzy. A potem on sam ruszył ku dziewczynie! Poruszył się niezwykle szybko, od razu i w okamgnieniu jej dopadł. Kamień wysunął się z uścisku Lili, kiedy Kell, który nie był Kellem, przycisnął ją do ściany.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zanim mu się udało, jego ręce się rozpuściły — cały się rozpuścił — nieoczekiwanie zmieniając się na powrót w dym, a potem w nicość. A Lila znalazła się oko w oko z Kellem, który był Kellem i który teraz podnosił zakrwawioną rękę w miejscu, gdzie wcześniej znajdowała się iluzja, a jego rozkaz — *As Anasae* — wciąż jeszcze odbijał się echem od ścian pokoju.

Dziewczyna zachwiała się i uchwyciła się komody — krótki kontakt z kamieniem bezspornie zbierał teraz obfite żniwo, w taki sam sposób, w jaki wcześniej osłabił Kella. Lila zdołała zrobić jeden niepewny wdech, gdy antari zacisnął na jej szyi zakrwawioną rękę.

— Gdzie jest mój nóż? — warknął.

— W górnej szufladzie — odrzekła, dysząc.

Skinął głową, lecz jej nie puścił. Zamiast tego chwycił przegub jej dłoni i przycisnął do ściany obok jej głowy.

— Co robisz? — spytała ostro, ale Kell nie odpowiedział.

Skoncentrował się na drewnie, a ono zaczęło pękać i się wybrzuszać, odchodząc w kawałkach, które zaciskały się wokół nadgarstka dziewczyny.

Lila walczyła, ale po sekundzie wszystko się skończyło. Mężczyzna się odsunął, lecz ściana już jej nie puściła. Kell podniósł kamień z podłogi, podczas gdy dziewczyna kręciła się i szarpała w prowizorycznych kajdanach.

— Co do jasnej cholery...? — Wciąż próbowała wyrwać rękę z drewnianych kajdan, tymczasem Kell schował kamień do kieszeni. — Zniszczyłeś ścianę. Jak mam za nią zapłacić? I jak mam to wyjaśnić?!

Kell podszedł do szuflady. Znalazł w niej większą część zawartości swoich kieszeni, w tym sztylet — na szczęście Lila przetrząsnęła tylko jedną stronę, jego czarny płaszcz.

— Nie możesz mnie tak tutaj zostawić — wymamrotała.

Kell ponownie nappełnił kieszenie i przesunął kciukiem po znajomych literach na ostrzu, po czym schował sztylet do pochwy pod ramieniem. I wtedy usłyszał za sobą odgłos metalu wysuwanego ze skóry, gdyż Lila wyjęła własny sztylet z pochewki, którą miała na plecach.

— Na twoim miejscu nie rzucałbym nim — ostrzegł ją, przechodząc do okna.

— Dlaczego nie? — burknęła.

— Ponieważ — odpowiedział, podnosząc szybę — będziesz go potrzebowała, żeby

się uwolnić.

Po tych słowach wspiał się na parapet i wyskoczył.

Spadał dłużej, niż przypuszczał, ale wylądował w przysiadzie, wiatr w alejce złagodził jego zeskok. Okno wydawało się Kellowi najbezpieczniejszą drogą wyjścia, ponieważ tak naprawdę nie był pewny, w jakim punkcie Szarego Londynu się znalazł ani w jakiego rodzaju domu go przetrzymywano.

Na ulicy uświadomił sobie, że to wcale nie był dom, lecz karczma, a kiedy skręcił za róg, zobaczył szyld kołyszący się w wieczornym powietrzu. Czasem oświetlała go uliczna latarnia, czasem znikał w mroku, ale Kell raz tylko spojrział i wiedział, co mówi znak.

RZUT KAMIENIEM.

Nie powinien być zaskoczony — najwyraźniej wszystkie drogi prowadziły w to miejsce — a jednak odkrycie go skonfundowało.

„Jakie są szanse na coś takiego?” — pomyślał, chociaż wiedział, że to magia nagina szanse. Niemniej ogarnęło go zdumienie.

Co do dziewczyny, miał w związku z nią dziwne przeczucie, ale odepchnął je na bok.

Ona już się nie liczyła. Miał przecież kamień.

Teraz musiał po prostu wymyślić, co z nim zrobić.

IV

Przez większą część następnej godziny Lila rąbała, rozcinała i uwalniała się. Gdy drewno w końcu ustąpiło pod jej sztyletem, skraj ostrza był nieodwracalnie stępiony, część ściany — zniszczona, a Lila rozpaczliwie potrzebowała porządnego trunku. Pienięży wprawdzie ostatnio nie pomnożyła, ale pal sześć oszczędności — dzisiejszego wieczoru musiała się napić.

Pomasowała obolały nadgarstek, rzuciła stępiony nóż na łóżko i podniosła drugi, ciągle jeszcze ostry sztylet z podłogi, gdzie go wcześniej upuściła.

Niekończący się stek przekleństw płynął z jej ust, kiedy wycierała krew Kella z ostrza. A gdy chowała sztylet do pochewki, jej głowę wypełniał nieprzerwany strumień pytań, lecz odsunęła je od siebie wszystkie i tylko wyciągnęła z szuflady rewolwer, wpasowała go do kabury... Gdyby miała go przy sobie wcześniej, nie zawahałaby się strzelić Kellowi w głowę.

Nadal cicho przeklinając, narzucała właśnie na ramiona pelerynę, kiedy coś przyciągnęło jej wzrok. Szabla, którą wezwała, wciąż stała oparta o ścianę.

Łajdak nie zatrzymał się i nie zniszczył jej w drodze do wyjścia. Teraz Lila podniosła szablę ostrożnie, a ponieważ przedmiot był piękny, podziwiała lśniąca czarną rękojeść. Broń była dokładnie taka, jak Lila ją sobie wyobraziła. Aż po szczegóły wyrzeźbione na uchwycie. Pochwa szumiała pod jej palcami, tak samo jak wcześniej kamień, gdy Lila go trzymała. Bardzo pragnęła zachować ostrze, chciała je ciągle i ciągle trzymać w dłoni i ogarniało ją jakieś dziwne, przejmujące do kości poczucie tęsknoty, któremu nie ufała. Wiedziała, jak to jest chcieć czegoś, wiedziała, w jaki sposób takie pragnienie szepcze, śpiewa i krzyczy w kościach. I teraz na pozór czuła się podobnie, a jednak inaczej. Ta tęsknota była fałszywa.

Lila przypomniała sobie, co się działo po utracie kamienia — te niespodziewane, straszliwe zawroty głowy, których doświadczyła, uczucie, jak gdyby jej kończyny opuściła cała energia. Kiedy nie patrzyła, została okradziona z sił. W jakimś osobliwym sensie skojarzyło jej się to z kieszonkowcem, przebiegłym złodziejaszkiem o bardzo zręcznych rękach. Bo zręczne ręce były najważniejsze. Dobra sztuczka wymagała dwóch rąk — podczas gdy jedna przyciągała uwagę ofiary, druga niepostrzeżenie robiła swoje. A Lila była wcześniej tak mocno skupiona na tym, co działo się przed jej oczyma, na niezwykłych atrakcjach, że nie zauważyła, jak ktoś odbiera jej siły.

„Zła magia” — tak ją nazwał Kell.

„Nie — pomyślała Lila teraz. — Sprytna magia”.

A „sprytni” zawsze byli bardziej niebezpieczni niż „źli”. Lila świetnie o tym wiedziała. Więc chociaż decyzja sprawiła jej ból, otworzyła okno i wyrzuciła przez nie szablę.

„Krzyżyk na drogę” — pomyślała, obserwując, jak przedmiot spada na kamienie brukowe w alejce poniżej.

Jej spojrzenie podryfowało w górę, ku dachom i kominom, i zastanowiła się, dokąd odszedł Kell. Zadała sobie to pytanie, ale zrodziło ono wiele innych, a ponieważ wiedziała, że nigdy nie pozna odpowiedzi na żadne z nich, zatrzasnęła okno i poszła się napić.



Mężczyzna wytoczył się z Rzutu Kamieniem frontowymi drzwiami i o mało nie upadł na stopniach schodów.

„Podstępne gnojki” — pomyślał półprzytomnie. Na pewno nie było tych schodów tutaj, kiedy wchodził do karczmy ledwie kilka godzin wcześniej. A może były, zniknęły i wróciły zmienione, jakoś przesunięte. Może było ich teraz więcej. Albo mniej. Spróbował je policzyć, ale obraz mu się rozmazywał, więc się poddał i tylko chwiał się na nogach.

Mężczyzna miał na imię Booth i musiał iść za potrzebą.

Myśl powstała z mgły i oślepiła go jak słońce. Poczłapał po kocich łbach do najbliższej alejki (miał tyle przyzwoitości, że nie ulżył sobie na schodach, nawet jeśli pojawiły się nie wiadomo skąd).

Na wpół wszedł, na wpół się wtoczył w wąski prześwit pomiędzy budynkami i dopiero wtedy uprzytomnił sobie, jak bardzo jest ciemno — nie zobaczyłby własnej ręki, nawet gdyby był dostatecznie trzeźwy. Ale oczy stale mu się zamykały, fakt ten tak naprawdę nie miał znaczenia.

Booth oparł czoło o chłodne kamienie ściany tawerny i oddawał mocz, śpiewając cicho szantę o kobietach, winie i... jeszcze jakimś innym słowie, chociaż nie mógł sobie teraz przypomnieć. Kiedy zapinał spodnie, porzucił melodię, a wracając ku wylotowi alejki, kopnął butem w coś leżącego na ziemi. Przedmiot prześlizgnął się i wylądował przy ścianie. Booth może by go tam zostawił, gdyby podmuch wiatru nie szarpnął najbliższą latarnią na haku, która oświetliła ciemną do tej pory alejkę.

Promień światła odbił się od metalu i Booth otworzył szeroko oczy. Może i wypił o kilka piw za dużo, ale chciwość okazała się trzeźwiącą, a kiedy światło ponownie zniknęło, odkrył, że chodzi na czworakach po wilgotnej powierzchni alejki, macając w ciemnościach, aż jego palce zacisnęły się wreszcie na cennej zdobyczy.

Podniósł się i przeszedł kilka kroków, do światła latarni, tam zaś zdał sobie

sprawę, że trzyma pochwę szabli z bronią w środku. Rękojeść błyszczała, nie srebrna, złota czy stalowa, lecz czarna. Czarna jak smoła i gładka jak rzeczny kamień. Booth objął palcami uchwyt i wysuwał broń z pochwy, wydając cichy jęk uznania. Metal ostrza był tak lśniący i ciemny jak rękojeść. Szabla wyglądała na niezwykle rzadką. Zważył ją w umięśnionych rękach.

Przyniosłaby sporo pieniędzy. Naprawdę sporo. Ale oczywiście w którymś z właściwych miejsc. Ma się rozumieć, nikt nie może jej uznać za kradzioną.

Znalezione nie kradzione... znalezione można sprzedać. I tak będzie.

Zabawna rzecz, jednak...

W opuszkach palców otaczających rękojeść zaczął czuć mrowienie.

„To trochę dziwne” — pomyślał w spokojny i beznamiętny sposób, charakterystyczny dla potężnego upojenia alkoholowego. Na początku nic go nie niepokoiło. Potem jednak starał się poluznić uścisk i nie mógł. Kazał swoim palcom puścić broń, lecz one pozostały mocno zaciśnięte wokół lśniącej czarnej rękojeści szabli.

Potrząsał ręką, najpierw powoli, później energicznie, niestety, nie udało mu się uwolnić palców. Aż nagle, zupełnie niespodziewanie, ciarki zmieniły się w szarpanie, gorące, zimne i obce równocześnie, bardzo, bardzo nieprzyjemne.

Doznanie to przenosiło się po ramieniu w górę, gdzieś pod skórą, a kiedy Booth zatoczył się w tył o krok, ku światłu widocznemu w wyjściu z alejki, zobaczył, że żyły na grzbiecie jego ręki, ponad przegubem dłoni i wyżej, ku łokciowi, czernieją.

Potrząsnął ręką gwałtowniej i niemal stracił równowagę, a mimo to najwyraźniej nie mógł wypuścić z palców oręza. Szabla mu na to nie pozwalała.

— Puść — mruknął, niepewny, czy zwraca się do własnej ręki, czy do broni, wokół której się zaciskała.

W odpowiedzi ręka trzymająca szablę — ręka, która już chyba wcale do niego nie należała — napięła się na gardzie. Booth stracił oddech, patrząc, jak jego palce z wolna odwracają ostrze ku jego własnemu brzuchowi.

— Do diabła! — zaklął, siłując się sam ze sobą, pustą ręką próbując powstrzymać drugą. Ale to nie wystarczyło — szabla była silniejsza niż stawiany przez niego opór — i jednym czystym pchnięciem dłoni Bootha, ta z szablą, wsunęła ostrze w jego brzuch, po czym wbiła aż po rękojeść.

Mężczyzna z jękiem zgiął się wpół w alejce, a ręka wciąż nie puszczała uchwytu. Czarna szabla gorzała mrocznym wewnętrznym światłem, po czym zaczęła się rozpuszczać. Lśniaca broń topiła się, choć nie spływała po ciele, lecz w nie wnikała. Przez ranę, wprost do jego wnętrza. W jego krew.

Serce Bootha biło przez chwilę wolniej, a potem dwa razy szybciej, tętniąc

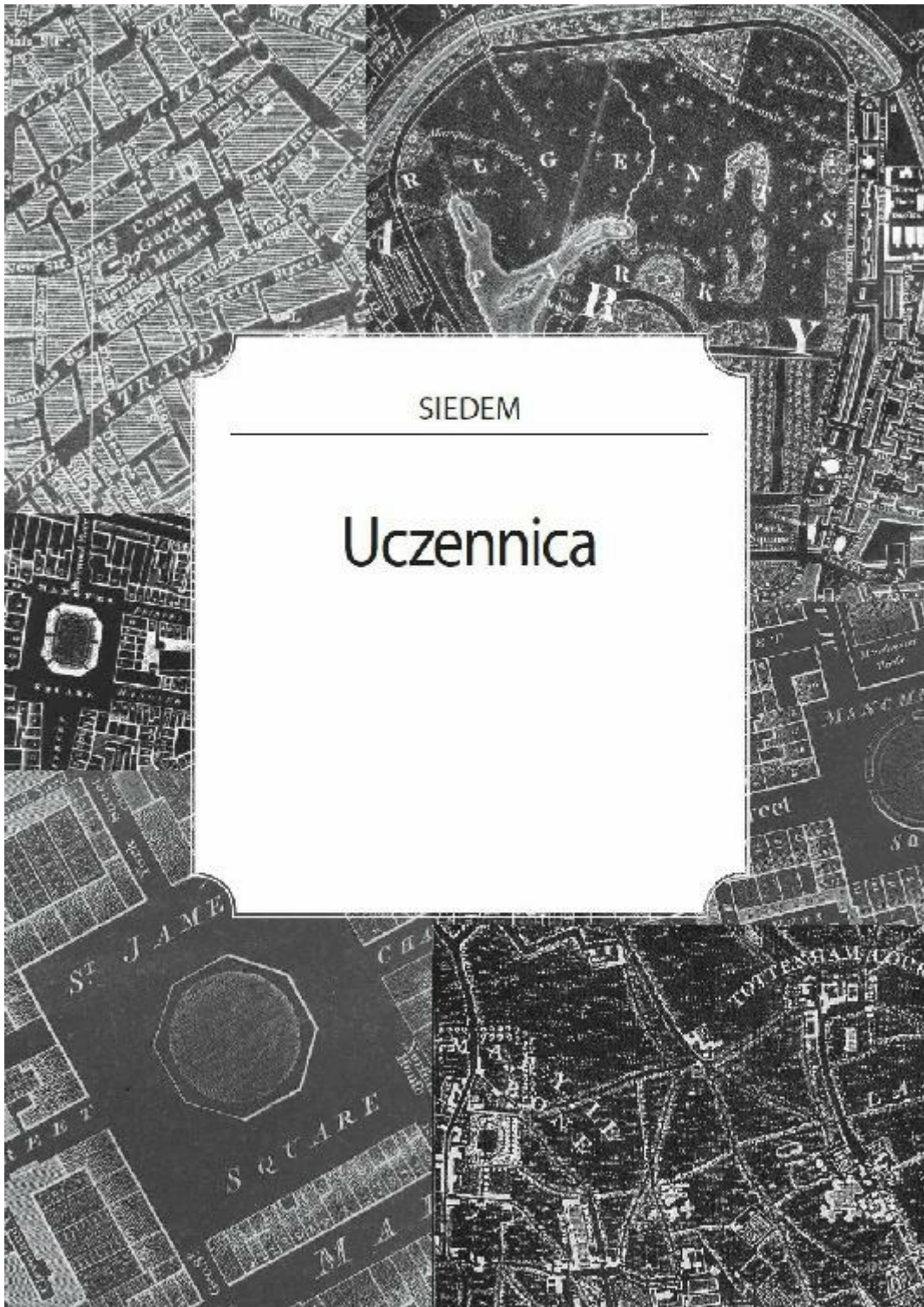
regularnie i silnie w jego żyłach wraz z rozprzestrzeniającą się magią. Ciało wreszcie zadrżało, a następnie znieruchomiało.

Przez długi moment Booth — to, co z niego pozostało — kuczał na bruku alejki, w bezruchu, z rękoma na brzuchu, tam gdzie wsunęło się ostrze i gdzie teraz jedynym śladem po ranie była atramentowo czarna plama, przypominająca stopiony воск. W końcu wolno przysunął do boków ramiona, których żyły były teraz całkowicie czarne, w kolorze prawdziwej magii.

Podniósł głowę, zamrugał dwojgiem czarnych oczu i rozejrzał się wokół.

Potem spojrział w dół, na siebie, na własną postać. Poruszył palcami, ostrożnie sprawdzając ich stan.

A później, powoli, pewnie, wstał.



SIEDEM

Uczennica

I

Lila mogła po prostu zejść do sali barowej Rzutu Kamieniem, ale miała już dostatecznie duży dług wobec Barrona — nie wzięłby od niej pieniędzy, albo sądząc, że będzie ich potrzebowała, albo uznając, że jej pieniądze nie są jej własnością — zresztą pragnęła zażyć świeżego powietrza, by zacząć myśleć jaśniej.

Inne Londyny.

Mężczyźni przechodzący przez magiczne drzwi.

Kamienie tworzące coś z niczego.

To brzmiało jak opowieści z książek.

Z książek przygodowych.

Przez chwilę miała w rękach wszystko. Potem jednak wszystko zniknęło. I pozostała z uczuciem pustki — głodna i pusta w jakimś nowym i przerażającym sensie. Albo może był to ten sam rodzaj głodu, który odczuwała zawsze, i dopiero teraz brakujący element zyskał nazwę: „magia”. Lila nie była pewna.

Wiedziała jedynie, że trzymając kamień, coś poczuła. Coś poczuła również, patrząc w czarne oko Kella. A także wtedy, kiedy magia zacisnęła kawałki boazerii wokół jej nadgarstka. Znowu przetoczyły się jej przez głowę pytania, znowu odsunęła je od siebie, wciągnęła do płuc haust nocnego powietrza — gęstego od sadzy i ciężkiego z powodu nieuchronnie nadciągającego deszczu — i powlokła się przez sieć ulic i przez Westminster do Jałowej Fali.

Jałowa Fala mieściła się niedaleko, na północ od mostu na południowym brzegu, wciśnięta pomiędzy Belvedere i York, w wąską uliczkę o nazwie alejka Żeglarzy. Lila wpadała tam wcześniej, w niektóre co bardziej udane złodziejskie noce, zanim wróciła na nocleg do Powella (wychodziła z założenia, że zamiast oddawać mu część zarobku, równie dobrze może go wydać w pubie). Lubiła ten lokal z powodu ciemnego drewna, zaparowanych okien, prostego wystroju i jeszcze prostszej strawy. Niezbyt dobre miejsce na okradanie klientów, ale niezłe, gdy chciała się wtopić w tłum, oficjalnie zniknąć. Nieszczególnie się obawiała, że zostanie tam rozpoznana, czy to jako dziewczyna (światło zawsze było tu słabiutkie, a Lila nie zdejmowała kaptura), czy to jako poszukiwana przez policję złodziejka (większość tutejszych gości była z jakiegoś powodu poszukiwana).

Broń trzymała pod ręką, ale nie sądziła, że trzeba będzie jej użyć. W Jałowej Fali ludzie zajmowali się wyłącznie własnymi sprawami. Kiedy czasami, całkiem często, wybuchała jakaś awantura, stali bywalcy raczej koncentrowali się na bezpieczeństwie

swoich trunków (prędzej ratowaliby dzban z piwem z trzęsącego się stołu, niż ruszali na pomoc człowiekowi, który na ten stół upadał) i Lila wyobrażała sobie, że gdyby ktoś wołał o pomoc w samym środku sali, zobaczyłby co najwyżej uniesione kufle i brwi.

Bez wątpienia nie był to lokal, w którym chciałyby spędzać wszystkie wieczory. Ale dzisiejszy na pewno tak.

Dopiero gdy pewnie usadowiła się przy barze i objęła palcami półlitrowy kufel z piwem, skupiła się na pytaniach, które stale od siebie odpychała — na tych wszystkich „dlaczego”, „jak” i, najliczniejszych, „co teraz”, ponieważ miała świadomość, że nie może po prostu na powrót udawać, że nie wie, nie widziała i nie zastanawiała się — i tak mocno się na nich skoncentrowała, że nie zauważyła, jak usiadł obok niej jakiś mężczyzna. Do czasu, aż się odezwał.

— Lękasz się?

Mówił głosem głębokim, spokojnym, z obcym akcentem. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

— Co takiego? — spytała, prawie zapominając, że powinna mówić nisko, po męsku.

— Ściskasz szkło — wyjaśnił, wskazując na pobielełe kostki jej owiniętych wokół kufla palców.

Odprężyła się, ale tylko trochę.

— Długa noc — odparła, podnosząc do ust ciepłe piwo.

— I jeszcze taka młoda — zadumał się, wypijając łyk ze szklaneczki. Nawet w Jałowej Fali, której wewnątrz wypełniał każdej nocy różnorodny tłumek, mężczyzna wydawał się nie na miejscu. W kiepskim świetle pubu wyglądał na osobliwie... wyblakłego. Ubranie miał ciemnoszare, prostą krótką pelerynę, spiętą srebrną kłamrą. Jego skóra była blada, a na tle kontuaru z ciemnego drewna, na którym ułożył dłonie, wydawała się jeszcze bledsza, włosy miał w dziwacznym, bezbarwnym odcieniu antracytu. Przemawiał tonem opanowanym, lecz niezbyt przyjemnym, pustym i przez to przyprawiającym Lilę o dygot. A jego obcy akcent był jakiś chropawy.

— Nie jesteś stąd, co? — spytała.

Uśmiechnął się, ledwie o milimetr unosząc kąciki ust.

— Nie.

Przesunął palcem po brzegu szklanki w przypadkowym geście. Chociaż nie, ten gest nie wydawał się Lili przypadkowy. Żaden z gestów mężczyzny taki nie był. Obcy poruszał się wręcz z powolną precyzją, która ją denerwowała.

Tak, było w nim coś dziwnego, a równocześnie irytująco znajomego. Nie potrafiła tego doznania sprecyzować, ale tak czuła... I nagle wiedziała! Znała to uczucie. Tak samo się czuła, gdy patrzyła w czarne oko Kella, gdy trzymała kamień, gdy tkwiła

przywiązana do ściany. Ciarki. Mrowienie. Szepty.

Magia!

Napreżyła mięśnie, lecz miała nadzieję, że przybysz niczego nie zauważył, gdy podnosiła do warg kufel.

— Przypuszczam, że powinniśmy się sobie przedstawić — powiedział, obracając się na stolku, żeby mogła zobaczyć jego twarz. Lila o mało nie udławiła się piwem. Mężczyzna miał rysy zwyczajne, zarówno w kształcie podbródka, jak i nosa czy ust. Ale jego oczy! Jedno było szarawozielone.

Drugie czarne jak smoła. — Nazywam się Holland.

Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Mężczyzna przypominał Kella, a jednocześnie był zupełnie inny. Patrząc w czarne oko Kella, odnosiła wrażenie, że spogląda przez okno w nowy świat. Obcy i dezorientujący, ale nie budzący trwogi. A byle zerknięcie w oko Hollanda przyprawiało ją o dreszcze.

Mroczne rzeczy kłębiły się tuż pod gładkimi, czarnymi głębinami. Jedno słowo przemknęło jej przez głowę. „Uciekać”.

Nie ufała sobie, więc nie podniosła ponownie kufła, na wypadek gdyby miały jej się zatrząść ręce. Odsunęła go zatem i od niechcienia wygrzebała szylinga z kieszeni.

— Bard — odparła, przedstawiając się i jednocześnie zegnając.

Już miała wstać od baru, kiedy mężczyzna chwycił jej nadgarstek, przygważdżając go do podniszczonego drewna między nimi dwojgiem. Pod wpływem dotyku nieznanego po jej ramieniu w górę przebiegły ciarki, a palce wolnej ręki zadrżały, szarpiąc się ku sztyletowi pod jej peleryną. Lecz Lila natychmiast nad tą pokusą zapanowała.

— A twoje imię, panienko?

Próbowała się uwolnić, jednak jego uścisk był jak z kamienia. A mężczyzna wcale się nie wysilał.

— Delilah — odburknęła. — Lila, jeśli wolisz. Teraz mnie puść, o ile nie chcesz stracić palców.

Jego wargi znowu wykrzywiły się w uśmiechu, który nie do końca był uśmiechem.

— Gdzie on jest, Lila?

Serce w niej zamarło.

— Kto?

Holland ostrzegawczo wzmocnił uścisk. Skrzywiła się.

— Nie kłam. Potrafię wyczuć na tobie jego magię.

Wytrzymała jego spojrzenie.

— Może dlatego, że użył jej, gdy przykuwał mnie do ściany po tym, jak go podstępnie okradłam, pozbawiłam przytomności i przywiązałam do łóżka.

Jeżeli poszukujesz swojego przyjaciela, nie pytaj mnie o niego. Nasze spotkanie nie przebiegło w przyjaznej atmosferze, a rozstaliśmy się w jeszcze gorszej.

Holland poluźnił rękę i Lila bezgłośnie westchnęła z ulgą. Ale jej radość była przedwczesna, gdyż sekundę później mężczyzna niespodziewanie zerwał się z miejsca. Złapał ją brutalnie za ramię i pociągnął w stronę drzwi.

— Co do jasnej cholery, robisz? — warknęła zaczepnie. Szurając butami po zniszczonej podłodze, usiłowała znaleźć jakiś punkt oparcia, lecz jej się nie udało. — Mówiłam ci, że nie jesteśmy przyjaciółmi.

— Zobaczymy — uciał Holland, wlokąc ją do wyjścia.

Klienci Jałowej Fali ani na chwilę nie podnieśli wzroku znad swoich trunków.

„Gnojki” — pomyślała Lila wypychana ostro na ulicę.

W chwili, gdy drzwi pubu zamknęły się za nimi, sięgnęła po rewolwer przy pasku, ale jak na kogoś, czyje ruchy wydawały się dość powolne, Holland okazał się szybki — wprost niemożliwie szybki — i kiedy Lila w końcu pociągnęła za spust, trafiła jedynie w ciemność. Zanim strzał w ogóle wybrzmiał, Holland pojawił się ponownie, tym razem za jej plecami. Czują go tam, czują, jak powietrze zmienia się w najkrótszej z chwil, po czym jedną rękę mężczyzna owinał wokół jej szyi, przyciskając jej ramiona do swojej piersi.

Drugą ręką otoczył jej palce na rewolwerze i podniósł go wraz z nimi, aż wylot lufy dotknął jej skroni. Cała czynność zajęła mu mniej niż tchnienie.

— Pozbądź się całej broni — poinstruował Lilę. — Albo zrobię to za ciebie.

Jego uścisk nie był miażdżący; jeśli już, był swobodny i pewny, a ona spędziła wystarczająco dużo czasu w towarzystwie wszelakiego sortu zabijaków i wiedziała, że naprawdę bać się należy właśnie tych, którzy trzymali broń tak swobodnie, jak gdyby się z nią urodzili. Wolną ręką wyjęła zza paska sztylet i rzuciła go na ziemię. Drugie ostrze wyciągnęła z pochewki na plecach. Trzecie zwykle nosiła w botku, ale teraz, zniszczone, leżało na jej łóżku. Holland zsunął dłoń z jej szyi na ramię, lecz jednocześnie groźnie zamachał rewolwerem.

— Co, żadnych armat? — spytał oschle.

— Jesteś obłąkany — mruknęła. — Twój przyjaciel Kell dawno stąd odszedł.

— Tak sądzisz? — zapytał Holland. — Dowiedzmy się.

Powietrze wokół nich zaczęło trzeszczeć od energii. Od magii! Holland miał rację — Lila zaczęła wyczuwać woń! Nie kwiatów, jak w przypadku Kella (u niego czuła kwiaty i coś jeszcze, coś trawiastego i czystego). Moc Hollanda pachniała natomiast metalicznie, jak podgrzana stal. Przypalała powietrze.

Lila zastanowiła się, czy Kell również jest w stanie wyczuć tę woń. Jeśli tego właśnie chciał Holland.

Było w tej magii coś jeszcze — nie zapach, ale raczej nastrój — coś gwałtownego jak gniew, jak nienawiść. Jakaś dzikość, która nie ujawniała się w rysach twarzy Hollanda. Nie, jego oblicze było zadziwiająco opanowane.

Przerazająco spokojne.

— Krzycz — polecił.

Lila zmarszczyła brwi.

— Co ro...?

Jej pytanie przerwał ból. Potężne ukłucie energii, niczym błyskawica w butelce lejdejskiej, uderzyło w jej ramię w miejscu, gdzie Holland je trzymał, tańcząc na jej skórze i elektryzując nerwy. Więc zanim zdołała się powstrzymać, rzeczywiście krzyknęła. A potem ból zniknął, niemal równie szybko, jak się pojawił, pozostawiając ją zadyszaną i roztrzęsioną.

— Ty... łajdaku — rzuciła opryskliwie.

— Zawołaj jego imię — pouczył ją Holland.

— Mogę cię zapewnić... że nie... przyjdzie — wydukała, potykając się na sylabach.

— Na pewno nie... dla mnie! My...

Druga fala bólu była ostrzejsza, bardziej przeszywająca. Lila zacisnęła zęby, żeby nie wrzasnąć, i czekała, aż ból minie, ale tym razem nie przeminął, tylko narastał. Jak przez mgłę dotarł do niej spokojny głos Hollanda.

— Może powinienem zacząć łamać ci kości?

Usiłowała zaprzeczyć, ale kiedy otworzyła usta, usłyszała jedynie własny krzyk. A wtedy ból, jakby tym zachęcony, stał się jeszcze potężniejszy.

Wówczas zawołała imię Kella, chociaż bez przekonania. Młody mag nie przyjdzie. Ale jeśli będzie się starała, może ten szaleniec zrozumie, że Kell się nie pojawi, i puści ją wolno. Niech sobie znajdzie inną przynętę. Ból wreszcie zelżał, a ona uprzytomniła sobie, że padła na kolana i jedną ręką trzyma się chłodnego kamienia ulicy, drugą zaś szarpie za sobą, ciągle w uścisku Hollanda. Pomyślała, że chyba zwymiotuje.

— Lepiej — ocenił mężczyzna.

— Idź do diabła! — wyrzuciła z siebie.

Poderwał ją na nogi i pociągnął ku sobie, po czym przyłożył jej lufę pod podbródek.

— Nigdy nie używałem broni palnej — powiedział jej do ucha. — Ale wiem, jak działa. Sześć strzałów, tak? Ty wystrzeliłaś raz. Jeśli bębenek był pełen, zostało pięć. Myślisz, że mógłbym wystrzelić w twoją stronę resztę, nie zabijając cię? Istoty ludzkie tak łatwo umierają, ale założę się, że jeśli będę mądry... — Zsunął lufę w dół ciała Lili, zatrzymując się przy jej ramieniu, łokciu, po czym przesunął w dół jej boku, do uda i zawahał się przy kolanie. — Im szybciej on przyjdzie, tym szybciej pozwolę ci odejść. Wołaj jego imię!

— Nie przyjdzie — wyszeptała z goryczą. — Dlaczego nie chcesz uwierzyć, że...

— Ponieważ znam naszego przyjaciela — odparł.

Podniósł rękę z rewolwerem — Lila zadrżała, gdy pocałunek metalu opuścił jej skórę — i beztrudnie objął ramieniem jej barki.

— Jest blisko. Słyszę jego buciory na ulicznych kamieniach. Zamknij oczy.

Słyszysz go?

Lila zacisnęła powieki, ale usłyszała jedynie głucho łomotanie własnego serca i myśl tłukącą się w głowie: „Nie chcę umierać. Nie tutaj. Nie teraz. Nie w ten sposób”.

— Sprowadź go do mnie — syknął Holland. Powietrze ponownie zaczęło szumieć.

— Nie... — Jej kości zapłonęły z bólu. Pędził od jej czaszki do znoszonych butów i z powrotem, aż krzyknęła. Potem nagle minął i dźwięk zamarł jej na ustach, a Holland ją puścił. Zgięła się do przodu, padając na kocie łby i ocierając sobie o nie kolana i dłonie.

Przez łomotanie w jej głowie przebił się głos mężczyzny.

— No i jesteś.

Z trudem uniosła głowę i zobaczyła Kella — dziwny młody mag stał na drodze w swoim czarnym płaszczu. Wyglądał na zziąjanego i rozgniewanego.

Lila nie mogła w to uwierzyć.

Wrócił.

Ale dlaczego?

Zanim zdążyła spytać, popatrzył prosto na nią — szeroko otwartymi oczyma, jednym czarnym i jednym niebieskim — i wypowiedział tylko jedno słowo: — Uciekaj.

II

Kell stał wcześniej na moście, opierając się o balustradę i próbując zrozumieć, jak i po co go wrobiono — fałszywy list, pokorna prośba, zakłęci zabójcy — kiedy wychwycił w powietrzu woń magii. Nie jakiś ledwo wyczuwalny cień aromatu, ale zapach wyraźny jak blask pochodni. Jak światło latarni morskiej w ciemnym mieście. Poznałby ten zapach wszędzie. Rozgrzana stal i popiół.

Holland!

Stopy same poniosły go w tamtą stronę; pierwszy krzyk usłyszał dopiero, gdy zszedł z południowego końca mostu. Powinien się wtedy zatrzymać, powinien wszystko przemyśleć. To była jawna i oczywista pułapka (Holland wysyłał błysk mocy tylko po to, żeby ktoś go dostrzegł, a jedyną osobą w Szarym Londynie, która zauważyłaby taki sygnał, był on, Kell), a mimo to ruszył biegiem.

„Gonią cię?” — spytała go wcześniej Lila.

„Nie. Nie potrafią przejść tutaj za mną”.

A jednak się mylił. Nikt na świecie nie mógł za nim podążyć... z wyjątkiem Hollanda. Tylko Holland potrafił tu przyjść, co oznaczało, że przybył po kamień. To również oznaczało, że Kell powinien oddalić się od sygnału i od krzyku, a nie biec ku nim.

Krzyk dał się słyszeć ponownie i tym razem Kell był już tak blisko, że rozpoznał źródło głosu, który niósł się w ciężkim powietrzu.

Lila.

Po co Holland szukał akurat jej?

Ale Kell znał odpowiedź. Tkwiła w jego piersi niczym kamień. Holland odszukał Lilę z jego powodu. Ponieważ w świecie z tak niewielką ilością magii wyróżniał się każdy jej ślad. A Lila nosiła na sobie ślady — zarówno jego magii, jak i magii kamienia. Kell wiedział, jak ukryć własne. Lila na pewno by tego nie potrafiła. Była jak pochodnia.

„To jej wina — pomyślał, chociaż pędził do miejsca, gdzie krzyczała. — Jej cholerna wina”.

Biegł ulicą, ignorując ból płonący w żebrach i głos w głowie, który kazał mu zostawić dziewczynę i uciekać, póki jeszcze może.

Jawna i oczywista zasadzka.

Pędził wzdłuż rzeki, przez jakąś uliczkę, potem skręcił za róg i zatrzymał się chwiejnie w wąskiej alejce. W tej samej sekundzie usłyszał krzyk dziewczyny i

zobaczył, jak jej ciało opada do przodu, na uliczny bruk. Holland stał nad nią, ale wzrok kierował przed siebie, na Kella.

— No i jesteś — powiedział, jak gdyby ucieszył się na widok drugiego antariego.

Kellowi zakręciło się w głowie. Lila podniosła oczy.

— Uciekaj — powiedział jej, ale ona nadal tylko się w niego wpatrywała.

— Lila, biegnij.

Skupiła się wtedy i niepewnie wstała, lecz Holland chwycił ją za ramię i przycisnął do jej szyi lufę rewolweru.

— Nie, Lila — oznajmił spokojnym, ogromnie irytującym tonem. — Zostajesz.

Kell zacisnął dłonie w pięści.

— O co chodzi, Holland?

— Bardzo dobrze wiesz. Masz coś, co do ciebie nie należy.

Kamień ciążył mu w kieszeni. Nie, nie należał do niego. Ale nie należał też do Hollanda. I, oczywiście, nie stanowił własności Białego Tronu. Gdyby ci żądni władzy Dane'owie zdobyli kamień, nigdy by się go nie zrzekli, a już na pewno nie zamierzaliby go odnieść do Czarnego Londynu. Zresztą kto by się chciał pozbywać takiego talizmanu?! Kto chciałby go oddawać?!

Mając po swojej stronie moc czarnego kamienia, Astrid i Athos byłiby niemal niezwyciężeni. Tak, ale z drugiej strony każdy człowiek z gminu mógłby użyć jego magii i zostać królem. Dlaczego ktoś żyjący w świecie tak bardzo głodnym mocy jak Biały Londyn miałby podejmować wysiłek pozbycia się przedmiotu tak wspaniałego?

„Ze strachu” — odpowiedział sobie w myślach. Ze strachu przed magią i przed tym, co się wydarzy, jeśli kamień wpadnie w ręce bliźniaków. Astrid i Athos bez wątplenia dowiedzieli się o talizmanie i jego zniknięciu, więc wysłali Hollanda, żeby go odzyskał.

— Daj mi kamień, Kell.

Myślał szybko.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł.

Holland posłał mu miażdżące spojrzenie. Prawie niepostrzeżenie zacisnął palce na ramieniu Lili i jego moc zaskwierczała na skórze dziewczyny. Ta zdławiła krzyk i usiłowała ustać na nogach.

— Przestań — zażądał Kell i Holland go posłuchał.

— Chcesz, żebym zrobił to jeszcze raz? — spytał.

— Po prostu ją puść — odparował Kell.

— Najpierw kamień — powiedział Holland.

Kell przełknął ślinę, wyjmując talizman z kieszeni płaszcza. Ten szumiał przy opuszkach jego palców, domagając się użycia.

— Możesz spróbować mi go odebrać — rzucił Kell — natychmiast gdy wypuścisz dziewczynę.

Ledwie wymówił te słowa, a już ich pożałował.

Holland wykrzywił kącik ust z ponurą determinacją. Cofał dłoń z ramienia Lili, jeden palec po drugim. Dziewczyna zachwiała się, o mało nie upadając do przodu, po czym obróciła się ku niemu.

— Fruń, mały ptaszku — oznajmił Holland, wciąż patrząc na Kella.

— Idź — ponaglił ją Kell.

Czuł jej wzrok na sobie, ale nie był głupi i nie zamierzał odwracać spojrzenia od Hollanda — nie teraz — a gdy w końcu usłyszał stukot butów dziewczyny oddalającej się od nich obu, szybko odetchnął z ulgą.

„Dobrze — pomyślał. — Dobrze”.

— To było niemądre — oznajmił mu Holland, odrzucając na bok rewolwer, jakby ta broń nie była go godna. — Powiedz mi coś... Jesteś tak arogancki, jak mi się wydajesz, czy tylko strasznie naiwny?

— Holland, proszę...

Drugi antari spochmurniał.

— Popatrz na mnie, Kell, i pomyśl, że jesteśmy do siebie podobni, a nawet tacy sami, jak jedna osoba na dwóch rozbieżnych ścieżkach. Może sądzisz, że moc nas ze sobą wiąże. Pozwól, że wyprowadzę cię z błędu. Może dzielimy podobne zdolności, ale nie oznacza to, że jesteśmy sobie równi.

Poruszył palcami, a Kella ogarnęło podejrzliwe przecucie, że to wszystko źle się skończy. Holland walczył kiedyś przeciwko Dane'om. Przelewał krew, życie i magię. Prawie zażądał dla siebie tronu.

Kell musiał mu się wydawać rozpuszczonym dzieciakiem.

A jednak to on miał kamień. To była zła magia, magia zakazana, ale magia.

Kamień go przywoływał i Kell zacisnął na nim palce, a wyszczerbiona powierzchnia talizmanu wbiła mu się w dłoń. Moc kamienia nacierała na niego, chciała go przeniknąć, Kell natomiast stawiał opór i utrzymywał mur pomiędzy siłą talizmanu a własną. Nie musiał robić dużo — tylko wezwać coś nieożywionego, coś, co powstrzyma Hollanda, ale nie zwróci się przeciwko nim obu.

„Klatka” — pomyślał. A potem rozkazał:

— Klatka.

Kamień w jego ręce zaszumiał, spomiędzy palców Kella zaczął się wydobywać czarny dym i...

Ale Holland nie czekał dłużej.

Powietrzem szarpnął podmuch wiatru i mocno uderzył w Kella, spychając go w

drzwi znajdującego się za nim sklepu. Kamień wypadł mu z dłoni, a kiedy dotknął brukowanej ulicy, smugi czarnego dymu ponownie rozproszyły się w nicość. Zanim Kell zdążył się rzucić po talizman, metalowe gwoździe w innych drzwiach zadrżały, wysunęły się i przeleciały przez powietrze, po czym wbiły się w okrycie Kella i przyszpiliły go do drewna. Większość trafiła w tkaninę, ale jeden wbił mu się w ciało i Kell aż syknął z bólu, kiedy gwóźdź przebił mu ramię i utkwił w drzwiach za nim.

— Niezdecydowanie zabija przewagę — zadumał się głośno Holland, kiedy Kell na próżno walczył z metalowymi szpilami. Chciał je poruszyć, ale Holland kazał im trwać w miejscu i wola białego antarego okazała się silniejsza.

— Co tu robisz? — spytał Kell przez zaciśnięte zęby.

Holland westchnął.

— Myślałem, że to oczywiste — odparł, robiąc krok w stronę kamienia. — Sprzątam bałagan.

Holland zmierzał ku talizmanowi, tymczasem Kell próbował się skoncentrować na przygważdżającym go żelazie. Kiedy jego wola starła się z wolą drugiego antarego, gwoździe zaczęły drżeć. Wyślizgnęły się o centymetr.

Kell zacisnął zęby, gdy ten w jego ramieniu się poruszył. Holland się zawahał, klękając, by podnieść kamień z ziemi.

— Nie rób tego — przestrzegł go Kell.

Ale Holland zignorował ostrzeżenie. Wziął talizman i wyprostował się, waząc go w dłoni. Wolę i uwagę skupił teraz na kamieniu. Tym razem, gdy Kell się skoncentrował, przytrzymujące go gwoździe zatrzęśły się i zaczęły wyślizgiwać. Wysunęły się ze ściany, a także z jego płaszczu i ciała, po czym z brzękiem spadły na ziemię dokładnie w momencie, gdy Holland podniósł kamień do światła najbliższej lampy.

— Zostaw go — rozkazał Kell, ściskając kurczowo poranione ramię.

Holland nie posłuchał.

Zamiast tego zadarł głowę i oglądał mały czarny kamień.

— Zorientowałaś się już, jak to działa? — spytał.

A potem, kiedy Kell rzucił się przed siebie, Holland zacisnął szczupłe palce na kamieniu. Był to drobny gest, powolny, niedbały, lecz w chwili, kiedy pięść białego antarego się zamknęła, dym wylał się spomiędzy jego palców i otoczył Kella.

Wszystko zdarzyło się niezwykle szybko. W jednej chwili Kell gwałtownie ruszył przed siebie, a w następnej jego nogi znieruchomiały w pół kroku. Kiedy patrzył w dół, widział, że wokół jego butów kłębią się ciemności.

— Stój — rozkazał Holland, kiedy dym ukształtował się w stalowe, ciężkie czarne łańcuchy, które wyrosły prosto z nawierzchni ulicy i ze szczękiem zaciskały się wokół

kostek Kella, zatrzymując go w miejscu. Gdy Kell sięgnął ku nim, poparzył sobie dłonie i cofnął je, sycząc z bólu.

— Kluczem jest przekonanie — rzekł Holland, przesuając kciukiem po ścianie kamienia. — Ty wierzysz, że magia jest czymś nam równym.

Towarzyszem. Przyjacielem. A prawda jest inna. Kamień stanowi na to dowód. Albo jesteś panem magii, albo jej niewolnikiem.

— Odłóż go — prosił Kell. — Nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Masz rację — zgodził się Holland, ciągle kurczowo trzymając kamień.

— Ale takie mam rozkazy.

Coraz więcej dymu wydobywało się z talizmanu i Kell przygotował się na kolejny atak, tym razem jednak magia nie zatrzymała się i nie przyjęła żadnego kształtu. Wirowała i owijała się wokół nich obu, jak gdyby Holland jeszcze nie zdecydował, co z nią zrobić. Kell przywołał podmuch powietrza, mając nadzieję, że uda mu się rozproszyć dym, ale wiatr przeleciał prosto przez magię, wydymając tylko pelerynę Hollanda; mroczna magia pozostała nietknięta.

— Dziwne — powiedział Holland tak samo do siebie, jak do Kella — że jeden mały kamyk może uczynić tak dużo.

Zacisnął palce na kamieniu i magia zaczęła się wić wokół Kella. Nagle dym ogarnął wszystko, zamazując mu widok, wciskając mu się do nosa, do ust i niżej, w gardło, dławiąc go, dusząc.

A później zniknął.

Kell kaszlał, z trudem łapał oddech i patrzył w dół, na siebie, lecz nie odniósł żadnych obrażeń.

Przez chwilę sądził, że magia zawiodła.

I wtedy poczuł smak krwi.

Podniósł palce do ust, ale znieruchomiał, widząc swoją dłoń mokrą i czerwoną. Nadgarstki i ramiona również miał wilgotne.

— Co...? — zaczął, ale nie zdołał dokończyć pytania.

Usta wypełnił mu smak miedzi i soli. Zgiął się wpół i wymiotował, aż stracił równowagę i upadł na ulicę.

— Jedni mówią, że magia żyje w umyśle, inni, że w sercu — oznajmił Holland spokojnie — ale my obaj wiemy, że mieszka ona we krwi.

Kell ponownie zakaszlał i ziemię pod nim skropiła świeża czerwień. Krew ciekła mu z nosa i ust. Lała się z jego dłoni i przegubów. Miał zawroty głowy, a serce mu łomotało, kiedy wykrwawiał się na ulicę. Nie broczył krwią z jakiejś rany. Po prostu tracił całą krew! Kocie łby pod nim szybko robiły się śliskie.

Nie potrafił zatrzymać tego procesu. Nie był nawet w stanie się podnieść. A jedyna

osoba, która mogła przerwać zakłęcie, wpatrywała się w niego, okazując brak zainteresowania, który graniczył z obojętnością.

— Holland... posłuchaj mnie — błagał Kell. — Możesz... — Usiłował się skupić. — Kamień... on może zrobić...

— Oszczędzaj powietrze.

Kell przełknął ślinę i wydusił z siebie:

— Możesz użyć kamienia... aby wyrwać się ze swojego więzienia!

Biały antari uniósł antracytową brew, a potem potrząsnął głową.

— Ten przedmiot... — powiedział, stukając w srebrny krąg na swoim ramieniu — ...to nie on mnie wiąże. — Klęknął przed Kellem, starając się uniknąć kontaktu z rozlewającą się krwią. — On jest tylko kawałkiem metalu.

— Odsunął kołnierz i pokazał znak wypalony w skórze nad sercem. — To jest prawdziwe piętno. — Skóra była w tym miejscu srebrzysta, znak wyglądał na osobliwie świeży i chociaż Kell nie mógł zobaczyć pleców drugiego antariego, wiedział, że symbol przeszedł na wylot. To było piętno na duszy.

Zakłęcie wypalone nie tylko na ciele, lecz we wszystkich przejawach życia.

Niezniszczalne.

— Nigdy nie blednie — wyznał Holland — ale Athos od czasu do czasu wciąż je podsycza. Wtedy, gdy sądzi, że się buntuję. — Spojrzał na kamień w swojej dłoni. — Albo kiedy mu się nudzi. — Jego palce napięły się wokół talizmanu i Kell wykaszłał kolejną porcję krwi.

Rozpaczliwym gestem dotknął monet zawieszonych na szyi, lecz Holland dotarł tam pierwszy. Wyciągnął je spod jego kołnierza i zerwał sznury ostrym szarpnięciem, po czym odrzucił je wraz z symbolami gdzieś w alejkę. Kiedy Kell usłyszał dźwięk monet odbijających się w ciemnościach od bruku, serce w nim zamarło. Próbował skupić się na rozkazach krwi, ale najwyraźniej nie potrafił utrzymać słów w głowie, a cóż dopiero mówić o połączeniu ich ze sobą w sensowną całość. Za każdym razem, kiedy powstało jakieś połączenie, rozpadało się za sprawą tego czegoś, co zabijało go od wewnątrz. A ilekroć starał się stworzyć słowo, więcej krwi wypełniało jego usta. Kaszłał i desperacko chwycił się sylab, lecz tylko się nimi dławił.

— As... An... — wyjąkał, jednak magia znowu wypchnęła krew do jego gardła, uniemożliwiając wypowiedzenie frazy.

Holland cmoknął językiem.

— Moja wola przeciwko twojej, Kell. Nigdy nie wygrasz.

— Proszę — wykrztusił i zrobił nierówny wdech. Ciemna plama pod nim zbyt szybko się rozszerzała. — Nie rób tego...

Holland obrzucił go litościwym spojrzeniem.

— Przecież wiesz, że nie mam wyboru.

— Stwórz sobie wybór! — Metaliczny smak krwi wypełniał usta i nos Kella. Wzrok znów mu się zaćmił. Jedno jego ramię niebezpiecznie się wygięło.

— Boisz się śmierci? — spytał Holland, jak gdyby autentycznie zainteresowany. — Nie martw się. Naprawdę bardzo trudno jest zabić antarich. Ale nie mogę mieć...

Przerwał mu błysk metalu w powietrzu i dźwięczny odgłos uderzenia w kość, kiedy coś trafiło go w czaszkę. Holland upadł ciężko, kamień wypadł z jego dłoni i potoczył się zwinnie o kilka metrów w mrok. Kellowi udało się na tyle dobrze skupić wzrok, że zobaczył Lilę stojącą przed nim i trzymającą kurczowo w obu dłoniach żelazną sztabę.

— Spóźniłam się?

Oszołomiony tym Kell wydał z siebie śmiech, który szybko się zmienił w straszliwe ataki kaszlu. Świeża krew splamiła jego wargi. Zakłęcie nie zostało przerwane. Łańcuchy wokół jego kostek zaczęły się naprężać i Kell stracił oddech. Holland już go nie atakował, ale magia czyniła to nadal.

Desperacko próbował powiedzieć coś Lili, lecz nie mógł złapać powietrza.

Jednak na szczęście nie musiał nic mówić. Dziewczyna już stała przed nim.

Szybkim ruchem chwyciła kamień, wytarła go o zakrwawiony bruk, a potem podniosła jak latarnię.

— Zatrzymaj! — rozkazała.

Nic.

— Odejdź!

Magia się zachwiała.

Kell przycisnął dłonie płasko do kałuży krwi pod sobą.

— As Anasae — powiedział i zakaszłał. Skoro wola Hollanda już na niego nie działała, rozkaz w końcu opuścił jego usta.

Tym razem magia usłuchała.

Zakłęcia straciły moc. Łańcuchy wokół jego nóg rozpuściły się i zniknęły, a płuca wreszcie wypełniły się powietrzem. Moc popłynęła przez tę niewielką ilość krwi, która pozostała w jego żyłach. Odnosił wrażenie, że prawie nic tam nie było.

— Możesz stanąć? — spytała Lila. Pomogła mu się podnieść i cały świat się zakołysał, a Kell przez kilka straszliwych sekund miał przed oczyma wyłącznie ciemność. Czuł, że dziewczyna ściska go mocniej.

— Trzymaj się — powiedziała.

— Holland... — wymamrotał, a własny głos w uszach brzmiał dla niego obco i odległe.

Lila popatrzyła raz jeszcze na mężczyznę rozciągniętego na ziemi. Rękę zacisnęła

na kamieniu, a z jej palców zaczął wydobywać się dym.

— Czekaj... — powiedział Kell niepewnie, lecz łańcuchy już przyjmowały kształt, najpierw dymu, a następnie tego samego ciemnego metalu, którego Kell dopiero co się pozbył. Wydawały się wyrastać wprost z powierzchni alejki i obejmowały ciało Hollanda, jego pas, nadgarstki i kostki nóg, przygważdżając go do wilgotnej ziemi, tak jak Holland wcześniej przygwoździł Kella. Nie utrzymają go długo, ale były lepsze niż nic. Najpierw Kell się zdumiał, że Lila potrafi przywołać coś tak konkretnego. Potem przypomniał sobie, że nie musiała posiadać mocy. Wystarczyło, że czegoś zechciała. Kamień załatwiał resztę.

— Żadnej magii więcej — ostrzegł, kiedy wepchnęła sobie kamień do kieszeni, a na jej twarzy pojawiło się napięcie. Na chwilę dziewczyna puściła Kella, a kiedy ten zrobił krok do przodu, o mało nie upadł. Lila pojawiła się znowu i chwyciła go.

— No już, spokojnie — powiedziała, podnosząc jego ramię i skłaniając go, żeby objął jej wąskie barki. — Musiałam znaleźć moją broń. Zostań ze mną.

Kell jak najdłużej starał się zachować przytomność, ale świat był niebezpiecznie cichy. Odległość między jego myślami a ciałem coraz bardziej rosła. Nie czuł bólu w ramieniu, tam gdzie wbił się w nie gwóźdź, w ogóle zbyt dużo nie czuł, co przerażało go bardziej niż nacierająca ciemność. Walczył już wcześniej, ale nigdy tak jak teraz, nigdy o życie. Wiele razy wpadał w tarapaty (przeważnie z winy Rhya) i zdobył sporo siniaków, lecz zawsze z kłopotów wychodził bez szwanku. Nigdy nie był poważnie ranny, nigdy nie potrzebował zmuszać własnego serca do bicia. Teraz bał się, że jeśli przestanie się wysilać, jeśli przestanie stawiać jedną stopę przed drugą i jeśli zamknie na chwilę oczy, może naprawdę umrzeć. Nie chciał umierać. Gdyby tak się stało, Rhy nigdy by mu tego nie wybaczył.

— Zostań ze mną — powtórzyła Lila.

Próbował się skupić na ziemi pod swoimi stopami. Na deszczu, który zaczął padać. Na głosie Lili. Jej słowa zlewały się, ale trzymał się tych dźwięków, kiedy starał się nie zapaść w mrok. Trzymał się ich, kiedy Lila pomagała mu przejść przez most, który wydawał się ciągnąć i ciągnąć w nieskończoność, i przez ulice, które wiły się i przechylały wokół nich. Trzymał się ich, kiedy ręce — Lili, a potem chyba także drugiej osoby — wciągały go przez drzwi, w górę po starych schodach i do pokoju, i kiedy zdzierały z jego ciała ubranie przesiąknięte krwią.

Trzymał się, aż poczuł pod sobą wąskie łóżko — wówczas przestał słyszeć głos Lili i nic się zerwała.

W końcu poddał się i z ulgą runął w ciemność.

III

Lila była przemoczona do suchej nitki.

W połowie ich drogi przez most niebo całkowicie się otworzyło — zamiast mżawki, w której Londyn bez wątpienia często się lubował, rozpętała się potężna ulewa. Po kilku chwilach oboje kompletnie przemokli. Z tego powodu prowadzenie na wpół przytomnego Kella nie stało się bynajmniej ani trochę łatwiejsze. Lilę bolały ramiona od podtrzymywania mężczyzny — dwukrotnie o mało nie wypuściła go z rąk — i do czasu, aż dotarła do tylnych drzwi Rzutu Kamieniem, on był ledwie przytomny, a ona dygotała na całym ciele i myślała wyłącznie o tym, że powinna była uciec.

Nie przetrwała przecież tak długo, żywa i wolna, dlatego, że pomagała każdemu głupcowi, który wpakował się w tarapaty! Powinna zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby trzymać się z dala od kłopotów, a Holland — kimkolwiek był — na pewno oznaczał kłopoty.

Ale Kell przecież wrócił.

Nie musiał — nie miał żadnego powodu — a mimo to wrócił. Ciężar jego czynu przytłaczał ją, kiedy uciekała, aż zwolniła, po czym ostatecznie się zatrzymała, po chwili zaś odwróciła się i popędziła z powrotem, choć w głębi duszy żywiła cichą nadzieję, że zjawi się za późno. Miała nadzieję, że już odeszli. Z drugiej strony, chciała przybyć na czas, chociażby po to, aby poznać przyczyny.

Dowiedzieć się, dlaczego wrócił.

Zadała mu to konkretne pytanie, kiedy pomagała mu wstać. Ale jej nie odpowiedział. Zwiesił głowę i opierał ją na jej kołnierzu. Co tu się zdarzyło, do diabła? Co ten Holland mu zrobił?

Nie była w stanie nawet ustalić, czy Kell wciąż krwawi — żadnej oczywistej rany u niego nie widziała — ale był pokryty krwią i z tego powodu żałowała, że nie uderzyła Hollanda po raz drugi. Kell wydał z siebie teraz cichy odgłos, coś pomiędzy westchnieniem a jękiem, więc zaczęła do niego mówić, zaniepokojona, że mógłby przy niej umrzeć i byłaby to w jakiś sposób jej wina, chociaż przecież do niego wrócił.

— Zostań ze mną — prosiła, kładąc jego ramię na swoich barkach. Gdy jego ciało znajdowało się tak blisko niej, potrafiła myśleć jedynie o zapachu.

Nie o zapachu krwi — nie, ten jej nie drażnił — ale o innych woniach, które mocno przylgnęły do ciał Kella i Hollanda. Kwiaty i ziemia, metal i popiół.

„Potrafię wyczuć na tobie jego magię”.

Czy tym była ta woń? Zapachem magii? Lila wyczuła go przelotnie wcześniej,

kiedy po raz pierwszy ciągnęła nieprzytomnego Kella po podłodze sypialni. Teraz, gdy obejmowała jego ramię, zapach był zniewalający. W

powietrzu wisiał też jeszcze słaby aromat bijącej od Hollanda gorącej stali. A kamień, chociaż był bezpieczny w jej kieszeni, wydierał woń, która ogarniała alejkę. Przywodziła na myśl morze i dym z palącego się drewna. Sól i ciemność. Przez moment Lila czuła dumę z siły swoich zmysłów — aż przypomniała sobie, że na własnym ciele nie wyczuła emanującego od Kella zapachu kwiatów czy dymu kamienia ani kiedy szła do Jałowej Fali, ani gdy siedziała tam przy kontuarze i gdy po tych zapachach wytropił ją tam Holland.

Deszcz padał intensywnie i jednostajnie, i w końcu przestała wyczuwać cokolwiek poza zapachem wody na kamieniach. Może nie miała dostatecznie dobrego węchu. Może woń magii wciąż tu była, gdzieś pod deszczem — Lila nie wiedziała, czy tę woń można wymazać albo przynajmniej przytłumić, ale miała nadzieję, że nawałnica pomoże ukryć ich ślady.

Była już w połowie schodów — buty Kella zostawiały za sobą zabarwioną na czerwono wodę — kiedy zatrzymał ją czyjś głos.

— Co robisz, na litość boską?!

Odwróciła się i zobaczyła Barrona, a Kell niemal wyslizgnął się z jej uścisku. Złapała go w pasie w ostatniej chwili, ratując przed upadkiem.

— Długa historia. Ciężkie ciało.

Barron zerknął za siebie, na karczmę, krzyknął coś do karczmarki, przerzucił ściereczkę przez ramię i podbiegł po stopniach do Lili. Razem wnieśli ociekającą wodą ciało Kella po pozostałych schodach i do małego pokoju na szczycie.

Kiedy zdejmowali antariemu mokry płaszcz i poplamioną koszulę, a potem kładli go na łóżku Lili, Barron zatrzymał wszelkie uwagi dla siebie. Nie spytał, gdzie znalazła tego nieznanego ani dlaczego nie miał żadnej rany, która tłumaczyłaby krwistoczerwony szlak pozostawiony przez niego na stopniach schodów (choć rozcięcie na jego żebrach nadal było dość zaognione). Gdy Lila przeczesywała pokój w poszukiwaniu czegoś do spalenia (na wypadek gdyby deszcz nie wystarczył, żeby ukryć ich zapach, i gdyby zapach z poprzedniej wizyty ciągle tu wisiał) i nic nie znalazła, Barron również jej nie wypytywał, tylko poszedł przynieść z kuchni na dole jakieś zioła.

Obserwował w milczeniu, jak podniosła miseczkę z nimi nad świecę i poczekała, aż pokój wypełni się aromatem ziemi, który nie miał nic wspólnego z Kellem, Hollandem czy magią. Właściciel karczmy został, kiedy przetrząsała kieszenie okrycia Kella (które okazało się mnóstwem okryć w jakiś sposób złożonych w jedno), szukając czegoś — czegokolwiek — co mogłoby mu pomóc wrócić do zdrowia (był przecież

magiem, a jest oczywiste, że magowie mają dostęp do magii). Nic nie powiedział, kiedy w końcu wygrzebała z kieszeni czarny kamień i wrzuciła go do małego drewnianego pudełka, włożyła do środka garść ciepłych ziół, po czym wepchnęła pudełko do dolnej szuflady komody.

Dopiero kiedy osunęła się na krzesło w nogach łóżka i zaczęła czyścić rewolwer, wreszcie przemówił:

— Co robisz z tym mężczyzną?

Minę miał ponurą, oczy zmrużone.

Lila popatrzyła na niego znad broni.

— Znasz go?

— W pewnym sensie — odparł wyniośle.

— Więc wiesz, kim jest? — spytała.

— A ty wiesz?! — zdziwił się Barron.

— W pewnym sensie — odcięła się. — Najpierw stał się moją ofiarą.

Mężczyzna pogładził ręką włosy i Lila po raz pierwszy zauważyła, że rzednieją.

— Chryste, Lila — wymamrotał. — Co mu zabrałaś?

Spojrzała na moment ku dolnej szufladzie komody, potem z powrotem na Kella. Wydawał się trupio blady na tle ciemnego pledu na jej łóżku. Leżał w bezruchu, a jedynie jego pierś wznosiła się i opadała.

Przypatrzyła się mu, temu młodemu magowi w jej łóżku; najpierw był tak tajemniczy, teraz tak bardzo obnażony. Bezbronny. Przyjrzała się jego brzuchowi, poranionym zębom, szyi. Później jej oczy podryfowały w dół jego ramion, nagich, z przypiętą pod łokciem pochwą z nożem. Tym razem go nie dotknęła.

— Co się zdarzyło? — spytał Barron.

Nie była całkowicie pewna, jak na to odpowiedzieć. Miała za sobą bardzo dziwną noc.

— Ukradłam coś i on po to przyszedł — wyjaśniła cicho, niezdolna oderwać oczu od twarzy Kella. We śnie wyglądał na młodszego. — Odebrał ten przedmiot. Sądziłam, że to koniec, ale ktoś inny przyszedł do mnie, bo go szukał. Znalazł mnie zamiast niego... — Zamilkła, a potem zaczęła na nowo: — A on uratował mi życie — powiedziała, trochę do siebie, marszcząc czoło. — Nie wiem dlaczego.

— Więc przyprowadziłaś go tutaj.

— Przepraszam — powiedziała, odwracając się do Barrona. — Nie miałam dokąd pójść. — Ta myśl ją zabolala. — Jak tylko on się obudzi...

Barron potrząsał głową.

— Wolę, żebyś była tutaj, niż zginęła. Osoby, które to zrobiły... — zamachał ręką ku ciału Kella — ...nie żyją?

Lila potrząsnęła głową.

Barron skrzywił się.

— Najlepiej powiedz mi, jak wyglądają, żebym wiedział, kogo nie wpuszczać.

Opisała Hollanda najlepiej, jak potrafiła. Wyblakły wygląd. Różnobarwne oczy.

— Był podobny do Kella — dodała. — Jeśli to ma sens. Jak...

— Magia — wyjaśnił Barron rzeczowo.

Lila wybałuszyła oczy.

— Skąd ty...

— Prowadząc karczmę, spotykasz wszystkie typy ludzi. Prowadząc tę karczmę, spotykasz wszystkie typy ludzi, a potem jeszcze innych.

Lila zdała sobie sprawę, że drży, i w czasie, gdy się przebierała, Barron poszedł poszukać koszuli dla Kella. Wrócił z dodatkowym ręcznikiem, małym stosikiem ubrań i miską parującej zupy. Lila miała z tego powodu wyrzuty sumienia, a równocześnie była wdzięczna. Dobroć Barrona była jak przekleństwo, ponieważ dziewczyna wiedziała, że niczym sobie na nią nie zasłużyła. To nie było w porządku. Barron nie był jej nic dłużny. Ona jednak tak dużo mu zawdzięczała. Zbyt dużo. Myśl ta doprowadzała ją do szału.

Z drugiej strony, głód, który w końcu ją dopadł, stał się równie nieznośny jak zmęczenie, a zimno na skórze szybko przeniknęło kości. Lila przyjęła więc zupę, wymamrotała coś na kształt podziękowania i dorzuciła kolejną przysługę do długu, który już miała, jak gdyby tego rodzaju zobowiązanie można było kiedykolwiek spłacić.

Barron zostawił ich i zszedł na dół. Na dworze nadal trwała noc. Nadal padał deszcz.

Lila nie pamiętała, że usiadła, ale obudziła się mniej więcej godzinę później na swoim drewnianym krześle z pledem narzuconym na ramiona. Czuła się zdrętwiała, a Kell był wciąż pogrążony we śnie.

Pokręciła szyją i pochyliła się przed siebie na krześle.

— Dlaczego wróciłeś? — spytała ponownie, jakby mógł odpowiedzieć jej przez sen.

Nie odpowiedział. Niczego nie wymamrotał. Nie przewrócił się na drugi bok. Leżał nieruchomo, tak strasznie blady i tak spokojny, że Lila co jakiś czas przykładała do jego ust szklankę, upewniając się, że nie umarł. Jego obnażona pierś podnosiła się i opadała. Lila zauważyła, że — pomijając obecne urazy — miał bardzo niewiele blizn. Ledwo widoczną już kresczkę na ramieniu. Dużo świeższą na dłoni. Stary ślad w zgięciu łokcia.

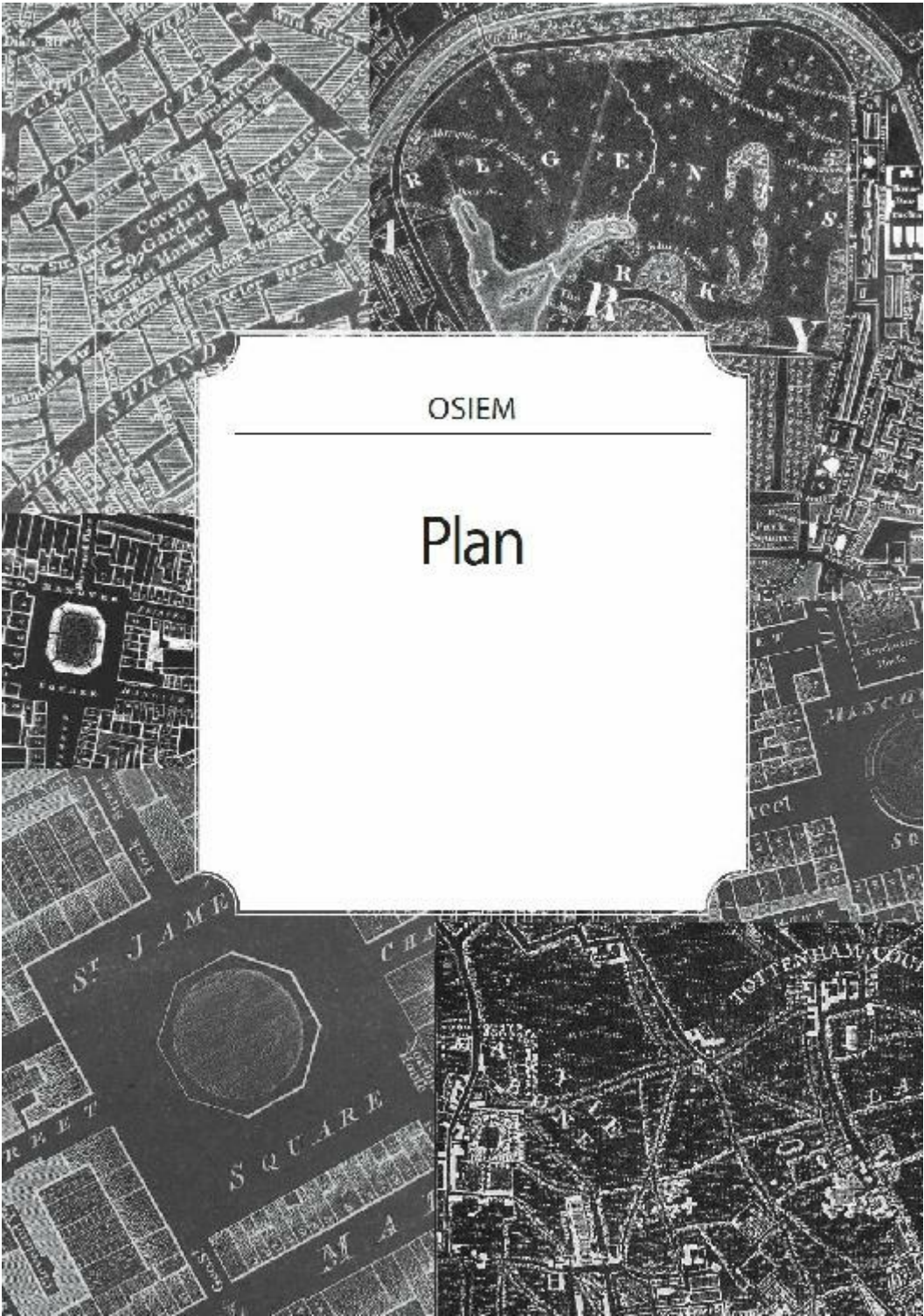
Sama miała zbyt wiele blizn, by można je było policzyć, lecz blizny Kella — mogła,

owszem. I je policzyła. Kilka razy.

W karczmie pod nimi ucichło. Lila wstała i jeszcze raz zapaliła zioła.

Nakręciła srebrny zegarek i czekała, aż mag się obudzi. Zmęczenie ją przytłaczało, ale za każdym razem, gdy pomyślała o odpoczynku, wyobrażała sobie, jak Holland przechodzi przez jej ścianę, w taki sam sposób, w jaki zrobił to wcześniej Kell. Ból pulsował w jej ramieniu, w miejscu, gdzie Holland je chwycił, i na widok jedynej pozostałości, małego poszarpanego oparzenia, jej palce zacisnęły się na skałkowym rewolwerze przy biodrze.

Gdyby miała drugą szansę, nie przegapiłaby jej.



OSIEM

Plan

I

Kell po raz drugi tej nocy obudził się w łóżku Lili.

Na szczęście przynajmniej tym razem nie dostrzegł żadnych więzów. Jego ręce spoczywały przy biodrach, nieskrępowane niczym poza szorstkim pledem, który ktoś na niego narzucił. Minęła dobra chwila, zanim przypomniał sobie, że znajduje się w pokoju Lili i w jej łóżku, i zanim poskładał w całość wspomnienia związane z Hollandem, alejką i krwią, a potem pomocą dziewczyny i jej głosem, równie jednostajnym jak padający deszcz. Teraz deszcz ustał, na niebo wkradało się słabe poranne światło i przez chwilę jedyną rzeczą, której Kell pragnął, był powrót do domu. Nie do byle jakiego pokoiku w Rubinowych Polach, lecz do pałacu. Zamknął oczy i niemal słyszał, jak Rhy łomocze w jego drzwi, jak każe mu się ubierać, ponieważ czekają już powozy i ludzie.

„Przygotuj się albo zostaniesz” — powiedziałyby Rhy, wpadając do pomieszczenia.

„W takim razie zostaw mnie” — jęknąłby Kell.

„Nie ma mowy — odrzekłby książę ze swoim najpiękniejszym uśmiechem.

— Nie dziś”.

Za oknem zaklekotała furmanka, Kell zamrugał oczyma i obraz Rhya zmienił się w nicość.

Czy członkowie rodziny królewskiej już się o niego martwili? Czy mieli choćby pojęcie, co się wydarzyło? Skąd mogliby wiedzieć? Nawet Kell nie miał pojęcia, co się stało. Wiedział jedynie, że jest posiadaczem kamienia, którego trzeba się pozbyć.

Spróbował usiąść prosto, ale całe jego ciało krzyczało i musiał się ugryźć w język, żeby się powstrzymać przed głośnym jęknięciem z bólu. Skóra, mięśnie, każda kość — wszystko go bolało ciągle i strasznie, jak gdyby składał się wyłącznie z sińców. Nawet bicie serca w piersi i pulsowanie krwi w żyłach wydawało mu się bolesne i męczące. Czuł się okropnie. Śmierć była tak bliska, jak nigdy dotąd, i bliższa, niżby sobie tego kiedykolwiek życzył. Kiedy ból nieco osłabł — a w każdym razie ta nowa jego fala — Kell jakoś zdołał się wyprostować, wspierając się ręką o wezglowie.

Starał się skupić wzrok, a kiedy mu się to udało, odkrył, że spogląda Lili prosto w oczy. Siedziała na tym samym krześle w nogach łóżka, a rewolwer ułożyła sobie na kolanach.

— Dlaczego to zrobiłeś? — Wypowiedziała to pytanie tak szybko i pewnie, że prawdopodobnie czekała z nim na oprzytomnienie Kella.

Popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

— Co zrobiłem?

— Wróciłeś — sprecyzowała cicho. — Dlaczego wróciłeś? — Dwa dodatkowe słowa zawisły w powietrzu, niewypowiedziane, lecz zupełnie jasne: „Dla mnie”.

Kell usiłował zebrać myśli, ale były one tak samo niezborne i bolesne jak reszta jego istoty.

— Nie wiem.

Na Lili jego odpowiedź najwyraźniej nie zrobiła wrażenia; dziewczyna tylko westchnęła i schowała broń do kabury przy pasie.

— Jak się czujesz?

„Jak trup” — pomyślał Kell. Potem jednak spojrzał w dół, na siebie, i zobaczył, że mimo bólu całego ciała rana na ramieniu, tam gdzie gwóźdź przebił je na wylot, oraz przecięcie na brzuchu wykonane królewskim mieczem prawie się zagoiły.

— Jak długo spałem?

— Kilka godzin — odparła.

Ostrożnie dotknął ręką żeber. To nie miało sensu. Tak głębokie rany powinny się goić kilka dni, nie godzin. Nie, chyba że on...

— Użyłam tego — powiedziała Lila, rzucając w jego stronę okrągłą puszczkę. Kell chwycił przedmiot, krzywiąc się lekko. Pojemnik był nieopisany, lecz natychmiast go rozpoznał. Metalowa puszczyka zawierała leczniczy balsam. Nie jakiś zwyczajny, ale jeden z jego własnych, z wytłoczonym na wieczku królewskim symbolem w postaci kielicha i wschodzącego słońca. Puszczyka zawieruszyła mu się kilka tygodni temu.

— Skąd go wzięłaś? — spytał.

— Z kieszeni twojego płaszcza — odrzekła Lila, przeciągając się. — Nawiasem mówiąc, wiedziałeś, że twój płaszcz ma więcej stron niż lewą i prawą? Jestem całkiem pewna, że widziałam ich pięć czy sześć, zanim to znalazłam.

Kell gapił się na nią ze zdumieniem.

— No co? — spytała.

— Jak odkryłaś, do czego służy balsam?

Wzruszyła ramionami.

— Zaryzykowałam.

— A gdyby to była trucizna?! — spytał ostro.

— Naprawdę nie można ci dogodzić — obruszyła się. — Balsam dobrze pachniał. I dobrze wyglądał. — Kell jęknął. — No i oczywiście przetestowałam go najpierw na sobie.

— Co takiego?!

Założyła ramiona na piersi.

— Nie powtarzam każdego zdania po to, żebyś mógł się gapić i piorunować mnie

wzrokiem. — Kell potrząsnął głową, przeklinając pod nosem, kiedy dziewczyna skinęła ku leżącej w nogach łóżka stercie ubrań. — Barron przyniósł je dla ciebie.

Kell spojrzał, marszcząc brwi... O święci, nawet czoło go bolało! On i Barron zawarli kiedyś pewną umowę, ale nie miał cienia wątpliwości, że nie obejmowała ona zapewnienia kryjówki ani osobistych potrzeb. Będzie mu musiał wynagrodzić za kłopoty. I to był prawdziwy kłopot. Obaj o tym wiedzieli.

Czuł na sobie przenikliwy wzrok Lili, kiedy sięgał po czystą koszulę i ostrożnie zarzucał ją na ramiona.

— O co chodzi? — nie wytrzymał.

— Powiedziałeś, że nikt cię tutaj nie wysledzi.

— Mówiłem, że nikt nie może mnie wysledzić — poprawił ją Kell. — Ponieważ taka jest prawda, jeśli nie weźmie się pod uwagę Hollanda. — Zerknął na swoje dłonie i skrzywił się. — Po prostu nigdy nie podejrzewałem...

— Kellu, jedna osoba to nie to samo co „nikt” — przerwała mu. A potem wypuściła głośno powietrze i pogładziła ręką krótko przyszczyżone ciemne włosy. — Ale przypuszczam, że nie myślałeś wtedy jasno. — Zaskoczony, podniósł głowę. Naprawdę go usprawiedliwiała? — Uderzyłam cię przecież książką.

— Co?

— Nic — odparowała, machając dłonią. — Więc... ten Holland. Jest taki jak ty?

Kell przełknął ślinę, wracając w myślach do słów Hollanda w alejce („Może dzielimy podobne zdolności, ale nie oznacza to, że jesteśmy sobie równi”) i ponurego, niemal pogardliwego spojrzenia, które towarzyszyło temu stwierdzeniu. Pomyślał o piętnie wypalonym w skórze drugiego antarięgo, o szachownicy blizn na jego ramionach i zadowoleniu na twarzy władcy Białego Londynu, kiedy Holland przyciskał sobie do skóry ostrze noża. Nie, Holland w ogóle nie był taki jak Kell, a Kell zupełnie nie przypominał Hollanda.

— On również potrafi się przemieszczać między światami — wyjaśnił. — W tym sensie jesteśmy podobni.

— A oko? — spytała Lila.

— Oznaka naszej magii — odparł. — Antari. Tak nas nazywają. Magami krwi.

Lila zagryzła wargę.

— Są inni, o których powinnam wiedzieć? — spytała, a Kellowi się wydało, że dostrzega w jej rysach okrucieństwo emocji (może strachu?), nad którym prawie zapanowała, uparcie zaciskając zęby.

Powoli potrząsnął głową.

— Nie — powiedział. — Jesteśmy tylko my dwaj.

Spodziewał się zobaczyć na jej twarzy ulgę, ale dziewczyna jeszcze bardziej

spoważniała.

— Czy dlatego cię nie zabił?

— Co masz na myśli?

Pochyliła się do przodu na krześle.

— No cóż, gdyby chciał cię zabić, mógł to zrobić. Po co upuszczał ci tyle krwi? Dla zabawy? Nie wyglądało na to, żeby dobrze się bawił.

Miała rację. Holland bez trudu mógł mu podciąć gardło. Ale tego nie zrobił.

„Naprawdę bardzo trudno jest zabić antarich — rozbrzmiały w głowie Kella słowa Hollanda. — Ale nie mogę mieć...”

„Czego nie mógł mieć?” — zastanowił się. Zabranie życia antariemu może było trudne, lecz nie niemożliwe. Czy Holland oparł się otrzymanym rozkazom, czy też raczej je wykonywał?

— Kell? — naciskała Lila.

— Hollanda nigdy nic nie bawi — mruknął cicho. A potem gwałtownie podniósł głowę. — Gdzie jest teraz kamień?

Dziewczyna posłała mu długie, ciężkie spojrzenie, dopiero później odpowiedziała:

— Ja go mam.

— Więc mi go oddaj — zażądał i jego samego zdziwiła ta niecierpliwość.

Wmawiał sobie, że talizman będzie u niego bezpieczny, ale w rzeczywistości po prostu chciał go potrzymać i nie mógł się pozbyć przekonania, że jeśli chwyci kamień, ból jego mięśni od razu zelżeje, a osłabiona krew popłynie szybciej.

Dziewczyna przewróciła oczyma.

— Nie zaczynaj znowu.

— Lila, posłuchaj mnie. Nie masz pojęcia, czym...

— Właściwie — odparła, zrywając się na równe nogi — zaczynam dość dobrze zdawać sobie sprawę z tego, co on potrafi. Jeśli chcesz go z powrotem, opowiedz mi resztę.

— Nie rozumiałabyś — rzucił odruchowo.

— Sprawdźmy — prowokowała.

Przymrużywszy oczy, Kell popatrzył na tę niezwykłą dziewczynę. Lila Bard najwidoczniej naprawdę wiele rozumiała. I ciągle żyła. A to coś znaczyło. No i wróciła po niego. Nie wiedział, dlaczego to zrobiła — rzezimieszki i rabusie zazwyczaj nie mieli kompasu moralnego — wiedział jednak, że bez niej byłby w znacznie gorszym stanie.

— Dobrze zatem — powiedział, zdejmując nogi z łóżka. — Kamień pochodzi z miasta znanego jako Czarny Londyn.

— Wspomniałeś o innych Londynach — zadumała się, jak gdyby koncept wydał jej

się ciekawy i zupełnie prawdopodobny. Nie peszyła się łatwo. — Ile ich jest?

Kell przeczesał palcami kasztanowe włosy. Sterczały pod dziwnymi kątami, ponieważ zmokły na deszczu i wyschły podczas snu.

— Istnieją cztery światy — odparł. — Myśl o nich jako o różnych domach zbudowanych na tym samym fundamencie. Mają ze sobą niewiele wspólnego oprócz położenia i faktu, że każda wersja miasta leży nad tą samą rzeką w tym samym wyspiarskim państwie i w każdym świecie to miasto nazywa się Londyn.

— To musi być dezorientujące.

— Tak naprawdę nie jest, jeśli mieszkasz tylko w jednym z nich i nigdy nie musisz myśleć o innych. Ale ponieważ ja przemieszczam się pomiędzy światami, używam kolorów, aby je rozróżnić. W Szarym Londynie mieszkasz ty. Czerwony jest mój. Biały jest Hollanda. A Czarny nie należy do nikogo.

— A dlaczego tak jest?

— Ponieważ to miasto upadło — odparł, pocierając kark w miejscu, gdzie wisiał zerwany przez Hollanda sznur. — Pogrążyło się w mroku. Jeśli chodzi o magię, Lila, powinnaś przede wszystkim zrozumieć, że ona nie jest martwa.

Jest żywa. Żyje w innym sensie niż ja czy ty, ale nadal bardzo mocno żyje.

— Czy dlatego magia się rozgniewała, kiedy spróbowałam się jej pozbyć?

— spytała dziewczyna.

Kell zmarszczył czoło. Nigdy wcześniej nie widział magii aż tak żywej.

— Jeszcze trzy stulecia temu — odrzekł powoli, dokonując obliczeń (miał wrażenie, że było to dawniej, ponieważ tak długo okres ten nazywano po prostu „przeszłością”) — te cztery światy były ze sobą splecione. Magia i ci, którzy się nią posługiwali, mogli stosunkowo łatwo przechodzić między tymi światami przez któreś z licznych źródeł.

— Źródeł?

— Złóż ogromnej naturalnej mocy — wyjaśnił. — Niektóre były małe i dyskretne, na przykład zagajnik na Dalekim Wschodzie czy wąwóz na kontynencie europejskim, inne zaś — bardzo rozległe, jak twoja Tamiza.

— Tamiza? — spytała Lila z drwiącym prychnięciem. — Jako źródło magii?

— Może największe na świecie — odparł poważnie Kell. — Tutaj może nie wygląda jakoś szczególnie, ale gdybyś mogła ją zobaczyć taką, jaka płynie w moim Londynie... — Zawiesił głos. — Jak już wspomniałem, drzwi łączące światy były otwarte i ludzie mogli swobodnie podróżować pomiędzy czterema Londynami. Ale nawet mimo stałej wymiany mieszkańców miasta nie były zupełnie równe, jeśli chodzi o moc. Jeżeli prawdziwa magia była ogniem, najbliższy ideałowi był Czarny Londyn. — Zgodnie z tym wywodem drugie miejsce pod względem mocy zajmował Biały

Londyn i Kell wiedział, że niegdyś tak być musiało, chociaż teraz nie mógł sobie tego wyobrazić. — Wierzono wówczas, że moc płynie tam nie tylko silnym strumieniem we krwi, lecz także tętni we wszystkim niczym druga dusza. Aż w pewnym momencie stała się zbyt silna i pokonała swojego „gospodarza”. Świat cechuje się równowagą — ciągnął — ludzkość po jednej stronie, magia po drugiej.

Współistnieją one we wszystkim, co żywe, a w świecie idealnym utrzymują pewien rodzaj harmonii, w której jedno nigdy nie osiąga przewagi nad drugim.

Ale większość światów nie jest idealna. W Szarym Londynie, czyli twoim, ludzkość się wzmocniła, a magia osłabła, natomiast w Czarnym Londynie — przeciwnie. Tamtejsi ludzie nie tylko mieli magię w swoich ciałach, lecz pozwalali jej także wejść we własne umysły, a wtedy ona uczyniła z nich swoich niewolników, karmiąc się ich ciałami i podsycając swą moc. Ludzie stali się naczyniami, kanałami do wykonywania jej woli i dzięki nim magia urzeczywistniała swoje zachcianki, zacierając granice, niszcząc je, tworząc, co chciała, a uszkadzając i unicestwiając wszystko inne.

Lila chodziła po pokoju, nic nie mówiąc, tylko słuchając.

— Ta zła moc magii roznosiła się jak zaraza — kontynuował Kell — więc pozostałe trzy światy odcięły się i szczelnie zamknęły drzwi do innych miejsc, by zapobiec rozprzestrzenianiu się plagi. — Nie powiedział, że to właśnie Czerwony Londyn zamknął dostęp, zmuszając inne miasta do pójscia w swoje ślady. Nie wyznał też, że Biały Londyn utknął z tego powodu pomiędzy zamkniętymi przez Czerwony drzwiami a szalejącą magią Czarnego Londynu.

Nie powiedział, że świat schwytyany w pułapkę musiał samotnie walczyć z mrokiem. — Gdy moc źródeł ograniczono, a drzwi zamknięto, pozostałe trzy miasta zostały odizolowane i zaczęły się rozwijać odmiennie, aż każde stało się takie, jakim jest dziś. Ale tego, co stało się z Czarnym Londynem i resztą jego świata, możemy się tak naprawdę jedynie domyślać. Magia potrzebuje żywego gospodarza i może się dobrze rozwijać tylko wówczas, kiedy wokół także kwitnie życie, dlatego większość osób przypuszcza, że zaraza zebrała obfite żniwo, pozostawiając po sobie zgliszcza. Ale nikt nic nie wie na pewno.

Z czasem Czarny Londyn stał się legendą. Historią o duchach. Baśnią.

Opowiadaną tak wiele razy, że niektórzy nawet nie uważają go za realnie istniejące miejsce.

— Ale ten kamień...? — podsunęła Lila, ciągle spacerując po pokoju.

— Ten kamień nie powinien istnieć — odparł Kell. — Kiedy drzwi zostały zamknięte, wszystkie relikty z Czarnego Londynu wytopiono i dla pewności zniszczono.

— Najwyraźniej nie wszystkie — wytknęła mu Lila.

Kell potrząsnął głową.

— Biały Londyn podobno zabrał się za to zadanie z jeszcze większym zapalem niż moje miasto. Musisz zrozumieć, mieszkańcy Białego bali się, że drzwi nie wytrzymają, że magia się przedrze i ich zniszczy. Rozpoczęli więc czystkę, która nie ograniczyła się jedynie do przedmiotów i artefaktów.

Podcięli też gardło każdej osobie, którą choćby podejrzewali o posiadanie relikwów, a nawet o jakikolwiek kontakt z zepsutą magią Czarnej Londynu. — Podniósł palce do czarnego oka. — Mówi się, że niektórzy uważali za symbol złej magii również nasz znak i wywlekali antarich nocą z ich domów. W ten sposób wymordowali całe pokolenie takich jak ja i zbyt późno zrozumieli, że bez powszechnie dostępnych drzwi tylko ci magowie mogliby im zapewnić łączność między światami. — Opuścił rękę. — Ale tak, masz rację, najwyraźniej nie wszystkie przedmioty zniszczono. — Zastanowił się, czy właśnie w tym celu kamień nie został rozłupany, czy ktoś nie próbował go zniszczyć, nie udało mu się, więc go gdzieś zakopał, a później ktoś inny odkrył talizman i wydobył na światło dzienne... — Ten kamień nie powinien istnieć i nie wolno pozwolić mu przetrwać. Jest...

Lila zatrzymała się.

— Zły?

Kell potrząsnął głową.

— Nie — powiedział. — Jest vitari. W pewnym sensie, przypuszczam, jest czysty. Ale to czysty potencjał, czysta moc, czysta magia.

— I ani trochę człowieczeństwa — powiedziała Lila. — Żadnej harmonii.

Kell skinął głową.

— Czystość bez równowagi nie przynosi niczego dobrego. Szkody, jakie ten talizman może poczynić w nieodpowiednich rękach... — „W każdych rękach!”, dopowiedział w myślach. — Magia kamienia jest magią zniszczonego świata.

On nie może tu zostać.

— No cóż — odparła Lila — co zamierzasz zrobić?

Kell zamknął oczy. Nie wiedział, kto natknął się na kamień, ale rozumiał strach tych ludzi. Na wspomnienie o talizmanie w rękach Hollanda — i na myśl o nim w rękach Athosa czy Astrid — aż mu skręcało żołądek. Całą skórą pragnął dotyku kamienia, łaknął go, i to go przerażało bardziej niż cokolwiek.

Czarny Londyn upadł z powodu takiej właśnie magii. Jakież okropieństwa przyniosłaby pozostałym Londynom? Do głodującego Białego, dojrzałego Czerwonego albo bezbronnego Szarego?

Nie, kamień należy zniszczyć.

Ale jak? Nie przypominał innych relikwów. Nie był przedmiotem, który można

wrzucić w ogień lub zmiążyć toporem. Jak wskazuje jego wygląd, ktoś już wcześniej próbował aktu zniszczenia. Ale odłamanie części najwyraźniej nie osłabiło jego działania, co oznaczało, że nawet gdyby Kellowi udało się go roztrzaskać, powstałoby jedynie więcej kawałków, z których każdy byłby bronią. Kamień nie wydawał się zwykłym symbolem; miał swoje życie — i własną wolę — co pokazał więcej niż raz. Tylko silna magia mogłaby zniwelować jego działanie. Ale skoro talizman sam był tworem magii, Kell wątpił, czy inna magia byłaby w stanie kiedykolwiek go unicestwić.

O ból głowy przyprawiała go świadomość, że kamienia nie można zniszczyć, a jednak należy się go jakoś pozbyć. Odesłać go tam, gdzie nie będzie mógł wyrządzić żadnej szkody. Istniało tylko jedno miejsce, w którym kamień będzie bezpieczny i przestanie zagrażać wszystkim wokół.

Wiedział już, co musi zrobić. Gdzieś w głębi duszy wiedział o tym wcześniej — od chwili, kiedy talizman trafił w jego rękę.

— Należy do Czarnego Londynu — oznajmił. — Muszę go tam odnieść.

Lila przekrzywiła głowę.

— Ale jak? Nie wiesz, co zostało z miasta, a nawet gdybyś wiedział...

Mówiłeś mi, że dostęp do tego świata jest całkowicie zamknięty.

— Rzeczywiście, nie wiem, co z niego zostało, ale magii antari początkowo używano do tworzenia drzwi pomiędzy światami. Więc zapewne i jej użyto do ich zamknięcia. Nasuwa się zatem oczywisty wniosek, że ta sama magia może je ponownie otworzyć. Albo przynajmniej utworzyć szczelinę.

— Więc dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? — rzuciła z błyskiem w oku.

— Dlaczego żaden z was tego nie spróbował? Wiem, że jest was niewielu, ale nie powiesz mi, że w ciągu stuleci, które upłynęły od zamknięcia drzwi, żaden antari nie był ciekawy i nie starał się tam wejść.

Kell zastanowił się nad jej wyzywającym uśmiechem i poczuł wdzięczność, że — dla dobra ludzkości — Lila nie miała związków z magią, ponieważ na pewno dokonałaby takiej próby. Co do niego samego, naturalnie, był ciekaw. Gdy dorastał, chyba tak naprawdę nie dawał wiary, że Czarny Londyn w ogóle istnieje albo że kiedykolwiek istniał — już wtedy drzwi były zamknięte od bardzo długiego czasu. Ale jakież dziecko nie pragnie sprawdzić, czy bajki, których słucha przed snem, przypadkiem nie są prawdą? Tyle że nawet gdyby Kell naprawdę chciał się wdrzeć do Czarnego Londynu — a nie chciał, w każdym razie nie tak bardzo, by ryzykować spotkanie z panującym za drzwiami mrokiem — nie miał możliwości pokonania zabezpieczeń.

— Może i niektórzy byli wystarczająco ciekawi — wyjaśnił. — Ale widzisz, do

stworzenia drzwi każdy antari potrzebuje dwóch rzeczy. Pierwsza to krew, drugą zaś jest symbol z miejsca, w które chce się pójść. A jak ci wspomniałem, wszystkie symbole z Czarnego Londynu zniszczono.

Lili aż się rozszerzyły oczy.

— Ale kamień jest takim symbolem.

— Tak, kamień jest symbolem — powtórzył za nią.

Wskazała na ścianę, przez którą przeszedł, gdy zjawił się w pokoju po raz pierwszy.

— Więc otwierasz drzwi do Czarnego Londynu i co? Wrzucasz kamień do środka? Więc na co, u diabła, czekasz?

Kell potrząsnął głową.

— Nie mogę stworzyć drzwi stąd tam.

Lila prychnęła z irytacją.

— Ale przecież przed chwilą twierdziłeś...

— Pomiedzy Szarym i Czarnym znajdują się pozostałe Londyny — tłumaczył. Na stole obok łóżka dostrzegł małą książkę. Musnął kciukiem kilka stron. — Światy są jak kartki papieru — wyjaśnił. — Ułożone jeden za drugim. — Dokładnie w ten sposób zawsze o nich myślał. — Trzeba przemieszczać się w odpowiedniej kolejności. — Ścisnął kilka kart w palcach.

— Szary Londyn — powiedział, pozwalając opaść jednej kartce. — Za nim Czerwony. — Pozwolił opaść drugiej. — Biały. — Trzecia strona zatrzepotała, spadając. — No i Czarny. — Reszta kartek opadła.

— Więc musisz przez nie wszystkie przejść! — oświadczyła Lila.

Określone w ten sposób zadanie wydawało się niezwykle łatwe. Ale takie nie było. Nie ulegało wątpliwości, że w Czerwonym Londynie Kell był poszukiwany. Szukał go król Białego i Bóg jeden wie, kto jeszcze... Czy Holland zmusił do tego wiele osób przy użyciu zaklęcia? Czy one wszystkie również ścigały teraz Kella? Skoro Kell nie ma już swoich sznurów z monetami, zanim przedostanie się do Białego Londynu, musi najpierw znaleźć nowy symbol tego świata. A kiedy uda mu się wejść — przyjmując, że mu się uda, i zakładając, że Dane'owie od razu go nie dopadną oraz że zdoła pokonać zabezpieczenia i otworzyć drzwi prowadzące do Czarnego Londynu — nie będzie mógł tam po prostu wrzucić kamienia. Drzwi nie działały w ten sposób.

Będzie zmuszony wejść wraz z kamieniem. Starał się o tym nie myśleć.

— Więc — naciskała Lila z roziskrzonymi oczyma. — Kiedy idziemy?

Kell podniósł głowę i popatrzył na nią.

— Ty nie idziesz!

Opierała się o ścianę, tuż obok miejsca, gdzie przykuł ją wcześniej do drewna

(uwalniając się, oderwała i połamała kilka desek boazerii), jak gdyby przypominała mu zarówno jego czyn, jak i swój własny.

— Chcę pójść — upierała się. — Nie powiem ci, gdzie jest kamień. Chyba że się zgodzisz mnie tam zabrać.

Kell zacisnął dłonie w pięści.

— Te łańcuchy, które stworzyłaś dla Hollanda, długo nie wytrzymają. Magia antari jest na tyle silna, że je rozproszy, a kiedy Holland się zbudzi, bardzo szybko zda sobie z tego sprawę, uwolni się i znowu zacznie nas tropić. To oznacza, że nie mam czasu na zabawę.

— To nie jest zabawa — odrzekła po prostu.

— W takim razie co?

— Szansa. — Odsunęła się od ściany. — Sposób wyjścia. — Jej opanowanie na moment zniknęło i Kell dostrzegł jej prawdziwe emocje.

Pragnienie, strach, rozpacz.

— Chcesz uciec — zauważył — ale nie masz pojęcia, w co zamierzasz wejść.

— Nie dbam o to — odparowała. — Chcę iść.

— Ale nie możesz — tłumaczył, wstając. Uderzyła go lekka fala zawrotów głowy, więc oparł się o łóżko w oczekiwaniu, aż przeminą.

Zaśmiała się drwiąco.

— Nie jesteś w stanie pójść sam.

— Nie zdołasz przejść, Lila! — wyjaśnił. — Jedynie antari mogą się przemieszczać między światami.

— Ten mój kamień...

— Nie jest twój.

— W tej chwili jest. I sam powiedziałeś, że ten kamień to czysta magia. Że on czyni magię! Pomoże mi przejść — mówiła takim tonem, jakby była co do tego absolutnie przekonana.

— A jeśli nie pomoże? — zasugerował. — Jeśli nie jest wszechpotężny?

Co, jeśli jest jedynie świecidełkiem, które potrafi wywoływać nic nieznaczące czary? — Ale Lila oczywiście mu nie wierzyła. Nie był pewny, czy sam wierzy w to, co jej mówi. Trzymał przecież kamień w ręce. Czuł jego moc i ta wydawała mu się bezgraniczna. Ale nie chciał, żeby dziewczyna wypróbowała tę moc na sobie. — Nie możesz mieć pewności.

— To ja zaryzykuję, nie ty.

Wpatrywał się w nią.

— Ale dlaczego? — spytał.

Wzruszyła ramionami.

— Jestem osobą poszukiwaną.

— Nie jesteś mężczyzną.

Błysnęła smutnym uśmiechem.

— Władze na razie tego nie wiedzą. Prawdopodobnie dzięki temu jeszcze mnie nie powiesili, a wciąż szukają.

Kell nie zamierzał dać jej się przekonać.

— Dlaczego tak naprawdę chcesz to zrobić?

— Ponieważ jestem głupia.

— Lila...

— Bo nie mogę tu zostać — odburknęła i uśmiech zniknął z jej twarzy. — Bo chcę zobaczyć świat, nawet jeśli nie powinnam. I w dodatku w ten sposób ocalę ci życie.

„To obłąd — pomyślał Kell. — Kompletny obłąd. Ona nie przejdzie przez drzwi. A nawet jeśli kamień jej to umożliwi, nawet jeśli dziewczyna przejdzie, to co potem?” Przenoszenie przedmiotów oznaczało zdradę i Kell był zupełnie pewny, że prawo to rozciąga się także na ludzi, zwłaszcza na poszukiwanych listem gończym uciekinierów. Przemycenie pozytywki to jedna rzecz, ale przesz muglowanie młodej złodziejki to coś całkiem innego. „A przemycenie reliktu z Czarne go Londynu?” — zbeształ go jakiś głos w jego głowie. Przetarł oczy. Czuł na sobie wzrok Lili. Pomijając zdradę, fakt, że była mieszkanką Szarego Londynu, pozostawał faktem; nie należała do jego, Czerwone go. Nie, to było zbyt niebezpieczne. I szalone. Byłby szaleńcem, gdyby pozwolił jej spróbować... Ale z drugiej strony, co do jednego szczegółu miała rację — nie czuł się w tej chwili dostatecznie silny, żeby mógł zrobić to sam. Co gorsza, nie chciał tego robić. Bał się — bardziej, niż chciałby się do tego przyznać — czekającego go zadania i miał obawy, jaki los czeka na końcu. No i ktoś powinien powiedzieć władcom Czerwone go Londynu — jego matce i ojcu oraz Rhyowi — co się zdarzyło. Kell nie mógł ściągać na nich niebezpieczeństwa, ale mógł zostawić tam Lilę, która im wszystko wyjaśni.

— Nic nie wiesz o tych światach — przekonywał, choć coraz bardziej zrezygnowanym tonem.

— Właśnie, że wiem — odparła wesoło. — Mam y Londyn Nudny, Londyn Kella, Londyn Przerazający i Londyn Martwy — wyrecytowała, odliczając na palcach. — Widzisz? Szybko się uczę.

„Poza tym jesteś zwykłą istotą ludzką — pomyślał Kell. — Dziwną, upartą, odważną złodziejką, ale jednak mimo wszystko zwykłą istotą ludzką”. Słońce, słabe i zamglone przez deszcz, zaczynało się wspinać po niebie. Kell nie mógł zostać tu dłużej i czekać na dzień.

— Daj mi kamień — powiedział — a pozwolę ci pójść.

Lila powstrzymała się przed wariackim wybuchem śmiechu.

— Sądzę, że zachowam go do czasu, aż przejdziemy.

— A jeśli tego nie przeżyjesz? — odparował.

— Będiesz mógł ograbić moje zwłoki — odparła oschle. — Wątpię, czy będzie mnie to jeszcze obchodziło.

Gapił się na nią, nie wiedząc, co począć. Czy jej brawura stanowiła fasadę?

Czy dziewczyna naprawdę miała tak niewiele do stracenia? Przecież żyła, a życie jest cenne, bo szybko można je stracić. Jak mogła się nie bać niczego, nawet śmierci?

„Boisz się śmierci?” — spytał go Holland w alejce. I tak, Kell się bał.

Zawsze się bał, odkąd pamięta. Bał się „nie żyć”, bał się przestać istnieć.

Świat Lili pokładał wiarę w Niebo i Piekło, a świat Kella wierzył, że ciało obraca się w proch. Wcześniej go nauczono, że magia i ziemia żądają tego, co do nich należy, więc kiedy ciało umiera, dzieli się nim, a osoba, na którą się składały, po prostu rozpada się i bezpowrotnie znika. Po śmierci niczego już nie ma. Nic nie pozostaje.

Gdy dorastał, miał nocne koszmary, w których nagle rozsypywał się w pył

— w jednej minucie biegł przez dziedziniec lub stał na pałacowych stopniach, a w następnej zmieniał się w powietrze i popiół. Budził się później zlany potem i gwałtownie łapał oddech, a Rhy potrząsał go za ramię.

— Nie boisz się śmierci? — spytał teraz Lilę.

Popatrzyła na niego, jakby zadał dziwaczne pytanie, po czym potrząsnęła głową.

— Śmierć przychodzi po każdego — odrzekła zwyczajnie. — Nie boję się jej. Ale boję się umrzeć tutaj! — Omiotła ręką pomieszczenie, karczmę, miasto.

— Wolałabym umrzeć w trakcie jakiejś przygody, niż żyć, stojąc nieruchomo.

Kell przyglądał się jej przed długi moment.

— No dobrze — stwierdził w końcu.

Nieufnie zmrużyła powieki.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Możesz przejść — wyjaśnił.

Uśmiechnęła się. Uśmiech rozświetlił jej twarz, nadając jej inny wyraz i sprawiając, że wyglądała jeszcze młodziej. Spojrzała w okno.

— Słońce już prawie weszło — zauważyła. — I Holland prawdopodobnie zaczął już nas szukać. Czujesz się na tyle dobrze, żeby już iść? — spytała.

„Naprawdę bardzo trudno jest zabić antarich”.

Kiwnął głową, a Lila już zarzucała sobie na ramiona pelerynę i wkładała broń do kabur i pochwę, poruszając się energicznie i sprawnie, jakby miała obawy, że jeśli przygotowania zajmą jej zbyt dużo czasu, Kell cofnie propozycję. A on tylko stał i podziwiał jej krzątanie.

— Nie chcesz się pożegnać? — spytał, wskazując na podłogę i mając na myśli Barrona.

Zawahała się, popatrzyła na swoje botki i świat pod nimi.

— Nie — odparła cicho, a jej głos po raz pierwszy, odkąd się spotkali, wydawał się niepewny.

Kell nie wiedział, co łączy ją i Barrona, lecz nie naciskał. Nie winił dziewczyny. Ostatecznie sam również nie zamierzał zejść po drodze do pałacu i spotkać się po raz ostatni z bratem. Wmawiał sobie, że byłoby to zbyt ryzykowne albo że Rhy nie pozwoliłby mu iść, ale w rzeczywistości nie potrafił się zmusić do pożegnania.

Kell podszedł do swojego płaszcza wiszącego na krzesle, wziął go i odwrócił na inną stronę, z lewej na prawą, wymieniając znoszone czarne okrycie na ciemnoczerwone.

Zainteresowanie w oczach Lili błysnęło niczym światło, ale natychmiast zniknęło i Kell przypuszczał, że dziewczyna sama odgadła sztuczkę, kiedy w nocy przeszukiwała jego kieszenie.

— Jak sądzisz, ile warstw jest w środku? — spytała niby od niechcienia, jak gdyby rozmawiali o pogodzie, a nie o skomplikowanych czarach.

— Nie jestem pewny — odparł, grzebiąc w haftowanej złotą nicią kieszeni i oddychając w duchu z ulgą, kiedy musnął palcami zapasową monetę. — Od czasu do czasu myślę, że znalazłem wszystkie, a potem nieoczekiwanie natykam się na nową. A nierzadko stara gdzieś się gubi. Parę lat temu odkryłem krótką marynarkę, brzydkie zielone okrycie z połatanymi łokciami. Ale od tamtego czasu nigdy jej już nie widziałem. — Wyjął z płaszcza lin z Czerwonego Londynu i pocałował go. Monety były doskonałymi kluczami do drzwi.

Teoretycznie każdy przedmiot z danego świata mógłby się nadać — większość części garderoby, które Kell miał na sobie, pochodziła z Czerwonego Londynu — jednak monety były proste, solidne, konkretne i zawsze działały. A nie mógł sobie pozwolić na nieudane próby — nie teraz, kiedy w jego rękach było również drugie życie (a było, bez względu na to, co sądziła na ten temat dziewczyna).

Podczas gdy Kell szukał symbolu, Lila wyciągnęła ze swoich kieszeni pieniądze

—

dość różnorodną mieszanię szylingów, pensów i

ćwierćpensówek — i ułożyła je w stos na toaletce obok łóżka. Kell wybrał sobie ze stosiku półpensówkę, która miała zastąpić utracony symbol Szarego Londynu. Tymczasem Lila zagryzła wargę, i wpatrywała się przez chwilę w monety, a potem wepchnęła dłonie do wewnętrznych kieszeni peleryny. Przez kilka sekund w nich gmerała, po czym wyciągnęła elegancki srebrny zegarek i położyła obok stosu monet.

— Jestem gotowa — obwieściła i oderwała wzrok od czasomierza.

„A ja nie” — pomyślał Kell, zakładając okrycie i ruszając w stronę drzwi.

Ogarnęła go druga, słabsza fala zawrotów głowy, ale na szczęście minęła szybciej niż poprzednia, kiedy otworzył drzwi.

— Czekaj — obruszyła się Lila. — Myślałam, że przejdziemy drogą, którą przyszedłeś. Przez ścianę.

— Ściany nie zawsze są tam, gdzie być powinny — powiadomił ją. Tak naprawdę Rzut Kamieniem należał do nielicznych miejsc, w których ściany nigdy się nie zmieniały, ale nie był przez to ani trochę bezpieczniejszy. Lokal Pod Zachodzącym Słońcem może i znajdował się po przeciwnej stronie, zbudowany na tych samych fundamentach w Czerwonym Londynie, ale także był karczmą, w której Kell robił interesy, i jednym z pierwszych miejsc, gdzie ktoś mógłby go szukać.

— Ponadto nie wiemy, co... lub kto... — poprawił się, przypominając sobie zaklętych napastników — ...czeka po drugiej stronie. Lepiej trafić blisko miejsca, do którego się kierujemy, zanim tam wejdziemy... Rozumiesz mnie?

Wyglądało na to, że Lila go nie rozumie, ale mimo to skinęła głową.

Zeszli cicho po schodach, minęli mały podest piętra, od którego ciągnął się wąski korytarz gęsto usiany pokojami. Lila zatrzymała się przy najbliższych drzwiach i zaczęła nasłuchiwać. Przez drewno dotarło do niej niskie, dudniące chrapanie. Barron. Musnęła przelotnie drzwi, a potem przeszła obok Kella i ruszyła znów po schodach, nie odwracając się za siebie. Odsunęła rygiel na tylnym wyjściu i pośpiesznie wymknęła się w alejkę. Kell wyszedł za nią na zewnątrz, przystając jedynie na chwilę i zamykając za sobą metalowy zamek.

Usłyszał stęknienie wślizgującego się metalu, a gdy się odwrócił, zobaczył Lilę — czekającą na niego i umyślnie odwróconą plecami do karczmy, jak gdyby uznała, że jej teraźniejszość odeszła już w przeszłość.

II

Deszcz ustał, pozostawiając szare i wilgotne ulice, lecz mimo mokrej ziemi i październikowego chłodu Londyn zaczynał się budzić ze snu. Powietrze wypełniły odgłosy rozklekotanych furmanek zmieszane z zapachem świeżego chleba i rozpalonego właśnie ognia, handlarze i nabywcy powoli wznawiali poranne czynności, otwierając drzwi i okiennice sklepów, przygotowując się do codziennej pracy. Kell i Lila przemierzali ożywiające się miasto. Poruszali się zwawo w słabym świetle świtu.

— Jesteś pewna, że masz kamień? — naciskał Kell.

— Tak — zapewniła go, krzywiąc usta. — A jeśli myślisz o kradzieży, szczerze odradzam, ponieważ musiałbyś mnie obszukać, a ja jestem się gotowa założyć, że... z twoją magią czy bez niej... zanim twoja ręka zdąży znaleźć kamień, mój nóż zdoła dotrzeć do twojego serca.

Powiedziała to z tak swobodną pewnością siebie, iż Kell podejrzewał, że dziewczyna może mieć rację, ale tak czy inaczej nie miał ochoty tego sprawdzać. Zamiast na Lilę, zwrócił więc uwagę na mijane ulice, usiłując je sobie wyobrazić w innym Londynie.

— Prawie jesteśmy na miejscu.

— Czyli gdzie? — spytała.

— Whitbury Street — odparł.

Przenosił się już przedtem do Czerwonego Londynu z Whitbury (trafiał blisko swoich pokojów w Rubinowych Polach, dzięki czemu przed udaniem się do pałacu mógł zostawić tam wszelkie świeżo zdobyte przedmioty). Ale, co ważniejsze, rząd sklepów przy Whitbury Street nie tylko mieścił się bezpośrednio przy Rubinowych Polach, ale też w niewielkiej odległości od dwóch kwartałów z budynkami. A Kell już dawno temu nauczył się, że do żadnego świata nie należy wchodzić dokładnie w miejscu, w którym chce się w nim znaleźć, bo w razie czekających kłopotów trafia się w sam ich środek.

— W Czerwonym Londynie jest pewna gospoda — wyjaśnił, próbując nie myśleć o swojej ostatniej wizycie w tym miejscu. O zakłęciu śledzenia, ataku i zwłokach mężczyzn, które zostawił w alejce. Jego ofiar. — Najmuję w niej pokój — kontynuował. — Będzie w nim to, czego potrzebuję do stworzenia drzwi do Białego Londynu. — Lila nie zauważyła, że nie użył liczby mnogiej, a może wychwyciła ten fakt, ale nie potrudziła się, by go sprostować. W gruncie rzeczy, kiedy brnęli przez labirynt

bocznych uliczek, wyglądała na całkowicie pogrążoną we własnych myślach. Kell z kolei zadarł podbródek i wyostrzył

zmysły.

— Nie wpadnę na samą siebie, prawda? — spytała Lila, przerywając milczenie.

Zerknął w jej stronę.

— O co pytasz?

Kopnęła pojedynczy kamyk.

— No cóż, chodzi mi o to, że to jest alternatywny świat, nieprawdaż? Inna wersja Londynu? Czy tam jest inna wersja mnie?

Kell zmarszczył brwi.

— Nigdy nie spotkałem absolutnie nikogo takiego jak ty!

To nie miał być komplement, a jednak Lila właśnie w ten sposób zrozumiała słowa Kella i posłała mu uśmiech.

— Cóż mogę powiedzieć — oświadczyła — jestem jedną z wielu.

Kell zmusił się do podobnego uśmiechu, a Lila o mało się nie zakrztusiła.

— Co masz na twarzy? — spytała.

Kell spoważniał.

— Co takiego?

— Mniejsza o to — odparła wesoło. — Zniknęło.

Kell tylko potrząsnął głową — nie zrozumiał żartu — ale cokolwiek sobie pomyślała, wyraźnie ją to zachwyciło i przez całą drogę do Whitbury chichotała pod nosem.

Kiedy skręcili w ładną małą uliczkę, Kell zatrzymał się na krawężniku pomiędzy dwoma frontonami. Jeden dom należał do dentysty, drugi do fryzjera męskiego (w Czerwonym Londynie były tu sklep zielarski i warsztat kamieniarski). A gdyby Kell popatrzył spod przymrużonych powiek, ciągle jeszcze mógłby zobaczyć ślady swojej krwi przed sobą, na ceglanej ścianie, której powierzchnię osłaniał wąski nawis. Lila wpatrywała się uważnie w ścianę.

— Tam są? Twoje pokoje?

— Nie — odrzekł — ale tamtędy przejdziemy.

Lila zacisnęła w pięści obie dłonie, a później je rozluźniła. Kell pomyślał, że na pewno jest przerażona, ale kiedy zerknęła w jego stronę, jej spojrzenie było już pogodne, a na wargach igrał cień uśmiechu.

Kell przełknął ślinę i podszedł do ściany, a dziewczyna natychmiast do niego dołączyła. Zawahał się.

— Na co czekamy? — spytała Lila.

— Na nic — odpowiedział. — Chodzi tylko o to, że... — Zdjął płaszcz i owinął nim

jej ramiona, jak gdyby magię można było tak łatwo oszukać. Jak gdyby magia nie znała różnicy pomiędzy człowiekiem i antarim. Kell wątpił, czy jego płaszcz coś w tej kwestii zmieni — albo kamień pozwoli jej przejść, albo nie — niemniej zrezygnował z okrycia.

W odpowiedzi na ten gest Lila podała Kellowi swoją chusteczkę — tę, którą wręczyła mu, kiedy go okradła, a później ją odebrała, gdy stracił przytomność na jej podłodze — i wsunęła w jego tylną kieszeń.

— Co robisz? — spytał.

— Jakoś wydaje mi się to właściwe — wyjaśniła. — Ty mi dałeś coś swojego. Ja ci daję coś mojego. Teraz jesteśmy ze sobą związani.

— To tak nie działa — mruknął.

Lila wzruszyła ramionami.

— Na pewno nie zaszkodzi.

Kell przypuszczał, że dziewczyna ma rację. Wyjął nóż, przesunął sobie ostrzem przez dłoń i na cienkiej kresce zaczęła się zbierać krew. Dotknął jej palcami i zrobił na ścianie znak.

— Wyjmij kamień — polecił.

Lila przyglądała mu się nieufnie.

— Będiesz go potrzebowała, wierz mi — naciskał.

Westchnęła i wyjęła z fałd peleryny kapelusz z szerokim rondem. Był zgnieciony, ale jednym trzepnięciem nadgarstka rozwinęła go, potem niczym iluzjonista sięgnęła do jego wnętrza i wyciągnęła zeń czarny kamień. Na jego widok Kell poczuł ucisk w żołądku i ból w żyłach, potrzebował więc całej swojej mocy, żeby się powstrzymać i nie wyrwać talizmanu z dłoni Lili.

Zapanował nad pragnieniem i po raz pierwszy pomyślał, że może będzie lepiej, jeśli już nie weźmie tego przedmiotu do ręki.

Lila zacisnęła palce na kamieniu, a Kell zacisnął dłoń na jej palcach, lecz mimo tej dodatkowej warstwy całym sobą czuł, jak talizman szumi, wprawiając w drżenie ciało i kosteczki jej ręki. Starał się nie myśleć, że kamień go przyzywa.

— Jesteś pewna? — spytał po raz ostatni.

— Uda się — odparła Lila. Jej głos brzmiał nie tak pewnie jak wcześniej, jakby rzeczywiście mniej wierzyła, a bardziej chciała wierzyć, więc Kell kiwnął głową. — Sam mówiłeś — dodała — że w każdym z nas jest sporo człowieczeństwa i sporo magii. To oznacza, że ja również mam w sobie taką mieszaninę. — Zadarła głowę i spojrzała na niego. — Co się teraz stanie?

— Nie wiem — stwierdził zgodnie z prawdą.

Lila przysunęła się do niego bliżej, tak blisko, że dotykali się zębami, i Kell czuł,

jak jej serce gwałtownie bije. Bardzo dobrze to ukrywała, bardzo dobrze ukrywała swój strach. Lęk nie ujawniał się ani w jej oczach, ani w rysach twarzy, ale zdradzało go jej tętno. Nagle wargi Lili rozsunęły się w uśmiechu i Kell zadał sobie pytanie, czy dziewczyna na pewno czuje strach, czy może jednak, mimo wszystko, coś zupełnie innego.

— Nie zamierzam umierać — oświadczyła. — Nie, dopóki tego nie zobaczę.

— Dopóki czego nie zobaczysz?

Jej uśmiech się rozszerzył.

— Wszystkiego.

Kell odwzajemnił się uśmiechem. A wtedy Lila podniosła wolną rękę do linii jego szczęki i przyciągnęła jego usta ku swoim. Pocałunek był szybki i trwał równie krótko jak niektóre z jej uśmiechów.

— Po co to? — spytał Kell, oszołomiony.

— Na szczęście — odrzekła, prostując ramiona i przyciskając plecy do ściany. — Chociaż oczywiście nie będzie mi potrzebne.

Kell gapił się na nią przez moment, aż w końcu odwrócił ku splamionym krwią cegłom. Zacisnął dłoń na ręce Lili i przycisnął wraz z nią palce do znaku.

— As Travars — powiedział.

Ściana się rozstała, a wtedy podróżnik i złodziejka zrobili krok do przodu.

I przeszli.

III

Barrona obudził jakiś hałas.

Już drugi raz tego ranka.

W karczmie hałasy były na porządku dziennym; zależnie od godziny ich natężenie to się zwiększało, to słabło, czasami stawały się ogłuszające, innymi razy cichły do szemrania, ale w jakiejś mierze zawsze panował tu zgiełk.

Nawet po zamknięciu Rzut Kamieniem nigdy tak naprawdę nie milczał. Tyle że Barron znał każdy rodzaj odgłosów, jakie wydawał jego lokal — od skrzypienia desek podłogowych, poprzez stęknięcia drzwi, aż po szum wiatru w setkach szczelin w starych murach.

Znał je wszystkie.

A obecne dźwięki były nietypowe.

Barron był właścicielem tej rozpadającej się karczmy — tak właśnie myślał o zboliałym, starym budynku — od bardzo długiego czasu. Na tyle długo, że dostrzegał objawy niezwykłości, której rodowód sięgał w przeszłość odległą niczym starożytnie ruiny. Na tyle długo, że uważał tę niezwykłość — zwaną przez innych magią — za coś naturalnego. I chociaż nie była jego udziałem, nie interesowało go ani nie pociągało jej praktykowanie, z czasem zaczął żywić do niej swego rodzaju uczucia.

I wsłuchiwał się w nie.

Dokładnie tak samo nasłuchiwał teraz hałasów nad głową. Nie były głośne, ani trochę, a jednak nie pasowały tutaj i niosły ze sobą emocje, które Barron czuł pod skórą i w kościach. To było poczucie czegoś groźnego.

Niebezpieczeństwa. Włoski na jego ramieniu zjeżyły się, a serce, które zawsze biło miarowo, zaczęło ostrzegawczo i szybciej łomotać.

Hałasy dały się słyszeć ponownie i Barron rozpoznał skrzypienie kroków na starej drewnianej podłodze. Usiadł prosto na łóżku. Pokój Lili mieścił się dokładnie nad jego głową. Ale nie ona stawiała kroki.

Kiedy ktoś spędza wystarczająco dużo czasu pod twoim dachem (tak jak Lila pod dachem Barrona), zaczynasz rozpoznawać charakterystyczne dla tej osoby dźwięki — nie tylko jej głos, lecz także sposób chodzenia po pokoju — i Barron znał odgłosy kroków Lili, kiedy chciała być słyszana, a także odgłosy jej kroków, kiedy tego nie chciała. A te nie były ani takie, ani takie. Poza tym już raz dziś, niedługo wcześniej, obudziły go kroki odchodzącej pary, Lili i Kella (nie zatrzymał dziewczyny, już dawno temu odkrył daremność takich prób i postanowił, że będzie dla niej jedynie ostoją,

czekając na jej powroty, które niezmiennie się powtarzały).

Ale skoro to nie Lila chodziła po swoim pokoju, to kto tam był?

Barron wstał, a kiedy przeciągał szelki przez szerokie ramiona i zakładał buty, dojmujące przeczucie czegoś złego jeszcze się w nim pogłębiło.

Strzelba wisiała na ścianie obok drzwi, na wpół zardzewiała z powodu nieużywania (ilekroć w karczmie zanosilo się na kłopoty, Barron prostował się, prezentując swą potężną postać, i to zwykle wystarczało, by stłumić konflikt). Teraz złapał broń za lufę i zdjął ją z haka. Otworzył drzwi, wzdrygnął się, gdy zaskrzypiały, i ruszył po schodach do pokoju Lili.

Wiedział, że nie warto próbować się skradać. Nigdy nie był mały ani chudy, a kiedy się wspinał, stopnie głośno trzeszczały pod jego butami. Dotarłszy do wąskich zielonych drzwi na szczycie schodów, zawahał się i przycisnął ucho do drewna. Nie usłyszał nic przez krótką chwilę i pomyślał, że mu się zdawało.

Może spał zbyt lekko po odejściu Lili i z troski o dziewczynę zagrożenie po prostu mu się przysniło. Połuznił uchwyt na strzelbie, którą trzymał tak mocno, że aż pobiełały mu kostki palców, wypuścił z ulgą powietrze i pomyślał o powrocie do łóżka. Wtedy jednak dobiegł do niego metaliczny odgłos spadających kaskadą monet i jego wątpliwości zgasły niczym świeca. Szarpnął drzwi i uniósł strzelbę.

Lila i Kell odeszli, ale pomieszczenie nie było puste: obok otwartego okna stał mężczyzna i ważył w dłoni srebrny zegarek kieszonkowy dziewczyny.

Latarnia na stole płonęła dziwnym jasnym światłem, w którym nieznamy wyglądał osobliwie bezbarwnie — od antracytowych włosów, przez bladą skórę, po spłowiałe szare ubranie. Kiedy powoli oderwał wzrok od czasomierza, spojrzał w górę i utkwiał spojrzenie w Barronie — broń wyraźnie nie zrobiła na nim wrażenia — właściciel karczmy zobaczył, że jedno oko tamtego jest zielone. Drugie było czarne jak smoła.

Lila opisała mu wcześniej tego mężczyznę i podała jego imię.

„Holland!”

Barron się nie wahał. Nacisnął spust i strzelba wypaliła z ogłuszającym odgłosem, od którego aż mu zadzwoniło w uszach. Ale kiedy pióropusz dymu się rozproszył, bezbarwny intruz stał dokładnie w tym samym miejscu, co przed strzałem, zdrów i cały. Barron wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

Powietrze przed Hollandem lekko się skrzyło i minęła dobra chwila, zanim nieszczęsny strzelec pojął, że wisi tam mnóstwo kuleczek śrutu. Maleńkie metalowe paciorki przez moment tkwiły przed piersią antariego. A potem spadły na podłogę z brzękiem, niczym grad.

Zanim Barron zdążył oddać drugi strzał, palce Hollanda zadrgały, a wtedy broń

wypadła mężczyźnie z rąk, przeleciała przez wąski pokój i uderzyła o ścianę. Barron rzucił się po nią albo przynajmniej zamierzał, ale własne ciało odmówiło mu posłuszeństwa i pozostał w miejscu, jak gdyby nogi wrosły mu w ziemię, nie ze strachu, lecz z powodu czegoś silniejszego. Przez magię! Chciał poruszyć kończynami, jednak unieruchomiła je jakaś nieprawdopodobna siła.

— Gdzie oni są? — spytał Holland. Jego głos był cichy, chłodny i beznamiętny.

Po policzku Barrona spłynęła kropelka potu — walczył z magią, lecz nie miało to sensu.

— Odeszli — odparł głosem, który przypominał głębokie dudnienie.

Holland spojrzał na niego z marsową miną, wyraźnie zawiedziony. Wyjął zza paska nóż o zakrzywionym ostrzu.

— Zauważyłem to. — Przeszedł przez pokój równymi, rozbrzmiewającymi echem krokami i spokojnym ruchem podniósł ostrze do szyi Barrona. Było bardzo zimne i bardzo ostre. — Dokąd poszli?

Z bliska Kell pachniał liliami i trawą. A Holland? Holland pachniał popiołem, krwią i metalem.

Barron spojrzał magowi w oczy. Były takie jak Kella. To znaczy różnej barwy. Patrząc w nie, widział gniew, nienawiść i ból — uczucia, które nigdy się nie rozprzestrzeniały, nigdy nie dotykały reszty twarzy.

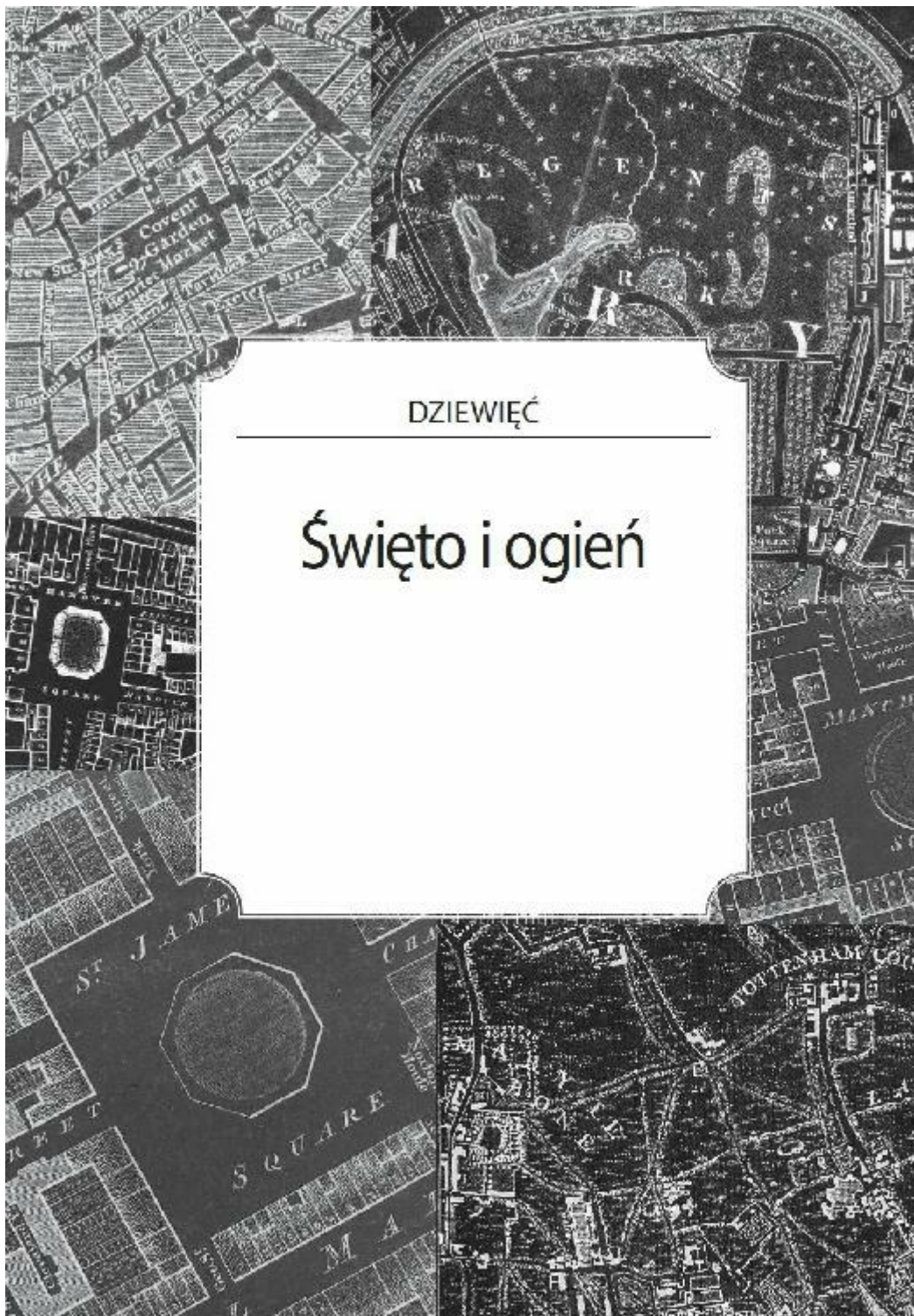
— No więc? — naciskał Holland.

— Nie mam pojęcia — warknął. To była prawda. Mógł jedynie mieć nadzieję, że oboje są daleko stąd.

Holland zrobił rozczarowaną minę.

— Błędna odpowiedź.

Przeciągnął ostrzem i Barron poczuł na szyi piekący ból, a potem już nic.



DZIEWIĘĆ

Święto i ogień

I

Czerwony Londyn powitał Kella jak dom i jak gdyby nie stało się nic złego.

Tutaj deszcz nie spadł, a niebo było pokryte kosmykami chmur oraz pąsowym światłem, które przywodziło na myśl odbicie rzeki Isle. Powozy toczyły się ze stukotem wytartymi koleinami po ulicznych kamieniach, a powietrze wypełniała słodka woń przypraw i herbaty. Z oddali docierały odgłosy przygotowań do uroczystości.

Czy naprawdę minęło zaledwie kilka godzin, odkąd uciekł, ranny i zdeorientowany, z tego świata do innego? Zwyczajna, bezpieczna cisza, a także poczucie, że jest tutaj, na swoim miejscu, wytrąciły go teraz z równowagi i zwątpił, czy nawet przez chwilę cokolwiek mogło nie być w porządku.

Wiedział jednak, że ów spokój jest złudny — wyczekiwano go w pałacu nad rzeką; gdzieś w mieście leżały trupy dwóch mężczyzn, a inni, na pozór żywi, lecz o pustych oczach, prawdopodobnie szukali jego i talizmanu — lecz tu, na ulicy, która w Szarym Londynie nazywała się Whitbury Street, w Czerwonym zaś zmieniła nazwę na Ves Anash, oświetlonej z jednej strony karmazynem emanującym od rzeki, a z drugiej blaskiem porannego słońca, jego Londyn wydawał się nieświadom grożącego mu niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwa, na które narażał go Kell.

Mały czarny kamień zdolny stworzyć wszystko i wszystko zetrzeć z powierzchni ziemi. Kell zadrżał na tę myśl i usiłował zacisnąć palce na ręce Lili, a wtedy zdał sobie sprawę, że wcale jej nie trzyma.

Obrócił się wokół własnej osi, z nadzieją, że zobaczy dziewczynę obok siebie i że podróż oddaliła ich od siebie tylko na krok czy dwa. Ale był sam.

Powidok magii antari jarzył się z lekka na ścianie, znacząc drogę, którą przeszli razem.

Lecz Lila zniknęła.

A wraz z nią — kamień.

Kell ze złością uderzył ręką o ścianę, rozwierając na nowo nacięcie, które dopiero co zaczęło się zasklepiać. Krew popłynęła strużką po przegubie jego dłoni. Zaklął i postanowił przetrząsnąć swój płaszcz w poszukiwaniu kawałka tkaniny do opatrzenia ręki, zapominając, że otoczył okryciem ramiona Lili.

Znów miał szpetnie zakląć, kiedy przypomniał sobie chusteczkę dziewczyny.

Tę, którą dała w zamian za płaszcz, wsuwając mu ją do tylnej kieszeni.

„Jakoś wydaje mi się to właściwe — powiedziała. — Ty mi dałeś coś swojego. Ja ci daję coś mojego. Teraz jesteśmy ze sobą związani”.

„Związani” — powtórzył Kell w myślach. Wyjmując kwadrat materiału, intensywnie rozmyślał. Czy chusteczka pomoże? Nie, jeśli ciało Lili zostało rozdarte na strzępy lub uwięzione pomiędzy światami (różne opowieści krążyły o nie-antarich, którzy próbowali otworzyć drzwi i utknęli po drodze). Ale jeżeli dziewczyna wcale nie przeszła albo jeśli jej się udało i była gdzieś tutaj — żywa czy martwa — należąca do niej przedmiot mógłby pomóc.

Kell przyłożył poplamioną krwią chusteczkę do ściany w miejscu ostatniego znaku, który zrobił, położył na niej płasko dłoń i przycisnął.

— As Enose — rozkazał magii. — As Enose Delilah Bard.



Lila otworzyła oczy i zobaczyła wokół siebie czerwień.

Nie wyrażną niczym farba na budynkach, lecz w subtelnym, aczkolwiek wszechobecnym odcieniu, jak gdyby patrzyła na świat przez witraż. Zamrugła, sądząc, że kolor się rozmyje, ale ten nie zniknął. Kiedy Kell nazwał swoje miasto „Czerwonym Londynem”, przypuszczała, że wybrał tę barwę z jakiegoś przypadkowego — lub zrozumiałego tylko dla siebie — powodu. Teraz widziała, że określenie to było dosłowne. Zrobiła wdech i wyczuła wokół siebie zapach kwiatów. Lili, nagietków i storczyków. Ich woń była zniewalająca, niemal mdło słodka, niczym perfumy, nic zatem dziwnego, że przyłgnęła do Kella. Po kilku sekundach nieco osłabła (tak jak i okoliczna czerwień), gdyż jej zmysły oswoiły się z nowym otoczeniem, a jednak kiedy dziewczyna zaczerpnęła zbyt duży haust powietrza, zapach ponownie ją zaatakował.

Zakaszła. Leżała nieruchomo na plecach w alejce przed całkiem ładnymi drzwiami (pomalowanymi na czerwono, a nie tylko zabarwionymi jak wszystko wokół). Luźny kamień brukowy uwierał ją w plecy przez płaszcz. Płaszcz Kella. Rozpostarty pod nią na ziemi, wydymał się jak żagiel.

Ale Kella nie było.

Zacisnęła palce, by się upewnić, że może nimi poruszać, i poczuła w dłoni czarny kamień, który wciąż szumiał.

„Zadziałał” — pomyślała, ze zdumieniem wypuszczając powietrze i siadając prosto. Naprawdę zadziałał!

Nie do końca idealnie — gdyby zadziałał idealnie, ona i Kell staliby w tym samym miejscu — a tak tylko ona była tutaj czy może raczej „tam”. W jakimś nowym miejscu.

Dokonała tego.

Ona, Delilah Bard, w końcu uciekła, odpłynęła. Nie statkiem, lecz za pomocą kamienia.

O tym, gdzie dokładnie się znajduje, no cóż, nie miała najmniejszego pojęcia.

Wstała i uświadomiła sobie, że czerwony kolor pochodzi nie z nieba, a z ziemi. Świat po jej prawej stronie był znacznie bardziej czerwony niż ten po lewej. I — zdała sobie z tego sprawę, gdy się wsłuchiwała — również znacznie głośniejszy. Nie były to jednak zwykłe odgłosy ulicznych handlarzy i furmanek, które zapewne brzmiały podobnie we wszystkich Londynach, ale harmider zbierających się ludzkich mas, radosne okrzyki, wiwaty i pogwar świętowania. W głębi duszy Lila wiedziała, że nie powinna odchodzić, lecz spokojnie czekać w tym miejscu, aż Kell ją znajdzie. Ale z drugiej strony, aż się rwała ku fali światła, kolorów i dźwięków.

Kell wcześniej ją znalazł — przekonywała samą siebie. Potrafi to zrobić po raz kolejny.

Wsunęła czarny kamień do sekretnej kieszeni znoszonej peleryny (zawroty głowy po jego utracie były tym razem krótkie i niezbyt dotkliwe), po czym zgarnęła płaszcz Kella, otrzepała i zarzuciła na siebie. Sądziła, że okaże się na nią zbyt duży, jeśli nie nieporęczny, lecz z zaskoczeniem odkryła, że strój świetnie na nią pasuje, a srebrne guziki przylegają gładko i leżą równo na intensywnie czarnej tkaninie.

„Dziwne” — pomyślała, wciskając ręce w kieszenie płaszcza. To okrycie nie było najdziwniejszą rzeczą, jaką do tej pory widziała, ale było bez wątpienia niezwykle.

Ruszyła ulicami, które z jednej strony przypominały te w jej Londynie, gdyż były równie wąskie i kręte, a równocześnie wydawały się tak bardzo inne.

Zamiast surowego kamienia i poplamionego sadzą szkła, do budowy sklepów użyto ciemnego drewna, kamienia wygładzonego, kolorowych szybek i lśniącego metalu. Wyglądały solidnie, a zarazem osobliwie delikatnie, tętniąc, jak wszystko tutaj, swoistą energią (nie potrafiła wymyślić żadnego innego określenia). Lila kierowała się ku tłumom, zachwycając się odmiennością tego świata — świata, który dzielił fundamenty z jej miastem, lecz tutaj skonstruowano na tych fundamentach coś nowego, cudownego.

Skreśliła za róg i zobaczyła źródło zamieszania. Setki osób zgromadziły się wzdłuż większej ulicy i kręciły się w oczekiwaniu na jakieś zdarzenie. Ludzie wyglądali na pochodzących z gminu, a mimo to ich stroje były znacznie świetniejsze, niż Lila kiedykolwiek widziała u plebejuszy w swoim Londynie.

Styl ich ubrań nie był aż tak obcy — mężczyźni nosili eleganckie płaszcze z wysokimi kołnierzami, kobiety zaś miały pod pelerynami przepasane w talii sukienki — lecz ich tkaniny przypominały stopiony metal, a we włosy, kapelusze i mankiety wpletli sobie złote nici.

Lila owinęła się ściślej płaszczem ze srebrnymi guzikami, zadowolona, że może ukryć w ten sposób własną wytartą pelerynę. Między grupkami wiercących się ludzi, dokładnie tam, gdzie powinna być Tamiza, dostrzegła czerwoną rzekę i zagapiła się

na spływające na brzegi dziwne światło.

„Tamiza? Jako źródło magii?”

„Może największe na świecie. Tutaj może nie wygląda jakoś szczególnie, ale gdybyś mogła ją zobaczyć taką, jaka płynie w moim Londynie...”

Rzeka wyglądała naprawdę wspaniale. Ale mimo to uwagę Lili mniej przyciągała woda, a bardziej płynące po niej statki. Statki, okręty i łodzie we wszystkich kształtach i rozmiarach — od brygów i galer po szkunery i fregaty — balansowały na czerwonych falach, a ich żagle się wydymały. Dziesiątki różnych symboli zdobiły flagi na masztach i burtach, lecz nad wszystkimi powiewały czerwono-złote bandery. Skrzyły się, szydząc z niej. „Wejź na pokład — zdawał się mówić każdy statek. — Mogę być twój”. Gdyby była mężczyzną, a statki atrakcyjnymi dziewczętami unoszącymi spódnice, nie mogłaby pragnąć ich bardziej. „Zabierzcie sobie wszystkie te piękne stroje — pomyślała. — Wezmę statek”.

Lecz tylko ona jedna wzdychała z zachwytu nad tą różnobarwną flotą, zebrani bowiem wyraźnie nie skupiali uwagi ani na olśniewających statkach, ani na nieprawdopodobnie czerwonej rzece.

Ulicą kroczyła procesja.

Kiedy Lila dotarła do skraju tłumu, przedefilował obok niej rząd mężczyzn ubranych w powłóczyście szaty z ciemnej tkaniny, która wirowała wokół ich ciał, jak gdyby ich ręce i nogi były kołowrotkami. Mężczyźni trzymali w dłoniach ogień, a kiedy obracali się i tańczyli, ogień przemieszczał się wraz z nimi, śledząc ich ścieżki i ciągnąc się za nimi w powietrzu. Gdy szli, ich wargi się poruszały, lecz słowa znikwały głęboko ukryte pod dźwiękami parady. Lila odkryła, że dla lepszego widoku mimo wszystko przeciska się wśród ciżby ku idącym. Mężczyźni odeszli zbyt szybko, lecz w ślad za nimi pojawił się szereg kobiet. Odziane w równie powłóczyście stroje, wykonywały płynniejszą wersję tego samego tańca, lecz zamiast ognia używały wody. Lila obserwowała spektakl z szeroko otwartymi oczyma; woda zachowywała się w ich rękach jak wstążka, skręcając się i zwijając w powietrzu, jak gdyby za sprawą magii...

„Oczywiście — pomyślała Lila — że dzieje się to dzięki magii”.

Wodne tancerki ustąpiły miejsca ludziom z ziemią, a potem z metalem i — na koniec — z wiatrem; ten ostatni widoczny był dzięki kolorowemu pyłowi, który niosący wydmuchiwali z dłoni w powietrze.

Każdy z tańczących ubrany był inaczej, ale wszyscy mieli przywiązane do ramion i nóg czerwono-złote wstążki — gdy przechodzili przez miasto, te powiewały za nimi jak ogony komet.

Za tancerzami niosła się muzyka, mocna jak łomotanie bębnow, lecz słodka niczym brzmienie skrzypiec, dobywała nuty, jakich Lila nigdy wcześniej nie słyszała, z

instrumentów, których nigdy nie widziała. Muzycy poszli dalej, ale melodia trwała w powietrzu, wisząc nad tłumem niczym sufit namiotu, jakby dźwięki zmieniły się w ciało stałe. I hipnotyzowała.

Wtedy przybyli rycerze na wierzchowcach; zbroje lśniły w słońcu, a czerwone płaszcze kłębiły się na wietrze. Konie również były cudownymi zwierzętami — nie cętkowane, lecz o sierści śnieżnobiałej lub siwki oraz lśniące kare. „Są niemal tak piękne — pomyślała Lila — jak statki”. Ich oczy przypominały wypolerowane kamienie, jedne brązowe, inne błękitne albo zielone. Połyskujące grzywy miały barwę czarną, srebrną albo złotą i zwierzęta poruszały się z gracją, która nie pasowała do ich gabarytów czy kroku.

Wszyscy rycerze jak podczas walki na kopie trzymali chorągwie z godłem — złotym słońcem wschodzącym na czerwonym niebie.

W tym momencie pojawiła się przed Lilą grupka młodych chłopców, których ramiona i nogi również zdobiły wstążki, więc chwyciła za kołnierz jednego z nich.

— O co w tym wszystkim chodzi? — spytała usiłując się wyrwać dziecko.

Chłopiec wybałuszył na nią oczy, a potem wyrzucił z siebie potok słów w języku, którego nie rozpoznała. Na pewno nie był to angielski.

— Nie rozumiesz mnie? — spytała, cedząc powoli słowa, ale chłopiec potrząsnął głową, wrywając się z jej uścisku i wykrzykując obce słowa, aż go puściła.

Fala kolejnych, jeszcze głośniejszych radosnych okrzyków przetoczyła się przez zebrany tłum, a gdy Lila podniosła głowę, zobaczyła podjeżdżający otwarty powóz. Ciągnęło go kilka białych koni, a z obu stron otaczali go strażnicy w zbrojach. Powóz także wiozł chorągwie, które były znacznie bardziej ozdobne i przedstawiały rozbudowane godło: tutaj słońce, które widziała na tak wielu flagach, wschodziło nad kielichem, jak gdyby jego zawartość była porannym światłem.

Kielich oznaczono pięknie wykaligrafowaną literą „M”, która wraz z ornamentem wyhaftowana została złotą nitką na czerwonym jedwabiu.

W powozie stali, trzymając się za ręce, mężczyzna i kobieta, szkarłatne peleryny spływały z ich ramion i wylewały się na połyskującą podłogę powozu. Oboje o skórze muśniętej słońcem i czarnych włosach, które podkreślały osadzone na nich błyszczące złote korony. („Członkowie rodziny królewskiej” — pomyślała Lila. Naturalnie! Tu był inny świat. Inny król i królowa. Ale wszędzie i zawsze są jacyś władcy).

Między królem i królową, w pozie zdobywcy, z butem na siedzeniu, stał młodzian w cienkiej koronie połyskującej w ciemnych, zmierzwionych lokach i w płaszczu z czystego złota zarzuconym na szerokie ramiona. Książę. Podniósł rękę i pomachał tłumowi, a ludzie zdawali się chłonać jego gest.

— Vares Rhy! — podniósł się krzyk po drugiej stronie paradujących i szybko

podjęło go kilkanaście innych głosów. — Vares Rhy! Vares Rhy!

Książę posłał poddanym olśniewający uśmiech, a jakaś młoda kobieta o kilka kroków od Lili naprawdę zemdląca. Lila zadrwiła w myślach z jej głupoty, ale kiedy odwróciła się z powrotem do paradujących, zauważyła, że książę patrzy właśnie na nią. Intensywnie. Poczuli, że twarz jej płonie. Książę nie uśmiechnął się, nie mrugnął, jedynie wytrzymał jej spojrzenie przez długą, długą chwilę, lekko marszcząc czoło, jak gdyby wiedział, że ona nie przynależy do tego miasta, jak gdyby patrzył na nią i widział coś więcej. Wiedziała, że prawdopodobnie powinna się uklonić lub przynajmniej odwrócić wzrok, a jednak uparcie się w niego wpatrywała. A potem chwila minęła. Książę ponownie się uśmiechnął i odwrócił ku swoim poddanym, powóz zaś ruszył dalej, pozostawiając za sobą wstążki, tancerzy i rozgorączkowanych obywateli.

Lila otrząsnęła się i wróciła do terażniejszości. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo przesunęła się do przodu wraz z resztą zgromadzonych osób, aż usłyszała trajkotanie kilku stojących obok niej dziewcząt.

— Gdzie on był? — mruknęła jedna z nich. Lila prawie podskoczyła, zadowolona, że ktoś posługuje się jej językiem.

— Ser asina gose — powiedziała inna, po czym dodała po angielsku z mocnym obcym akcentem. — Dobra wymowa.

— Rensa tav — stwierdziła pierwsza. — Ćwiczę na dzisiejszy wieczór. Ty także powinnaś, jeśli chcesz tańczyć. — Wspięła się na palce i pomachała znikającemu księciu.

— Twój partner do tańca — wtrąciła się trzecia łamanym angielskim — chyba zaginął.

Pierwsza dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Zawsze jest w pochodzie. Mam nadzieję, że miewa się dobrze.

— Mas aven — powiedziała druga, przewracając oczyma. — Elissa jest zakochana w czarnookim księciu.

Lila uniosła czoło. „Czarnooki książę”?

— Nie możesz zaprzeczyć, że jest dziarski. Na swój udręczony sposób.

— Anesh. Na swój przerażający sposób.

— Tac. Nijak nie może się równać z Rhyem.

— Przepraszam — przerwała im Lila. Trzy dziewczyny odwróciły się do niej. — O co w tym wszystkim chodzi? — spytała, kiwając ręką w stronę pochodu. — Z jakiej to okazji?

Ta, która odezwała się łamanym angielskim, wydała z siebie zdumiony śmiech, jakby Lila sobie z niej żartowała.

— Mas aven — stwierdziła druga. — Skąd jesteś, że nie wiesz? Są oczywiście urodziny księcia Rhya.

— Oczywiście — powtórzyła za nią Lila.

— Masz znakomity akcent — pochwaliła ją ta, która szukała swojego czarnookiego księcia. Elissa. — Kto jest twoim nauczycielem?

Tym razem Lila się roześmiała. Dziewczyny tylko się na nią gapiły. Wtedy jednak z miejsca, w które odjechała rodzina królewska i odeszła reszta świętujących, rozległy się trąby — przynajmniej brzmiały jak trąby — a tłum ruszył za procesją, ku muzyce, zabierając ze sobą dziewczęta. Lila wyszła z tłumy i obmacała ręką kieszeń, upewniając się, że czarny kamień wciąż jest w środku. Był. Szumiał, rwąc się do jej dłoni, lecz Lila oparła się pokusie. Może magia była sprytna, ale ona również.

Gdy pochód przestał zasłaniać jej widok, mogła dokładnie zobaczyć rzekę po drugiej stronie ulicy. Woda promieniała nieprawdopodobnym czerwonym światłem, które zdawało się wydobywać z jej dna. Kell nazwał rzekę źródłem, a Lila nie rozumiała wtedy dlaczego. Rzeka naprawdę wibrowała mocą, zaś królewska procesja najwyraźniej przekroczyła jakiś most, ponieważ ludzie szli teraz po przeciwległym brzegu, kierując się ku odległym śpiewom i wiwatom.

Lila powiodła za nimi wzrokiem wzdłuż rzeki, aż zobaczyła solidnie sklepioną konstrukcję, która nie mogła być niczym innym, jak tylko pałacem. Budowla stała nie na brzegu rzeki, jak parlament, lecz nad nią, spinając niczym most oba brzegi. Wyglądała jak wycięta z brył szkła lub kryształu, których poszczególne fragmenty spojono miedzią i kamieniem. Lila chłonęła konstrukcję głodnymi oczyma. Pałac skojarzył jej się z klejnotem. Nie, raczej z koroną z klejnotów, lecz wyglądającą bardziej jak zwieńczenie szczytu górskiego niż ludzkiej głowy.

Trąby grzmiały teraz ze schodów, po których schodzili gromadnie służący w krótkich czerwono-złoty pelerynach, niosąc tace z jedzeniem i piciem dla mas.

Zapach w powietrzu — nieznanego jej jedzenia, napojów i magii — był absolutnie odurzający. Lila, idąc ulicą, czuła, jak od tej woni kręci jej się w głowie.

Tłumy rzedniały, a pomiędzy pustoszejącą ulicą a czerwoną rzeką niczym różany żywopłot rozkwitło nagle targowisko. Część osób odeszła wraz z królewskim pochodem, reszta jednak rozlała się wśród straganów i Lila podążyła w tę samą stronę.

— Crysac! — zawołała jakaś kobieta, trzymając w górze ognieście czerwone kamienie szlachetne. — Nissa lin.

— Tessane! — namawiała inna i prezentowała coś, co wyglądało jak parujący metalowy dzbanek do herbaty. — Cas tessane. — Zamachała dwoma palcami w powietrzu. — Sessa lin.

Wszędzie kupcy zachwalali towary w swoim dziwnym języku. Lila starała się tu i

ówdzie wychwycić jakieś wykrzyzcane słowo i połączyć je z pokazywanymi przez handlarzy przedmiotami — cas najprawdopodobniej znaczyło „gorąco”, a lin, jak sądziła, był rodzajem monety. Wszystko wokół było roziskrzzone, barwne i szumiało mocą, więc nie mogła skupić się dostatecznie długo na jednej rzeczy i z trudem cokolwiek kojarzyła.

Zaciągnęła mocniej płaszcz Kella na ramionach i powiodła złaknionym wzrokiem po straganach i kramach. Nie miała pieniędzy, lecz miała zwinne palce. Mijając budę oznaczoną szyldem ESSENIR, zobaczyła w środku stół zastawiony wypolerowanymi kamieniami we wszystkich kolorach — nie w zwyczajnych czerwieniach czy niebieskościach, lecz w doskonałych imitacjach natury: żółci ognia, zieleni letniej trawy, granacie nocy. A ponieważ sprzedawca stał odwrócony plecami, nie mogła się powstrzymać.

Sięgnęła po najbliższy wisior, z przepięknym niebiesko-zielonym kamieniem, w odcieniu otwartego morza — przynajmniej w takim kolorze je sobie wyobrażała i w takim kolorze widziała je na malowidłach — z małymi białymi smugami, jak duże morskie fale. Ale kiedy zacisnęła palce na kamyku, jej skórę smagnał palący ból.

Wstrzymała oddech, bardziej z szoku, że się oparzyła, niż od samego żaru, i gwałtownie cofnęła pulsującą rękę. Zanim zdążyła się odsunąć, kupiec złapał ją za przegub dłoni.

— Kers la? — zapytał. Kiedy nie odpowiedziała — bo wszak nie mogła odpowiedzieć — zaczął krzyczeć szybciej i głośniejsze; jego słowa zlewały jej się w uszach.

— Puść mnie — zażądała.

Na dźwięk jej głosu, kupiec zmarszczył czoło.

— Co sobie myślisz? — spytał gardłowym angielskim. — Chcesz uniknąć kary dzięki fantazyjnej mowie?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym gędzisz — warknęła ostro. — No dalej, puść mnie!

— Mówisz po arnezyjsku? Mówisz po angielsku? To nie ma znaczenia.

Wciąż jesteś gast. Nadal jesteś złodziejką.

— Nie jestem gast — odburknęła.

— Viris gast. Głupia złodziejka. Próbuje okraść zaczarowany namiot.

— Nie wiedziałam, że jest zaczarowany — odparła Lila, sięgając po sztylet przy pasie.

— Pilse — syknął kupiec, a jej się zdało, że właśnie ją znieważył. A potem mężczyzna podniósł głos. — Strast! — krzyknął. Lila, wykręcając się z jego uścisku, dostrzegła na skraju rynku straż w zbrojach. — Strast! — zawołał

ponownie handlarz, a jeden ze strażników zadarł głowę i odwrócił się ku nim.

„Cholera” — pomyślała Lila, wyrywając się mężczyźnie, jednak ledwie jej się udało, wpadła w inne ręce. Zacisnęły się na jej barkach i już miała wyszarpnąć nóż, kiedy zobaczyła, że kupiec blednie.

— Mas aven — powiedział, garbiąc się do przodu w ukłonie.

Dłonie trzymające Lilę zniknęły, a kiedy się odwróciła, dostrzegła Kella, który stał za nią i z typową dla siebie marsową miną wpatrywał się nie w nią, lecz w sprzedawcę.

— Co to ma znaczyć? — spytał, a Lila nie wiedziała, co zaskoczyło ją bardziej: jego niespodziewane pojawienie się, ton, jakim przemówił do kupca (spokojnym, lekceważącym głosem), czy sposób, w jaki tamten spoglądał na niego — z mieszaniną podziwu i strachu.

Kasztanowe włosy Kell odgarnął do tyłu, eksponując w czerwonym porannym świetle swoje czarne oko.

— Aven vares. Gdybym wiedział, że dziewczyna jest z to-to-tobą... — wyjąkał kupiec, po czym przeszedł znów na arnezyjski czy jakkolwiek ów język się nazywał. Lila słuchała ze zdumieniem, jak obca mowa płynie z ust Kella, kiedy próbował uciszyć kupca. Aż nagle wyłapała w zdaniach kupca to samo słowo, którego użył wcześniej, *gast*, i bez wahania się na niego rzuciła.

Kell szybko ją odciągnął.

— Dość tego — warknął jej w ucho. — Solase — powiedział do kupca przepraszającym głosem. — To cudzoziemka! Dzikuska, lecz nieszkodliwa.

Lila obrzuciła go ponurym spojrzeniem.

— Anesh, mas vares — bąknął kupiec, kłaniając się jeszcze niżej. — Na tyle szkodliwa, że kradnie... — Ponieważ mężczyzna pochylił głowę, nie widział, że Kell patrzy przez ramię na strażnika lawirującego ku nim przez targowisko. Nie widział, jak Kell zeszywniał. Ale Lila to spostrzegła.

— Kupię przedmiot, który usiłowała zabrać — rzucił pospiesznie antari, próbując wsunąć rękę do kieszeni płaszcza, niepomny faktu, że okrycie ciągle nosi Lila.

Sprzedawca wyprostował się i zaczął potrząsać głową.

— An. An. Nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy.

Strażnik się zbliżał, a Kell najwyraźniej nie chciał być tutaj, gdy tamten dotrze. Dlatego wyjął z płaszcza monetę i z trzaskiem położył ją na stole.

— Za twoje kłopoty — powiedział, ciągnąc za sobą Lilę. — Vas ir.

Nie czekał na ripostę kupca, tylko pchnął dziewczynę przez tłum, z dala od straganu i strażnika, który już prawie tam doszedł.

— Dzi-kus-ka?! — mruknęła Lila, kiedy Kell ścisnął jej ramię i skierował ją do wyjścia z targowiska.

— Pięć minut! — odparował mag, a potem zdjął z jej barków płaszcz, zarzucił go na siebie i podniósł kołnierz. — Nie możesz utrzymać przy sobie rąk przez pięć minut! Powiedz mi chociaż, że jeszcze nie przehandlowałaś kamienia.

Lila parsknęła z irytacją.

— Nie do wiary — syknęła ostro, kiedy wyprowadził ją z tłumu i z dała od rzeki ku jednej z węższych uliczek. — Tak bardzo się cieszę, że nic ci nie jest, Lilo — powiedziała, udając jego głos. — Dzięki Bogu, że talizman nie rozdarł cię na tysiąc złodziejskich kawałków.

Kell połuźnił uścisk na jej ramieniu.

— Nie mogę uwierzyć, że zadziałał.

— Wyraźnie nie pałasz entuzjazmem — wypaliła oschle.

Zatrzymał się i odwrócił ją ku sobie.

— Nie pałam — przyznał. W jego niebieskim oku zauważyła zmartwienie, czarne było nieczytelne. — Cieszę się, że wyszłaś bez szwanku, Lilo, ale drzwi pomiędzy światami powinny pozostać zamknięte dla wszystkich poza magami antari. To, że kamień zapewnił ci dostęp, potwierdza jedynie, jak bardzo jest on niebezpieczny. Każda chwila, którą on spędza tutaj, w moim świecie, napędza mnie przerażeniem.

Lila odkryła, że spuściła wzrok.

— No to — zaproponowała — wynośmy się stąd.

Uśmiech wdzięczności pojawił się na moment na wargach Kella. Potem Lila wydobyła z kieszeni kamień i podniosła go, a Kell wydał z siebie odgłos konsternacji i objął jej rękę swoją, ukrywając kamień przed ludzkim wzrokiem.

Kiedy jej dotknął, coś zamigotało mu w oczach, ale Lila nie sądziła, żeby tak go poruszył kontakt z jej skórą. Kamień lekko, lecz dziwnie zadrżał w jej dłoni, jak gdyby wyczuł obecność maga i chciał się do niego przenieść. Lila poczuła się nieco obrażona.

— Sanct! — zaklął antari, patrząc na nią. — Po prostu trzymaj go mocno, możesz?

— Myślałam, że chcesz go z powrotem! — odcięła się, rozdrażniona. — Nie można ci dogodzić.

— Trzymaj go i tyle — syknął. — I, w imię króla, niech nikt go nie zobaczy.

Lila schowała kamień i wymruczała cicho kilka bardzo nieuprzejmych słów pod adresem swojego towarzysza.

— A jeśli chodzi o język — ciągnął Kell — nie możesz mówić tak swobodnie. Angielski nie jest tutaj zwykłym językiem.

— Zauważyłam to. Dzięki za ostrzeżenie!

— Mówiłem ci, że nasze światy się różnią. Ale masz rację, powinienem był cię ostrzec. Tutaj angielskiego używa elita i ci, którzy pragną zmieszać się z lepszymi od

siebie. Wystarczy, że powiesz słowo w tym języku, a już się będziesz wyróżniała.

Lila zmrużyła oczy.

— Co mi każesz robić? W ogóle się nie odzywać?!

— Ta myśl przemknęła mi przez głowę — przyznał Kell. Dziewczyna spojrzała na niego wilkiem. — Ale ponieważ wątpię, czy byłoby to możliwe, poproszę tylko, żebyś ściszyła głos. — Uśmiechnął się, a Lila odwzajemniła się tym samym, opanowując przy okazji pragnienie rozkwaszenia mu nosa.

— Teraz, kiedy to ustaliliśmy... — odwrócił się i ruszył przed siebie.

— Pilsę — mruknęła, podążając za nim i mając nadzieję, że słowo to oznacza coś naprawdę paskudnego.

II

Aldus Fletcher nie był uczciwym człowiekiem.

Prowadził lombard w bocznej uliczce obok portu, w którym mężczyźni codziennie schodzili z łodzi, jedni z pragnieniem nabycia jakichś przedmiotów, inni z rzeczami, których chcieli się pozbyć. Fletcher dbał o jednych i drugich.

Zaspokajał także potrzeby miejscowych. W co ciemniejszych zaułkach Czerwonego Londynu było prawdą powszechnie znaną, że jeśli masz coś zakazanego, powinieneś się z tym udać właśnie do sklepu Fletchera.

Czasami, ma się rozumieć, trafiali tu porządni ludzie, by kupić lub pozbyć się fajek czy instrumentów, tablicy do wróżb, kamieni runicznych albo jakiegoś lichtarza, a Fletcher chętnie wzbogacał asortyment sklepu o ich towary, w razie gdyby królewskie straże zjawiły się u nich na kontrolę. Ale prawdziwe zyski czerpał z ryzyka.

Na ścianie obok lady wisiała gładka kamienna tablica, duża jak okno, lecz czarna jak smoła. Na jej powierzchni migotał, poruszał się i rozprzestrzeniał biały dym, tworząc litery niczym pisane kredą i oznajmiając pełny plan uroczystości z okazji urodzin księcia. Ponad zawiadomieniem rozblęśło właśnie na tablicy odbicie uśmiechniętej twarzy Rhya. Książę rozpromienił się i mrugnął, kiedy poniżej jego szyi pojawiła się wiadomość.

Król i królowa zapraszają was do celebrowania dwudziestych urodzin księcia na pałacowych stopniach

i w dorocznej paradzie Po kilku sekundach wiadomość wraz z twarzą księcia zmieniły się w nicość i przez chwilę tablica informacyjna pozostawała ciemna, po czym na nowo ożyła i zaczęła przekazywać garść innych komunikatów.

— Erase es feras? — zagrzemiał Fletcher głębokim głosem. „Wnosisz czy wynosisz?”

Pytanie było skierowane do młokosa, któremu ledwie się sypał zarost tu i ówdzie na brodzie, a który stał zamyślony przy stole z bibelotami znajdującymi się obok drzwi. „Wnoszenie” oznaczało sprzedaż, a „wynoszenie” — kupno.

— Ani jedno, ani drugie — wymamrotał chłopak. Fletcher miał oko na ruchliwe dłonie młodzieńca, ale nie niepokoił się za bardzo, gdyż sklep był dobrze zabezpieczony przed kradzieżą. Dzień był leniwy i Fletcher niemal żałował, że chłopak nie próbuje czegoś zwędzić. Miałby trochę rozrywki. — Tylko patrzę — dodał nerwowo.

Sklep Fletchera na ogół nie przyciągał gapiów. Ludzie przychodzili tu z

konkretnym zamiarem. I musieli ten zamiar przedstawić. Czegokolwiek ten dzieciak pragnął, nie pragnął tego zbyt mocno, skoro o tym nie mówił.

— Powiadom mnie — podsumował właściciel — jeśli nie będziesz mógł znaleźć tego, czego szukasz.

Chłopak skinął głową, lecz wciąż zerkał ukradkiem na Fletchera, a raczej na przedramiona, które ten położył na ladzie. Powietrze na dworze było ciężkie jak na poranek w porze żniw (biorąc pod uwagę klientelę, można by pomyśleć, że sklep działa w złodziejskich godzinach, czyli od zmierzchu do świtu, ale Fletcher dawno temu odkrył, że najwięksi oszuści wolą udawać uczciwych kupców). Fletcher zakasał rękawy do łokci, pokazując na pobrązowiałych od słońca przedramionach wiele śladów i blizn. Jego skóra była mapą jego życia.

A życia nie miał łatwego.

— Więc to prawda, co mówią? — spytał w końcu chłopak.

— O czym? — odpowiedział Fletcher, unosząc grubą brew.

— O tobie. — Młokos łypnął na znaki wokół przegubów dłoni starszego mężczyzny. Okręzały one oba jego nadgarstki jak kajdanki; zabliznione szramy po głębokich ranach. — Mogę je zobaczyć?

— Ach, te? — spytał Fletcher, podnosząc rękę.

Znaki stanowiły karę, na którą skazywano jedynie tych, którzy przeciwstawili się złotej regule magii.

— „Nie będziesz wykorzystywać swej mocy do panowania nad drugą osobą” — wyrecytował, błyskając zimnym, krzywym uśmiechem. W przypadku takiej zbrodni korona nie okazywała miłosierdzia. Winnego krępowano i piętnowano za pomocą okowów, które hamowały moc.

Ale okowy Fletchera popękały. Dlatego ślady na przegubach dłoni były nierówne, przyćmione, niczym przełamane ogniwa w metalowym łańcuchu.

Żeby uzyskać taki efekt, poszedł na kraniec świata, przehandlował krew, duszę i lata życia, lecz teraz był tutaj. Znowu wolny. W pewnym sensie. Wciąż był przywiązany do sklepu i iluzji braku mocy — iluzji, którą utrzymywał na wypadek, gdyby królewskie straże dowiedziały się o jego wyzdrowieniu i wróciły, roszcząc sobie prawo do czegoś więcej niż jego magia. Oczywiście pomagało mu to, że zapłacił kilku z nich za przysługę. Wszyscy — nawet bogaci i dumni ludzie króla, a także sami królowie — pragną rzeczy, których nie powinni mieć. A dostarczanie takich rzeczy było właśnie jego specjalnością.

Chłopak nadal gapił się na znaki, wybałuszając oczy i blednąc.

— Tac. — Fletcher ponownie położył przedramiona na ladzie. — Czas na patrzenie się skończył. Zamierzasz coś kupić czy nie?

Młokos umknął z pustymi rękoma, a Fletcher westchnął i wyszarpnął z tylnej kieszeni fajkę. Strzelił palcami i mały błękitny płomień zatańczył mu na opuszcze kciuka, którego mężczyzna używał do zapalania liści wciśniętych w główkę fajki. A potem wyjął coś z kieszeni koszuli i postawił to na drewnianej ladzie.

Pionek szachowy. A dokładniej mówiąc, mała biała wieża. Symbol długu, który jeszcze nie został spłacony, ale będzie.

Niegdyś ta wieża należała do młodego antariego Kella, a do Fletchera trafiła z puli po zakończeniu gry w Sanct.

Sanct jest rodzajem gry, która się rozwija. Wymaga połączenia strategii, szczęścia i odrobiny oszustwa, runda może się zatem skończyć w ciągu kilku minut lub trwać całe kwadransy. A tamtej nocy ostatnie rozdanie wlokło się przez niemal dwie godziny. Zostali już wtedy tylko we dwóch, Fletcher i Kell.

Noc się ciągnęła, a pula rosła. Nie grali, naturalnie, na pieniądze. Stół był zastawiony stosami symboli, świecidełek i rzadkich przedmiotów magicznych.

Flakonik piasku nadziei. Wodne ostrze. Płaszcz, który skrywał w sobie nieskończoną liczbę warstw.

Fletcher grał każdą kartą z wyjątkiem trójki; miał parę królów ze świętym.

Był pewny, że wygra. A wtedy Kell zagrał trzema świętymi. Problem polegał na tym, że w całej talii było tylko trzech świętych, a Fletcher miał w ręce jednego z nich. Kiedy jednak Kell rozłożył swoje karty, święty w dłoni Fletchera zamigotał i zmienił się w służącego, najniższą kartę w talii.

Na ten widok sklepikarz poczerwieniał. Brat księcia wsunął zaczarowaną kartę pomiędzy swoje, oszukał go i zwyciężył w grze. I to była najlepsza i najgorsza rzecz w Sanct. Nic nie było zakazane. Nie trzeba było grać uczciwie.

Trzeba było po prostu wygrać.

Fletcher nie miał wyboru — musiał rozłożyć karty wraz z tą zamienioną, a w sali zewsząd rozległy się wrzaskliwe komentarze i drwiny. Kell jedynie się uśmiechnął, wzruszył ramionami i wstał. Wyciągnął jeden z bibelotów ze stosu — wieżę szachową z innego Londynu — i rzucił go Fletcherowi.

— Bez urazy — powiedział, mrugając okiem, a potem wziął dołę i wyszedł.

„Bez urazy”.

Palce Fletchera napięły się teraz na małym kamiennym posążku. Dzwonek przy wejściu do sklepu zadźwięczał i wszedł klient — wysoki, szczupły mężczyzna z siwiejącą brodą i głodnym błyskiem w oku. Fletcher schował wieżę do kieszeni i zmusił się do ponurego uśmiechu.

— Erase es ferase? — spytał. „Wnosisz czy wynosisz?”

III

Kiedy szli, Kell naprawdę wyczuwał kamień w kieszeni Lili.

Wcześniej na moment zacisnął palce na ręce dziewczyny i skórą dłoni przypadkiem musnął talizman, a wtedy pomyślał, że pragnie tylko jednego — odebrać go Lili. Wydawało mu się, że gdyby tylko mógł go potrzymać, wszystko byłoby dobrze. Nedorzeczna myśl! Nic nie będzie dobrze, dopóki kamień istnieje. Niemniej kamień przyciągał jego zmysły i kiedy Kell prowadził Lilę przez Czerwony Londyn, oddalając się od panującego zgielku i kierując ku Rubinowym Polom, dygotał i starał się o tym nie myśleć.

Uroczystości z okazji urodzin Rhya będą się odbywały przez cały dzień, wabiąc większą część miasta — jego mieszkańców i jego strażników — na brzegi rzeki i do czerwonego pałacu.

Kella przepełniło poczucie winy. Powinien uczestniczyć w procesji, powinien jechać w otwartym powozie wraz z rodziną królewską, powinien tam być, przekomarzać się z bratem i łajać go za to, że tak bardzo się delektuje uwagą zgromadzonych osób.

Był pewny, że z powodu tej nieobecności Rhy będzie się na niego dąsał całymi tygodniami. Niestety, w tym momencie przypomniał sobie, że nigdy nie trafi mu się szansa na przeprosiny. Myśl ta cięła go jak nożem, chociaż przekonywał siebie, że tak musi być i że w odpowiednim czasie Lila wszystko księciu wyjaśni. A Rhy? Rhy mu wówczas wybaczy.

Kołnierz miał postawiony, głowę spuszczoną nisko, a jednak, gdy szli ulicami, wciąż czuł na sobie spojrzenia przechodniów. Co chwila oglądał się przez ramię, nie mógł się bowiem otrząsnąć z wrażenia, że ktoś na niego patrzy.

Zresztą, kiedy kluczyli po mieście, popatrywała na niego oczywiście Lila, obrzucając go badawczymi spojrzeniami.

Coś ją wyraźnie dręczyło, ale zachowywała wątpliwości dla siebie i przez chwilę zastanawiał się, czy milcząc, dziewczyna wypełnia jego polecenie, czy też po prostu czeka na właściwy moment. A potem, gdy na widok dwóch królewskich strażników, idących z hełmami swobodnie wsuniętymi pod pachę, Kell — i z konieczności Lila — musiał się pospiesznie schronić w zabudowanym wejściu, dziewczyna wreszcie przerwała milczenie.

— Powiedz mi coś, Kell — poprosiła, kiedy wrócili na chodnik po odejściu mężczyzn. — Tutejsi prości ludzie traktują cię jak jakiegoś arystokratę, a

równocześnie ukrywasz się przed królewską strażą niczym złodziej. Co z tego jest prawdą?

— Nic — odparł cicho, z nadzieją, że Lila porzuciła ten temat.

Ale ona nie dawała za wygraną.

— Jesteś jakimś dzielnym rozbójnikiem? — naciskała. — Kimś w rodzaju Robin Hooda, bohaterem dla ludzi i przestępcą w oczach władzy?

— Nie.

— Jesteś za coś poszukiwany?

— Niedokładnie.

— Z mojego doświadczenia wiem — zaobserwowała — że konkretna osoba albo jest poszukiwana, albo nie. Dlaczego miałbyś się ukrywać przed strażnikami, gdybyś nie był poszukiwanym zbiegiem?

— Ponieważ pomyślałem, że może mnie szukają.

— A dlaczego mieliby cię szukać?

— Może uznali mnie za zaginionego.

Słyszał, że Lila zwalnia.

— Dlaczego mieliby przywiązywać do tego wagę? — spytała, zatrzymując się. — Kim jesteś?

Odwrócił się do niej twarzą.

— Mówiłem ci...

— Nie — ucięła, mrużąc oczy. — Kim jesteś tutaj? Kim jesteś dla nich?

Zawahał się. Pragnął jedynie przejść przez swoje miasto najszybciej, jak to możliwe, wziąć ze swojego pokoju symbol Białego Londynu i wynieść ten przeklęty czarny kamień z tego świata. Ale wyglądało na to, że Lila nie zamierza ruszyć dalej, dopóki jej nie odpowie: — Należę do rodziny królewskiej — stwierdził.

W ciągu kilku godzin ich znajomości dowiedział się już, że Lilę trudno czymś zaskoczyć, lecz po tym wyznaniu z niedowierzaniem otworzyła szeroko oczy.

— Jesteś jakimś księciem?!

— Nie — odrzekł stanowczo.

— Jak ten śliczny panicz w powozie? To twój brat?

— Ma na imię Rhy i nie... — Mówiąc to, Kell poczuł zażenowanie. — No cóż... niedokładnie.

— Więc to ty jesteś tym czarnookim księciem. Muszę przyznać, że nigdy nie uważałam cię za...

— Nie jestem księciem, Lilo.

— Przypuszczam, że potrafię to zrozumieć, bo jesteś raczej wyniosły i...

— Nie jestem...

— Ale co... członek rodziny królewskiej robi...

Kell pchnął ją na ceglana ścianę bocznej uliczki.

— Nie jestem członkiem rodziny królewskiej! — warknął. — Należę do nich!

Lila zmarszczyła czoło.

— Co masz na myśli?

— Posiadają mnie — powiedział, wzdrygając się pod wpływem tych słów.

— Jestem ich własnością. Ozdobą... Rozumiesz? Dorastałem w pałacu, ale to nie jest mój dom. Wychowywałem się z Rhyem, jednak ani on, ani król czy królowa nie są moją rodziną, nie poprzez więzy krwi. Stanowią dla nich pewną... wartość, więc mnie trzymają, ale nie przynależę do ich rodziny, to nie to samo...

Gdy wymawiał te słowa, wręcz go paliły. Wiedział, że takie przedstawienie sprawy nie jest uczciwe wobec króla i królowej, którzy traktowali go ciepło, jeśli nie z miłością, ani wobec Rhya, który zawsze patrzył na niego jak na brata. Tak właśnie jednak wyglądała prawda, czyż nie? Chociaż była bolesna.

Mimo wzajemnych uczuć fakt pozostał faktem, że Kell był ich orężem, tarczą, narzędziem... Nie był księciem. Nie był synem.

— Biedaku — mruknęła zimno Lila, odpychając go. — Czego chcesz?

Litości? Nie znajdziesz jej u mnie.

Kell zacisnął zęby.

— Ja nie...

— Masz gdzie mieszkać, nawet jeśli nie masz domu — wypaliła. — Wokół siebie masz ludzi, którym na tobie zależy, nawet jeśli nie kochają cię jak członka rodziny. Może nie posiadasz wszystkiego, czego zapragniesz, ale idę o zakład, że masz wszystko, czego mógłbyś kiedykolwiek potrzebować! I masz czelność utrzymywać, że nic z tego się nie liczy, bo to nie miłość.

— Ja...

— Miłość nie ochroni cię przed zamrożeniem na śmierć, Kellu — kontynuowała — ani przed przymieraniem głodem, ani przed zasztyletowaniem dla pieniędzy, które nosisz w kieszeni. Miłość niczego nie kupi, więc ciesz się z tego, co masz, i z tego, kogo masz, ponieważ może czegoś chcesz, ale w rzeczywistości niczego ci nie brakuje!

Kiedy skończyła, po raz pierwszy widział ją zdyszana, oczy jej płonęły, policzki miała zarumienione.

I po raz pierwszy tak naprawdę ją zobaczył. Nie taką, za jaką chciała uchodzić, lecz taką, jaka była w istocie. Przerażoną, aczkolwiek zmyślną dziewczyną, która rozpaczliwie próbuje utrzymać się przy życiu. Zobaczył osobę, która najprawdopodobniej wcześniej marzła, głodowała i walczyła — i bez wątpienia nieraz

zabiła — ponieważ chciała zachować jakieś pozory normalnej egzystencji, strzegąc ich jak świecy w silnym wietrze.

— Powiedz coś — rzuciła wyzywająco.

Przełknął ślinę, dłonie zacisnął w pięści po bokach ciała i popatrzył na nią twardo.

— Masz rację — przyznał.

Mówiąc to, poczuł dziwny niesmak i w tym momencie zapragnął jedynie pójść do domu (który był domem znacznie bardziej niż wszystko, co Lila prawdopodobnie posiadała). Pozwolić, by królowa dotknęła jego policzka, a król — jego ramienia. Objąć kark Rhya, wznieść toast z okazji jego urodzin, słuchać, jak gwarzy bez sensu i się zaśmiewa.

Pragnął tego wszystkiego aż do bólu.

Ale nie mógł tego mieć.

Popełnił błąd. Naraził ich wszystkich na niebezpieczeństwo i musiał to naprawić.

Ponieważ jego obowiązkiem było ich chronić.

I ponieważ ich kochał.

Lila nadal wpatrywała się w niego, czekając, aż doda coś, co podważy jej słowa, ale nie potrafił tego zrobić.

— Masz rację — powtórzył. — Wybacz mi. W porównaniu z twoim moje życie musi się wydawać cudowne...

— Nawet nie próbuj się nade mną litować, młody magu — odburknęła.

W ręce miała nóż. W jednej chwili zniknęło przerażone dziecko ulicy i wrócił sprytny rzezimieszek. Kell uśmiechnął się blado. Nie mógł zwyciężyć Lili w tych bitwach, ale na widok jej groźnej minki poczuł ulgę. Oderwał od niej wzrok i spojrzał w górę, na niebo; od niskich chmur odbijała się czerwień rzeki Isle. Nadchodziła burza. I z tego powodu Rhy będzie się dąsał, tak jak na wszystko, co może zniweczyć wspaniałość jego dnia.

— Chodź — powiedział — jesteśmy już prawie na miejscu.

Dziewczyna schowała nóż do pochwy i poszła za nim, patrząc na niego nieco życzliwiej.

— To miejsce, do którego idziemy... — spytała. — Czy ono ma nazwę?

— Is Kir Ayes — odparł. — Rubinowe Pola.

Jeszcze nie powiedział jednak Lili, że jej droga tam się skończy. Że musi tak być. Dla spokoju jego umysłu i dla jej bezpieczeństwa.

— Co masz nadzieję tam znaleźć?

— Jakiś symbol Białego — wyjaśnił. — Coś, co da nam dostęp do tamtego Londynu. — Przejrzał w myślach półki i szuflady w swoim pokoju, wspominając i wyłuskując różne świecidełka z różnych miast. — Gospodę — ciągnął — prowadzi

kobieta imieniem Fauna. Powinnyście się świetnie dogadać.

— Niby dlaczego?

— Bo obie jesteście...

Już miał powiedzieć „twarde jak kamień”, ale właśnie wtedy skręcił za róg i gwałtownie się zatrzymał, a słowa zamarły mu na ustach.

— Czy to są Rubinowe Pola? — zapytała, przystając obok niego, Lila.

— Tak — przyznał po cichu. — Albo raczej były.

Nie pozostało nic poza popiołem i dymem.

Gospoda ze wszystkim, co w niej było, została doszczętnie spalona.

IV

To nie był zwyczajny ogień.

Zwyczajny ogień nie spala metalu z taką samą łatwością, jak spala drewno.

Zwyczajny ogień się rozprzestrzenia. Ten nie. Płomień wyraźnie dotarł jedynie do granic budynku i pozostawił po sobie ślad niemal idealnie w kształcie gospody — zaledwie kilka miejsc zostało osmalonych na ulicznych kamieniach, które otaczały budowlę.

Nie, ten ogień wywołany został zaklęciem.

I niedawno. Ciepło ciągle jeszcze emanowało od zgliszczy, kiedy Kell i Lila brnęli wśród nich, poszukując czegoś — czegokolwiek — co przetrwało.

Jednak niczego nie znaleźli.

Kell poczuł falę mdłości.

Tego rodzaju ogień był gorący i płonął szybko, a wypalone brzegi sugerowały użycie kręgu wiązania. Nie ograniczał się po prostu do płomieni.

Obejmował wszystko. I wszystkich. Ilu ludzi zostało uwięzionych w środku?

Ile ciał leży teraz w pogorzeli, ciał zredukowanych do kości lub jedynie popiołów?

A potem pomyślał egoistycznie o swoim pokoju w spalonej gospodzie.

Lata kolekcjonowania — pozytywki i medaliony, instrumenty i przedmioty ozdobne, rzeczy zwykłe, drogocenne i niepowtarzalne — wszystko przepadło.

Jedno z ostrzeżeń Rhya („Porzuć tę głupotę, nim cię złapią”) rozbrzmiało mu w głowie i przez chwilę cieszył się, że obrabowano go z łupów, zanim ktoś odkrył jego proceder. I nagle pojął ciężar tej myśli. Ktokolwiek dokonał podpalenia, nie okradał go — przynajmniej nie to było jego celem.

Pozbawiając go łupu, podpalacze go odseparowali. Antari nie mogą przecież podróżować bez symboli innych Londynów. Próbowali go osaczyć, dopilnować, żeby — jeśli uda mu się bezpiecznie wrócić do Czerwonego Londynu — nie zastał tu niczego, czym mógłby dysponować.

W tej staranności widać było rękę Hollanda. Tę samą, która zdarła z jego szyi londyńskie monety i wyrzuciła je w ciemność.

Lila kopnęła czubkiem buta stopione resztki imbryka.

— Co teraz?

— Nic tu nie ma — zauważył Kell, przesypując w palcach garść popiołu.

— Będziemy musieli znaleźć inny symbol. — Tak rozmyślając, starł z rąk sadzę.

Nie był jedynym posiadaczem potrzebnych przedmiotów w Czerwonym Londynie, ale lista takich osób była krótka, ponieważ znacznie chętniej handlował artefaktami z oryginalnego, niegroźnego Szarego Londynu niż ze spaczzonego i przepelnionego brutalnością Białego. Jeden symbol znajdował się u króla Maxima, Kell przekazał mu go przed laty. Fauna miała przedmiot, który dał jej w ramach ich umowy (choć Fauna, obawiając się, leżała obecnie zagrzebana gdzieś w gruzach).

No i Fletcher miał jeden.

Kell wzdrygnął się w duchu.

— Znam pewnego mężczyznę — powiedział, co nie stanowiło nawet połowy prawdy, ale na pewno było prostsze niż wyjaśnianie, że Fletcher to drobny paser, który przegrał z nim w grze Sanct, kiedy Kell był wiele lat młodszy i o wiele bardziej butny; więc podarował Fletcherowi przedmiot z Białego Londynu albo jako gest pojednania (gdyby miał ochotę okłamywać siebie), albo jako dodatkowy cios (jeśli byłby wobec siebie uczciwy). — Nazywa się Fletcher. Prowadzi sklep obok portu. Będzie miał symbol.

— Tak, no cóż, miejmy nadzieję, że jego sklepu również nie spalili.

— Chciałbym zobaczyć, jak próbuje...

Słowa zamarły mu w gardle. Ktoś nadchodził. Ktoś, kto śmierdzał krwią i rozżarzoną metalą. Kell rzucił się ku Lili, która wydała jęk protestu, lecz zakryła dłońmi jej usta, a drugą rękę wepchnął do jej kieszeni. Palce odnalazły kamień i objęły go, a wówczas moc przetoczyła się przez jego ciało i popłynęła wraz z jego krwią. Złapał oddech, gdy przebiegł go dreszcz, ale nie było czasu na rozważanie własnych doznań — równocześnie elektryzujących i przerażających — i nie było czasu na wahania.

„Przekonanie — powiedział mu wcześniej Holland — przekonanie jest kluczem”. Dlatego Kell nie zwlekał ani się nie wahał.

— Ukryj nas! — rozkazał talizmanowi.

I kamień go posłuchał. Ożył, zaszumiał, jego moc ogarnęła Kella, a później — między jednym uderzeniem serca a kolejnym — antariego i Lilę otoczył czarny dym. Osiadł na nich jak cień, jak welon. A kiedy Kell przycisnął do niego palce, natrafił na coś gęstszego niż powietrze, lecz mniej zwarte niż sukno. Gdy patrzył na dziewczynę, widział ją, podobnie jak ona jego, oboje doskonale widzieli też swoje otoczenie, chociaż było przyciemnione przez zakłęcie. Kell wstrzymał oddech i miał nadzieję, że kamień wypełnił jego polecenie. Nie miał wyboru. Nie było już czasu na ucieczkę.

W tym momencie w wejściu do bocznej uliczki pojawił się właśnie Holland.

Na jego widok Kell i Lila napięli mięśnie. Prezentował się nieco gorzej niż wtedy,

gdy leżał na kocich łbach alejki w Szarym Londynie. Nadgarstki pod krótką zmiętą peleryną miał czerwone i zaognione. Srebrna klamra była zmatowiała, kołnierz — poplamiony od błota, a twarz Hollanda wypełniał gniew, jakiego Kell jeszcze nie widział. Mała zmarszczka między brwiami.

Napięte szczęki.

Kell czuł, że kamień drży w jego ręce, i zastanowił się, czy Holland go przyciąga, czy to raczej talizman przyciąga Hollanda.

Biały antari trzymał w górze, przy ustach jakiś przedmiot — spłaszczony kryształ — rozmiaru i kształtu karty do gry — i mówił do niego w typowy dla siebie cichy, spokojny sposób.

— Öva sö taro — oznajmił w swoim języku ojczystym. „On jest w mieście”. — Kell nie słyszał odpowiedzi rozmówcy, lecz po przerwie Holland rzekł: — Kösa. — „Jestem pewny”. Po czym wsunął kryształ z powrotem do kieszeni, a następnie oparł się ramieniem o ścianę i studiował zwęglone ruiny gospody.

Stał nieruchomo, jakby zatracił się w myślach.

Lub czekał.

Widząc pewność jego spojrzenia, Lila wierciła się nieznacznie obok Kella, więc mocniej przycisnęła dłoń do jej ust.

Holland zmrużył oczy. Może rozmyślał. Może patrzył na nich. A potem się odezwał.

— Gdy budynek płonął, krzyczeli — powiedział po angielsku, zbyt głośno, by mówił wyłącznie do siebie. — Pod koniec wszyscy krzyczeli. Nawet stara kobieta.

Kell zacisnął zęby.

— Wiem, że tu jesteś, Kell — podjął Holland. — Nawet spalone resztki nie są w stanie stłumić twojego zapachu. I nawet magia kamienia nie może ukryć jego samego. Nie przede mną. Przywołuje mnie w ten sam sposób, w jaki woła ciebie. Znajdę cię wszędzie, skończ zatem z tymi bzdurami i staw mi czoła.

Kell i Lila trwali przed nim jak zmrożeni, dzieliło ich od niego tylko kilka krótkich kroków.

— Nie jestem w odpowiednim nastroju na gierki — ostrzegł biały antari, a jego zwykle opanowanie zastąpiło rozdrażnienie.

Kiedy ani Kell, ani Lila się nie poruszyli, westchnął i wyciągnął z kieszeni srebrny zegarek kieszonkowy. Kell rozpoznał go — to był ten, który Lila zostawiła Barronowi. Poczuł, że przyciśnięta do niego dziewczyna sztywnieje, kiedy Holland rzucił czasomierz w ich kierunku; przedmiot podskoczył na pociemniałej ulicy, po czym ślizgał się, aż się zatrzymał na skraju zwęglonych resztek gospody. Ze swego miejsca Kell dostrzegł na zegarku plamy krwi.

— Umarł przez ciebie — obwieścił Holland, zwracając się do Lili. — Ponieważ uciekłaś. Stchórzyłaś. Ciągłe tchórzysz?

Lila walczyła, starając się uwolnić z ramion Kella, ale trzymał ją ze wszystkich sił, przyciskając do piersi. Czuł jej łzy spływające po ręce, którą trzymał na jej ustach, ale nie puścił.

— Nie — szepnął jej w ucho. — Nie tutaj. Nie w ten sposób.

Holland westchnął.

— Umrzesz śmiercią tchórze, Delilah Bard. — Wyjął spod peleryny zakrzywione ostrze. — Kiedy to się skończy — dodał — oboje będziecie żałowali, że się nie ujawniliście.

Podniósł pustą rękę, a wtedy wiatr porwał popioły zniszczonej gospody i wciągnął je w wir nad ich głowami. Kell podniósł wzrok na chmury popiołu nad nimi i pod nosem wypowiedział jakąś modlitwę.

— Ostatnia szansa — powiadomił ich Holland.

Kiedy odpowiedziało mu milczenie, opuścił rękę i popiół zaczął opadać.

Kell wiedział, co się teraz zdarzy. Pył opadnie i osiadzie na zasłonie, pokazując osoby pod nią, a wtedy Holland natychmiast się na nich rzuci.

Mysłał szybko, coraz mocniej ściskając kamień, i już miał ponownie wezwać moc talizmanu, kiedy popiół dotarł do zasłony i... po prostu przez nią przeleciał.

Opadł wprost przez osobliwy materiał, a potem przez Kella i Lile, jak gdyby wcale ich tam nie było. Jak gdyby nie istnieli realnie. Zmarszczka między różnobarwnymi oczyma Hollanda pogłębiła się, kiedy resztki popiołu zaległy na ruinach i Kell ucieszył się (bardzo lekko) z niezadowolenia drugiego antariego. Może potrafił ich wyczuć, lecz nie mógł ich zobaczyć.

W końcu, gdy wiatr ustał, a pył osiadł i znieruchomiał, Kell i Lila pozostali zaś ukryci dzięki władzy kamienia, Holland stracił trochę pewności siebie.

Wsunął do pochwy zakrzywione ostrze, zrobił krok w tył, odwrócił się i odszedł zamasztyłym krokiem, a peleryna wydymała się za nim jak kłęby dymu.

W chwili, w której Holland zniknął, Kell poluźnił uchwyt na ustach Lili, a wtedy dziewczyna wyrwała się zarówno jemu, jak i zakłębieniu, po czym rzuciła się przed siebie, ku leżącemu na ulicy srebrnemu zegarkowi.

— Lila — zawołał.

Wyglądało na to, że go nie słyszała, i nie wiedział, czy to dlatego, że opuściła ochronną zasłonę, czy też dlatego, że jej świat zmniejszył się do rozmiaru i kształtu małego, pokrytego krwią zegarka. Obserwował, jak klękała na jedno kolano i podnosiła w drżących palcach czasomierz.

Podszedł i położył rękę na jej ramieniu, a przynajmniej próbował, lecz jego dłoń

przeszła przez ciało. Więc miał rację. Zasłona nie uczyniła ich po prostu niewidzialnymi. Uczyniła ich bezcielesnymi!

— Ujawnij moją osobę — polecił kamieniowi. Energia zafalowała, przetoczyła się przez niego, a chwilę później zasłona się rozpuściła. Klękając obok Lili, Kell przez moment zdumiewał się łatwością, z jaką się to zdarzyło — wcześniej magia często przychodziła bez wysiłku, lecz po raz pierwszy tak ochoczo sama ustąpiła. A skoro nie mogli stać tutaj tak wyeksponowani, nie mogli sobie na to pozwolić, wzięła dziewczynę za rękę i bezgłośnie rozkazał magii, by znowu ich ukryła. Kamień posłuchał i zasłona ponownie spowiła ich oboje.

Lila wzdrygnęła się pod jego dotykiem. Pragnął jej powiedzieć, że nic się nie stało, że może Holland zabrał zegarek, pozostawiając Barrona przy życiu, ale nie chciał jej okłamywać. Holland miał wiele zalet — z których większość zresztą dobrze ukrywał — ale na pewno nie był sentymentalny. Jeśli kiedyś okazywał współczucie czy miłosierdzie, Athos pozbawił go tej cechy, tak jak pozbawił go duszy.

Nie, Holland był bezlitosny.

Więc Barron nie żył.

— Lila — powiedział Kell łagodnie. — Przykro mi.

Zacisnęła mocno palce na czasomierzu i wstała. Kell podniósł się wraz z nią i chociaż nie spojrzała mu w oczy, widział w rysach jej twarzy wściekłość i ból.

— Kiedy to się skończy — oznajmiła, wkładając zegarek w fałdy peleryny — to ja poderżnę mu gardło. — A potem się wyprostowała i zrobiła krótki, drżący wydech. — No — powiedziała — to którędy do tego Fletchera?



DZIESIĘ

Jedna biała
wieża szachowa

I

Booth zaczął się rozpadać.

W tym ponurym Szarym Londynie ciało pijaka nie utrzymało się bynajmniej zbyt długo — co zresztą nie spodobało się szalejącej w nim istocie. To nie była wina magii — niewiele miała tu miejsc dla siebie, niewiele znajdowała pożywki. Ludzie nosili w sobie ledwie światełko życia, nie zaś ogień, do którego mroczna magia była przyzwyczajona. Niezwykle łatwo było rozwiać tak małe ilości ciepła. W chwili, gdy wtargnęła w ciało, wypalała je, błyskawicznie zmieniając krew i kości w strużyny i popiół.

Booth spuścił czarne oczy i spojrzął na własne osmalone palce. Z tak kiepską podpalką trudno się przemieszczać, a zatem nie sposób przetrwać długo w żadnym ciele.

Nie z powodu braku starań. Mimo wszystko istota zostawiła za sobą wzdłuż doków szlak porzuconych powłok.

Ledwie w godzinę przetoczyła się przez część miasta, którą nazywano Southwark.

A jednak obecne ciało istoty — to, które przejęła w alejce z karczmą — właśnie się rozpadało. Czarna plama na gorsie mężczyzny pulsowała, starając się powstrzymać ciało przed wykrwawieniem i zachować resztki życia. Może istota nie powinna dźgać pijaka, ale ta metoda wydawała się najszybsza.

Niestety, niszcząca powłoka i brak perspektyw stawiała istotę w kłopotliwym położeniu. Rozpoczął się rozkład.

Z każdym krokiem odpadały kawałki skóry. Ludzie na ulicy patrzyli na mężczyznę i odchodzili jak najdalej, jakby to, co go zżerało, było zaraźliwe. A oczywiście nie było. Magia jest tak naprawdę piękną chorobą. Lecz tylko wówczas, gdy ciało żywiciela jest silne. I dostatecznie czyste. Tutejsi ludzie zupełnie się nie nadawali.

Mężczyzna szedł dalej przez miasto — a właściwie w tej chwili włókł się i kuśtykał — moc w tej powłoce była teraz jedynie przygasającym żarem, który szybko się ochładzał.

W dodatku istota odkryła z rozpaczą, że mężczyzna idzie — a dokładniej zawraca — ku miejscu, z którego wyruszył, do karczmy Rzut Kamieniem.

Zastanowiła się nad kwestią przyciągania przez ten niewielki przybytek. Był niczym iskierka ciepła w chłodnym, martwym mieście. Iskierka światła, życia, magii.

Jeśli zdoła tam dotrzeć, może znajdzie jeszcze tłący się ogień.

Istotę tak bardzo pochłoneła potrzeba dotarcia do karczmy, że kiedy schodziła z

chodnika na bruk alejki, nie zauważyła ani osobnika stojącego przy drzwiach lokalu, ani zbliżającej się szybko furmanki.



Edward Archibald Tuttle stał akurat w tym momencie przed Rzutem Kamieniem. Marszczył brwi.

Karczma powinna zostać do tej pory otwarta, ale rygle na drzwiach nadal były zasunięte, okiennice na oknach zamknięte, a wewnątrz budynku zdawała się panować osobliwa cisza. Sprawdził godzinę na kieszonkowym zegarku.

Niedawno minęło południe. To było dziwne.

„Podejrzane — zadumał się. — Nikczemne nawet”.

Myślał szybko, zastanawiając się nad różnymi możliwościami, lecz wszystkie były tak samo mizerne.

Jego rodzina twierdziła, iż ma zbyt bujną wyobraźnię, on jednak uważał, że to reszcie świata po prostu brakuje przenikliwości i poczucia magii, które on, Edward, naturalnie, posiadał. Albo które przynajmniej usiłował osiąść. Albo co do którego — co bardziej prawdziwe — zaczął mieć obawy, że nigdy go nie posiędzie. Albo które — zaczął myśleć (choć nie przyznałby się do tego przed sobą) — w ogóle nie istniało.

Aż wreszcie znalazł podróżnika. Słynnego maga znanego po prostu jako Kell.

To jedno — jedno jedyne — spotkanie na nowo rozbudziło w nim wiarę, podsyciło ją silniej niż cokolwiek przedtem.

Zrobił, jak kazał mu mag, i teraz wrócił do karczmy w nadziei, że spotka go po raz drugi i otrzyma od niego obiecany woreczek z ziemią. W związku z tym zjawił się tutaj wczoraj i przyjdzie znów jutro i pojutrze — dopóki nie odzyska znakomitego maga.

Ned — tak nazywali go przyjaciele i krewni — czekając, snuł w myślach historie i próbował sobie wyobrażać formę, jaką przybierze ostateczne spotkanie, jak się rozwinie rozmowa. Szczegóły się zmieniały, ale puenta pozostawała taka sama: w każdej wersji mag Kell unosił głowę i przyglądał się uważnie Nedowi czarnym okiem.

„Edward Archibald Tuttle — powiedziałaby. — Mogę cię nazywać Nedem?”

„Wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają”.

„No cóż, Nedzie, dostrzegam w tobie coś wyjątkowego...”

Potem upierałby się, że powinien zostać jego mentorem albo — jeszcze lepiej — jego partnerem. A później by go chwalił.

Stojąc na schodach wiodących do Rzutu Kamieniem i czekając, Ned rozwijał właśnie jedną z tych fantazji. Kieszenie miał ciężkie, wypełnione licznymi bibelotami, monetami i innymi drobiazgami, których mag mógłby chcieć od niego w zamian za cenny woreczek. Ale mag się nie zjawiał, a karczmę zamknięto na głucho, więc Ned —

szepcząc coś, co było na równi zaklęciem, modlitwą i bezsensowną niedorzecznością, i bez powodzenia starając się odsunąć rygle — już miał zaniechać marzeń o spotkaniu i na kilka godzin zająć się firmą, kiedy usłyszał za sobą, na ulicy, jakiś łomot.

Konie rżały, koła hamowały ze stukotem. Kilka skrzyń z jabłkami wypadło z furmanki, gdy woźnica gwałtownie ściągnął lejce. Wyglądał na bardziej przerażonego niż jego konie.

— Co się stało? — spytał Ned, podchodząc.

— Jasna cholera! — odparował woźnica. — Uderzyłem w niego.

Uderzyłem w kogoś.

Ned się rozejrzał.

— Nie sędzę, człowieku, żebyś w coś uderzył.

— Może jest pod wozem? — biadolił woźnica. — O Boże. Nie widziałem go.

Ale kiedy Ned klęknął, by zbadać przestrzeń pod furmanką i szprychy kół, nie zobaczył na kamieniach niczego poza czarną od sadzy plamą, która miała — co naprawdę dziwaczne — kształt dorosłego mężczyzny, lecz już powoli się rozwiewała. Jeden mały wzgórek zdawał się poruszać, ale po chwili i on się rozkruszył i zniknął.

„Dziwne — pomyślał Ned z marsową miną. — Złowieszczę”.

Wstrzymał oddech i wyciągnął rękę ku plamie antracytowej ziemi, spodziewając się, że obudzi ją do życia. Jego palce dotknęły popiołu i... nic się nie zdarzyło. Rozczarowany Ned roztarł sadzę kciukiem i palcem wskazującym.

— Nic tam, panie, nie ma — zapewnił woźnicę, wstając na równe nogi.

— Przysięgam — upierał się tamten. — Ktoś tam był. Dokładnie tam.

— Na pewno ci się wydawało.

Woźnica potrząsnął głową, mamrocząc, a potem zeskoczył z wozu i na nowo załadował skrzynie, a przy okazji jeszcze kilka razy zajrzał pod furmankę, ot tak, na wszelki wypadek.

Ned podniósł palce do światła i zastanawiał się nad sadzą. Coś poczuł lub raczej pomyślał, że coś czuje — gorące ciarki — ale doznanie szybko się rozmyło. Powąchał sadzę, raz, i potężnie kichnął, a potem startł resztki popiołu z nogawki i ruszył alejką przed siebie.

II

Kell i Lila szli do portu, niewidoczni dla przechodniów. Nie tylko zresztą byli niewidoczni. Byli bezcieleśni! Dokładnie tak samo jak przeleciał przez ich ciała popiół ze spalonej gospody, i tak samo, jak ręka Kella przesunęła się przez ramię Lili, teraz przechodzili przez nich ludzie na ulicy. Nie wyczuwali ich ani nie mogli ich usłyszeć. Tak jak pod zasłoną, Kell i Lila nie byli częścią otaczającego ich świata. Jak gdyby istnieli na zewnątrz swego otoczenia. I dokładnie tak jak świat nie mógł ich dotknąć, oni nie mogli dotknąć elementów świata. Gdy Lila w roztargnieniu usiłowała zwędzić jabłko z jakiegoś wozu, jej ręka przeszła przez owoc, tak jak owoc przez jej rękę. W tętniącym życiem mieście ci dwoje przypominali duchy.

To była silna magia, nawet jak na ten, tak bogaty w moc Londyn. Energia kamienia drgała w ciele Kella, łomocząc niczym drugim tętno. Jakiś głos w jego głowie ostrzegł go przed magią przepływającą przez jego ciało, lecz antari go od siebie odsunął. Po raz pierwszy, odkąd został ranny, nie czuł się półprzytomny i słaby, więc prowadząc Lilę do portu, przylgnął kurczowo do tej mocy, tak bardzo jak do samego kamienia.

Dziewczyna milczała od chwili, gdy pozostawili za sobą szczątki gospody.

Trzymała się Kella jedną ręką, a w drugiej dzierżyła zegarek. Kiedy się wreszcie odezwała, mówiła cichym, lecz ostrym tonem.

— Zanim pomyślisz, że Barron i ja byliśmy rodziną... Nie, nie byliśmy — wyznała, idąc obok Kella. — Nie był moją rodziną. Tak naprawdę nie.

Słowa zabrzmiały zimno i pusto, lecz gdy Lila zacisnęła zęby i przetarła oczy (sądząc, że Kell nie patrzy), wiedział, że prawda jest inna. Ale nie zarzucił dziewczynie kłamstwa.

— Masz jakąś? — spytał, przypominając sobie jej kąśliwe uwagi na temat jego związku z przedstawicielami tutejszej korony. — To znaczy rodzinę?

Potrząsnęła głową.

— Mama umarła, gdy miałam dziesięć lat.

— A ojciec?

Parsknęła niewesołym śmiechem.

— Mój ojciec! — Wypowiedziała to słowo jak inwektywę. — Kiedy widziałam go po raz ostatni, próbował wcisnąć mnie jakiemuś mężczyźnie za długie.

— Przykro mi — powiedział Kell.

— Nie musisz mi współczuć — odparowała, a jej uśmiech stał się cierpki.

— Zanim ten mężczyzna zdążył rozpiąć pasek, podciąłem mu gardło. — Kell napiął wszystkie mięśnie. — Miałam piętnaście lat — kontynuowała beztróskim tonem. — Pamiętam, że zdumiała mnie ilość krwi, która ciągle i ciągle z niego płynęła...

— Pierwszy raz wtedy kogoś zabiłaś? — spytał Kell.

— Zgadza się — przyznała, uśmiechając się ze smutkiem. — Ale przypuszczam, że przyjemne w zabijaniu jest to, że za każdym następnym razem jest coraz łatwiejsze.

Antari zmarszczył czoło.

— A nie powinno być.

Podniosła na niego oczy.

— A ty kiedyś kogoś zabiłeś? — spytała.

Jego marsowa mina jeszcze się pogłębiła.

— Tak.

— No i?

— No i co? — odciął się.

Oczekiwał, że dziewczyna spyta, kogo zabił, kiedy albo jak. Ale nie spytała.

Spytała, dlaczego to zrobił.

— Ponieważ nie miałem wyboru.

— Znalazłeś w tym przyjemność? — naciskała.

— Oczywiście, że nie!

— A ja tak. — Usłyszał jednak w tym jej wyznaniu nutę gorzkości. — To znaczy — poprawiła się — nie sprawił mi przyjemności widok krwi ani bulgotanie, które wydawał umierający, ani też wygląd ciała, kiedy już było po wszystkim. Było... puste. Ale w chwili, w której postanowiłam, że to zrobię, i chwilę po tym, jak wbiłam nóż i zrozumiałam, że to zrobiłam, poczułam się...

— szukała słów — ...potężna. — Popatrzyła z uwagą na Kella. — Czy takie odczucia daje magia? — spytała, szczerze zainteresowana.

„Może w Białym Londynie — pomyślał Kell — tam, gdzie moc trzyma się jak nóż, jak broń, której należy użyć przeciwko osobom stojącym ci na drodze”.

— Nie — odparł. — To nie jest magia, Lilo. To po prostu morderstwo.

Magia jest...

W tym momencie odjęło mu mowę. Jego uwagę przyciągnęła najbliższa tablica informacyjna, która nagle pociemniała.

Jak się okazało, zgasły wszystkie tablice zawieszane wzdłuż całej ulicy na słupach latarni i witrynach sklepowych. Kell zwolnił kroku. Cały ranek wyświetlano powiadomienia o uroczystościach z okazji urodzin Rhya, całodziennym — i tygodniowym — planie podróży dla cyklistów, paradach i ucztach dla mieszkańców,

pokazach i balach dla osób wybranych. Kiedy tablice po raz pierwszy pociemniały, Kell zakładał, że po prostu zmieni się wyświetlany tekst. Niestety, sekundę później na wszystkich uwidoczniła się ta sama zatrważająca informacja. Jedno słowo.

ZAGINAŁ Litery płonęły na górze każdej tablicy, białe i wyraźne, a pod nimi pojawił się jego, Kella, wizerunek! Rude włosy, czarne oko i płaszcz ze srebrnymi guzikami. Obraz lekko falował, lecz Kell na tablicy się nie uśmiechał, a tylko popatrywał gdzieś w bok. Po chwili poniżej portretu wyświetliło się drugie słowo: NAGRODA „Sanct!”

Kell zatrzymał się tak gwałtownie, że Lila, która szła o pół kroku za nim, wpadła na niego.

— Co się dzieje? — spytała, odpychając od siebie jego ramię. A później i ona zobaczyła napis. — Och...

Jakiś starzec kilka metrów od nich przystanął i zaczął czytać ogłoszenie, nieświadom, że zaginiony mężczyzna jest tak niedaleko. Pod migoczącym wizerunkiem twarzy antarego zaczął się pojawiać biały pusty okrąg, a obok niego instrukcja: Jeśli go widziałeś, dotknij tutaj Kell zaklął pod nosem. Ścigał go Holland i ten fakt był już dostatecznie nieprzyjemny, ale teraz w gotowości będą wszyscy mieszkańcy Czerwonego Londynu. A on i Lila nie mogli przecież na zawsze pozostać niewidzialni.

Dopóki będą się kryli pod zasłoną, Kell nie zdoła podnieść symbolu Białego Londynu, a cóż dopiero myśleć o wykorzystaniu go.

— Chodź — powiedział.

Przyspieszył kroku i pociągnął Lilę ze sobą, aż dotarli do portu. Wszędzie wokół wpatrywało się w nich jego wykrzywione oblicze z nieco chmurną miną.

Kiedy doszli do sklepu Fletchera, okazało się, że drzwi są zamknięte, a nad nimi wisi mały szyld z napisem: RENACHE. „Wyszedłem”.

— Czekamy? — spytała Lila.

— Nie tutaj — powiedział Kell.

Drzwi były zamknięte na trzy spusty i najprawdopodobniej dodatkowo strzeżone przez zakłęcie, ale oni oboje nie musieli ich otwierać. Przeszli przez drewno, w taki sam sposób, w jaki przechodzili przez ciała kilku przechodniów na ulicy.

Dopiero kiedy byli bezpieczni we wnętrzu sklepu, Kell nakazał kamieniowi opuszczenie zasłony. Magia ponownie go posłuchała i bez sprzeciwu wypełniła polecenie — zasłona stawała się coraz cieńsza, aż w końcu całkowicie się rozpuściła. „Przekonanie” — zadumał się, kiedy zniknęła i mógł wyraźniej widzieć szczegóły pomieszczenia, w którym przebywali. Holland miał rację.

Chodziło o posiadanie kontroli. I Kell ją posiadał.

Lila puściła jego rękę i stanęła przed nim twarzą w twarz. Zastygła.

— Kell — powiedziała ostrożnie.

— Co takiego? — spytał.

— Odłóż kamień.

Marszcząc brwi, popatrzył na talizman w dłoni i wstrzymał oddech. Żyły na grzbiecie jego ręki były ciemne, tak ciemne, że odznaczały się na jego skórze niczym wykreślone atramentem, a kolor podchodził coraz wyżej, ku łokciowi.

Moc, którą Kell wcześniej czuł w postaci pulsowania, naprawdę pulsowała, nadając jego krwi czarną barwę. Do tej pory tak bardzo się skupiał na posiadanej nowej władzy i na pozostawaniu w ukryciu, że nie zauważył — nie chciał zauważyć — ciepła magii rozchodzącego się jak trucizna po jego ramieniu. A przecież powinien był ją dostrzec, powinien był wiedzieć — w tym rzecz. I właściwie znał prawdę. Wiedział, jak niebezpieczny jest kamień, a mimo to nawet teraz, patrząc na swoje pociemniałe żyły, uważał, że zagrożenie jest odległe. Każdemu kolejnemu krokowi towarzyszył niezmienny spokój, emanujący od magii kamienia i mówiący Kellowi, że wszystko będzie dobrze, pod warunkiem że ciągle będzie trzymał talizman...

W słup, tuż obok jego głowy, wbił się nagle nóż i Kell natychmiast wrócił do terażniejszości.

— Ogłuchłeś? — warknęła Lila, wyjmując drugie ostrze. — Kazałam ci go odłożyć!

Kell siłą woli zmusił się do uwolnienia kamienia, zanim znów ogarnie go spokój. Jeszcze przez moment zaciskał palce na talizmanie. Przez jego ciało przesączało się ciepło, a w ślad za nim pewnego rodzaju odrętwienie. Podniósł

pusztą, nieskalaną rękę do ciemniejszego przegubu drugiej dłoni i chwycił mocno, starając się rozprostować stawiające mu opór palce, nakazując im wypuścić kamień.

Aż w końcu niechętnie mu uległy.

Kamień wypadł z jego uścisku i pod Kellem od razu ugięły się kolana.

Chwycił się brzegu stołu, z trudem łapiąc powietrze, a wszystko przed oczyma mu pływało i pokój się przechylał. Do tej pory antari nie czuł, że kamień wysysa z niego energię, teraz jednak, gdy już go nie dzierżył, odniósł wrażenie, że ktoś zgasił w nim jakiś ogień. Wokół zapanował chłód.

Talizman błyszczał na drewnianej podłodze, smuga krwi znaczyła miejsce na wyszczerbionej krawędzi, gdzie Kell ścisnął go zbyt mocno. Chociaż go wyrzucił, z całych sił musiał nad sobą zapanować, żeby nie podnieść go znowu.

Roztrzęsiony i zmarznięty, ciągle pragnął go trzymać. W melinach i mrocznych zakamarkach Londynu czaiło się wielu ludzi, którzy pragnęli tego typu euforycznych doznań, ale on nigdy do nich nie należał, nigdy nie łaknął czystej mocy. Nigdy nie musiał. Nie pożądał magii, bo miał ją po prostu do dyspozycji.

Teraz jednak czuł w żyłach głód magii i ogromnie mu jej brakowało.

Zanim zdążył przegrać bitwę z samym sobą i ulec pokusie, Lila klękła obok talizmanu.

— Zmysłny mały kamyk — powiedziała, sięgając po niego.

— Nie... — zaczął Kell, lecz dziewczyna już wyjęła chusteczkę do nosa i wzięła przez nią talizman.

— Ktoś musi go przechować — wyjaśniła, wsuwając go do kieszeni. — I założę się, że akurat teraz byłoby lepiej, gdybym to była ja.

Kell trzymał się kurczowo stołu, kiedy magia się wycofywała, a żyły w jego ramieniu powoli jaśniały.

— Wciąż jesteś tu ze mną? — spytała Lila.

Przełknął ślinę i kiwnął głową. Kamień stanowił truciznę i trzeba się go było pozbyć.

— Nic mi nie jest.

Lila uniosła brew.

— Tak. Jesteś uosobieniem zdrowia.

Westchnął i osunął się na krzesło. W porcie na zewnątrz w najlepsze trwało świętowanie. Muzykę i owacje przerywały odgłosy z pokazów fajerwerków, nieco, lecz nie całkowicie, stłumione przez ściany sklepu.

— Jaki on jest? — spytała Lila, zaglądając do jednej z szafek. — Książę.

— Rhy? — Kell przeczesał dłonią włosy. — Jest... czarującym i rozpieszczonym, wspaniałomyślnym i

nieprzewidywalnym hedonistą.

Flirtowałby nawet z ładnie obitym fotelem i nigdy nie traktuje niczego poważnie.

— Czy popada w kłopoty tak często jak ty?

Kell uśmiechnął się.

— Och, znacznie częściej. Wierz w to lub nie, z nas dwóch ja jestem tym odpowiedzialnym.

— Ale jesteście sobie bliscy.

Uśmiech zgasł i mężczyzna skinął głową, tylko raz.

— Tak. Król i królowa może nie są moimi rodzicami, lecz Rhya uważam za swojego brata. Umarłbym za niego. Zabiłbym dla niego. I zabiłem.

— Ach tak? — spytała Lila, podziwiając jakiś kapelusz. — Opowiedz.

— To nie jest przyjemna historia — odparł, pochylając się na siedzeniu.

— Teraz chcę ją usłyszeć jeszcze bardziej — zapewniła go.

Przyjrzał się jej i westchnął, po czym zerknął w dół, na swoje dłonie.

— Kiedy Rhy miał trzynaście lat, uprowadzono go. Graliśmy w pewną głupią grę

na pałacowym dziedzińcu, a wtedy ktoś go porwał. Chociaż, jak go znam, może z początku poszedł z własnej woli. W okresie dorastania był zawsze zbyt ufny.

Lila odłożyła kapelusz.

— I co się zdarzyło?

— Czerwony Londyn to dobre miejsce — upierał się Kell. — Tutejsza rodzina królewska to ludzie życzliwi i sprawiedliwi, i większość poddanych jest szczęśliwa. A jednak — ciągnął — byłem w trzech Londynach i mogę powiedzieć jedno: w każdym z miast ktoś cierpi, w taki czy inny sposób.

Pomyślał o wielkich majątkach, o zachwycających bogactwach i o tym, co z pewnością myślą na ich temat osoby, które ich nie posiadają. Pomyślał o ludziach, których pozbawiono mocy za popełnione zbrodnie, i o tych nigdy niepobłogosławionych szczególnie dużą mocą. Nie mógł się nie zastanawiać, co by się stało z Rhyem Mareshem, gdyby nie był królewskim synem. Gdzie by trafił? Chociaż, oczywiście, może by przetrwał dzięki osobistemu czarowi i uśmiechowi. Zawsze sobie radził.

— Mój świat jest światem stworzonym z magii — podjął opowieść. — Ci z darem korzystają z błogosławieństw, a rodzina królewska chce wierzyć, że doświadczają ich również osoby pozbawione talentu. Że królewska hojność i opieka obejmuje każdego obywatela. — Poszukał oczu Lili. — Ale widziałem mroczniejsze dzielnice mojego miasta. W twoim świecie magia jest rzadkością.

W moim równie dziwny jest jej brak. A ludźmi pozbawionymi zdolności nierzadko pogardza się jako niegodnymi i z tego powodu traktowani są gorzej.

Tutejsi uważają, że magia wybiera własne ścieżki. Że magia osądza, więc i oni mają takie prawo. Nazywają to *aven essen*. „Świętą równowagą”.

Ale zgodnie z tą teorią magia sama wybrała Kella, a on w to wszystko nie wierzył. Równie dobrze ktoś inny mógłby się obudzić lub urodzić ze znakiem antari i on — zamiast Kella — trafiłby do pięknego bogatego pałacu w Czerwonym Londynie.

— Żyjemy bez problemów — kontynuował. — Na dobre i na złe nasze miasto tętni życiem. Płonie światłem. A tam, gdzie jest światło... no cóż. Parę lat temu zaczęła się tworzyć pewna grupa. Nazwali się Cieniami. Było ich kilkoro, mężczyzn i kobiet, posiadaczy mocy i osób jej pozbawionych.

Twierdzili, że miasto spala własną moc zbyt rozrzutnie i nieostrożnie, przez co ją trwoni. Dla nich Rhy nie był chłopcem, lecz symbolem wszelkich nieprawidłowości. A więc go zabrali. Później ustaliłem, że zamierzali powiesić jego ciało na drzwiach pałacu. Świętym niech będą dzięki, że ani przez chwilę nie zyskali takiej szansy. Kiedy to się działo, miałem lat czternaście, bo jestem o rok starszy od Rhya, i ciągle jeszcze uczyłem się panować nad swoimi zdolnościami. Gdy król i królowa dowiedzieli się o

uprowadzeniu syna, wysłali do miasta strażę. Każda tablica informacyjna na każdym publicznym placu i w każdym prywatnym domu zapłonęła pilną wiadomością nakazującą poszukiwanie porwanego księcia. A ja czułem, że go nie znajdą. Czułem to w kościach i w swojej krwi.

Poszedłem do pokojów Rhya — ciągnął. — Pamiętam, jak pusty się zdawał pałac, bez tych wszystkich strażników, którzy wyruszyli na poszukiwania. A w pokoju księcia wziąłem do ręki pierwszą rzecz, o której wiedziałem, że naprawdę do niego należy, małego drewnianego konika, nie większego niż dłoń, którego wyrzeźbił. Tworzyłem już przedtem drzwi przy użyciu symboli, choć nigdy takich jak te, nigdy do jakiejś osoby zamiast do miejsca. Ale istnieje w języku antari słowo oznaczające „znajdowanie”, więc pomyślałem, że może się uda. Że musi się udać! I się udało. Ściana jego komnaty rozwarła się i znalazłem się na łodzi. Rhy leżał tam na podłodze. I nie oddychał.

Lila z wrażenia gwizdnęła przez zęby, lecz nic nie powiedziała.

— Wtedy znałem już rozkazy krwi dotyczące wielu spraw — podjął Kell.

— As Athera, rośnij. As Pyrata, zapal się. As Illumae, rozświetl się. As Travars, podróżuj. As Orense, otwórz się. As Anasae, rozprosz się. As Hasari, ulecz. Spróbowałem zatem uleczyć księcia. Przeciąłem sobie rękę, przycisnąłem ranę do jego piersi i wypowiadałem te słowa. Ale nic nie pomagało.

Kell nigdy nie otrząsnął się z tego wspomnienia: brat leżący na wilgotnej podłodze pokładu, blady i nieruchomy. Była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy Rhy wydawał mu się mały.

— Nie wiedziałem, co robić — podjął opowieść. — Pomyślałem, że może nie użyłem wystarczającej ilości krwi. Więc zrobiłem sobie nacięcia na nadgarstkach.

Poczuł na sobie uporczywe spojrzenie Lili, kiedy tak patrzył w dół, na swoje ręce, odwrócone dłońmi w górę, i rozmyślał o dawnych bliznach.

— Pamiętam, jak klęczałem nad nim, a tępy ból rozprzestrzeniał się w górę po moich ramionach, przyciskałem dłonie do jego ciała i wypowiadałem raz za razem te słowa. As Hasari. As Hasari. As Hasari. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że czar uzdrawiający — nawet zakłęcie krwi — wymaga czasu. Już działał, działał od mojego pierwszego błagania. A kilka chwil później Rhy się obudził. — Kell uśmiechnął się niewesoło. — Spojrzał i zobaczył, że pochylał się nad nim, brocząc krwią. I jego pierwsze pytanie nie brzmiało: „Co się stało?” czy „Gdzie jesteśmy?”. Nie, on dotknął krwi na swojej piersi i zapytał: „To twoja...? To wszystko twoje?”. Kiedy pokiwałem głową, wybuchnął płaczem, a ja zabrałem go do domu.

Kell spojrzał na Lilę i zobaczył, że dziewczyna otwiera szeroko oczy.

— Ale co się stało z Cieniami? — spytała, gdy pojęła, że skończył. — Tymi, którzy

go porwali? Byli na łodzi? Wróciłeś po nich? Wysłałeś po nich strażników?

— W rzeczy samej — przyznał. — Król i królowa wysłedzili wszystkich członków, aż do ostatniego. A Rhy ich wszystkich ułaskawił.

— Co takiego?! — wysapała. — Mimo że próbowali go zabić?

— Taki już jest mój brat. Zazwyczaj uparty i szybciej działa, niż myśli, ale jest naprawdę dobrym księciem. Posiada coś, czego wielu ludziom brakuje: empatię. Darował swoim porywaczom. Zrozumiał, dlaczego zdecydowali się na taki krok, i poczuł ich cierpienie. A poza tym był przekonany, że jeśli okaże im miłosierdzie, nie będą się starali ponownie go skrzywdzić. — Spuścił wzrok na podłogę. — Ja zaś dopilnowałem, żeby nie mogli powtórzyć swego wyczynu.

Gdy Lila uświadomiła sobie, co Kell chce przez to powiedzieć, zmarszczyła czoło.

— Myślałam, że mówiłeś...

— Mówiłem, że Rhy im wybaczył. — Wstał. — Nigdy nie twierdziłem niczego takiego o sobie.

Dziewczyna wpatrywała się w niego, nie w szoku czy z przerażeniem, lecz z pewną dozą szacunku. Wzruszył ramionami i wygładził płaszcz.

— Chyba lepiej zacznijmy szukać.

Zamrugła, raz, a potem drugi. Wyraźnie chciała coś powiedzieć, ale Kell tak jasno, jak potrafił, dał do zrozumienia, że ten konkretny temat uważa za skończony.

— Czego szukamy? — spytała w końcu Lila.

Kell oglądał już pełne półki, przepelnione szafki i kredensy.

— Białej wieży szachowej.

III

Chociaż Kell spędził trochę czasu w pobliżu zgłiszczy Rubinowych Pól, nie przyjrzał się dokładniej alejce, w której — ledwie kilka godzin wcześniej — został zaatakowany i w której pozostawił za sobą dwa ciała. Gdyby się dobrze przyjrzał, odkryłby, że jedno z tych ciał — należące do zabójcy pokrytego wcześniej warstwą kamienia — zniknęło.

Ten sam zabójca szedł teraz chodnikiem, nucąc cicho i delektując się ciepłem słońca oraz odległymi odgłosami świętowania.

Jego ciało nie działało zbyt dobrze, chociaż, ma się rozumieć, lepiej niż poprzednia powłoka istoty — pijaka w dużo mniej magicznym Londynie; tamta powłoka nie przetrwała zbyt długo. To ciało sprawowało się lepiej, dużo lepiej, ale już zgorzało całe w środku i zaczynało się zwęglać, a czerń rozchodziła się jak plama w żyłach i po skórze. Zabójca wyglądał teraz mniej jak człowiek, a bardziej jak osmalony kawałek drewna.

Ale tego można się było spodziewać. Ostatecznie był bardzo zajęty.

Ubiegłej nocy światła domu rozkoszy płonęły jasno i kusząco w mroku. W progu czekała na niego kobieta ze sztucznym uśmiechem i włosami w kolorze ognia, w kolorze życia.

— Avan, res nastar — zamruczała płynnym arnezyjskim. Mówiąc to, uniosła spódnicę i błysnęła kolanem. „Nie wejdiesz?”

Istota w ciele mężczyzny weszła. W jej kieszeniach brzęczały monety zabójcy.

Kobieta powiodła go korytarzem — było ciemno, dużo ciemniej niż na zewnątrz — a on pozwolił jej się prowadzić, ciesząc się dotykiem jej ręki (czy też raczej dotykiem jej tętna). Ani na moment nie spojrzała zabójcy w oczy, więc nie mogła zobaczyć, że są jeszcze ciemniejsze niż otaczający ich korytarz.

Zamiast tego skupiła się na jego wargach, kołnierzu, pasku.

Istota ciągle się uczyła swojego nowego ciała, niemniej zdołała przycisnąć rozchylone usta mężczyzny do miękkich warg kobiety. Coś przemknęło między nimi — żar czarnego płomienia — i kobieta zadygotała.

— As Besara — wyszeptał jej w ucho. „Weź”.

Zsunął sukienkę z jej ramion i pocałował ją głębiej, a jego mroczność przeszła przez jej język i przez głowę, odurzając ją. Moc. Każdy jej pragnie, każdy chce być bliżej magii, bliżej jej źródła. I kobieta przyjęła ją z zadowoleniem. Przyjęła istotę. Nerwy mrowiły, gdy magia brała, a później zajadała się życiem, krwią, ciałem.

Wcześniej przejęła pijaka, Bootha, lecz siłą, a chętny gospodarz zawsze jest lepszy. Albo przynajmniej przetrwa dłużej.

— As Herena — zagruchała istota, przyciskając ciało kobiety do łóżka.

„Daj”. — As Athera — jęknęła istota, kiedy brała kobietę, która przyjmowała magię. „Rośnij”.

Poruszali się razem w idealnym rytmie, jedno przenikło drugie, a kiedy było po wszystkim i oczy kobiety się otworzyły, były lśniące i czarne. Istota w jej powłoce rozciągnęła uróżowane wargi w krzywym uśmiechu.

— As Athera — powtórzyła kobieta, podnosząc się z łóżka.

Istota wstała i razem przeszły — jeden umysł w dwóch ciałach — najpierw przez dom rozkoszy, a potem na dwór, w noc.

Tak, istota była bardzo zajęta.

Czuła, jak przemieszcza się przez miasto, kierując się ku czekającej czerwonej rzece, tętnie magii i życia, niczym obietnicy uczt.

IV

Sklep Fletchera był zbudowany jak labirynt, a zaplanowany w sposób, jaki mógłby pojąć tylko wąż. Kell spędził ostatnie dziesięć minut, przetrząsając szuflady, i odkrył bogactwo broni, talizmanów oraz dosyć nieszkodliwy parasol, lecz białej wieży nie znalazł. Jęknął i odrzucił jakiś przedmiot.

— Nie możesz po prostu użyć magii do odszukania tej przeklętej wieży? — spytała Lila.

— Całe miejsce jest strzeżone przed zaklęciami. A także przed kradzieżą, więc odłóż to — powiedział.

Lila upuściła z powrotem na ladę bibelot, który właśnie zamierzała sobie przywłaszczyć.

— Zatem — zagaiła, przypatrując się zawartości szklanego pojemnika — ty i Fletcher jesteście przyjaciółmi?

Kell przypomniał sobie minę Fletchera tamtej nocy, gdy mężczyzna przegrał całą pulę.

— Niedokładnie.

Lila uniosła brew.

— To dobrze — oceniła. — Okradanie wrogów jest znacznie zabawniejsze.

Słowo „wrogowie” brzmiało odpowiednio. Dziwne było raczej przypuszczenie, że mogli kiedyś współpracować.

„Przemytnik i paser — zadumał się Fletcher. — Stanowilibyśmy doskonały zespół”.

„Spasuję — powiedział Kell. Ale w trakcie ostatniego rozdania w Sanct, gdy już wiedział, że wygrał, kusił Fletchera sprawą, na której mężczyźnie zależało. — Anesh — rzucił. — Jeśli wygrasz, będę dla ciebie pracował”.

Fletcher z typowym dla siebie zachłannym uśmiechem wyciągnął ostatnią kartę.

A Kell, też z uśmiechem, wyłożył karty z ręki i wygrał całą pulę, pozostawiając Fletchera jedynie ze zranioną godnością i małą białą wieżą szachową.

„Bez urazy”.

Teraz przetrząsnął połowę sklepu, szukając wieży i zerkając co chwila na drzwi, podczas gdy jego własne oblicze obserwowało jego i Lilę z tablicy informacyjnej na ścianie.

ZAGINAŁ Tymczasem dziewczyna przerwała poszukiwania i zagapiła się na mapę w ramie. Zmrużyła oczy i przechyliła głowę, marszcząc brwi, jak gdyby coś było

nie w porządku.

— O co chodzi? — spytał Kell.

— Co się stało z Paryżem? — mruknęła, wskazując miejsce na kontynencie, gdzie powinno znajdować się miasto.

— Tu nie ma Paryża — wyjaśnił Kell, grzebiąc w kredensie. — Nie ma też Francji, Anglii zresztą również.

— Ale jak może istnieć Londyn bez Anglii?

— Powiedziałem ci, że, co dziwne, tylko nazwa miasta się powtarza. Tutaj Londyn jest stolicą Arnes.

— Więc Arnes jest po prostu waszą nazwą dla Anglii.

Kell się roześmiał.

— Nie — odparł, potrząsając głową, podszedł i stanął u boku Lili. — Arnes zajmuje więcej niż połowę waszej Europy. Wyspa — wasza Anglia — nazywa się tutaj raska, czyli „korona”. Ale to jedynie czubeczek imperium. — Obrysował granice terytorium opuszką palca. — Za naszym krajem leżą Vesk, na północy, oraz Faro, na południu.

— A za nimi?

Kell wzruszył ramionami.

— Kolejne kraje. Jedne wielkie, inne mniejsze. To jest przecież cały świat.

Lila oderwała wzrok od mapy. Mały tajemniczy uśmiezek przemknął przez jej usta.

— No tak. — Ruszyła z miejsca i przeszła do drugiego pomieszczenia. A potem, kilka minut później, zawołała: — Ha!

Kell niemal podskoczył.

— Znalazłaś ją? — krzyknął.

Wróciła, trzymając w górze cenną zdobycz, ale nie była to wieża, lecz sztylet. Kell nie umiał ukryć rozczarowania.

— Nie — powiedziała dziewczyna — ale popatrz, jaka pomysłowa rzecz.

Pokazała sztylet Kellowi. Rękojeść broni nie była zwyczajnym uchwytem; metal zakrzywiał się wokół kłykci w falistą pętlę, łącząc się ponownie pod dłonią.

— Do ciosów — wytłumaczyła Lila, jak gdyby Kell nie znał przeznaczenia metalowego kastetu. — Można dźgnąć tym kogoś albo wybić mu zęby. Albo zrobić jedno i drugie. — Dotknęła palcem koniuszka ostrza. — Oczywiście nie równocześnie.

— Oczywiście — powtórzył za nią Kell, zatrzaskując szafkę. — Bardzo lubisz broń.

Popatrzyła na niego obojętnie.

— Kto nie lubi?

— I już masz sztylet — wytknął jej.

— No i? — odparowała, zachwycając się uchwytem. — Ostrzy nigdy zbyt wiele.

— Ostra z ciebie osóbką.

Pomachała sztyletem.

— Nie wszyscy umiemy zamieniać krew i szepty w oręż.

Kell zjeżył się.

— Nie szepczę. I nie przyszedliśmy tutaj plądrować.

— A myślałam, że dokładnie po to.

Antari westchnął i dalej rozglądał się po sklepie. Przetrzęsnał wszystkie pomieszczenia, łącznie z prywatnym ciasnym pokoikiem Fletchera na tyłach.

Niestety, nadal miał puste ręce. Fletcher nie sprzedałby wieży... a może ją upłynnił? Kell zamknął oczy i oddał się zmysłom, licząc, że wyczuje obcą magię. Ale przestrzeń praktycznie szumiała od mocy, nakładające się na siebie tony uniemożliwiały oddzielenie tego, co obce i zakazane, od tego, co jedynie zakazane.

— Mam pytanie — odezwała się Lila, której kieszenie podejrzenie brzęczały.

— Oczywiście, że masz. — Kell westchnął, otwierając oczy. — A zdawało mi się, że zabroniłem ci kraść.

Dziewczyna przygryzła wargę i wyjęła z kieszeni kilka kamieni oraz metalowe urządzenie, którego przeznaczenia nawet nie potrafił sobie wyobrazić, po czym położyła wszystko na jakiejś skrzyni.

— Mówiłeś, że światy zostały od siebie odcięte. Skąd więc ten mężczyzna... Fletcher... ma kawałek Białego Londynu?

Kell zajmował się biurkiem, które — mógłby przysiąc — już wcześniej sprawdzał, po czym zaczął macać pod krawędzią, szukając ukrytych szuflad.

— Ponieważ mu ją dałem.

— Hmm, a skąd ty ją wziąłeś? — Zmrużyła oczy. — Ukradłeś ją?

Kell skrzywił się. To była prawda.

— Nie.

— Kłamca.

— Nie wziąłem jej dla siebie — wyjaśnił. — W twoim świecie niewiele osób wie o moim. Ci, którzy wiedzą... Kolekcjonerzy i Entuzjaści... są skłonni zapłacić za kawałek tego świata sporą sumkę. Wymienić się na coś. Na jakiś symbol. W moim świecie większość wie o twoim, a kilka osób jest zaintrygowanych waszą przyziemnością tak bardzo, jak wy naszą magią... Ale wszyscy tutaj wiedzą o tym... trzecim Londynie. Białym. I za przedmiot z Białego niektórzy potrafią zapłacić naprawdę słono.

Przez wargi Lili przemknął kpiący uśmieszek.

— Jesteś przemytnikiem.

— Wytknęła mi złodziejka obrabiająca cudze kieszenie — odburknął Kell, broniąc

się.

— Zgadza się, kradnę — przyznała dziewczyna, podnosząc z wieka skrzyni czerwony lin i przekładając monetę na kostkach palców. — Pogodziłam się z tym. Nie moja wina, że ty nie umiesz tego zaakceptować. — Moneta gdzieś zniknęła. Kell otworzył usta, by zaprotestować, wtedy jednak lin pojawił się ponownie w drugiej dłoni Lili. — Ale czegoś nie rozumiem... Skoro jesteś przedstawicielem rodziny królewskiej...

— Nie jestem!

Posłała mu miazdzące spojrzenie.

— Jeśli mieszkasz z członkami rodziny królewskiej, jadasz z nimi posiłki i do nich należysz, na pewno nie odczuwasz braku pieniędzy. Po co tak ryzykujesz?

Kell zacisnął zęby, myśląc o Rhyu błagającym go, żeby przerwał swoje „głupie zabawy”.

— Nie zrozumiałabyś.

Uniosła brew.

— Popęlanie przestępstw nie jest sprawą aż tak skomplikowaną — zauważyła. — Ludzie kradną, ponieważ zabieranie coś im daje. Jeśli nie dla pieniędzy, robią to dla władzy. Zabierając coś i łamiąc przy tym zasady, czują się potężni. Pociąga ich w tym sam sprzeciw. — Odwróciła się. — Niektórzy kradną, by utrzymać się przy życiu, a inni po to, by poczuć, że żyją. To jest naprawdę proste.

— W której grupie ty jesteś? — spytał.

— Ja kradnę dla wolności — odparła. — Przypuszczam, że robię to po trochu z obu powodów. — Weszła do krótkiego korytarza łączącego dwa pomieszczenia. — Więc... Jak natrafiłeś na ten czarny kamień? — zawołała stamtąd. — Na zasadzie wymiany?

— Nie — powiedział Kell. — Popęlniłem błąd. I teraz zamierzam go naprawić, jeśli tylko znajdę tę cholerną wieżę. — Z gniewem zatrzaskał szufladę.

— Ostrożnie — przemówił jakiś szorstki głos po arnezyjsku. — Mógłbyś coś złamać.

Antari odwrócił się i zobaczył właściciela sklepu. Mężczyzna opierał się plecami o szafę i wyglądał na nieco zdezorientowanego.

— Fletcher — powiedział Kell.

— Jak dostałeś się do środka? — spytał tamten.

Antari wzruszył ramionami, zerkając równocześnie w stronę Lili, która miała dobre wyczucie i pozostała w korytarzu, gdzie nie była widoczna.

— Przypuszczam, że twoje zabezpieczenia słabną.

Fletcher założył ramiona na piersi.

— Bardzo w to wątpię.

Kell po raz drugi zerknął ku Lili, lecz nie było jej już w korytarzu. Przeżył nagły atak paniki, a jego nastrój jeszcze bardziej się pogorszył chwilę później, gdy dziewczyna pojawiła się za Fletcherem. Poruszała się cicho, a sztylet błyskał w jej dłoni.

— Tac — mruknął mężczyzna, podnosząc rękę. — Twoja przyjaciółka jest bardzo nieuprzejma.

Kiedy to powiedział, Lila znieruchomiała w pół kroku. Na jej twarzy pojawiło się napięcie, gdyż próbowała walczyć z niewidoczną siłą, która trzymała ją w miejscu; opór nie miał sensu. Fletcher posiadał rzadki i niebezpieczny dar panowania nad ludzkimi kośćmi, a przez to i nad ciałami. Z powodu tej umiejętności nosił obecnie blizny po więzach, z których zerwania był zresztą bardzo dumny.

Początkowo Lila wydawała się nieprzekonana. Mamrotała jakieś straszliwe przekleństwa, aż Fletcher rozprostował palce. Wtedy Kell usłyszał odgłos przypominający pęknięcie lodu, a dziewczyna wydała z siebie stłumiony krzyk i sztylet wypadł jej z dłoni.

— Sądziłem, że wolisz pracować sam — oznajmił Fletcher towarzyskim tonem.

— Puść ją — rozkazał Kell.

— Zamierzasz mnie zmusić, antari?

Kell zacisnął ręce w pięści — sklep był strzeżony na kilkanaście sposobów, przed intruzami, złodziejami i wszystkimi, którzy pragnęliby skrzywdzić jego właściciela — na szczęście Fletcher zachichotał cicho i opuścił dłoń, a wówczas Lila opadła na ręce i kolana, chwyciła się kurczowo za nadgarstek i ostro zakląła.

— Anesh — rzucił od niechcienia Fletcher. — Co cię sprowadza w moje skromne progi?

— Dałem ci coś ongiś — odrzekł Kell. — Teraz chciałbym to pożyczyć.

Fletcher parsknął drwiąco.

— Nie działam w branży lichwiarskiej.

— W takim razie kupię ten przedmiot.

— A jeśli nie jest na sprzedaż?

Kell zmusił się do uśmiechu.

— Akurat ty wiesz najlepiej — dociął mu — że absolutnie wszystko jest na sprzedaż.

Fletcher przybrał podobny uśmiech, zimny i ironiczny.

— Nie sprzedam ci tego, ale mógłbym sprzedać jej — spojrzał na Lilę, która wstała i zaczęła się pod najbliższą ścianą, wciąż przeklinając — za odpowiednią cenę.

— Ona nie mówi po arnezyjsku — uświadomił go Kell. — Nie ma najmniejszego pojęcia, co proponujesz.

— Ach tak? — Fletcher złapał się za krocze. — Założę się, że na pewno mnie zrozumie — oznajmił, ruszając w jej kierunku.

Lila zmrużyła oczy.

— Smaż się w piekle, ty piep...

— Ja bym jej nie denerwował — wtrącił Kell. — Ona gryzie.

Fletcher westchnął i pokręcił głową.

— W jakiego rodzaju tarapaty tym razem się wpakowałeś, panie Kellu?

— W żadne.

— Skoro tu przyszedłeś, na pewno masz kłopoty. A poza tym — dodał, a jego uśmiech stał się bardziej złośliwy — nie umieściliby twojej gęby na tablicach za niewinność.

Kell popatrzył szybko na ścianę z tablicą informacyjną, na której przez ubiegłą godzinę widniało jego oblicze. I wtedy zbladł. Okrąg pod wizerunkiem, ten z napisem: „Jeśli go widziałeś, dotknij tutaj”, pulsował jaskrawą zielenią.

— Co zrobiłeś? — warknął.

Fletcher znów się uśmiechnął.

— Bez urazy — odparował złowrogo, a sekundę później drzwi sklepu gwałtownie się otworzyły i do wnętrza wpadła straż królewska.

V

Kell miał tylko chwilę na zmianę wyrazu twarzy — z paniki w opanowanie — zanim pomieszczenie wypełniło kilku strażników, a dokładniej pięciu, ruchliwych i hałaśliwych.

Nie mógł uciec — nie miał dokąd — i nie chciał ich poranić, a Lila... No cóż, nie miał pojęcia, gdzie jest Lila. W jednej chwili była dokładnie tam, gdzie wcześniej, przy ścianie, natomiast w następnej się ulotniła (choć przypomniał sobie, że widział, jak na moment przed zniknięciem wsuwała rękę do kieszeni peleryny, i dotarł do niego delikatny szum magii kamienia, pewnie tak samo jak wtedy do Hollanda, obok zgliszcz Rubinowych Pól).

Zmusił się i stał nieruchomo, udając spokojnego, mimo iż serce łomotało mu w piersi. Usiłował sobie powtarzać, że nie jest przestępcą, że prawdopodobnie członkowie rodziny królewskiej po prostu martwili się, iż tak długo się nie zjawia. Nie zrobił nic złego, nie w oczach korony. Przecież król i królowa o niczym nie wiedzieli! No chyba że w trakcie jego nieobecności Rhy opowiedział im o jego grzeszkach. Nie, nie opowiedziałby — Kell miał szczerą nadzieję, że księżę na niego nie doniósł — a nawet jeśli, Kell był antarim, należącym do rodziny królewskiej, kimś, kogo szanowano lub kogo się wręcz obawiano. Wmawiał to sobie, opierając się leniwie, niemal arogancko, o stół za sobą.

Gdy królewscy strażnicy zobaczyli, że stoi, cały, zdrow i nieporuszony, w ich szeregi wkradł się zamęt. Spodziewali się zwłok? Awantury? Dwóch podeszło i klęknięto, dwóch podniosło dłonie do rękojeści mieczy, jeden natomiast zastygł między nimi z marsową miną.

— Ellis — zagaił Kell, kiwając głową w stronę dowódcy straży królewskiej.

— Panie Kell — odparł Ellis i zrobił krok ku niemu. — Dobrze się miewasz?

— Oczywiście.

Ellis wiercił się niespokojnie.

— Niepokoiłiśmy się o ciebie. Wszyscy w pałacu.

— Nie zamierzałem nikogo martwić — odrzekł, przyglądając się otaczającym go mężczyznom. — Jak widzicie, absolutnie nic mi się nie stało.

Dowódca straży rozejrzał się po sali, po czym spojrział z powrotem na Kella.

— Chodzi jedynie o to... panie... kiedy nie wróciłeś z wyprawy za granicę...

— Zatrzymano mnie — wyjaśnił z nadzieją, że w ten sposób rozproszy wątpliwości.

Ellis zmarszczył brwi.

— Nie widziałeś powiadomień? Są wszędzie.

— Wróciłem ledwie przed chwilą.

— W takim razie wybacz te pytania — stwierdził, a potem wskazał na sklep. — Ale co robisz tutaj?

Fletcher się skrzywił. Chociaż mówił wyłącznie po arnezyjsku, na tyle dobrze rozumiał język królewski, że poczuł się znieważony.

Kell uśmiechnął się nieprzekonująco.

— Kupuję prezent dla Rhya.

Ellis roześmiał się nerwowo.

— I teraz z nami pójdziesz? — spytał, a Kell pojął, co tamten przemilczał.

„Bez walki”.

— Naturalnie — odparł, prostując się i wygładzając poły swojego okrycia.

Strażnicy wyglądali na zadowolonych. Antari myślał szybko, odwrócił się do Fletchera i podziękował mu za pomoc.

— Mas marist — mruknął ponuro właściciel sklepu. „Cała przyjemność po mojej stronie”. — Wypełniałem tylko swój obywatelski obowiązek.

— Wrócę — oświadczył Kell po angielsku (na co Ellis uniósł brew) — natychmiast gdy skończę. Po to, czego szukam.

Swoje słowa kierował do Lili. Nadal wyczuwał w pomieszczeniu jej obecność, wyczuwał też kamień, nawet jeśli dziewczyna go ukrywała. Czuł, że talizman szepcze do niego.

— Panie — powiedział Ellis, wskazując drzwi. — Ty pierwszy.

Kell skinął głową i wyszedł ze sklepu.



W chwili, w której Lila usłyszała, że do środka wpadają strażnicy królewscy, zareagowała błyskawicznie. Zaciskając dłoń na kamieniu, rzekła: „Ukryj mnie”.

Kamień po raz kolejny wykonał polecenie.

Po ramieniu przebiegł jej dreszcz, w górę, tuż pod skórą; uczucie było przyjemne (czy czuła się tak dobrze ostatnim razem, kiedy użyła mocy talizmanu?). A potem okrył ją ponownie całun i Lila zniknęła. Widziała siebie dokładnie tak samo jak w poprzednim przypadku, lecz nikt inny nie mógł jej zobaczyć. Ani strażnicy, ani Fletcher, ani nawet Kell, który zwrócił ku niej różnobarwne oczy, ale wyraźnie dostrzegał wyłącznie miejsce, w którym była wcześniej, nie zaś to, w którym znajdowała się teraz.

I chociaż nie był w stanie jej zobaczyć, ona go widziała i zauważyła w jego twarzy lekką troskę, która ujawniała się nie w jego głosie, lecz w zachowaniu, a pod tą troską

czaiło się ostrzeżenie, przebijając się przez sztuczny spokój jego słów.

„Zostań”, sugerował Kell, zanim jeszcze wypowiedział to słowo na głos, niby rzucając je pod nosem, lecz bez wątpienia przeznaczając je dla niej.

Została więc. Czekwała i przyglądała się, jak antari i czterech z pięciu członków straży wychodzą na ulicę. Obserwowała, jak ostatni strażnik się ociąga, ukrywając oblicze pod opuszczoną przyłbicą hełmu.

Fletcher mówił coś do niego, wskazując na swoją dłoń w uniwersalnym geście prośby o zapłatę. Strażnik kiwnął głową, po czym przeniósł rękę do paska, podczas gdy właściciel sklepu odwrócił się i patrzył przez okno za Kellem.

Lila wiedziała, co się stanie.

Fletcher nie.

Zamiast sięgnąć po sakiewkę, strażnik wyciągnął nóż. Metal błysnął w słabym świetle sklepu, a potem znalazł się pod brodą Fletchera, bezgłośnie rysując czerwoną kreskę na jego gardle.



Przed sklepem czekał na Kella zamknięty powóz, ciągnięty przez królewskie białe konie ze złoto-czerwonymi wstążkami, wplecionymi w grzywy przed wcześniejszą paradą.

Kiedy Kell szedł ku niemu, zerwał sobie z ramion płaszcz i odwrócił go z lewej strony na prawą, po czym ponownie wsunął ramiona w rękawy — tym razem czerwone — swojego królewskiego stroju. Intensywnie rozmyślał nad tym, co powie królowi i królowej — bo przecież, oczywiście, nie prawdę. Ale król również posiadał pewien symbol Białego Londynu, bibelot, który stał na półce w jego prywatnej komnacie, i gdyby Kell mógł go zabrać, a później wrócić do Lili i kamienia... „Lila i kamień sami w mieście!” — och, to była kłopotliwa myśl. Miał jednak nadzieję, że dziewczyna nie ruszy się z miejsca przynajmniej przez jakiś czas. Że będzie się trzymała z dala od kłopotów.

Ellis szedł pół kroku za nim, a trzech pozostałych strażników ciągnęło się za dowódcą. Ostatni został w sklepie, by pomówić z Fletcherem i najprawdopodobniej rozstrzygnąć sprawę nagrody (choć Kell był całkiem pewny, iż Fletcher tak bardzo go nie znosi, że wydałby go nawet bez dodatkowej zachęty w postaci zapłaty).

Nad rzeką, bliżej pałacu, całodniowa uroczystość powoli się kończyła — a raczej nie kończyła, lecz zmieniała się w wieczorną zabawę. Muzyka przycichła, tłumy wzdłuż doków i pasa targowisk się przerzedziły — ludzie przenosili się do centrum, do rozmaitych pubów i gospód, gdzie będą dalej wznosić toasty za zdrowie księcia.

— Chodź, panie — ponaglił Ellis, trzymając dla niego otwarte drzwi powozu. Zamiast dwóch siedzeń naprzeciw siebie znajdowały się w nim dwa rzędy ławek

zwróconych ku przodowi; dwaj strażnicy zajęli miejsca w tylnym rzędzie, jeden wspiął się i usiadł obok woźnicy, podczas gdy Ellis wsunął się na przednią ławkę obok Kella i zamknął drzwi powozu, pociągając je ku sobie.

— Zabierzemy cię do domu.

Na myśl o tym Kell poczuł ból w piersi. Do tej pory odsuwał myśl o domu, starał się nie myśleć, jak bardzo pragnie się w nim znaleźć — odkąd otrzymał kamień i podjął się przygnębiającego zadania pozbycia się go. Teraz chciał jedynie zobaczyć Rhya, objąć go po raz ostatni i po cichu cieszył się z szansy, jaką daje mu los.

Zrobił drżący wydech i osunął się na oparcie ławki, a tymczasem Ellis zasunął zasłony w powozie.

— Przepraszam cię za to, panie — powiedział, a Kell już miał spytać, za co go przeprasza, gdy czyjaś ręka przycisnęła kawałek tkaniny do jego ust i płuca wypełniły mu się czymś gorzkim i słodkim jednocześnie.

Spróbował się wyrwać, ale ręce w rękawicach od zbroi zamknęły się na jego przegubach i trzymały go przy oparciu ławki, aż po kilku sekundach zapanowała wokół niego kompletna ciemność.



Lila wciągnęła powietrze gwałtownie, choć niesłyszalnie pod zasłoną, kiedy królewski strażnik puścił ramię Fletchera i paser osunął się i padł z łoskotem, ciężko i bez życia, na odrapane deski podłogowe sklepu.

Sprawca stał przez chwilę w miejscu, nieporuszony popełnionym właśnie morderstwem i na pozór nieświadom faktu, że jest teraz obryzgany czyjąś krwią. Zlustrował wzrokiem salkę i jego spojrzenie przesunęło się obok Lili, która odniosła wrażenie, że przez otwór w przyłbicy hełmu widzi w oczach strażnika dziwne migotanie. Coś, co kojarzyło jej się z magią. Mężczyzna, ciesząc się, że nikogo więcej nie musi się pozbywać, ponownie wsunął nóż do pochewki, odwrócił się na pięcie i opuścił sklep. Jego wyjściu towarzyszyło słabe brzęczenie przymocowanego do drzwi dzwonka, a kilka minut później Lila usłyszała odgłosy ruszającego i toczącego się po kocich łbach powozu.

Ciało Fletchera leżało rozciągnięte na podłodze sklepu, krew przesączała się przez sztywne blond włosy i ściekała, plamiąc deski pod piersią mężczyzny.

Jego zadowolona z siebie mina zniknęła i zastąpiło ją zaskoczenie, utrwalone przez śmierć jak insekt w bursztynie. Oczy miał otwarte i puste. Z kieszeni wypadł mu jakiś jasny przedmiot i leżał teraz na podłodze przyciśnięty przez martwe ciało.

Przedmiot, który bardzo przypominał białą wieżę szachową.

Lila rozejrzała się i upewniła, że na pewno jest w pomieszczeniu sama, a potem nakazała kamieniowi przerwać zaklęcie i wyszła z ukrycia. Przekonała się, że całkiem

łatwo jest odwołać zaklęcie, znacznie trudniejsze jednak okazało się wypuszczenie z dłoni kamienia — minęła długa chwila, zanim w końcu zmusiła się do rozstania z nim i włożenia go z powrotem do kieszeni, a wtedy pomieszczenie przed jej oczyma zawirowało. Jej ciałem wstrząsnęło dziwne drżenie, kradnąc jej ciepło i coś więcej. Straciwszy połączenie z magią, Lila poczuła się... pusta. Przywykła do niedostatku, lecz po utracie kontaktu z kamieniem wręcz umierała z głodu. Była jak wydrążona.

„Cholerny kamień” — pomyślała, wsuwając czubek buta pod sztywniejące ramię Fletchera i odwracając na plecy mężczyznę, którego pozbawione wyrazu spojrzenie było teraz skierowane w górę, na sufit i na nią samą.

Klęknęła i starając się nie dotknąć rozprzestrzeniającej się czerwonej plamy, podniosła pokrytą kropelkami krwi szachową wieżę.

Zakłęła z ulgą i wyprostowała się, uważnie oglądając biały przedmiot. Na pierwszy rzut oka wieża wyglądała raczej zwyczajnie, a jednak, kiedy Lila zacisnęła palce wokół kamienia — czy kości, czy czegośkolwiek, z czego wieża została wyrzeźbiona — mogła niemal wyczuć różnicę pomiędzy siłą przedmiotu a energią otaczającego Londynu. Różnica była subtelna i być może Lila tylko ją sobie wyobrażała, ale wieża kojarzyła jej się z chłodnym powiewem w ciepłym pokoju. Na tyle chłodnym, że wydawał się nie na miejscu.

Otrząsnęła się z tego doznania i wsunęła wieżę do botka. Nie wiedziała, jak działa magia, ale uznała, że nie byłoby mądrze trzymać oba talizmany blisko siebie, nie do czasu, aż staną się potrzebne, a poza tym nie zamierzała dotykać ponownie małego czarnego kamienia, dopóki nie będzie naprawdę do tego zmuszona. Starła ze spodni krew Fletchera.

Biorąc pod uwagę całą sytuację, czuła się całkiem niezłe. Ostatecznie miała kamień z Czarnego Londynu oraz symbol Białego. Teraz potrzebowała jedynie Kella.

Odwróciła się ku drzwiom i zawahała. Antari kazał jej pozostać w sklepie, ale patrząc na świeże zwłoki Fletchera, pomyślała, że Kell może również wpadł w tarapaty. Była w Czerwonym Londynie dopiero jeden dzień, ale w jej opinii nie był to świat, po którym biegają królewscy strażnicy i podrzynają gardła mieszkańcom. Może Kellowi nic nie groziło? A jeśli jednak?

Coś kazało jej odejść stąd, a lata, w których kradła, aby przeżyć, nauczyły ją słuchania własnej intuicji. Ponadto, rozumowała, akurat jej nikt w tym Londynie nie szuka.

Skierowała się do drzwi i była już prawie przy nich, kiedy jej spojrzenie ponownie przyciągnął sztylet, ten, który wcześniej tak bardzo jej się spodobał; leżał na wieku skrzyni, tam gdzie go odłożyła. Kell ostrzegwał ją wprawdzie przed kradzieżą w sklepie, lecz teraz właściciel nie żył, a sztylet po prostu leżał porzucony. Podniosła go i

przeciągnęła ostrożnie palcem po ostrzu. Był

naprawdę ślicznym przedmiotem. Zmierzyła wzrokiem drzwi, zastanawiając się, czy zabezpieczenia chroniące sklep przed złodziejami przestały funkcjonować wraz ze śmiercią ich twórcy. Równie dobrze mogła sama sprawdzić ich działanie. Ostrożnie otworzyła drzwi, położyła sztylet na podłodze i kopnęła go czubkiem buta za próg. Odsunęła się w oczekiwaniu na jakieś zdarzenie — podmuch, falę energii, bólu czy nawet powrót noża do sklepu — jednak nic takiego się nie zdarzyło.

Uśmiechnęła się zachłannie i wkroczyła na ulicę. Podniosła sztylet i wsunęła go za pasek, a potem poszła odnaleźć — i najprawdopodobniej ocalić — Kella przed wszelkimi problemami, w których teraz tkwił.

VI

Parrish i Gen kręcili się wśród świętujących, helmy trzymali w jednej ręce, kielichy z winem w drugiej. Parrish odzyskał swoje pieniądze (a tak naprawdę dzięki nieodłącznym kartom i różnym zakładom obaj stawiali pieniądze z żołdu bez szczególnych wygranych czy przegranych) i ponieważ lepiej mu poszło niż towarzyszowi, postanowił postawić Genowi jakiś trunek.

Było nie było, brali udział w urodzinowej fecie.

Książę Rhy w swej łaskawości dał dwóm najbliższym członkom swojej straży przybocznej kilka godzin wolnego, dzięki czemu mogli się bawić na uroczystościach wraz z rzeszami mieszkańców zebranych wzdłuż rzeki Isle.

Parrish, który miał zwyczaj nadmiernie się o wszystko martwić, nieco się wahał, ale Gen przekonał go, że w dzień urodzin o Rhya — nawet bez nich dwóch — będzie dbało wystarczająco wiele osób. Przynajmniej przez jakiś czas. A więc wyszli i oddali się świętowaniu.

Uroczystości odbywały się w pobliżu rzeki i przez targowisko przetaczało się trzy razy więcej ludzi niż zazwyczaj, toteż jego granice tętniły od klientów, radosnych okrzyków, muzyki i magii. Z każdym rokiem zabawa wydawała się coraz wspanialsza, niegdyś jedynie godzina czy dwie prostej wesołości, obecnie cały dzień hulanki (po którym nastąpi kilka dni przeznaczonych na powrót do normalności, z powoli opadającymi emocjami, aż w końcu życie znów stanie się zwyczajne). Ale tego dnia, głównego dnia, po porannej paradzie rozpoczęło się popołudnie jedzenia, picia i radości, a wieczorem odbywał się bal.

W tym roku zorganizowano maskaradę.

Wielkie pałacowe schody były już uprzątnięte, kwiaty pozbierano i wniesiono do środka, gdzie miały wypełnić frontowy hol. Zarówno na zewnątrz pałacu, jak i w jego wnętrzu zawieszono kule z ostrym światłem, przywodzące na myśl gwiazdy, i rozwinięto ciemnobłękitny dywan — dzięki temu wieczorem siedziba władców miała się unosić nie po prostu nad rzeką, niczym wschodzące słońce, lecz znacznie wyżej, jak księżyc otoczony olśniewającym nocnym niebem. Mieszkańcy Londynu — ci młodzi, piękni, należący do elity — wsiadali do powozów i jechali do pałacu w maskach, przebraniach i pelerynach, ćwicząc po cichu rozmowy w języku królewskim. A kiedy wszyscy tam dotrą, oddadzą hołd księciu, jakby był bogiem, a on będzie się pławił w ich uwielbieniu, jak zawsze, wesoło i z lubością.

Na maskaradę do pałacu wchodziło się za zaproszeniem, lecz na dworze, na

brzegach rzeki, w przyjęciu mogło brać udział całe miasto, a zabawę przewidziano aż do północy, gdy w końcu muzyka przycichnie i resztki jadła oraz napitków powędrują do domu wraz z rozradowanymi biesiadnikami.

Parrish i Gen wiedzieli, że niedługo zostaną wezwani do boku księcia, ale teraz opierali się o słup namiotu na targowisku, obserwując tłumy i oddając się rozrywce. Od czasu do czasu Parrish klepał Gena w ramię lub dawał mu w milczeniu kuksańca, sugerując, że tamten powinien wyostrzyć wzrok i przyglądać się ludzkim masom. Chociaż oficjalnie nie byli na służbie, obu (albo przynajmniej Parrisha) rozpierała prawdziwa duma, że noszą królewskie zbroje (choć nie przeszkadzało im również, że damy wyraźnie lubią zbrojnych mężczyzn), i sami z siebie wypatrywali choćby śladu kłopotów.

Przez większą część popołudnia kłopoty mógł sprawić ktoś obchodzący urodziny Rhya z nieco zbyt dużym entuzjazmem, ale od czasu do czasu wybuchała jakaś bójka i powodem do interwencji stawała się czyjaś broń lub przebłysk magii.

Gen bez wątpienia zupełnie przyjemnie spędzał czas, Parrish jednak robił się niespokojny. Jego towarzysz dopatrywał się przyczyn tego poirytowania w fakcie, że Parrish poprzestał na jednym napitku, ale raczej nie o to chodziło. W powietrzu wyczuwał jakąś energię i chociaż było to najprawdopodobniej podekscytowanie świętujących, i tak go to denerwowało. Nie dość, że energii było więcej niż zwykle, to była też jakaś inna! Parrish zakręcił w dłoniach pustym kielichem i próbował się uspokoić.

Trupa ludzi ognia wykonywała w pobliżu sztuczki, skręcając płomienie w smoki, konie i ptaki, i nagle światło z ich zaczarowanych płomieni przesłoniło mu widok. Kiedy zgasło, Parrish dostrzegł spojrzenie kobiety stojącej tuż za członkami trupy — ślicznotki o czerwonych wargach, złotych włosach i ponętym, ledwie na wpół zakrytym biuście. Oderwał wzrok od jej piersi i poszukał jej oczu, a wtedy zmarszczył czoło. Nie były ani niebieskie, ani zielone, ani brązowe.

Były czarne.

Czarne jak bezgwiezdne niebo lub jak tablica do wróżb.

Czarne jak prawe oko pana Kella.

Popatrzył spod przymrużonych powiek, by się upewnić, a potem przywołał Gena. Kiedy towarzysz nie odpowiedział, odwrócił się i zobaczył, że Gen obserwuje, jak młody mężczyzna — nie, raczej dziewczyna w męskim stroju, na dodatek osobliwie szaroburym — przemyka wśród gawiedzi ku pałacowi.

Przypatrując się jej, Gen lekko się dziwił, zapewne stwierdziwszy, że dziewczyna wygląda osobliwie i nie pasuje do tego miejsca. I to była prawda, choć bez wątpienia szara dziewczyna nie mogła się równać z czarnooką kobietą. Parrish złapał Gena za

rękę i przyciągnął jego uwagę.

— Kers? — warknął Gen, o mało nie rozlewając wina. „Co?”

— Ta kobieta tam w niebieskim — powiedział Parrish, odwracając się ku tłumowi.
— Jej oczy... — Ale w tym momencie zamilkł. Czarnooka zniknęła.

— Zadurzyłeś się?

— To nie to. Przysięgam, że jej oczy... były czarne.

Gen uniósł brew i wypił łyk z kielicha.

— Może jednak trochę za bardzo dziś świętowałeś — ocenił, klepiąc towarzysza po ramieniu. Ponad nim Parrish obserwował, jak dziewczyna w ubraniu chłopca znikła w jednym z namiotów, zanim Gen skrzywił się i dodał: — Wygląda, że nie ty jeden.

Parrish podążył za jego spojrzeniem i zobaczył mężczyznę, który — odwrócony plecami do nich — obejmował jakąś niewiastę na środku targowiska. Dłonie miał nieco zbyt ruchliwe, nawet jak na dzień świętowania, kobiecie jego umizgi nie sprawiały przyjemności. Podniosła ręce do jego piersi, żeby go odepchnąć, on wszakże w odpowiedzi mocno ją pocałował.

Gen i Parrish opuścili swoje stanowisko i ruszyli ku przekomarzającej się parze. I wtedy, nieoczekiwanie, kobieta przestała się opierać. Ręce opadły jej do boków, zwiesiła głowę, a kiedy mężczyzna chwilę później ją puścił, zakotłosała się na stopach i osunęła na ławę. Tymczasem mężczyzna po prostu odwrócił się i odszedł, brnął przez tłum, na wpół idąc, na wpół się potykając.

Parrish i Gen ruszyli za nim, goniąc go dużymi, choć niezbyt szybkimi, równymi krokami, jakby nie chcieli niepokoić zgromadzonych. Mężczyzna to się pojawiał, to znikał wśród celebrujących, aż w końcu skierował się między namiotami ku brzegowi rzeki. Strażnicy przyspieszyli i niemal dotarli do mężczyzny.

— Ty tam — zawołał Gen, przejmując inicjatywę. Zawsze tak robił. — Stój.

Mężczyzna idący teraz ku Isle powoli się zatrzymał.

— Odwróć się — rozkazał Gen, kiedy był o krok od tamtego; jedną rękę położył na rękojeści miecza.

Mężczyzna się odwrócił. Na widok jego twarzy Parrish wybałuszył oczy, ponieważ w miejscu oczu tamtego zobaczył dwie sadzawki, lśniące i ciemne jak rzeczne kamienie w nocy, a skórę wokół szpeciły czarne żyłki. Kiedy mężczyzna rozsunął wargi w uśmiechu, czarne cętki uniosły się jak popiół.

— Asan narana — odezwał się nieznajomy, w języku, który nie był arnezyjskim.

Wyciągnął rękę, a Parrish się cofnął, widząc, że i ona jest zupełnie czarna; opuszki palców wyglądały na zwęglone aż do pierwszych kłykci.

— Co, w imię króla... — zaczął Gen, lecz nie miał sposobności dokończyć,

ponieważ mężczyzna znów się uśmiechnął, przepchnął poczerniałą rękę przez jego zbroję i sięgnął do piersi strażnika.

— Mroczne serce — oznajmił, tym razem w języku królewskim.

Parrish stał jak zakłęty z szoku i przerażenia, kiedy mężczyzna lub czymkolwiek był ów osobnik wycofał rękę z palcami ociekającymi krwią. Gen upadł na ziemię, a Parrish otrząsnął się z przerażenia i zareagował. Natarł, wyciągając królewski krótki miecz, i wbił ostrze w brzuch czarnookiego potwora.

Przez chwilę osobnik wyglądał na rozbawionego. A potem miecz Parrisha się rozjarzył i zaczęło działać zaklęcie zaczarowanego ostrza, oddzielając ugodzonego od jego magii. Jego oczy się rozszerzyły, czerń zniknęła zarówno z nich, jak i z jego żył, aż znowu wyglądał mniej więcej jak przeciętny człowiek (aczkolwiek umierający). Wziął charkotliwy wdech i uchwycił się zbroi Parrisha — nosił na grzbiecie dłoni „X”, znak zabójców — a potem jego ciało rozkruszyło się wokół miecza na popiół.

— Sanct — przeklął Parrish, wpatrując się w kopiec sadzy, który począł się już rozwiewać.

A później, nie wiadomo skąd, pojawił się dziki ból i rozkwitł w jego plecach; strażnik spojrzał w dół i zobaczył, że z piersi wystaje mu czubek miecza. Ostrze wysunęło się z makabrycznym, mokrym odgłosem, a pod Parrishem ugięły się kolana, kiedy ktoś na niego natarł.

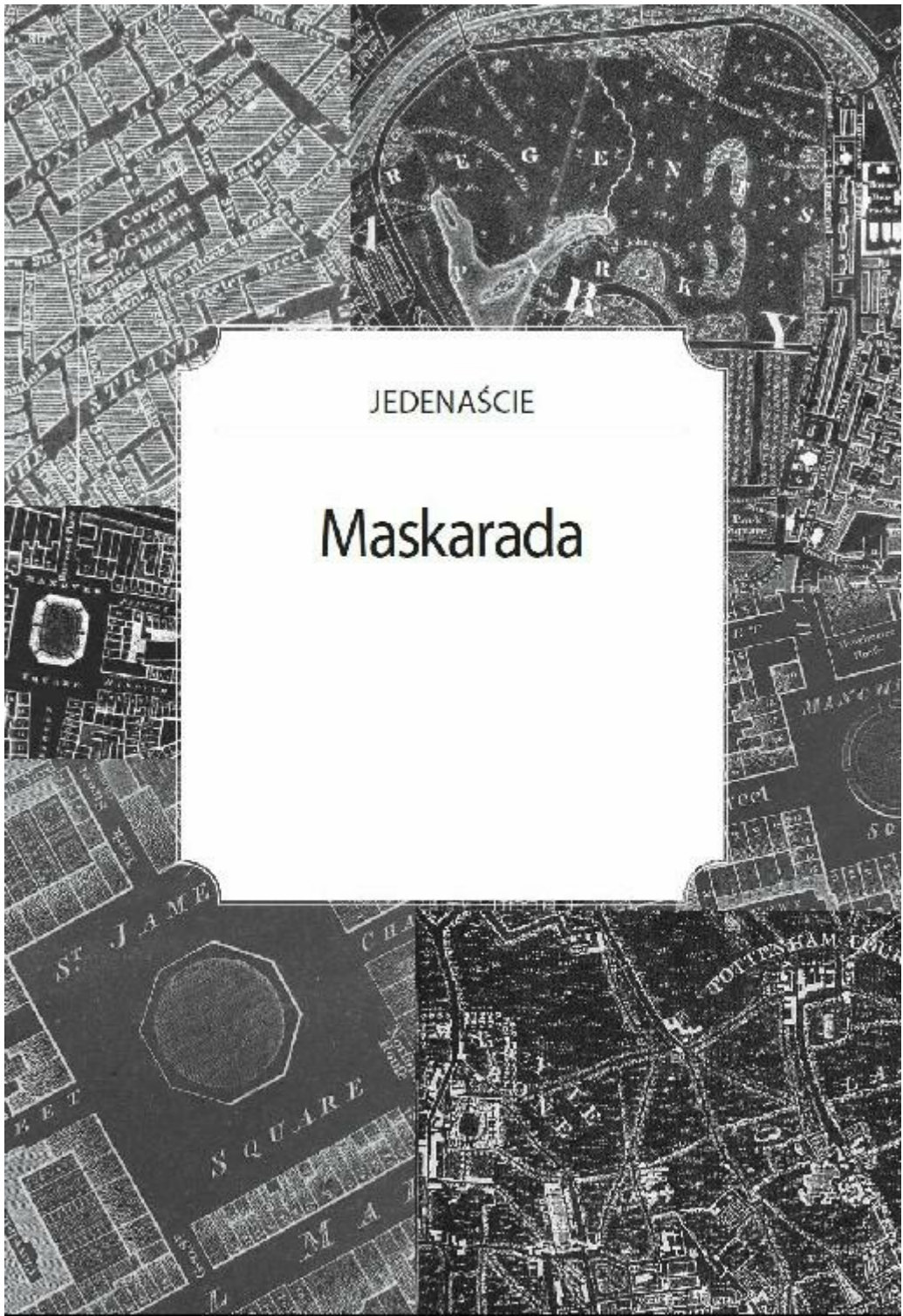
Zrobił drżący wdech i jego płuca wypełniły się krwią, a gdy podniósł głowę, zobaczył owego napastnika — pochylającego się nad nim Gena z błyszczącym od krwi ostrzem u boku.

— Dlaczego? — wyszeptał Parrish.

Gen spojrzał na niego czarnymi oczyma i uśmiechnął się makabrycznie.

— Asan harana — oznajmił. — Szlachetne serce.

I wtedy podniósł nad głowę miecz i ciął.



JEDENAŚCIE

Maskarada

I

Kiedy za pałacem zniknęło światło dzienne, otaczając jego krawędzie złotym blaskiem, on wznosił się nad Isle jak drugie słońce. Lila zmierzała ku świetlistej budowli, brnąc przez zatłoczone targowisko (które z upływem czasu i lejącym się alkoholem zmieniło się w hałaśliwy festyn), i intensywnie rozmyślała, jak dostać się do pałacu, gdy w końcu do niego dotrze. W jej kieszeni tętnił kamień, nęcąc łatwymi sztuczkami, ale podjęła już wcześniej decyzję, że nie użyje ponownie magii, dopóki będzie miała wybór. Zbyt dużo ją to kosztowało, a kamień postępował cicho i podstępnie niczym przebiegły złodziej. Nie, jeśli istnieje inny sposób wejścia, Lila go znajdzie.

I nagle, gdy pałac był już blisko i w zasięgu wzroku pojawiły się frontowe schody, dostrzegła swoją szansę.

Główne wrota były szeroko otwarte, jedwabisty ciemnobłękitny dywan spływał po stopniach jak nocna woda, a po nich wlewał się do środka nieprzerwany strumień chętnych do świętowania. Najwyraźniej wybierali się na bal.

Lila szybko zdała sobie sprawę, przyglądając się rzece gości, że nie będzie to zwykły bal.

Lecz maskarada!

Każdy mężczyzna i każda kobieta nosili przebranie. Niektóre maski wykonano z prostego kawałka barwionej skóry, inne były bardziej bogato zdobione, przystrojone rogami, piórami lub klejnotami, jedne zakrywały jedynie oczy, a inne nie ujawniały zupełnie nic. Lila wyszczerzyła zęby w szelmowskim uśmiechu. Żeby wejść do pałacu, nie musiała być wcale członkiem tutejszej socjety. Ani przez chwilę nie będzie musiała pokazywać swojej twarzy.

Istniała wszakże inna rzecz, którą każdy gość najwyraźniej okazywał: zaproszenie. Obawiała się, że trudniej je będzie zdobyć. W tym momencie jednak, dzięki łutowi szczęścia lub opatrności, usłyszała wysokie perliste śmiechy, a gdy się odwróciła, zobaczyła trzy dziewczyny nie starsze od niej, którym właśnie pomagano wysiąść z powozu — w balowych sukniach, z szerokimi uśmiechami, trajkotały i szczebiotały, aż stanęły na ulicy. Lila rozpoznała je od razu z porannej parady, kiedy to rozpływały się nad Rhyem i „czarnookim księciem”, którym — teraz o tym wiedziała — był Kell. Pannice, które ćwiczyły angielski. Naturalnie! Ponieważ angielski był językiem członków rodziny królewskiej oraz osób, które obracały się w ich towarzystwie. Lili poprawił się humor. Może Kell miał rację — w każdym innym

otoczeniu jej akcent by ją wyróżniał. Ale tutaj pomoże jej się wtopić w tłum, tutaj dzięki niemu Lila stanie się członkiem elity.

Jedna z dziewcząt — ta, która wcześniej chlubiła się swoim angielskim — wyjęła ozdobione złotą obwódką zaproszenie i we trzy studiowały je z uwagą przez kilka sekund, po czym właścicielka wsunęła je sobie pod pachę. Lila podeszła do nich.

— Przepraszam — zagaiła, podnosząc rękę i kładąc na łokciu dziewczyny z zaproszeniem. — O której zaczyna się maskarada?

Wyglądało na to, że dziewczyna jej nie pamięta. Obrzuciła Lilę powolnym, szacującym spojrzeniem — tego rodzaju, że Lila miała ochotę wybić jej parę zębów — po czym sztywno się uśmiechnęła.

— Teraz.

Lila odwzajemniła się identycznym uśmiechem.

— Oczywiście — powiedziała, kiedy dziewczyna się uwolniła, nieświadoma faktu, że już nie posiada zaproszenia.

Dziewczyny skierowały się ku pałacowym schodom, a Lila obejrzała swoją zdobycz. Przeciągnęła kciukiem po złoconych krawędziach kartonika i ozdobnych arnezyjskich literach. Zerknęła ponownie na korowód zmierzający do pałacu, ale nie dołączyła do idących. Wchodzący po schodach mężczyźni w ciemnych, eleganckich garniturach i kobiety w sukniach w odcieniu klejnotów — wszyscy dosłownie skrzyli się w swoich strojach. Z ich ramion sływały bujne peleryny, we włosach błyszcząły nici cennego metalu. Lila popatrzyła na siebie, na swoje wytarte okrycie i znoszone brązowe botki, i poczuła się nędzniej niż kiedykolwiek w życiu. Wyszarpnęła z kieszeni własną maskę — jedynie kawałek pomiętego czarnego materiału. Nawet z zaproszeniem i dobrą znajomością języka angielskiego nigdy jej nie wpuszczą — nie, jeśli będzie się prezentowała w ten sposób.

Wepchnęła maskę z powrotem do kieszeni peleryny i rozejrzała się po pobliskich straganach na targowisku. Dalej od pałacu stoiska wypełniało jedzenie i napoje, ale tutaj, na skraju, najbliżej schodów, kramarze sprzedawali inne towary. Amulety, tak, ale także laski, buty i inne elementy odświętnego stroju. W najbliższym namiocie załśniło światło i tkaniny, więc Lila wyprostowała się i weszła do środka.

Sto twarzy powitało ją z przeciwległej ściany, której powierzchnię obwieszono maskami. Od ascetycznych po skomplikowane, od pięknych po groteskowe, oblicza spoglądały spod przymrużonych powiek lub patrzyły gniewnie, witając ją po kolei. Podeszła do nich i zdjęła jedną z haka. Czarna półmaska z dwoma rogami spiralnie wznoszącymi się ze skroni.

— A tes fera, kes ile?

Lila podskoczyła i zobaczyła stojącą u jej boku kobietę. Była niewysoka i krągła,

miała fryzurę z kilku zwiniętych warkoczy, które oplatały jej głowę jak węże, a we włosy — niczym szpilkę — wsunęła maskę.

— Przepraszam — powiedziała Lila powoli. — Nie mówię po arnezyjsku.

Kobieta tylko się uśmiechnęła i splótła dłonie na wydatnym brzuchu.

— Ach, ale za to twój angielski jest znakomity.

Lila westchnęła z ulgą.

— Tak jak i twój — odparła.

Kobieta się zarumieniała. Znajomość angielskiego stanowiła tu bez wątpienia powód do dumy.

— Pełnię usługi związane z balem — stwierdziła — więc mówię, choć ledwie przyzwoicie. — Potem wskazała na maskę w rękach dziewczyny. — Nieco ponura, nie uważasz?

Lila popatrzyła masce w oczy.

— Nie — odrzekła. — Myślę, że jest idealna.

A później odwróciła ją i zauważyła jakiś ciąg liczb, który z pewnością składał się na cenę przedmiotu. Nie była napisana w szylingach czy w funtach, ale Lila nie miała wątpliwości, że, niezależnie od rodzaju waluty, i tak nie może sobie na maskę pozwolić. Niechętnie odwiesiła ją na hak.

— Dlaczego odkładasz, skoro jest idealna? — naciskała kobieta.

Lila westchnęła. Ukradłaby maskę, gdyby kramarka tu nie stała.

— Nie mam pieniędzy — wyjaśniła, wsuwając rękę do kieszeni. Poczowała srebrny zegarek i przelknęła ślinę. — Ale... mam to... — Wyjęła czasomierz z kieszeni i wyciągnęła go w stronę kobiety, mając nadzieję, że ta nie dostrzeże plam krwi (wcześniej udało jej się większość zetrzeć).

Lecz kramarka tylko potrząsnęła głową.

— An, an — powiedziała, zginając palce Lili na zegarku. — Nie mogę przyjąć od ciebie zapłaty. Bez względu na jej formę.

Lila zmarszczyła czoło.

— Nie rozumiem...

— Widziałam cię dziś rano. Na targowisku. — Lila wróciła myślami do chwili, gdy o mało nie aresztowano jej za kradzież. Ale kobieta nie mówiła o kradzieży. — Ty i pan Kell, jesteście... przyjaciółmi, tak?

— W pewnym sensie — zgodziła się Lila, a później się zarumieniała, gdyż kramarka obrzuciła ją zagadkowym uśmiechkiem. — Nie — poprawiła się. — Nie to chciałam powiedzieć...

Jednak kobieta poklepała ją po ręce.

— Ise av eran — rzuciła lekko. — Nie mam prawa... — przerwała, szukając

odpowiedniego słowa — ...się wtrącać. Lecz pan Kell jest awen...

błogosławiony, jest klejnotem w koronie naszego miasta. Jeśli zatem jesteś jego lub on twój... mój sklep również należy do ciebie.

Lilę ogarnęło zażenowanie. Nie znosiła, gdy się nad nią litowano. Nawet kiedy ludzie sądzili, że dają coś za darmo, ich gest zawsze potem pociągał za sobą łańcuch zobowiązań — ciężar, od którego można było stracić równowagę.

Wolała po prostu ukraść przedmiot, niż zmuszać się do dobrych uczynków. Ale potrzebowała ubrania.

Wyglądało na to, że kramarka wyczytuje w jej oczach niezdecydowanie.

— Nie jesteś stąd, więc nie wiesz. Arnezyjczycy spłacają swoje długi na wiele różnych sposobów. Nie wszystkie łączą się z pieniędzmi. Teraz niczego od ciebie nie potrzebuję, toteż zapłacisz mi innym razem i na swój własny sposób. Zgoda?

Lila wciąż się wahała. Wtedy w pałacu zaczęły bić dzwony, przypominając jej o pośpiechu, więc kiwnęła głową.

— No dobrze — powiedziała.

Kobieta się uśmiechnęła.

— Ir chas — podsumowała. — No to poszukajmy dla ciebie czegoś stosownego.



— Hmm... — Kramarka, która miała na imię Calla, przygryzła wargę. — Jesteś pewna, że nie lepiej byłoby ci w czymś z gorsetem? Lub z trenem?

Próbowała wcześniej zaprowadzić Lilę do wieszaka z sukienkami, ale dziewczyna od razu zwróciła uwagę na męskie ubrania. Cudowne stroje, szerokie w barkach, z wysokimi kołnierzami i błyszczącymi guzikami.

— Nie — zapewniła kobietę, zdejmując z wieszaka jedno z ubrań. — Chcę dokładnie czegoś takiego.

Kramarka popatrzyła na nią z osobliwą fascynacją, ale też nieco — choć przynajmniej dobrze to ukrywała — osądzająco.

— Anesh — stwierdziła. — Jeśli jesteś zdecydowana na ten styl, poszukam dla ciebie jakichś butów.

Kilka minut później Lila trafiła do kącika namiotu za zasłonkę, trzymając najładniejsze ubranie, jakiego kiedykolwiek dotykała, a cóż mówić o posiadaniu. „Pożyczeniu” — poprawiła się. Pożyczone aż do zapłaty.

Wyjęła z różnych kieszeni swoje skarby — czarny kamień, białą wieżę, poplamiony krwią srebrny zegarek, zaproszenie — i umieściła je na podłodze, po czym zzuła botki i zrzuciła starą, zniszczoną pelerynę. Calla dała jej nową czarną koszulę — która pasowała tak dobrze, że Lila się zastanowiła, czy kobieta nie skorzystała przy okazji z jakiegoś zaklęcia krawieckiego — oraz parę wąskich spodni,

które z kolei i tak wisały nieco luźno na jej kościstym ciele. Lila upierała się, że zatrzyma swój pas, a kramarka — wręczając jej wysokie buty — z poczucia przyzwoitości nie gapiła się na ilość przypiętej do niego broni.

Każdy pirat potrzebuje dobrej pary butów, a te były wyborne, skrojone z czarnej skóry i obszyte czymś miększym niż bawełna, aż Lila — wciągając je na nogi — wydała z siebie rzadko u niej słyszany odgłos radości. No i był jeszcze płaszcz. Absolutne marzenie, z wysokim kołnierzem, śliczny i czarny — prawdziwie czarny, aksamitny i bogaty — dopasowany w talii, z krótką peleryną, przypiętą dwiema gładkimi jak tafla czerwonymi klamrami po bokach szyi, układającą się na ramionach i opadającą na plecy. Lila z podziwem przesunęła palcami po lśniących, czarnych jak węgiel guzikach, które od góry do dołu zdobiły przód płaszcza. Nigdy nie interesowała się świedelkami ani strojnymi toaletami, nigdy nie chciała niczego więcej niż słone powietrze, solidny statek i pusta mapa, niemniej teraz, kiedy stała w zagranicznym sklepie na jakimś odległym lądzie, ubrana w kosztowne materie, zaczynała rozumieć goniących za modą ludzi.

Na koniec podniosła wybraną maskę. Tak wiele spośród wiszących na ścianie było pięknymi, delikatnymi ozdobami wykonanymi z piór i koronki, przybranymi kawałkami szkielek. Ale ta maska była piękna w całkiem innym sensie. Mniej przypominała Lili o sukienkach i odświętnych ubraniach, a bardziej o ostrych nożach i statkach pokonujących nocami dalekie morza. Ta maska wyglądała groźnie. Lila przyłożyła ją do twarzy i uśmiechnęła się.

W rogu pomieszczenia stało podparte o ścianę srebrne lustro i Lila podziwiała w nim swoje odbicie. Wyglądała trochę jak poszukiwany listem gończym w jej Londynie Złodziej-Cień, a zupełnie nie kojarzyła się z chudą dziewczyną ciułającą miedziaki, które miały jej pomóc w ucieczce przed szarym życiem. Jej wypolerowane buty lśniły od kolan po palce, wydłużając jej nogi. Płaszcz poszerzał ramiona i ścisnął kibić. Maską wyszczuplała policzki, a czarne rogi wznosiły się nad głowę zarazem elegancko i przerażająco. Lila oszacowała swoją postać długim spojrzeniem, podobnie jak dziewczyna przed pałacem, tyle że w jej wzroku nie było ani krzty drwiny.

Delilah Bard wyglądała jak król.

„Nie — pomyślała, prostując się. — Wyglądam jak zdobywca!”

— Lila? — zza zasłonki dotarł do niej głos kramarki. Kobieta wymówiła jej imię przeciągając literę „i”. — Pasuje?

Dziewczyna wsunęła skarby do wyściełanych jedwabiem kieszeni swojego nowego okrycia i wyszła. Obcasy jej butów stuknęły dumnie na kamiennym podłożu — ale sprawdziła wcześniej podeszwy i wiedziała, że jeśli będzie chodziła na palcach, nikt nie usłyszy jej kroków — i Calla się uśmiechnęła, a w jej oczach pojawiły się figlarne

iskierki, chociaż oficjalnie syknęła z dezaprobatą.

— Mas aven — oznajmiła. — Wyglądasz raczej na gotową szturmować miasto, niż uwodzić mężczyznę.

— Kellowi bardzo się ten strój spodoba — zapewniła ją i ton, jakim wypowiedziała imię antarięgo, sycąc słowo subtelną łagodnością i intymnością, sprawił, że kramarka uniosła żartobliwie brew.

W tej samej chwili rozległo się ponownie bicie dzwonów i Lila cicho zaklęła.

— Muszę iść — powiedziała. — Jeszcze raz ci dziękuję.

— Zapłacisz mi — odparła po prostu Calla.

Lila skinęła głową.

— Tak.

Była już na progu namiotu, kiedy kobieta dodała: — Opiekuj się Kellem.

Lila uśmiechnęła się ponuro i postawiła kołnierz płaszcza.

— Tak — powtórzyła, zanim zniknęła na ulicy.

II

Nad głową Kella rozkwitły kolory — niewyraźne plamy czerwieni, złota i intensywnego ciemnego błękitu. Początkowo nie były niczym więcej niż szerokimi smugami. Kiedy jednak skupił wzrok, rozpoznał je jako pałacowe draperie, takie jakie zwisały z sufitu w każdej z królewskich sypialni, o wzorach przywodzących na myśl niebo.

Patrząc spod przymrużonych powiek, zdał sobie sprawę, że najprawdopodobniej przebywa w komnacie Rhya.

Wiedział o tym, ponieważ sufit w jego własnym pokoju przystrojono w barwach nieba o północy, przetykając srebrną nicią kłęby niemal czarnego materiału, sufit w pokoju królowej — w barwach nieba w południe, bezchmurnego i niebieskiego, a w komnacie króla, ze względu na żółte i pomarańczowe pasma, można się było poczuć jak o zmierzchu. Tylko pokój Rhya nasyciono barwami, które Kell widział teraz. Niebo o świcie. Zakreśliło mu się w głowie, więc zamknął oczy i wziął głęboki wdech, starając się poskładać w jedną wszystkie chaotyczne myśli.

Leżał na kanapie, na miękkich poduszkach, w które zapadało się jego ciało.

Zza ścian komnaty dobiegała muzyka, grała orkiestra, zagłuszana odgłosami śmiechu i hulanki. Oczywiście! Bal z okazji urodzin Rhya. Właśnie wtedy ktoś odchrząknął, więc Kell znowu otworzył oczy i odwrócił głowę, a wówczas zobaczył naprzeciwko samego Rhya.

Księżę siedział w fotelu, nogę na wysokości kostki położył na kolanie drugiej, sączył herbatę i wyglądał na ogromnie zdenerwowanego.

— Bracie — odezwał się, przechylając filiżankę.

Był ubrany całkowicie na czarno, w marynarkę, spodnie i buty, ozdobione licznymi złotymi guzikami. Maską — jaskrawa, przystrojona tysiącami maleńkich iskrzących się złotych łusek — spoczywała na czubku jego głowy zamiast korony, którą zazwyczaj nosił.

Kell zapragnął odgarnąć sobie włosy z oczu i szybko odkrył, że nie jest w stanie. Ręce miał skute za plecami.

— Chyba sobie żartujesz... — Podciągnął się do pozycji siedzącej. — Rhy, czemu je mam, na króla? — Nie przypominały zwykłych kajdan, jakie można było znaleźć na przykład w Szarym Londynie, wykonanych z metalowych ogniw. Ani nie były jak okowy z Białego Londynu, te, które w razie szamotania powodowały nieznośny ból. Nie, jego były wykute z litego kawałka żelaza, a wzmocniono je zaklęciem, które miało

studzić magię. Nie odcinały jej tak zdecydowanie jak królewskie miecze, na pewno nie, ale były skuteczne.

Rhy odstawił filiżankę na pięknie zdobiony stół.

— Nie chciałbym, żebyś znowu mi uciekł.

Kell westchnął i odchylił głowę na oparcie kanapy.

— To niedorzeczne. Przypuszczam, że właśnie dlatego kazałeś mnie również odurzyć? Szczerze, Rhy.

Książę założył ramiona na piersi. Wyraźnie stroił fochy. Kell podniósł głowę i rozejrzał się. Zauważył, że w pomieszczeniu wraz z nimi dwoma jest także dwóch członków straży królewskiej, nadal ubranych w odświętne zbroje, w hełmach z opuszczonymi przyłbicami. Tyle że znał straż przyboczną Rhya naprawdę dobrze i wiedział, że ci mężczyźni, mimo noszonych zbroi, wcale do niej nie należeli.

— Gdzie Gen i Parrish? — spytał.

Rhy leniwie wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że chyba trochę za bardzo świętowali.

Kell przesunął się na kanapie, usiłując uwolnić się z więzów. Ale te były za ciasne.

— Nie wydaje ci się, że rozdmuchujesz tę sprawę ponad wszelką miarę?

— Gdzie byłeś, bracie?

— Rhy — odparował Kell stanowczo. — Zdejmij mi je.

Książę opuścił obutą stopę z kolana i postawił ją zdecydowanym ruchem na podłodze. Wyprostował się na siedzeniu i wpatrzył bezpośrednio w antariego.

— To prawda?

Kell zmarszczył brwi.

— Co jest prawdą?

— Że masz przedmiot z Czarnego Londynu?

Kell zeszywniał.

— O czym mówisz?

— Czy to prawda? — naciskał książę.

— Rhy — odpowiedział Kell powoli. — Kto ci o tym powiedział? — Przecież nikt nie wiedział, nikt poza tymi, którzy chcieli, żeby talizman zniknął, i tymi, którzy chcieli go przejąć.

Książę smutno potrząsnął głową.

— Co przyniosłeś do naszego miasta, Kellu? Co na nie sprowadziłeś?

— Rhy, ja...

— Ostrzegłem cię, że do tego dojdzie. Mówiłem ci, że jeśli będziesz kontynuował swój handlowy proceder, zostaniesz złapany i nawet ja nie będę mógł cię wtedy ochronić.

Te słowa zmroziły Kellowi krew w żyłach.

— Czy król i królowa wiedzą?

Książę zmrużył oczy.

— Nie. Jeszcze nie.

Antari krótko westchnął z ulgą.

— Nie muszą się dowiedzieć. Robię, co muszę. Odnoszę go, Rhy. Przejdę całą drogę, aż do upadłego miasta.

Książę się skrzywił.

— Nie mogę ci na to pozwolić.

— Dlaczego nie? — zapytał Kell. — Tylko tam jest jego miejsce.

— Gdzie jest teraz?

— Bezpieczny — odparł, mając nadzieję, że to prawda.

— Kell, nie mogę ci udzielić pomocy, jeśli ją odrzucasz.

— Zadbam o wszystko, Rhy. Obiecuję ci.

Książę potrząsał głową.

— Obietnice nie wystarczą — oświadczył. — Już nie. Powiedz mi, gdzie jest kamień.

Kell znieruchomiał.

— Nie mówiłem, że ten przedmiot to kamień.

Zapadło między nimi ciężkie milczenie. Rhy wytrzymał jego wzrok, a potem, w końcu, ułożył wargi w słaby, posępny uśmiech, wykrzywiając twarz, przez co wyglądał jak ktoś inny.

— Och, Kell — powiedział.

Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, a antari dostrzegł coś pod kołnierzem jego koszuli i napiął wszystkie mięśnie. Książę nosił naszyjnik z wisiosem. Szklany naszyjnik o krwistoczerwonych brzegach. Znał go, widział go ledwie kilka dni temu.

Na szyi Astrid Dane.

Chciał się zerwać na równe nogi, ale strażnicy dopadli go i powstrzymali.

Ich ruchy były zbyt pewne, a uścisk zbyt druzgocący. Byli zakłęci. Oczywiście.

Nic dziwnego, że mieli opuszczone przyłbice. Przymus uwidoczniłby się w ich oczach.

— Witaj, kwietny chłopcze. — Słowa te Rhy powiedział głosem, który był i nie był jego.

— Astrid — syknął Kell. — Zaczarowałaś cały pałac?

Księciu wymknął się cichy zdławiony chichot.

— Jeszcze nie, ale pracuję nad tym.

— Co zrobiłaś z moim bratem?

— Jedynie go sobie pożyczyłam. — Astrid zacisnęła palce pod kołnierzem koszuli i wyjęła naszyjnik z wisiosem. Ten mógł być tylko jednym: talizmanem posiadania. — Krew antari — powiedziała Astrid wyniośle. — Pozwala zakłęciu istnieć w obu światach.

— Zapłacisz za to — warknął Kell. — Ja...

— Co zrobisz? Skrzywdzisz mnie? I zaryzykujesz, że zranisz swojego kochanego księcia? Wątpię w to. — Znów ten zimny uśmiech, wyglądający tak obco na obliczu Rhya. — Gdzie jest kamień, Kell?

— Co tu robisz?

— Czyż nie jest to oczywiste? — Ręka Rhya omiotła pokój. — Rozszerzam działalność.

Kell szarpnął się w kajdanach, metal wbijał mu się w przeguby dłoni.

Okowy studzące magię były wystarczająco silne, gdy chodziło o tłumienie umiejętności związanych z żywiołami i zapobieganie zakłęciom, nie mogły jednak powstrzymać magii antari. Gdyby Kell mógł tylko...

— Powiedz mi, gdzie ukryłeś kamień.

— Dlaczego nosisz ciało mojego brata? — odciął się, próbując zyskać choć trochę czasu.

Astrid westchnęła z wnętrza powłoki księcia.

— Jakże niewiele wiesz o wojnie. Bitwy można toczyć z zewnątrz, ale wojny wygrywa się, będąc w centrum zdarzeń. — Wskazała w dół, na ciało Rhya. — Królestwa i korony przejmuje się ze środka. Najtwardsza forteca potrafi się przeciwstawić każdemu atakowi zza murów, ale żadne fortyfikacje nie pomogą, gdy napaść następuje z wnętrza. Gdybym pomaszerowała na twój pałac jawnie, wchodząc po stopniach, czy zaszłabym tak daleko? Ale teraz...

teraz nikt nie zauważy mojego nadejścia. Ani król, ani królowa, ani poddani.

Jestem ich ukochanym księciem i będę nim aż do momentu, gdy postanowię z tego zrezygnować.

— Wiem — powiedział Kell. — Wiem, jaka jesteś i kim jesteś. Co zrobisz, Astrid? Zabijesz mnie?

Twarz Rhya rozjaśniła się nieznanym rodzajem wesołości.

— Nie... — mlasnął — ...ale jestem pewna, że będziesz żałował, iż tego nie zrobiłam. No — ręka Rhya uniosła Kellowi podbródek — gdzie mój kamień?

Kell popatrzył w bursztynowe oczy brata i głębiej, w istotę czającą się w jego ciele. Chciał prosić Rhya, błagać go, aby walczył przeciwko zakłęciu. Ale to by nic nie dało. Dopóki ona będzie w środku, Rhy niczego nie osiągnie.

— Nie wiem, gdzie jest — odparł.

Uśmiech księcia się rozszerzył, ostry i drapieżny.

— Ależ wiesz... — Usta Rhya uformowały te słowa i to on podniósł rękę, przyglądając się swoim długim palcom, przyozdobionym błyszczącymi pierścieniami. Druga ręka zaczęła przekręcać pierścień klejnotami do środka, pod palce. — I coś mi mówi, że mi to wyznasz.

I wtedy palce Rhya zacisnęły się w pięść, która uderzyła Kella w szczękę.

Antariemu głowa opadła na bok i o mało się nie osunął, ale wtedy strażnicy zwiększyli nacisk i utrzymał się na nogach. Poczul w ustach smak krwi, lecz Rhy tylko się uśmiechnął tym nowym makabrycznym uśmiechem i potarł kostki palców.

— Będzie zabawa.

III

Lila wspinała się po pałacowych schodach, a krótka pelerynka nowego płaszcza powiewała za jej plecami. Migoczący ciemnobłękitny dywan falował lekko wraz z każdym stopniem, jak gdyby został naprawdę utkany z wody. Inni goście wchodzili po schodach parami lub w małych grupkach, ale Lila, kiedy pięła się sama, ze wszystkich sił starała się naśladować ich wyniosłą arogancję — ramiona prosto, głowa wysoko. Może nie była osobą majątną, lecz okradała bogaczy, toteż potrafiła całkiem nieźle naśladować ich maniery i dziwactwa.

Na szczycie schodów pokazała zaproszenie mężczyźnie w czarno-złotym ubraniu, a on pokłonił się przed nią i odsunął na bok, pozwalając jej wejść do spowitego kwiatami holu. W pomieszczeniu było więcej kwiatów, niż widziała kiedykolwiek wcześniej. Róże, lilie i piwonie, żonkile i azalie oraz mnóstwo innych gatunków, których nazw nie знаła. Bukieciki z maleńkiego niczym płatki śniegu białego kwiecica i masywne łodyżki, które przypominałyby słoneczniki, gdyby słoneczniki mogły być błękitne jak niebo. Hol przepełniały zapachy ich wszystkich, a jednak nie przytłaczały. Może po prostu Lila przyzwyczajała się powoli do różnych woni.

Przez inne, zasłonięte kotarą wejście wlewała się muzyka, a ponieważ Lile ciekawiło, co znajduje się po drugiej stronie, ruszyła naprzód, przez kwietną galerię. A potem, dokładnie w momencie, w którym wyciągnęła rękę, by odsunąć kotarę, nadszedł kolejny służący i zablokował jej drogę. Naprężyła mięśnie, zaniepokojona, że jej strój i zaproszenie okażą się jakoś niewystarczające, że zostanie zdemaskowana jako oszustka i osoba z innego świata. Jej palce sięgnęły ku nożowi pod okryciem.

Wówczas jednak mężczyzna się uśmiechnął i odezwał wymuszonym angielskim:

— Prezentuję kogo?

— Przepraszam, co takiego? — spytała Lila, starając się mówić niskim, szorstkim głosem.

Sługa uniósł czoło.

— Pod jakim tytułem i imieniem powinienem cię obwieścić, panie?

— Och. — Dziewczyna odczuła ulgę i jej ręka wróciła z powrotem do biodra. Uśmiechnęła się. — Kapitan Bard — oznajmiła — kapitan „Króla Mórz”. — Służący popatrzył niepewnie, lecz odwrócił się i bez protestu powtórzył jej słowa.

Jej nazwisko rozbrzmiało echem i zniknęło w ogólnym hałasie pomieszczenia, jeszcze zanim przeszła za kotarę.

A gdy przeszła, rozdziawiła usta.

Jaskrawy przepych świata na zewnątrz bladł w porównaniu z tym wnętrzem.

Miała przed sobą pałac ze sklepionego szkła, mieniących się gobelinów oraz przenikającej wszystko niczym światło magii! Powietrze było wręcz od niej żywe. Nie sekretnej i kuszącej, jak magia kamienia, lecz głośniejszej, promiennej, wszechogarniającej. Kell powiedział, że magia jest jak dodatkowy zmysł, wyczuwalny ponad wzrokiem, zapachem i smakiem, i teraz Lila zrozumiała, o czym mówił. Magia była dosłownie wszędzie. Dosłownie we wszystkim. I była upajająca. Lila nie potrafiła stwierdzić, czy energia pochodzi od setek osób znajdujących się w pomieszczeniu, czy z samego pomieszczenia, które na pewno ją odbijało. Wzmacniało ją jak dźwięk w jaskini.

Na dodatek ta magia wydawała się osobiście — niemożliwie — znajoma.

Poniżej magii zaś, a może z jej powodu, przestrzeń roiała się od koloru i światła. Lila nigdy nie postawiła stopy w pałacu St. James, ale z pewnością nie mógł się absolutnie równać ze wspaniałością siedziby tutejszych królów. Nic w jej Londynie nie mogło się z tym równać. Własny świat wydał jej się naprawdę szary w porównaniu z Czerwonym, tak ponury i pusty, że miała ochotę całować kamień za to, że uwolnił ją od niego i przeniósł do tego miejsca skrzącego się niczym klejnot. Wszędzie, gdzie spojrzała, widziała bogactwa. Palce ją swędziały i musiała opierać się pokusie obrabiania kieszeni gości, przypominając sobie, że ładunek w jej własnej kieszeni jest drogocenny i nie może ryzykować, że ktoś ją przyłapie.

Przesłonięte kotarą wejście prowadziło na podest, ku stopniom wiodącym w dół, prosto do sali balowej, której wypolerowana kamienna posadzka była ledwie widoczna pod licznymi butami i wirującymi spódnicami.

U podstawy schodów stali król i królowa, witając każdego z gości. Odziani w złoto, wyglądali nieznośnie wytwornie. Lila nigdy przedtem nie znalazła się tak blisko żadnego członka rodziny królewskiej — nie liczyła Kella — i wiedziała, że powinna jak najszybciej przez nimi umknąć. Nie mogła się jednak oprzeć pokusie zaprezentowania swojego przebrania. A ponadto niegrzecznie byłoby nie przywitać się z gospodarzami. „Lekkomyślność” — mruknął jakiś głosik w jej głowie, ale tylko się uśmiechnęła i zeszła po schodach.

— Witaj, kapitanie — zagaił król, ściskając mocno jej ramię.

— Wasza Wysokość — odrzekła, starając się mówić niskim głosem.

Pochyliła głowę, uważając, by nie dźgnąć mężczyzny rogami.

— Witaj — powtórzyła jak echo królowa, kiedy Lila pocałowała jej wyciągniętą dłoń. Ale gdy się odsuwała, kobieta dodała: — Nie spotkaliśmy się do tej pory.

— Jestem przyjacielem Kella — rzuciła Lila jak najswobodniej, nie odrywając spojrzenia od podłogi.

— Ach tak — odparła królowa. — Witaj w takim razie.

— Właściwie, Wasza Wysokość — kontynuowała Lila — szukam go. Gdzie on może być?

Królowa przyjrzała jej się beznamiętnie.

— Tutaj go nie ma. — Lila zerknęła na nią z zachmurzoną miną, a królowa dopowiedziała: — Ale to mnie nie martwi.

Jej ton był dziwnie opanowany, jak gdyby recytowała narzucony przez kogoś tekst. Złe przeczucia Lili tylko się przez to wzmogły.

— Jestem pewna, że się odnajdzie — podsumowała, wypuszczając dłoń królowej ze swojej.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił ją król, podobnie głuchym tonem.

— Tak — potwierdziła królowa.

Lila się skrzywiła. Coś było nie tak. Podniosła wzrok, ryzykując oskarżenie o zuchwałość, popatrzyła królowej w oczy i zobaczyła w nich subtelny poblask. Taki sam widziała w oczach strażnika-zabójcy, gdy poderżnął gardło Fletcherowi. Byli pod wpływem jakiegoś uroku. Czyżby nikt inny tego nie zauważył? A może nikt inny nie był na tyle bezczelny, żeby tak wprost gapić się na władców?

Następny gość chrząknął za plecami Lili, więc oderwała spojrzenie od królowej.

— Wybacz, że was zatrzymałem — oznajmiła szybko, przechodząc obok władców i wchodząc do sali balowej.

Minęła tłum osób tańczących i popijających trunki; rozglądała się za księciem, ale sądząc po wiszącym w powietrzu podnieceniu i oczach zebranych ustawicznie strzelających ku drzwiom i schodom, jubilat jeszcze się nie pojawił.

Wyślizgnęła się przez drzwi i trafiła do jakiegoś korytarza. Był pusty, oprócz strażnika i młodej kobiety splecionych w miłosnym uścisku, tak sobą zajętych, że nie zauważyli, jak przemknęła i zniknęła w kolejnych drzwiach. A potem przeszła jeszcze jedno. Poruszanie się ulicami Szarego Londynu wiele ją nauczyło na temat miejsc zbudowanych jak labirynty, wiedziała też, że to, co najważniejsze, znajduje się przede wszystkim w środku, a nie na obrzeżach.

Przechodziła zatem z korytarza do korytarza, kręcąc się wokół bijącego serca pałacu i nie oddalając się za bardzo od niego. Wszędzie, gdzie szła, znajdowała gości, strażę i służbę, lecz ani śladu Kella, księcia czy wyjścia z labiryntu. Aż wreszcie dotarła do spiralnych schodów. Były eleganckie, ale wąskie, wyraźnie nieprzeznaczone do powszechnego użytku. Zerknęła po raz ostatni za siebie, po czym ruszyła w górę.

Na piętrze powyżej panował jakby prywatny spokój, więc wiedziała, że najprawdopodobniej znalazła się bliżej celu, nie tylko z powodu tej ciszy, lecz także dlatego, że kamień w jej kieszeni zaczął szumieć. Jak gdyby potrafił wyczuć obecność

Kella i zapragnął się do niego zbliżyć. Po raz kolejny powiedziała sobie, że nie powinna się o to obrażać.

Znalazła się w nowym układzie korytarzy, z których pierwszy był pusty, lecz drugi wręcz przeciwnie. Skręciła za róg i wstrzymała oddech, a następnie przywarła plecami do zacienionej niszy, ledwie unikając wzroku strażnika. Stał przed bogato zdobionymi drzwiami i tak naprawdę nie był sam. W rzeczywistości, podczas gdy wszystkie pozostałe drzwi w korytarzu pozostawały niestrzeżone, tych na końcu pilnowało co najmniej trzech mężczyzn w zbrojach.

Przełknęła ślinę i wysunęła zza pasa najnowszy sztylet. Zawahała się. Po raz drugi w ciągu dwóch dni miała stanąć sama jedna przeciwko trzem. To nie mogło się dobrze skończyć. Zacisnęła palce na rękojeści sztyletu, dumając nad planem, który na pewno nie skończyłby się jej śmiercią. Kamień zaczął rytmicznie szemrać i już miała niechętnie wyjąć go z kieszeni płaszcza, ale się powstrzymała, gdyż coś spostrzegła.

W korytarzu znajdowało się wiele drzwi i chociaż te najdalsze były strzeżone, najbliższe jej stały uchylone. Wiodły do luksusowej sypialni, na której końcu mieścił się otwarty balkon; firanki trzepotały w wieczornym powietrzu.

Lila uśmiechnęła się i wsunęła ponownie sztylet za pas.

Miała pewien pomysł.

IV

Kell wypluł krew na śliczną inkrustowaną podłogę komnaty Rhya, szpecąc misterny wzór mozaiki. Gdyby księżę był tutaj, nie spodobałoby mu się to. Ale księcia tutaj nie było.

— Kamień, mój kwiatuszku. — Przez usta Rhya uwodzicielskim tonem przemawiała Astrid. — Gdzie jest?

Kell — z ramionami wciąż skutymi za plecami — usiłował się podnieść na kolana.

— Do czego chcesz go użyć? — spytał ostro, kiedy dwaj strażnicy podciągnęli go na nogi.

— Do przejścia tronu, oczywiście.

— Masz już tron — wytknął jej.

— W umierającym Londynie. A wiesz, dlaczego umiera? Z waszego powodu. Z powodu tego miasta i jego tchórzliwej kapitulacji. Twoje miasto wykorzystało moje jako tarczę i teraz wy się rozwijacie, my natomiast ginimy.

Uważam, że będzie absolutnie sprawiedliwe, jeśli przejmę ten tron jako zadośćuczynienie. Taka kara.

— Więc co zrobisz? — spytał. — Porzucisz swojego brata w rozpadającym się truchle waszego świata i będziesz się cieszyć wspaniałościami mojego?

Z gardła księcia wymknął się zimny, drwiący śmiech.

— Wcale nie. Byłabym wtedy bardzo złą siostrą. Athos i ja będziemy rządzić wspólnie. Ręka w rękę.

Kell zmrużył oczy.

— Co masz na myśli?

— Zamierzamy przywrócić równowagę w światach. Na nowo otworzymy drzwi. Albo raczej zniszczymy stare wrota i stworzymy nowe, które pozostaną otwarte, żeby wszyscy... wszyscy... mogli się przemieszczać pomiędzy światami. Jeśli wolisz, nazwę to połączeniem naszych dwóch znamienitych Londynów.

Kell pobladł. Nawet kiedy drzwi nie były zaplombowane, były jednak drzwiami. I można je było zamknąć. Otwarcie na oścież wrót pomiędzy światami będzie po prostu niebezpieczne. Zaburzy stabilizację.

— Kamień tego nie zdoła, nie jest tak silny — oznajmił, starając się mówić z przekonaniem. Ale wcale nie miał pewności. Przecież kamień stworzył wcześniej drzwi dla Lili. Chociaż zrobienie dziurki w kawałku materiału jest czymś zupełnie innym niż przedarcie tkaniny na połowę.

— Takiś pewny? — droczyła się z nim Astrid. — Może zresztą masz rację. Może twoja połowa kamienia nie wystarczy.

Kella te słowa aż zmroziły.

— Moja połowa?!

Usta Rhya wydeły się w uśmiech.

— Nie zauważyłeś, że został rozłupany?

Kell zachwiał się.

— Ma wyszczerbiony brzeg.

— Athos znalazł go w takim stanie, w dwóch kawałkach. Widzisz, mój brat lubi szukać skarbów. Zawsze lubił. Jako dzieci przetrząsaliśmy skały wzdłuż wybrzeża, szukając czegokolwiek, co miałoby jakąś wartość. Nigdy nie porzucił tego nawyku. Jego poszukiwania stały się po prostu trochę bardziej wyrafinowane. Trochę bardziej nakierowane. Wiedzieliśmy naturalnie o czystce w Czarnym Londynie, o likwidowaniu artefaktów, ale Athos tak bardzo wierzył, że musi istnieć coś... cokolwiek... co pomoże uratować nasz umierający świat.

— I znalazł kamień — podsumował Kell, usiłując wyszarpnąć nadgarstki z metalowych kajdan.

Krawędzie były gładkie, a nie ostre, więc chociaż tępy ból rozprzestrzenił się po jego ramieniu, skóra nie popękała. Antari spojrział w dół, na podłogę skropioną krwią z jego wargi, ale strażnicy trzymali go mocnym uściskiem w pozycji pionowej.

— Prowadził poszukiwania — podjęła opowieść Astrid językiem Rhya. — Znalazł kilka bezużytecznych, ukrytych przez kogoś przedmiotów: jakiś notes, kawałek sukna... Aż oto trafił mu się kamień. Rozłupany na dwoje, tak, ale mimo swego stanu działał, jestem przekonana, że to zauważyłeś. Ostatecznie mamy przecież do czynienia z magią. Magia może zostać podzielona, lecz jej to nie osłabia. Dwie połówki pozostają ze sobą połączone, nawet kiedy się je rozdzieli. Każda z nich sama w sobie jest dostatecznie silna i ma moc zmieniania świata. A jednak pragną się połączyć, chyba rozumiesz. Przyciągają się przez ścianę. Skoro jedna kropla twojej krwi wystarcza do stworzenia drzwi, pomyśl, czego mogą dokonać dwie połówki kamienia.

„Mogłyby zniszczyć całą ścianę — pomyślał Kell. — Mogłyby rozedrzeć na strzępy rzeczywistość”.

Palce Rhya zastukały o oparcie fotela.

— Przyznaję, to ja wymyśliłam, że gdy damy ci kamień, przeniesiesz go przez drzwi.

Kell skrzywił się, usiłując wykręcić nadgarstki ze ściskających je żelaznych więzów.

— Dlaczego nie wykorzystałaś Hollanda? — spytał, by zyskać więcej czasu. — Czemu nie przeszmugłował kamienia tutaj? Przecież najwyraźniej dostarczył Rhyowi ten naszyjnik.

Astrid rozciągnęła wargi księcia w uśmiechu i musnęła lekko palcem policzek Kella.

— Chciałam ciebie. — Przesunęła dłoń Rhya w górę i wsunęła we włosy Kella, a potem pochyliła się do przodu, przycisnęła „skradziony” policzek do jego pokrwawionego policzka i wyszeptała mu do ucha: — Mówiłam ci ongiś, że przejmę na własność twoje życie. — Antari szarpnął się w tył i ręka Rhya opadła. — Ponadto — ciągnęła z westchnieniem Astrid — taka decyzja była sensowna. Gdyby sprawy potoczyły się źle i Holland zostałby złapany, obwinilibyście naszą koronę, no i nie mielibyśmy kolejnej szansy. A gdyby cię schwytano, wina spadłaby wyłącznie na ciebie. Wiem o twoich zainteresowaniach, Kell. Myślisz, że Osmalona Kość zatrzymuje w swoich ścianach twoje sekrety? Nic, co dzieje się w moim mieście, nie przechodzi niezauważone. — Młasnęła językiem Rhya. — Królewski sługa, który ma brzydkie przyzwyczajenie przemycania przedmiotów przez granice. Nietrudno uwierzyć, że przeniósł też kamień. A gdyby wszystko poszło dobrze i udałoby mi się przejąć ten zamek, to królestwo, nie chciałabym, żebyś został gdzieś poza granicami, skazany na nieznany los, walczący przeciwko mnie. Pragnęłam mieć cię tutaj, gdzie twoje miejsce. U moich stóp.

Mroczna energia zaczęła skwierczeć w dłoni Rhya. Kell przygotował się na najgorsze, lecz Astrid chyba nie do końca potrafiła panować nad mocą, nie wtedy, gdy była uzależniona od kiepskich umiejętności księcia. Błyskawica strzeliła zatem gdzieś po lewej, uderzając w metalowy słupek łóżka Rhya.

Kell zmusił się do słabego chichotu.

— Powinnaś była wybrać lepsze ciało — pouczył ją. — Mój brat nigdy nie miał zdolności do magii.

Astrid przekręciła dłoń Rhya i oglądała jego palce.

— To nieważne — odcięła się. — Mam do dyspozycji wszystkich członków tej rodziny.

Kellowi przyszła do głowy pewna myśl.

— Dlaczego nie spróbujesz na kimś trochę silniejszym? — prowokował.

— Kimś takim jak ty? — spytała Astrid spokojnie. — Chciałbyś, żebyś wzięła w obroty twoje ciało?

— Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz — odparował. Gdyby mógł ją skłonić do zdjęcia naszyjnika, do zawieszenia go na jego szyi zamiast...

— Mogłabym — wyszeptała. — Niestety na antarich nie działa zaklęcie

posiadania — dodała sucho. Kell poczuł zawód. — Wiemy o tym i ja, i ty. Ale przyznaję, ładna próba. — Kell obserwował, jak jego brat odwraca się i podnosi z pobliskiego stołu nóż. — Ale zakłęcie przymusu — powiedziała Astrid, zachwycając się błyszczącym ostrzem — to zupełnie inna sprawa.

Palce Rhya zacisnęły się na nożu i Kell się cofnął, lecz nie miał dokąd uciec. Strażnicy trzymali go w żelaznym uścisku, podczas gdy księżę przypadł do niego, podniósł nóż, a potem odcinał guziki od jego koszuli, odsuwał na bok poły i odsłaniał jego bezbronną skórę nad sercem.

— Tak niewiele blizn... — Palce Rhya dotknęły czubka noża przy skórze Kella. — Naprawimy to.

— Natychmiast przestań — rozległ się głos z balkonu.

Kell odwrócił się i zobaczył Lile. Była ubrana inaczej, w czarny płaszcz, nosiła też maskę z rogami. Stała na poręczy, opierając się o futrynę balkonu i celując z rewolweru w tors księcia.

— To sprawa rodzinna — ostrzegła Astrid głosem Rhya.

— Słyszałam dostatecznie dużo, więc wiem, że tak naprawdę nie jesteście rodziną. — Odbezpieczyła broń i ponownie skierowała ją w księcia. — A teraz odstęp od Kella.

Usta Rhya wykrzywiły się w wisielczym uśmiechu, a potem Astrid uniosła jego rękę. Tym razem błyskawica znalazła wyznaczony cel, trafiając dziewczynę prosto w pierś. Lila wydała stłumiony krzyk, straciła kontakt z framugą, jej buty ześlizgnęły się z balustrady, zatoczyła się w tył i poleciała w ciemność.

— Lila! — krzyknął Kell, kiedy dziewczyna zniknęła za balustradą.

Wyszarpnęła się strażnikom, lecz zatrzymały go kajdany, wrzynając się w końcu na tyle mocno, że poranił się do krwi. Natychmiast zacisnął palce na metalu i wypluł rozkaz otwarcia oków.

— As Orense. — „Otwórz się”.

Pęta odpadły i wróciła jego moc. Strażnicy rzucili się na niego, lecz podniósł dłonie i mężczyzn odrzuciło w tył, jednego na ścianę, drugiego na metalową ramę łóżka. Wyjął sztylet i odwrócił ku Rhyowi, gotowy do walki.

Ale księżę tylko się w niego wpatrywał, wyraźnie rozbawiony.

— Co planujesz teraz zrobić, Kell? Nie skrzywdzisz mnie — nie, dopóki noszę ciało twojego brata.

— Ale ja cię skrzywdzę. — To znów był głos Lili. Po tych słowach od razu rozległ się wystrzał. Ból i zaskoczenie pojawiły się jednocześnie na twarzy Rhya, po czym ugięła się pod nim jedna noga i materiał wokół łydki pociemniał od krwi. Dziewczyna znajdowała się teraz za drzwiami balkonowymi, lecz nie jak przedtem na

balustradzie, a w powietrzu nad nią; jej stopy spoczywały na pióropuszu czarnego dymu. W pierwszej chwili umysł Kella zalała ulga, lecz szybko zastąpiło ją przerażenie. Lila nie tylko narażała się na niebezpieczeństwo. Przyniosła też ze sobą kamień.

— Jeśli chcesz mnie zabić, musisz się bardziej postarać — oznajmiła, zeskakując z dymnego podwyższenia na balkon. Wielkimi krokami weszła do komnaty.

Rhy zerwał się na równe nogi.

— Wyzywasz mnie? — Strażnicy również dochodzili już do siebie, jeden poruszał się za Lilą, drugi kręcił się za Kellem.

— Uciekaj — krzyknął antari do dziewczyny.

— Mnie również miło cię widzieć — odburknęła, wpychając talizman z powrotem do kieszeni.

Zobaczył, że straciwszy kontakt z magią, w jednej chwili osłabła, ale tę niemoc widać było tylko w jej oczach i szczękach. Dobrze to ukrywała.

— Nie powinnaś tutaj przychodzić — mruknął.

— Nie — powtórzył za nim Rhy. — Nie powinnaś. Ale jesteś. I przyniosłaś mi dar. — Lila przycisnęła rękę do płaszcza, a usta księcia znów się wydeły w tym okropnym uśmiechu. Kell przygotował się na atak, ale zamiast tego Rhy podniósł ostrze, skierował je ku własnej piersi i dotknął czubkiem noża skóry pomiędzy żebrami, tuż pod sercem. Antari zeszywniał.

— Oddaj mi kamień albo zabiję księcia.

Na twarzy dziewczyny pojawił się grymas, a jej oczy przez chwilę niepewnie strzelały od Rhya do Kella.

— Nie zabijesz go — zaryzykował antari.

Księżę uniósł czarną brew.

— Naprawdę w to wierzysz, kwietny chłopcze, czy tylko masz nadzieję, że to prawda?

— Wybrałeś jego ciało, ponieważ Rhy stanowi część twojego planu. Nie zrobisz...

— Nigdy nie zakładaj, że znasz swojego wroga. — Ręka księcia mocniej pchnęła nóż i jego koniuszek zaczął się wbijać między żebra. — Mam do dyspozycji mnóstwo królów.

— Zatrzymaj! — zażądał Kell, gdy krew trysnęła spod czubka noża.

Usiłował rozkazać kościom w ramieniu Rhya, aby znieruchomiały, ale jego działanie osłabiała potężna wola Astrid wewnątrz ciała księcia.

— Jak długo jesteś w stanie wstrzymać moją rękę? — spytała wyzywająco Astrid. — Co się stanie, kiedy się zdekcentrujesz? — Bursztynowe oczy Rhya skupiły się na Lili. — On nie chce, żebym zraniła jego brata. Najlepiej daj mi kamień, zanim

go skrzywdzę.

Dziewczyna się zawahała, a wtedy Rhy zacisnął wolną rękę na talizmanie posiadania i zdjął go przez głowę, trzymając luźno w dłoni.

— Kamień, Lila.

— Nie rób tego — powiedział Kell, sam nie wiedząc, czy mówi do królowej, do dziewczyny, czy do nich obu.

— Kamień!

— Astrid, proszę — wyszeptał, głos mu drżał.

Słyszając to, królowa wykrzywiła usta Rhya w triumfalnym uśmiechu.

— Jesteś mój, Kell, i złamię cię. Zacznę od twojego serca.

— Astrid!

Ale było już za późno. Ciało Rhya obróciło się ku Lili i jedno tylko słowo opuściło jego usta: „Łap!”. Potem księżę rzucił w powietrze naszyjnik z wisiosem i wbił sobie nóż w pierś.

V

Wszystko zdarzyło się tak szybko — naszyjnik z wisiosem przemieszczał się równocześnie z ostrzem. Kell zobaczył, że Lila odskakuje przed nadlatującym talizmanem, a kiedy się od niej odwrócił, widział, jak Rhy zagłębia ostrze we własne ciało między żebrami.

— Nie! — wrzasnął, gwałtownie ruszając do przodu.

Naszyjnik prześlizgnął się po podłodze i wylądował przy bucie strażnika, a książę runął do przodu z ostrzem wbitym po rękę. Kell rzucił się do niego i wyciągnął nóż.

Rhy — bo to teraz był Rhy — wydał z siebie zdławiony krzyk, a antari przycisnęła pokryte smugami krwi palce do piersi brata. Gors koszuli książę miał już mokry i drżał pod dotykiem Kella. Kell właśnie zaczął coś mówić, kazał magii uleczyć brata, gdy strażnik uderzył go z boku i obaj upadli na mozaikową posadzkę.

Kilka metrów dalej Lila mocowała się z drugim strażnikiem, podczas gdy przeciwnik Kella w jednej ręce trzymał kurczowo talizman, drugą natomiast usiłował ścisnąć szyję antariego. Kell kopał, walczył i odsuwał się, a kiedy strażnik (z Astrid w środku) ponownie na niego natarł, wyrzucił w górę rękę.

Metalowa zbroja — i ciało w niej — poleciały do tyłu, nie na ścianę, lecz ku poręczy na balkonie. Ta rozkruszyła się pod wpływem siły i strażnik spadł.

Ciało wylądowało z łoskotem na kamiennym dziedzińcu pod pałacem, a chwilę później rozległy się okrzyki. Gdy zaś Kell wybiegł na balkon, spostrzegł, że zwłoki otacza już kilkunastu tancerzy z balu. Jedna z osób, kobieta w pięknej zielonej sukni, sięgnęła z zaciekawieniem po wisior, który leżał teraz na kamieniach.

— Zostaw! — zawołał Kell, lecz było już na to za późno.

Zobaczył w kobiecie zmianę w momencie, w którym jej palce objęły wisior.

Zakłęcie posiadania przetoczyło się przez nią w jednym przeciągającym się dreszczu. Następnie kobieta zadarła głowę w górę, ku niemu, a na jej ustach pojawił się zimny, ponury uśmiech. Potem odwróciła się na pięcie i weszła do pałacu.

— Kell! — zawołała Lila, a on się odwrócił, rozejrzał po komnacie i po raz pierwszy zdał sobie sprawę z panującego wokół rozgardiaszu.

Drugi strażnik leżał w bezruchu na posadzce, ze szczeliny w przyłbicy hełmu wystawał mu sztylet, a Lila pochylała się nad Rhyem — maskę uniosła na czoło, splecione dłonie przyciskała do piersi księcia. Dziewczyna była pokryta krwią, lecz nie swoją; koszula Rhya zupełnie nią przesiąkła.

— Rhy! — jęknął Kell. Zrobił drżący wdech i klęknął nad bratem.

Wyciągnął własny sztylet i zranił sobie rękę, tnąc głęboko. — Trzymaj się, Rhy.

— Przycisnął skrwawioną dłoń do piersi księcia, która podnosiła się i opadała w przerywanych oddechach, po czym powiedział: — As Hasari. — „Ulecz”.

Rhy wykasłał nieco krwi.

Dziedziniec poniżej zaroił się od ludzi, przez zniszczony balkon docierały jakieś głosy. Dźwięki kroków rozbrzmiewały przez korytarze, pięści waliły w drzwi komnaty, na których — Kell teraz to zobaczył — nabazgrano zaklęcie.

Zaklęcie zamknięcia.

— Musimy iść — ponagliła Lila.

— As Hasari — powtórzył Kell, zwiększając nacisk na ranę. Było tak dużo krwi. Za dużo.

— Przepraszam — wymamrotał książę.

— Zamknij się, Rhy — powiedział.

— Kell! — nakazała Lila.

— Nie zostawię go — wyjaśnił po prostu.

— Więc zabierzmy go ze sobą. — Zawahał się. — Mówiłeś, że magia potrzebuje czasu, zanim zacznie uleczac. Nie możemy czekać tutaj. Weź go, jeśli chcesz, ale musimy iść.

Kell przełknął ślinę.

— Wybacz. — Wstał i podniósł Rhya. Książę stęknął z bólu. — Wybacz.

Nie mogli wyjść drzwiami. Nie mogli paradować z rannym księciem przed pałacem pełnym ludzi, którzy przyszli uczcić urodziny. Gdzieś wśród tych ludzi krążyła Astrid Dane. Pokoje Rhya i Kella łączył sekretny korytarz, którego używali w czasach, gdy byli chłopcami, i teraz antari na wpół włókł, na wpół niósł brata ku ukrytym drzwiom, a potem przez nie. Poprowadził księcia i Lilę wąskim korytarzem o ścianach pokrytych mieszaniną dziwnych znaków — zapisów zakładów, wyzwania i wyników dawno zapomnianych zadań. Szlakiem wiodącym przez ich niezwykłą młodość w strzeżonym pałacu.

Teraz ciągnęła się za nimi smuga krwi.

— Zostań ze mną — prosił. — Zostań ze mną. Rhy, słuchaj mojego głosu.

— Taki miły głos — szepnął książę. Głowa zwisała mu na piersi.

— Rhy!

Kell słyszał odgłosy uzbrojonych strażników włamujących się do komnaty księcia, aż dotarli do jego pokoju i zatrzasnęli drzwi na korytarz, po czym polecił:

— As Staro. — „Zarygluj”.

Kiedy słowa te opuściły jego usta, z palców wysunęły mu się metalowe pręty, które

ułożyły się na drzwiach, zamykając je.

— Nie możemy się bez końca przemykać z jednej sypialni do kolejnej — zauważyła ostro Lila. — Musimy wyjść z pałacu!

Kell również o tym wiedział. Wiedział, że muszą uciec. Wprowadził ich do swojego osobistego gabinetu. Tutaj na wewnętrznej części drzwi widniały stare znaki krwi. Oznaczały przejścia do kilku miejsc w mieście. Ten, który wiódł do Rubinowych Pól, był teraz bezużyteczny, inne jednak powinny się nadać. Antari rozważył różne możliwości, aż znalazł tę jedyną, która — wiedział o tym — będzie bezpieczna.

— Uda się? — spytała Lila.

Nie był pewny. Drzwi wewnątrz konkretnego świata trudniej było skonstruować, ale korzystanie z nich było łatwiejsze. Mógł je oczywiście stworzyć jedynie antari, lecz inni byli w stanie — prawdopodobnie — przez nie przejść. Co więcej, przeprowadził już kiedyś przez takie drzwi Rhya — tego dnia, gdy znalazł go na łodzi; tyle że obecnie zamiast nich dwóch będzie ich troje.

— Trzymajcie mnie — powiedział.

Przesunął świeżo zranioną ręką po znaku, przyciągnął najbliżej, jak mógł, Rhya i Lilę, i miał nadzieję, że drzwi — oraz magia — okażą się na tyle silne, że przeniosą całą trójkę do sanktuarium.



DWANAŚCIE

Sanktuarium i ofiara

I

Sanktuarium londyńskie mieściło się w zakolu rzeki, blisko rogatek miasta, i było kamienną budowlą o prostej elegancji świątyni, otoczoną typową dla takiego miejsca atmosferą pobożności. Mężczyźni i kobiety przybywali tu zarówno studiować magię, jak i oddawać jej cześć. Uczniowie i mistrzowie spędzali tutaj życie, by pojąć istotę mocy (i połączyć się z nią), jej pochodzenie, źródło. Zrozumieć żywioł zwany magią.

Jako dziecko Kell spędzał tak samo dużo czasu w sanktuarium, jak w pałacu, edukując się pod kierunkiem mistrza Tierena, który również bacznie go obserwował. Ale chociaż odwiedzał to miejsce od czasu do czasu, nie przebywał w nim na dłużej od lat (odkąd Rhy zaczął się na niego wściekać za każdą nieobecność, upierając się, że Kell jest kimś więcej niż tylko mieszkańcem pałacu, i nazywając go członkiem rodziny). Tieren stale mu powtarzał, że zawsze będzie miał tu swój pokój, więc Kell zachował wyrysowane na ścianie drzwi, oznaczone prostym krwawym kręgiem i przekreśloną literą „X”.

Symbolem sanktuarium.

Teraz wraz z Lilą — i znajdującym się pomiędzy nimi, broczącym krwią księciem — przeszli, zataczając się, ze wspaniałego, choć obecnie pogrążonego w chaosie pałacu do prostej wykutej w kamieniu celi.

Światło świecy migotało przy wygładzonych kamiennych ścianach wąskiego pomieszczenia o wysokim suficie i skromnym umeblowaniu. W sanktuarium gardzono wszelkimi przedmiotami, które rozpraszały uwagę, toteż prywatne cele były wyposażone jedynie w to, co niezbędne. Kell może był awen — „błogosławionym” — ale Tieren upierał się, że będzie go traktować jak każdego innego ucznia (za co Kell był mu wdzięczny). Z tego też względu w jego pokoju nie było nic więcej ani mniej niż w innych: drewniany pulpit przy jednej ścianie, a przy drugiej niska prycza i mały stolik. Na stole stała — zawsze płonąca — niekończąca się świeca. Cella nie posiadała okien i miała tylko jedne drzwi, a w powietrzu panował chłód typowy dla miejsc podziemnych, dla krypt.

Na podłodze wryto okrąg z symbolami wokół jego brzegu. Rozszerzające się koło przeznaczone do medytacji. Krew Rhya skropiła ten okrąg, gdy Kell i Lila zaciągnęli księcia na pryczę i położyli najdelikatniej, jak potrafili.

— Zostań ze mną — ciągle powtarzał Kell, lecz powtarzane z wolna spokojne „Pewnie”, „W porządku” i „Jak sobie zyczysz” zastąpiło milczenie Rhya i płytki oddech.

Kell wiele razy wymówił zaklęcie As Hasari. Teraz znowu zaczął cicho wymawiać

te dwa słowa — w ustach, w głowie, w sercu — ale stan Rhya się nie poprawiał. Ile trzeba czasu, żeby magia zadziałała? Wszak musi zadziałać.

Strach ścisnął go za gardło. Powinien był się przyjrzeć broni Astrid. Należało zwrócić uwagę na metal i umieszczone na nim oznakowanie. Czy biała królowa w jakiś sposób zablokowała jego magię? Dlaczego zaklęcie uleczenia zawodziło?!

— Zostań ze mną — mruknął.

Rhy przestał się poruszać. Oczy miał zamknięte, a napięcie z jego szczęk zniknęło.

— Kell — powiedziała łagodnie Lila. — Sądzę, że już za późno.

— Nie — odparł, trzymając się pryczy. — Nie jest za późno. Magia po prostu potrzebuje czasu. Nie rozumiesz, jak działa.

— Kell.

— Po prostu potrzebuje czasu! — Przycisnął obie ręce do piersi brata i zdławił okrzyk. Piers nie unosiła się ani nie opadała. Nie wyczuwał pod żebrami bijącego serca. — Nie mogę... — dodał, dysząc ciężko, jak gdyby jemu również brakowało powietrza. — Nie mogę... — Głos mu zadrżał, kiedy palce wplątały się w skrwawioną koszulę brata. — Nie mogę się poddać.

— To koniec — napominała Lila. — Nic już nie możesz zrobić.

Ale to nie była prawda. Wciąż mógł. Z jego ciała ulotniło się całe ciepło.

Ale wraz z ciepłem uszło także niezdecydowanie, konsternacja i strach.

Wiedział, co robić. Wiedział, co musi zrobić.

— Daj mi kamień — polecił.

— Nie.

— Lila, daj mi ten cholerny kamień, zanim będzie za późno.

— Już jest za późno! On nie...

— Nie jest martwy! — warknął ostro. Wyciągnął poplamioną krwią drżącą dłoń.

— Daj mi go.

Lila sięgnęła do kieszeni, lecz nie wyjęła z niej ręki.

— Jest u mnie z jakiegoś powodu, Kell — wytknęła mu.

— Cholera, Lila. Proszę!

Zrobiła nierówny wydech i wyjęła kamień. Kell wyrwał go z jej palców i nie bacząc na wspinające po ramieniu pulsowanie mocy, odwrócił się z powrotem do ciała księcia.

— Sam mi mówiłeś, że nic dobrego z tego nie przyjdzie — zauważyła dziewczyna, kiedy Kell położył kamień na milczącym sercu Rhya i przycisnął go dłonią. — Wiem, że jesteś zasmucony, ale nie możesz myśleć, że to...

Jednak Kell jej nie słyszał. Gdy skoncentrował się na magii krążącej w jego żyłach, głos dziewczyny się rozpuścił, wraz ze wszystkim innym.

„Uratuj go!” — rozkazał kamieniowi.

Moc zaszumiała mu we krwi, a spod jego palców wydobył się dym, który zaczął się wiać w górę po jego ramieniu, a później wokół żeber Rhya, zmieniając się w czarną linię i splątując obu braci razem. Wiążąc ich ze sobą.

Związując. Niestety, Rhy nadal leżał bez ruchu.

„Moje życie jest jego życiem — pomyślał Kell. — Jego życie jest moim.

Przywiąż je do mojego i sprowadź go z powrotem”.

Czuł magię, głodną i żądającą, napierającą na niego, próbującą wejść w jego ciało, w jego moc, w jego siły witalne. I tym razem jej na to pozwolił.

Gdy tylko uległ, czarny sznur się naprężył, a serce zamarło mu w piersi.

Potem zabiło mocniej, a wówczas serce Rhya podchwyciło rytm i załomotało raz pod dotykiem brata. Przez chwilę Kell czuł wyłącznie ulgę i radość.

Potem — ból!

Kellowi zdało się, że coś rozdziera go na strzępy, jeden nerw po drugim.

Krzyknął, zgiał się wpół nad księciem, lecz go nie puścił. Plecy Rhya pod jego ręką wygięły się, opasywane przez mroczne zwoje magii. Ból tylko się pogłębiał, ujawniając się w piekielnych atakach na skórę Kella, jego serce, jego życie.

— Kell! — głos Lili przebił się przez mgłę i antari zobaczył, że dziewczyna robi ku niemu krok, potem drugi, już, już wyciągając rękę, ażeby go powstrzymać, ażeby uwolnić go od uroku.

„Zatrzymaj” — pomyślał. Nie powiedział tego słowa, nawet nie podniósł palca, a jednak magia była w jego głowie i usłuchała jego woli. Popędziła przez niego, później wydobył się dym i odepchnął Lilę. Dziewczyna mocno uderzyła w kamienną ścianę i osunęła się na posadzkę.

Coś się w Kellu poruszyło, odległe i ściszone.

„Źle — wyszeptał głos. — To jest...”

Ale wtedy kolejna fala bólu sprawiła, że aż się zatoczył. Moc przetaczała się przez jego żyły i musiał oprzeć głowę o zebra brata, a ból rozrywał go, przedzierał się przez niego, przez jego skórę i mięśnie, kości i duszę.

Rhy łapał powietrze, więc Kell tak samo, serce brata jeszcze raz załomotało w piersi.

A potem się zatrzymało.

II

W pomieszczeniu zapanowała martwa cisza.

Kell zsunął rękę z żeber Rhya i z okropnym, głuchym trzaskiem spadł z pryczy na kamienną podłogę. Lili wciąż dzwoniło w uszach od siły, z jaką uderzyła głową w ścianę, lecz podniosła się na czworaki, a później wstała.

Kell się nie poruszał. Nie oddychał.

Aż w końcu, po chwili, która zdawała się trwać całe godziny, zrobił głęboki, drżący wdech. Tak samo Rhy.

Przeklinając z ulgą, klękła nad antarim. Koszulę miał rozdartą, brzuch i pierś pokryte czerwonymi pręgami, a pod całą tą krwią widniał czarny symbol, stworzony z koncentrycznych kręgów, wryty w skórę, tuż nad sercem. Lila podniosła wzrok na pryczę. Ten sam znak był nagryzmolony na zakrwawionej piersi księcia.

— Co zrobiłeś? — wyszeptła. Nie wiedziała zbyt dużo o magii, ale była niemal pewna, że wskrzeszanie martwych bez wątpienia jest częścią tej złej. A jeśli magia miała swoją cenę, ile ten wyczyn kosztował Kella?

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie antari otworzył oczy. Dziewczyna uspokoiła się, widząc, że jedno z nich nadal jest niebieskie. Podczas rzucania uroku na moment oboje szczelnie wypełniła czern.

— Witaj z powrotem — odezwała się.

Zajęczał, a ona pomogła mu usiąść na zimnej kamiennej posadzce. Spojrzał na pryczę, na Rhya, którego pierś falowała w powolnym, lecz miarowym rytmie. Później ze znaku na ciele księcia przeniósł wzrok na jego lustrzane odbicie na własnej skórze i dotknął go, lekko się krzywiąc.

— Co zrobiłeś? — powtórzyła Lila.

— Związałem życie Rhya z moim — odparł chrypliwie. — Dopóki ja będę żył, on również nie umrze.

— Takie zaklęcie jest chyba niebezpieczne — spostrzegła.

— To nie jest zaklęcie — odrzekł cicho. Nie wiedziała, czy mówi tak z braku sił, czy dlatego, że obawia się zbudzić brata. — Nazywa się pieczęcią duszy. Zaklęcia można złamać, pieczęci duszy nie. To przykład magii trwałej...

A to... — dodał, muskając znak — jest...

— Zakazane? — podsunęła Lila.

— Niemożliwe — odpowiedział. — Ten rodzaj magii nie istnieje.

Gdy wstał, wydawał się oszołomiony i nieobecny, a Lila bezwiednie napięła

mięśnie, widząc, że jej towarzysz ciągle ściska kamień. Od nadgarstka w górę ramienia jego żyły zabarwiały się na czarno.

— Musisz go teraz wypuścić.

Kell spojrzał na rękę takim wzrokiem, jakby zapomniał, że trzyma talizman.

Ale kiedy zdołał rozewrzeć palce, kamień wcale z nich nie wypadł.

Odchodziły od niego czarne nici, sięgając w dół jego palców i w górę, do przegubu dłoni. Antari wpatrywał się w kamień przez kilka długich chwil.

— Najwyraźniej nie mogę — stwierdził wreszcie.

— To źle? — naciskała Lila.

— Tak — przyznał, a jego opanowanie zaniepokoiło ją bardziej niż cokolwiek innego. — Ale... Musiałem... — zamilkł, odwracając się do Rhya.

— Kell, nic ci nie jest? — Biorąc pod uwagę okoliczności, pytanie zdawało się niedorzeczne i mag obrzucił ją spojrzeniem, z którego właśnie taką opinię dało się wyczytać, dlatego dodała: — Kiedy rzucałeś to zaklęcie, nie byłeś sobą.

— No cóż, teraz jestem.

— Czy aby na pewno? — spytała, wskazując na jego dłoń. — To jest coś nowego.

Kell skrzywił się.

— Ten kamień reprezentuje złą magię, sam tak mówiłeś — ciągnęła. — Magię, która żywi się energią. Ludźmi. I teraz przylgnęła do ciebie. Nie powiesz, że to cię nie martwi.

— Lila — przerwał jej posępnie. — Nie mogłem pozwolić mu umrzeć.

— Ale to, co zrobiłeś zamiast tego...

— Zrobiłem to, co musiałem zrobić — uciął. — Przypuszczam, że to nie ma znaczenia. I tak jestem już stracony.

Zmarszczyła brwi.

— Co masz na myśli?

W spojrzeniu Kella pojawiła się łagodniejsza nuta.

— Ktoś musi odnieść kamień do Czarnego Londynu, Lila. Nie jest to tylko kwestia otwarcia drzwi i wrzucenia obiektu do środka. Muszę go tam zabrać.

Muszę przejść przez drzwi wraz z nim. — Spojrzał na kamień związany z jego ręką. — Nie wydaje mi się, żebym wrócił.

— Chryste, Kell — mruknęła dziewczyna. — Jeśli nie zamierzasz się postarać i zachować życie, jaki, cholera, sens ma to wszystko? Po co wiązać życie Rhya z własnym, skoro właśnie zamierzasz je zaprzepaścić?

Kell wzdrygnął się.

— Będzie żył tak długo jak ja. I nie powiedziałem, że planuję umrzeć.

— Ale dopiero co twierdziłeś...

— Mówiłem tylko, że nie wracam. Plomby na drzwiach prowadzących do Czarnego Londynu zaprojektowano mniej w celu powstrzymania kogoś przed wejściem, a bardziej, żeby uniemożliwić wyjście. Nie uda mi się zdjąć czaru.

Zresztą gdybym potrafił, i tak bym tego nie zrobił. A jeżeli zaklęcia pozostaną nietknięte, nawet gdybym zdołał stworzyć drzwi w samym Czarnym Londynie, nie wyjdę przez nie, bo plomby mnie nie wypuszczą.

— I nie zamierzałeś mi wspomnieć o tych drobiazgach. Miałam po prostu podążać za tobą w tę podróż w jedną stronę do...

— Wyznałaś, że pragniesz przygód — dociął jej Kell. — I nie, wcale nie zamierzałem pozwolić ci...

W tym momencie drzwi się otworzyły. Kell i Lila ucichli, ostatnie słowa kłótni odbijały się jeszcze od ścian wąskiej kamiennej celi.

W progu stał starszy mężczyzna ubrany w czarną szatę, jedną rękę położył na framudze, w drugiej trzymał kulę bladego światła. Nie był zasuszonym starcem.

Właściwie był wyprostowany jak struna i barczysty, a o jego wieku świadczyły jedynie białe włosy i głębokie bruzdy na twarzy, pogłębione jeszcze przez cień rzucany przez kulę w jego dłoni. Kell otulił się szczelnie płaszczem, a poczerniałą rękę wcisnął w kieszeń.

— Mistrzu Tieren — zagaił od niechcienia, jakby swobodny ton mógł ukryć fakt, że oboje z Lilą są pokryci smugami krwi i stoją przed ciałem niemal martwego księcia.

— Kell — odparł mężczyzna, marszcząc intensywnie czoło. — Kers la? Ir vanesh mer... — Umilkł i popatrzył na Lilę. Oczy miał jasne i zadziwiająco błękitne; odnosiła wrażenie, że przejrzał ją nimi na wylot. Zachmurzył się, a potem znów się odezwał, tym razem po angielsku. Jakby raz zerknąwszy na nią, ocenił, że dziewczyna go nie zrozumie i nie należy do tego świata. — Co was tutaj sprowadza? — spytał, zwracając się do nich obojga.

— Mówiłeś, że zawsze mam tutaj swój pokój — odpowiedział Kell ze znużeniem. — Obawiam się, że go potrzebowałem.

Odsunął się o krok, żeby mistrz mógł zobaczyć rannego Rhya.

Starzec otworzył szeroko oczy i dotknął palcami warg jakby w modlitewnym geście.

— Czy on...?

— Żyje — odrzekł Kell, podnosząc rękę do kołnierza, aby ukryć piętno. — Ale pałac został zaatakowany... Nie mogę wyjaśnić wszystkiego, nie teraz, lecz musisz mi uwierzyć, Tierenie. Przejęli go zdrajcy. Używają zakazanej magii, rzucają na ludzi zaklęcia prowadzące do przejmowania ciał i umysłów.

Nikt nie jest bezpieczny, nigdzie nie jest bezpiecznie i nikomu nie można ufać.

— Zanim skończył, z wysiłku stracił oddech.

Tieren podszedł do niego w kilku powolnych krokach. Ujął jego twarz w dłonie w osobliwie intymny sposób i zajrzał mu w oczy, tak jak wcześniej Lili, jakby potrafił zobaczyć w nich coś więcej.

— Cóżżeś sobie uczynił?

Kellowi głos uwiązł w gardle.

— Tylko to, co musiałem. — Jego płaszcz się rozsunął i spojrzenie starca podryfowało w dół, ku poczerniałemu symbolowi nad sercem. — Proszę — ciągnął antari z przerażeniem. — Nie sprowadziłbym niebezpieczeństwa w te mury, ale nie miałem wyboru.

Mistrz opuścił ręce.

— Sanktuarium jest strzeżone przed ciemnościami. Książę będzie tutaj bezpieczny.

W rysach Kella uwidoczniła się ulga. Tieren odwrócił się i po raz drugi popatrzył na Lilę.

— Nie jesteś stąd — zauważył, zamiast się przedstawić.

Dziewczyna wyciągnęła rękę.

— Delilah Bard.

Starzec wziął jej dłoń, ją zaś przeszedł dreszcz, lecz cieplejszy, tuż pod skórą, a później poczuła spokój.

— Mnie nazywają mistrz Tieren — odrzekł. — Jestem onase aven, czyli arcykapłanem Londyńskiego Sanktuarium. I uzdrowicielem — dodał, być może próbując wyjaśnić charakter jej doznań. Puścił jej rękę, podszedł do boku księcia i leciutko położył kościste palce na piersi rannego. — Jego obrażenia są poważne.

— Wiem — przyznał Kell drżącym głosem. — Czuję je tak samo jak własne.

Lila naprężyła mięśnie, a na twarzy Tierena zagościła ponura mina.

— Zrobię zatem, co w mojej mocy, żeby zmniejszyć cierpienie, jego i twoje.

Kell z wdzięcznością kiwnął głową.

— To moja wina — wyjaśnił. — Ale wszystko naprawię. — Tieren otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz antari nie dał mu dojść do słowa. — Nie mogę ci tego wytłumaczyć — mówił. — Muszę prosić, byś mi zaufała, a także o dyskrecję.

Mistrz zacisnął mocno usta.

— Zaprowadzę cię do tuneli — podsumował. — Tam będziesz mógł znaleźć drogę. Niezależnie od tego, dokąd chcesz iść.



Odkąd opuścili wąską cełę, Kell milczał. Przed odejściem nie był w stanie spojrzeć na brata ani się z nim pożegnać, tylko przelknął ślinę, skinął głową, odwrócił się i podążył

za mistrzem Tierenem. Lila powlokła się za nimi, zdrapując z mankietów nowego płaszcza zeschniętą krew Rhya (choć przypuszczała, że prędzej czy później i tak będzie musiała sobie znowu ubrudzić i ręce, i rękawy). Kiedy szli przez wnętrze sanktuarium, obserwowała Kella i widziała, że wpatrywał się w Tierena, prowokując go do wypowiedzenia opinii. Ale arcykapłan milczał i tylko spoglądał przed siebie.

W końcu antari zwolnił, aż zrównał się z Lilą, i przez chwilę podążali za mistrzem obok siebie.

— To ubranie ci pasuje — szepnął. — Czy chcesz wiedzieć, jak je zdobyłaś?

Dziewczyna przekrzywiła głowę.

— Nie ukradłam go, jeśli o to pytasz. Kupiłam je na targowisku od kobiety imieniem Calla.

Słyszając imię, Kell lekko się uśmiechnął.

— A w jaki sposób za nie zapłaciłaś?

— Jeszcze nie uiściłam zapłaty — odparowała. — Co nie znaczy, że tego nie zrobię! — Odwróciła wzrok. — Chociaż nie wiem, kiedy będę miała okazję...

— Będiesz miała — przerwał jej Kell. — Ponieważ ty zostajesz tutaj.

— Akurat — odburknęła.

— W sanktuarium będziesz bezpieczna.

— Nie pozwolę się tu zostawić.

Kell potrząsnął głową.

— Ani przez moment nie zamierzałem zabrać cię dalej. Kiedy zgodziłem się wziąć cię ze sobą, od razu chciałem pozostawić cię tutaj, w moim mieście, żebyś przekazała królowi i królowej wiadomość o moim losie. — Lila zrobiła wdech, lecz Kell podniósł niezranioną rękę, uprzedzając jej słowa. — I żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Biały Londyn nie jest odpowiednim miejscem dla mieszkanki Szarego. To nie jest miejsce dla nikogo!

— Sama to osądzę — odburknęła. — Idę z tobą.

— Lila, to nie jest zabawa! Dostatecznie dużo ludzi już umarło, a ja...

— Masz rację, to nie jest zabawa — upierała się. — Raczej strategia!

Słyszałam, jak królowa powiedziała, że kamień został rozbity na dwie części.

Musisz się pozbyć obu połówek, a teraz masz tylko jedną. Drugą ma król Białego Londynu, zgadza się? To oznacza, że musimy rozdzielić tę pracę między siebie. My, Kell! Skoro ich jest dwoje, nas również powinna być para!

Możesz wziąć na siebie króla, a ja zajmę się jego siostrą.

— Nie możesz się równać z Astrid Dane.

— Powiedz mi coś! Wszystkich zbyt nisko szacujesz czy tylko mnie?! Czy dlatego, że jestem dziewczyną?

— Dlatego, że jesteś istotą ludzką! — wyjaśnił ostro. — Możesz być najdzielniejszą, najzuchwalszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem, ale jesteś z ciała i krwi, a zatem masz za mało mocy. Astrid Dane jest stworzona z magii i złych zamiarów.

— Tak, no cóż, wszystko świetnie i brawo, ale Astrid nie przebywa teraz nawet w swoim własnym ciele, prawda? Jest tutaj, bawi się doskonale w Czerwonym Londynie. A to znaczy, że powinna stanowić łatwy cel. — Posłała towarzyszowi chytry uśmiezek. — Może jestem istotą ludzką, lecz jakoś tu doszłam.

Kell skrzywił się.

„Niewiarygodne — pomyślała Lila — że nie ma więcej zmarszczek”.

— Doszłaś tutaj — odparł. — Ale dalej nie pójdziesz.

— Dziewczyna ma w sobie moc — oświadczył nagle Tieren, nawet się do nich nie odwracając.

Lila od razu się rozpromieniła.

— Widzisz? — spytała z dumą. — Mówiłam ci to od samego początku.

— Jakiego rodzaju moc? — spytał Kell, unosząc brew.

— Porzuć ten sceptyczny ton — mruknęła Lila.

— Niepielegnowaną — odrzekł Tieren. — Zaniedbaną. Nieprzebudzoną.

— No cóż, w takim razie zajmij się nią, onase aven — poprosiła Lila, wyciągając rękę. — Obudź ją.

Tieren zerknął za siebie i obrzucił ją cieniem uśmiechu.

— Sama się obudzi, Delilah Bard. A jeśli będziesz ją pielęgnować, wtedy się też rozwinie.

— Lila pochodzi z innego Londynu — tłumaczył Kell. Tieren nie okazał zaskoczenia. — Tego bez magii.

— Żaden Londyn nie jest tak naprawdę pozbawiony magii — zauważył arcykapłan.

— Zresztą nawet jeśli jestem tylko człowiekiem — dodała dziewczyna gwałtownie — chciałabym ci przypomnieć, że dzięki mnie wciąż żyjesz. A biała królowa nie nosi na sobie ciebie jako okrycia. No i mam coś, czego potrzebujesz.

— Co takiego?

Wyjęła z kieszeni białą wieżę.

— Klucz.

Zaskoczony Kell odrobinę szerzej otworzył oczy, lecz szybko nad sobą zapanował.

— Rzeczywiście sądzisz, że mogłabyś ją przede mną ukryć, gdybym chciał ci ją odebrać?

W sekundę miała wieżę w jednej ręce, a sztylet w drugiej. Mosiężne wypustki na

rękojeści błyszcząły w blasku świecy, podczas gdy kamień szumiał cicho i jednostajnie, jak gdyby szeptał coś do Kella.

— Spróbuj — zadrwiła.

Antari zatrzymał się i przypatrzył dziewczynie.

— Co jest z tobą nie w porządku? — spytał szczerze skonsternowany. — Tak mało dbasz o swoje życie, że odrzucasz je za kilka godzin przygody i tragiczną śmierć?

Spojrzała na niego w zadumie. Prawda, że początkowo pragnęła wyłącznie przygody, ale nie dlatego teraz tak naciskała. Ale widziała, jak Kell się zmienia, widziała, jak w jego oczach pojawia się cień, ilekroć musi przywołać przeklętą magię, widziała, jak trudno mu się później opamiętać. Za każdym razem, kiedy używał kamienia, wyraźnie tracił coraz większą część siebie.

Więc nie, Lila nie szła z nim tylko dla zaspokojenia pragnienia przygody. I nie szła z nim tylko dla towarzystwa. Szła, ponieważ dotarli już przecież tak daleko, a teraz zaczęła się bać, że antari sam nie da rady zwyciężyć.

— To moje życie i mogę je przeżyć, jak chcę — powiedziała. — I nie spędzę go tutaj, niezależnie od tego, jak ładne jest twoje miasto lub o ileż jest bezpieczniejsze od tamtego. Mieliśmy umowę, Kell. Tieren będzie strzegł twojej historii i uleczy Rhya. Jestem mu kompletnie niepotrzebna. Pozwól, że przydam się tobie.

Kell popatrzył jej w oczy.

— Zostaniesz tam uwięziona — oznajmił. — Kiedy wszystko się skończy.

Zadrżała.

— Być może — odparła — a może pójdę z tobą na koniec świata. W każdym razie zaciekawileś mnie.

— Lila... — Jego oczy pociemniały z bólu i troski, ale dziewczyna tylko się do niego uśmiechnęła.

— Jedna przygoda naraz — powiedziała.

Doszli już do skraju tunelu i Tieren pchnął metalową bramę. Pod nimi jarzyła się czerwona rzeka. Stali na jej północnym brzegu, w oddali połyskiwał pałac, wciąż otoczony światłem gwiazd, jakby nic złego się nie stało.

Tieren położył dłoń na ramieniu Kella i wymamrotał coś po arnezyjsku, a następnie dorzucił po angielsku:

— Niech święci i źródło wszystkiego będzie z wami obojgiem.

Antari skinął głową i ścisnął dłoń arcykapłana swoją zdrową, po czym ruszył w wieczorne powietrze. Ale kiedy Lila poszła za nim, Tieren chwycił ją za rękę. Popatrzył na dziewczynę spod przymrużonych powiek, jakby szukał sekretu.

— O co chodzi? — spytała.

— Jak je straciłaś? — odpowiedział pytaniem.

Zachmurzyła się.

— Co takiego?

Uniósł stare palce i dotknął miejsca pod jej podbródkiem.

— Oko.

Lila odsunęła twarz od jego ręki i podniosła własną dłoń do ciemniejszego z dwojga brązowych oczu. Było wykonane ze szkła. Niewiele osób w ogóle to dostrzegało. Włosy miała tak przycięte, że dłuższa z jednej strony grzywka po części je zakrywała, zresztą nawet kiedy Lila naprawdę patrzyła komuś w oczy, ludzie rzadko wytrzymywali jej spojrzenie na tyle długo, że mogliby zauważyć różnicę.

— Nie pamiętam — odparła. To nie było kłamstwo. — Byłam dzieckiem i miałam wypadek. Tak mi powiedziano.

— Hmm... — zadumał się Tieren. — Czy Kell wie?

Jej chmurna mina się pogłębiła.

— Czy to ma znaczenie?

Po długiej chwili stary mężczyzna przechylił głowę.

— Przypuszczam, że nie — przyznał.

Antari patrzył za siebie, czekając na towarzyszkę.

— Jeśli przejmie go mrok — szepnął pod nosem Tieren — musisz zakończyć jego żywot. — Spoglądał na nią. Znów jakby przejrzał ją na wylot.

— Sądzisz, że potrafisz?

Nie miała pojęcia, czy chce wiedzieć, jak wielkiej mocy czy woli jest posiadaczką.

— Jeśli on umrze — odpowiedziała — umrze też Rhy.

Tieren westchnął.

— Wtedy świat będzie taki, jak być powinien — zauważył ze smutkiem. — Zamiast takiego, jaki jest.

Lila przełknęła ślinę i kiwnęła głową, a później podeszła i dołączyła do Kella.

— A zatem do Białego Londynu? — spytała, kiedy stanęła obok niego i wyciągnęła rękę.

Kell się nie poruszył. Patrzył na rzekę i górujący nad nią pałac. Lila pomyślała, że może mag próbuje na zawsze zapamiętać swój Londyn, swój dom, pożegnać się, on jednak powiedział coś innego.

— Fundamenty są takie same w każdym ze światów — mówił, wskazując na miasto — ale wszystko inne będzie się tam bardzo różniło. Tak bardzo, jak mój świat różni się od twojego. — Zrobił gest ku rzece i dalej, ku centrum Londynu.

— Tam, dokąd idziemy, jest zamek. Będą tam również Athos i Astrid. Kiedy przejdziemy, trzymaj się blisko, u mojego boku. Nie oddalaj się. Tutaj panuje noc, co oznacza, że noc jest także w Białym Londynie, a wtedy tamto miasto jest pełne

ciemności. — Popatrzył na nią. — Nadal możesz zmienić danie.

Wyprostowała się i podniosła kołnierz płaszcza. Spojrzała na antarego z uśmiechem.

— Nie ma mowy.

III

W pałacu panowało zamieszanie.

Goście, dezorientowani i niespokojni, schodzili po szerokich schodach, wyprowadzani przez pałacowe strażę. Wśród tłumu niczym ogień szerzyły się plotki — o przemocy, śmierci i zranionym członku rodziny królewskiej. W powietrzu krążyły takie słowa, jak „zdrada”, „zamach stanu” i „zabójca”, podsycając jeszcze bardziej gorączkowy nastrój.

Ktoś twierdził, że zamordowano jednego ze strażników. Ktoś inny utrzymywał, że widział, jak ten strażnik spadł z balkonu przy komnacie księcia na dziedziniec poniżej. Jeszcze inni opowiadali o kobiecie w zielonej sukni i o tym, jak ukradła z makabrycznego miejsca zbrodni naszyjnik z wisiosem i wbiegła z nim do pałacu. Jeden ze świadków twierdził, że widział, jak kobieta wcisnęła naszyjnik w rękę jakiegoś strażnika, a później upadła u jego stóp.

Strażnik rzekomo nawet nie zawołał po pomoc, lecz po prostu popędził ku królewskim komnatom.

Tam wycofali się król z królową, a ich dziwny spokój jeszcze bardziej konsternował gości. Strażnik z naszyjnikiem zniknął w ich pokoju, a chwilę później król podobno wybiegł i zupełnie straciwszy wcześniejsze opanowanie, krzyczał o zdradzie. Twierdził, że księcia pchnięto nożem, i obarczał winą Kella, żądając jego aresztowania. A wtedy, tak po prostu, zamieszanie zmieniło się w panikę i chaos ogarnął wszystkich, sunąc jak dym przez noc.

Do czasu, aż Gen postawił but w pałacu, schody zaroily się od tłumu zafrasowanych gości. Istota w zbroi strażnika Gena zwróciła czarne oczy w górę, na tańczące światła i przepychających się ludzi. Istoty nie przyciągnął zamęt, lecz woń. Ktoś niedawno użył silnej, pięknej magii i trzeba było się dowiedzieć, kto to zrobił.

Gen wszedł po schodach, przeciskając się obok wytrąconych z równowagi gości. Najwyraźniej nikt nie zauważał, że jego zbroja jest porozrywana nad sercem, z plamą jakby z czarnego wosku. Nikt też nie dostrzegł rozpryskanej na metalu krwi — krwi Parrisha.

Kiedy Gen dotarł do szczytu schodów, wziął głęboki wdech i się uśmiechnął; noc wisiała ciężka od paniki i mocy, energia wypełniała jego płuca, podsycając go jak żarzące się węgle. Teraz wyczuwał magię. Czuł jej smak.

I był głodny.

Najnowszą powłokę istota wybrała całkiem dobrze; strażnicy w zamieszaniu

przepuszczali Gena. Dopiero gdy znalazł się w środku i pokonawszy ozdobiony rzędami kwiatów przedsionek, wielkimi krokami przechodził przez opustoszałą salę balową, zatrzymała go postać w hełmie.

— Gen — zapytał strażnik — dokąd i... — Lecz na widok jego oczu słowa zamarły tamtemu na ustach. — Mas aven...

Przekleństwo przerwał miecz Gena, prześlizgujący się przez zbroję strażnika i wsuwający pomiędzy żebra. Ranny mężczyzna zrobił jeden drżący wdech i spróbował krzyknąć, lecz miecz ciął z boku do środka i w górę, więc powietrze uwięzło mu w gardle. Odrzucając ciało, istota w skórze Gena ponownie schowała jego broń do pochwy, zdjęła hełm strażnikowi i nałożyła sobie na głowę. Kiedy Gen opuścił przyłbicę, jego czarne oczy były już tylko błyskiem w metalowej szczelinie.

Kroki rozbrzmiewały przez pałac, a wykrzykiwane rozkazy odbijały się echem nad jego głową. Wyprostował się. Pachniało krwią i magią, więc poszedł poszukać jej źródła.



Kamień ciągle szumiał w ręce Kella, lecz niezupełnie w ten sam sposób, co przedtem. Teraz melodia — dudnienie mocy — zdawała się brzmieć w kościach antarego zamiast w jego ciele. W każdej chwili czuł ją w swoim sercu i głowie. Towarzyszył jej dziwny spokój, któremu ufał jeszcze mniej niż początkowemu przyływowi mocy. Ów spokój zapewniał go, że wszystko będzie dobrze. Przemawiał pieszczotliwie, koił jego serce, przez co Kell zapominał, że w ogóle wszystko nie jest tak, jak być powinno, zapomina, że trzyma kamień. To było najgorsze ze wszystkiego. Kamień był związany z jego ręką, a równocześnie wisiał gdzieś poza jego zmysłami; Kell stale musiał sobie przypominać, że ma go ze sobą. W swoim wnętrzu. Za każdym razem, gdy sobie to uświadamiał, miał wrażenie, że budzi się z przepelnionego paniką i strachem snu tylko po to, by znów zapaść w ten sam sen. W krótkich chwilach jasności umysłu pragnął wydrapać, wyrwać, wydrzeć lub wyciąć kamień ze swojej skóry. Ale tego nie robił, ponieważ z chęcią pozbycia się kamienia stale rywalizowało równie silne, zupełnie przeciwne pragnienie trzymania go blisko siebie, przyłgnięcia do jego ciepła, jak gdyby Kell umierał z zimna.

Potrzebował mocy kamienia! Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Nie chciał, żeby Lila widziała, jak jest przerażony, sądził jednak, że jego strach i tak nie uszedł jej uwagi.

Brnęli z powrotem ku centrum miasta. Po tej stronie rzeki większość ulic była wyludniona, ale musieli jeszcze przekroczyć któryś z mostów łączących brzegi Isle. To było zbyt niebezpieczne, bo będą dobrze widoczni. Szczególnie że kiedy znajdowali się w połowie drogi, twarz Kella znów zaczęła się pojawiać na tablicach

informacyjnych po obu stronach ulic.

Tym razem jednak zamiast napisu „Zaginiony” głośiły:

POSZUKIWANY

Za zdradę, morderstwo i porwanie!

Na widok tych zarzutów Kell poczuł ucisk w piersi, lecz mocno trzymał się wiary, że Rhy jest bezpieczny — najbardziej bezpieczny, jak to możliwe.

Podniósł palce do piętna nad sercem; jeśli się skupił, czuł echo uderzeń tętna brata, chwilę po własnych.

Rozejrzał się, próbując sobie wyobrazić mijane ulice takimi, jakie będą w Białym Londynie, na tutejsze obrazy nakładając w głowie te zapamiętane stamtąd.

— Musi się udać — powiedział.

Miejsce, w którym teraz stali, w wylocie alejki naprzeciwko rzędu dokujących statków — Lila przyjrzała im się uważnie — będzie w Białym Londynie mostem. Mostem, który prowadzi do ulicy kończącej się pod murami zamku. Po drodze tutaj Kell opisał Lili zagrożenia w Białym Londynie: od rodzeństwa władającego miastem po przymierających głodem, żądnych mocy mieszkańców. A potem opowiedział o białym zamku i przekazał najistotniejsze szczegóły swojego planu, ponieważ tylko tyle mieli.

Plan i nadzieję. Nadzieję, że osiągną cel, że Kell wytrzyma, pokona Athosa i odbierze mu drugą połowę kamienia, a później...

Zamknął oczy i zrobił powolny, uspokajający wdech.

„Jedna przygoda naraz”. Słowa Lili odbiły się echem w jego myślach.

— Na co czekamy? — Dziewczyna opierała się o ścianę, postukując w cegły. — No dalej, Kell. Czas na drzwi.

I jej swobodne zachowanie, wyzywająca energia, fakt, że nawet teraz nie wyglądała na zaniepokojoną czy wystraszoną, pobudziły go do działania i dodały mu siły.

Nacięcie na dłoni, chociaż obecnie przesłonięte częściowo czarnym kamieniem, nadal było świeże. Dotknął go palcem i wyrysował znak na ceglanej ścianie przed nimi. Lila wzięła go za rękę, dotykając wnętrzem dłoni kamienia szumiącego między nimi, i podała mu białą wieżę, a on, ukrywając nerwowość, podniósł ją i przyłożył do krwi na ścianie.

— As Travars — rozkazał.

Świat wokół nich przygasł i pociemniał, a wtedy zrobili krok do przodu i przeszli przez nowo utworzone drzwi.

Albo przynajmniej tak to się powinno odbyć.

Niestety w połowie kroku jakaś siła odrzuciła Kella do tyłu, wyrывая z jego dłoni

rękę Lili, wyrywając go z miejsca łączącego miasta i odsyłając go na twardą kamienną ulicę Czerwonego Londynu. Zamrugał, ogłuszony, patrząc w noc, i wtedy zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Ktoś nad nim stał. Z początku postać była zaledwie cieniem, cieniem podwijającym rękawy. A potem Kell zobaczył srebrny okrąg skrzący się na kołnierzu tamtego.

Holland patrzył na niego z góry i krzywił się.

— Tak szybko odchodzisz?

IV

Lila wylądowała czarnymi butami na jasnej ulicy. Od nagłej zmiany trochę zakreśliło jej się w głowie i przytrzymała się ściany. Za sobą usłyszała odgłos kroków Kella.

— No cóż, to postęp — oznajmiła, odwracając się. — Przynajmniej tym razem jesteśmy w tym samym miej...

Ale Kella z nią nie było.

Stała na chodniku przed mostem. Biały zamek wznosił się w oddali po drugiej stronie rzeki, która nie była ani szara, ani czerwona, lecz stanowiła perłowy, na wpół zamarznięty obszar wodny, lśniący smutno w gęstniejącej nocy. Latarnie wzdłuż rzeki płonęły bladoniebieskim ogniem, który oddawał otoczenie w jakiś nieznaną dziewczynie, bezbarwny sposób, a Lila w swoim intensywnie czarnym stroju wyróżniała się tak mocno, jak światło odznacza się w całkowitych ciemnościach.

Coś błysnęło obok jej stóp. Przyjrzała się i odkryła na ziemi białą wieżę, której jasna powierzchnia nadal była upstrzona krwią antariego. Lecz Kella tu nie było. Lila podniosła symbol i schowała go do kieszeni, starając się zapanować nad rosnącym zdenerwowaniem.

Niedaleko stał zagłódzony pies, obserwujący ją pustymi oczami.

I szybko uświadomiła sobie, że patrzą na nią też inne oczy — z okien i progów domów, a także z ciemnych miejsc pomiędzy okręgami słabego światła. Sięgnęła po sztylet z metalowymi wypustkami na rękojeści.

— Kell? — zawołała niezbyt głośno, lecz nie otrzymała odpowiedzi.

Może stało się tak jak poprzednio. Może po prostu ich rozdzielono i antari teraz do niej zmierzał. Może, ale kiedy tym razem przechodzili przez drzwi między światami, poczuła, że coś Kella od niej odciąga i że jego ręka zbyt wcześnie puściła jej dłoń.

Rozległy się kroki, więc odwróciła się powoli, lecz nigdzie nikogo nie zobaczyła.

Kell ostrzegał ją przed tym Londynem — nazwał go wręcz niebezpiecznym — ale skoro tak wiele elementów z własnego świata mogłaby określić tym słowem, nie zastanawiała się nad szczegółami. Ostatecznie Kell dorastał w pałacu, a ona na ulicy, toteż sądziła, że znacznie więcej od niego wie o paskudnych zaułkach i jeszcze gorszych ludziach. Teraz, stojąc tutaj sama, zaczynała podejrzewać, że nie doceniła go dostatecznie. Każdy — nawet ktoś szlachetnie urodzony — dostrzegłby tutaj zagrożenie. Wyczułby je. Śmierć, popiół i zimowe powietrze.

Zadygotała. Nie tylko z powodu zimna, lecz także ze strachu. Ze zwyczajnego, intensywnego poczucia zła. Podobnie się czuła, gdy patrzyła w czarne oko Hollanda. Po raz pierwszy pożałowała, że nie ma przy sobie broni potężniejszej niż noże i rewolwer skałkowy.

— Övos norevjk — rozległ się głos po jej prawej stronie, a gdy obróciła się ku niemu, zobaczyła łysego mężczyznę; każdy centymetr jego odsłoniętej skóry — od ciemienia aż po palce dłoni — pokrywały tatuaże.

Język, którym mówił, na pewno nie brzmiał jak arnezyjski. Był szorstki i gardłowy. Chociaż nie znała słów, potrafiła wychwycić ton głosu, i ten ton jej się nie spodobał.

— Tovach ös mostevna — odparł inny mężczyzna, który zjawił się po jej lewej stronie; ten miał skórę jak pergamin.

Pierwszy zachichotał. Drugi syknął z dezaprobatą.

Lila wyciągnęła nóż.

— Nie podchodźcie! — rozkazała, mając nadzieję, że jej gest przełamie wszelkie bariery językowe.

Mężczyźni wymienili spojrzenia, a potem każdy z nich wyjął wyszczerbioną broń.

Lilę przeszył zimny podmuch wiatru, lecz zapanowała nad dreszczem.

Mężczyźni uśmiechnęli się, szczerząc zepsute zęby. Opuściła nóż, po czym jednym płynnym ruchem wyszarpnęła zza paska rewolwer, podniosła go i strzeliła pierwszemu napastnikowi prosto między oczy. Upadł jak worek kamieni, a ona błysnęła uśmiechem, zanim sobie uprzytomniła, jak głośny był ten wystrzał. Nie zwróciła wcześniej uwagi na panującą w tym mieście ciszę — dopiero gdy jej wystrzał zabrzmiał tak donośnie i odbijał się echem od ścian domów. Wszędzie wokół nich zaczęły się otwierać drzwi. Ciemności się poruszyły. Z zakątków dochodziły szepty i mamrotania — najpierw pojedyncze, później coraz liczniejsze.

Drugi mężczyzna, ten z cienką i suchą jak papier skórą, popatrzył na martwego kamrata, a potem na Lilę. Znowu się odezwał, przemawiając cichymi, groźnymi warknięciami, a ona się cieszyła, że nie zna jego języka. Nie chciała wiedzieć, co miał jej do przekazania.

W powietrzu wokół ostrza mężczyzny zaskwierczały odpryski mrocznej energii. Lila czuła za plecami podchodzących mieszkańców, ciemności przyjmowały kształty ludzi, wymizerowanych i szarych.

„Chodź tutaj, Kell — pomyślała, kiedy znów podnosiła rewolwer. — Gdzie jesteś?”

V

— Pozwól mi przejść — powiedział Kell.

Holland jedynie uniósł brew.

— Proszę — dodał Kell. — Mogę to zakończyć.

— Czyżby? — stwierdził z powątpiewaniem Holland. — Nie sądzę, żebyś miał dość siły. — Przeniósł wzrok na dłoń Kella, którą spowijała mroczna magia. — Ostrzegałem cię, magia nie łączy się z równowagą, lecz z dominacją.

Albo ty nad nią panujesz, albo ona nad tobą.

— Ciągłe mam nad nią władzę — wymamrotał Kell przez zaciśnięte zęby.

— Nie — powiedział Holland. — Nie masz. Kiedy raz pozwolisz jej wejść, jesteś już stracony.

Kell wyprostował się, preżąc pierś.

— Nie chcę z tobą walczyć, Holland.

— Nie masz wyboru. — Biały antari nosił na palcu ostro wykończony pierścień, który wykorzystał teraz do przecięcia drugiej dłoni. Jego krew pociekła na ulicę. — As Isera — powiedział spokojnie. „Zamarznij”.

Ciemne krople uderzyły w ziemię i zmieniły się w kawałki czarnego lodu, które zaczęły się przemieszczać nad ulicą. Kell próbował się cofnąć o krok, lecz lód poruszał się zbyt prędko i w kilka sekund Kell stał na twardych kulkach, usiłując z nich nie spaść.

— Wiesz, co cię czyni słabym? — spytał Holland. — Nigdy nie musiałeś być silny. Nigdy nie musiałeś się starać. Nigdy nie musiałeś walczyć. A już na pewno nigdy nie musiałeś walczyć o własne życie! Ale dzisiejszej nocy to się zmieni, Kell. Dziś, jeśli nie będziesz walczył, zginiesz! A jeśli ty...

Kell nie czekał, aż tamten dokończy zdanie. Wezwał wiatr, który smagnał do przodu, niemal go przewracając, po czym niczym cyklon popędził ku Hollandowi. Zawirował wokół drugiego antariego, okrążył go i połknął, aż Kell stracił go z oczu. Wiatr gwizdał, lecz ponad nim Kell słyszał słaby, lecz dręczący odgłos. A po chwili zrozumiał, że słyszy śmiech.

To Holland się śmiał!

Sekundę później ukazała się pokryta smugami krwi ręka Hollanda i rozdzieliła na dwoje ścianę cyklonu, po czym Kell zobaczył resztę ciała przeciwnika, który wyszedł ze środka, otoczony słabnącą kolumną wiatru.

— Powietrze nie może być ostre — złątał Kella. — Nie może ranić. Nie może zabić.

Powinieneś wybierać swoje żywyoty z większą starannością.

Obserwuj.

Poruszał się tak płynnie i szybko, że trudno było śledzić jego kroki, a cóż dopiero mówić o nadążeniu za nim. Jednym gładkim ruchem opadł na kolano, dotknął ziemi i polecił:

— As Steno. — „Rozerwij”.

Kamień brukowy pod jego dłonią roztrzaskał się na tuzin ostrych czerepów, a kiedy Holland wstał, kawałki ruszyły wraz z nim, unosząc się w powietrzu identycznie jak wcześniej odłamki w alejce. Białe antari machnął nadgarstkiem i czerepy wystrzeliły do przodu i popędziły przez powietrze ku Kellowi. Kamień w jego dłoni zaszumiał ostrzegawczo, a Kell ledwo zdążył unieść rękę z promieniejącym w niej talizmanem i powiedzieć: — Zatrzymaj.

Z jego palców wyleciał dym, ruszył ku odłamkom, które łapał i kruszył w pył. Wraz z tym rozkazem Kell poczuł w sobie moc, za którą natychmiast podążyło coś mroczniejszego, chłodniejszego. Zachłysnął się tym doznaniem.

Czuł, jak magia wspina się po jego skórze i pod nią, i kazał jej przystanąć, odepchnął ją w tył z całą siłą, aż dym się rozwiął.

Holland potrząsał głową.

— No, śmiało, Kell. Użyj kamienia. Zniszczy cię, ale może teraz zwyciężysz.

Kell zmiął przekleństwo w ustach i przywołał drugi cyklon, tym razem przed sobą. Strzelił palcami ręki, tej, w której nie trzymał kamienia. W jego dłoni ukazał się płomień, a kiedy przyłożył go do wirującego powietrza, płomień przejął je, sycąc wiatr ogniem. Płonący cyklon sunął nad ziemią, topiąc lód i nacierając na Hollanda, który gwałtownie wyprostował ramię i wezwał jako osłonę ziemię, a potem, jak tylko płomień zniknął, przywołał kamienną ścianę, która ruszyła gwałtownie ku Kellowi. Kell podniósł szybko dłonie, walcząc o kontrolę nad kamieniami, zbyt późno jednak zdał sobie sprawę, że mają jedynie odwrócić jego uwagę, a prawdziwe zagrożenie czai się w wysokiej fali wody, która uderzała właśnie w jego plecy.

Fala z rzeki rzuciła go na ziemię, gdzie znalazł się na czworakach, i zanim zdążył dość do siebie, zagarnęła jego ciało i owinęła się wokół niego. Na kilka chwil został przez nią uwięziony, z trudem łapał powietrze, po czym woda całkowicie go połknęła. Walczył, przyszpilony jej siłą.

— Astrid chciała cię żywego — zauważył Holland, wysuwając spod peleryny zakrzywione ostrze. — Nalegała na to. — Pustą rękę zacisnął w pięść i woda przydusiła Kella jeszcze mocniej, wyciskając mu powietrze z płuc. — Ale jestem pewny, że zrozumie moje argumenty, jeśli powiem, że aby odzyskać kamień, nie miałem wyboru i musiałem cię zabić.

Przeszedł ku niemu miarowym krokiem po zlodowaciałej ziemi, zakrzywione ostrze trzymał u boku, a Kell wykręcał się i miotał, przeczesując wzrokiem otoczenie wokół siebie w poszukiwaniu czegoś, co mógłby wykorzystać. Sięgnął po nóż w ręce Hollanda, lecz strzeżony zakłębieniem metal nawet nie zadrżał. Kończyło mu się powietrze, a drugi antari był niemal przy nim. I nagle przez ścianę wody dostrzegł falujący wizerunek statku, stos desek i masztów, a także żelazne łańcuchy owinięte na słupkach obok mostu.

Poruszył palcami i najbliższe łańcuchy oderwały się, przeleciały w stronę Hollanda, po czym okręciły się wokół przegubu jego dłoni, przerywając jego skupienie. Woda straciła kształt i rozpadła się na krople, a Kell zatoczył się do przodu i upadł na ziemię. Kompletnie przemoczony, ciężko łapał oddech.

Holland ciągle próbował się uwolnić i Kell wiedział, że nie może sobie pozwolić na wahanie. Drugi zestaw łańcuchów, z innego słupka, owinał wokół nogi białego antariego, w górę i wokół jego pasa. Holland poruszył się, usiłując uderzyć zakrzywionym ostrzem, wtedy jednak trzeci zestaw łańcuchów złapał jego ramię i mocno pociągnął. Kell wiedział, że więzy nie wytrzymają długo. Siłą woli podniósł metalowy drąg z dna nabrzeża i nakazał mu się przemieścić, lecz sztaba zawisała w powietrzu mniej więcej pół metra za Hollandem.

— Nie mogę pozwolić ci wygrać — powiedział Kell.

— W takim razie lepiej mnie zabij — warknął Holland. — Jeśli tego nie zrobisz, to wszystko nigdy się nie skończy.

Kell wyciągnął nóż spod przedramienia i podniósł go, jak gdyby do ataku.

— Będziesz musiał mocniej się postarać — oświadczył Holland, wstrzymując siłą woli rękę Kella, która od razu znieruchomiała. Dokładnie tego Kell się spodziewał. W chwili, w której Holland skoncentrował się na nożu, zaatakował go, nie z przodu, lecz z tyłu, rozkazując metalowej sztabie uderzyć w przeciwnika z całą siłą.

Sztaba przeleciała przez powietrze i odnalazła swój cel, pchnęła Hollanda tak potężnie, że przebiła się przez pelerynę, skórę i kości. Wystawała mu teraz z piersi, a metal i krew przesłaniały pieczęć wyrytą nad jego sercem. Srebrna okrągła kłamra pękła i odpadła, krótka peleryna zsunęła się z jego ramion, a kolana się pod nim ugięły.

Kiedy Holland upadł na mokrą ulicę, Kell zachwiał się na nogach.

Przechodząc nad ciałem białego antariego, poczuł straszliwy smutek. Byli ostatnimi dwoma ze swojej rasy, rasy, która wymierała. Teraz został sam. A niedługo nie będzie żadnego. Może tak właśnie być powinno. Może tak być musi!

Objął palcami zakrwawioną metalową sztabę i wyciągnął ją z piersi Hollanda, a potem odrzucił na bok. Głuchy odgłos metalu toczonego się po ulicy był jak słabnące bicie serca. Kell klęknął obok ciała leżącego w rosnącej kałuży krwi. Poszukał tętna i

znalazł je. Ale było płytkie, gasnące.

— Przykro mi — powiedział.

Słowa te wydawały mu się głupie i bezużyteczne, ale przycichł już jego gniew, podobnie zresztą jak smutek, strach i poczucie straty — wszystkie te emocje roztopiły się w jednostajnym bólu, takim, który może nigdy nie zniknąć.

Tak myślał Kell, gdy sięgnął pod kołnierz antarego i znalazł na jego szyi tasiemkę z symbolem Białego Londynu.

Holland wiedział! Zobaczył, że atak nadchodzi, i nie powstrzymał go. Na moment przed tym, jak uderzyła go sztaba, przestał walczyć. To była tylko chwila, ułamek sekundy, ale czas wystarczający, by Kell zyskał przewagę. I w tym krótkim momencie, gdy metal przebił ciało Hollanda i zanim ten upadł, na jego twarzy nie pojawił się gniew ani ból. To była ulga.

Kell zerwał tasiemkę i wyprostował się, lecz nie mógł się zmusić do pozostawienia antarego tu, na ulicy. Oderwał wzrok od symbolu i popatrzył na czekającą ścianę, a potem pociągnął Hollanda do pionu.

VI

Kiedy wszedł do Białego Londynu, natychmiast zobaczył Lilę wymachującą dwoma nożami; oba ociekały krwią. Dziewczyna zdołała już sobie wyciąć drogę wśród mężczyzn — ich liczne ciała zaścielały bruk — ale czterech czy pięciu okrężyło ją, a jeszcze inni trzymali się z dala, przyglądając się głodnymi oczyma i szepcząc w swoim gardłowym języku.

— Ładna czerwona krew.

— Pachnie magią.

— Rozetniemy ją.

— Zobaczmy, co ma w środku.

Kell położył ciało Hollanda na ziemię i ruszył przed siebie.

— Vös rensk torej! — zagrział, dla lepszego efektu stukając obcasami.

„Odsuńcie się od niej”.

Na jego widok tłum zafalował — niektórzy uciekli, lecz inni, nazbyt ciekawscy, zrobili jedynie krok lub dwa do tyłu.

W chwili, gdy Lila go zobaczyła, zmrużyła oczy.

— Bardzo, bardzo się spóźniłeś! — syknęła. Jej zwykły spokój załamał się i teraz wyglądała na spiętą ze strachu. — I dlaczego jesteś taki mokry?

Popatrzył na swoje przemoczone ubranie. Przesunął po nim rękoma, usuwając wodę siłą woli, i po chwili był już zupełnie suchy, jeśli nie liczyć kałuży wokół jego butów.

— Napotkałem przeszkodę — odparł, wskazując za siebie, na Hollanda.

Ale kilku ciemnokich mieszkańców już zaczynało badać leżącego. Jeden wyciągnął nóż i przycisnął ostrze do przegubu dłoni umierającego antariego.

— Dość! — rozkazał Kell, odpychając napastników podmuchem wiatru.

Zarzucił sobie ciało Hollanda na ramię.

— Zostaw go — wyrzuciła z siebie Lila. — Niech obiorą jego kości do czysta.

On jednak potrząsnął głową.

— Jeśli im nie pozwolisz — wytknęła mu. — Zabiorą się za twoje.

Odwrócił się i zobaczył podchodzących do nich ze wszystkich stron ludzi.

Mieszkańcy Białego Londynu znali rozkazy i wiedzieli, że Dane'owie zetną głowę każdemu z nich, kto choćby tknie ich gościa z dalekiego kraju, ale była noc i wytrącały ich z równowagi zarówno wabik w postaci świeżej magii, jak i bezbronność Hollanda.

— Pozwól mi go dobić — mruknął jeden.

— Założę się, że ciągle jeszcze jest w nim sporo krwi — powiedział drugi.

Lila i Kell wycofywali się, aż dotknęli piętami mostu.

— Lila? — powiedział Kell, kiedy weszli na most.

— Tak? — spytała głosem cichym i nerwowym.

— Biegnij!

Bez chwili wahania odwróciła się i popędziła przez most. Kell wyrzucił rękę w górę, wznosząc kamienną barykadę, dzięki której zyskiwali czas. A potem również zaczął biec. Najszybciej, jak mógł to zrobić z ciałem Hollanda na wąskich ramionach i czarną magią przewalającą się w żyłach.

Był już w połowie mostu — a Lila prawie po drugiej stronie — kiedy mieszkańcy w końcu roztrzaskali wzniesiony mur i pospiesznie wtargnęli za nimi na most. Gdy antari dotarł na przeciwległy brzeg, osunął się na ziemię i dotknął zakrwawioną ręką podstawy konstrukcji.

— As Steno — rozkazał, dokładnie tak samo jak Holland wcześniej, a wtedy most zaczął kruszeć i się zapadać — wraz z ciałami biegnących — w lodowate wody Sijlt.

Nie mógł złapać tchu, w uszach słyszał łomotanie własnego pulsu. Lila stała nad nim, piorunując wzrokiem ciało Hollanda.

— Nie żyje?

— Prawie — odrzekł Kell, wstając i ciągnąc ze sobą ciało rannego.

— Mam nadzieję, że kazałeś mu cierpieć — wyrzuciła z siebie, odwracając się w stronę wyniosłego zamku.

„Nie — pomyślał Kell, kiedy ruszyli w drogę. — Już wystarczająco długo cierpiał”.

Kiedy przemieszczali się ulicami, czuł, że ludzie ich obserwują, nikt wszakże nie wyszedł z żadnego z domów. On i Lila znajdowali się teraz zbyt blisko zamku, a zamek miał szpiegów. Zaraz pojawiła się przed nimi kamienna cytadela za wysokim murem; sklepione przejście, szeroko otwarte jak rozdziawione usta poprowadziło ich na ciemny dziedziniec z posągami.

Kamień szumiał w dłoni Kella, a on uświadomił sobie, że talizman nie krzyczy w tej chwili wyłącznie do niego. Przywoływał swoją drugą połowę.

Idąca obok Lila wysunęła spod płaszcza jeszcze jedno ostrze. Nie był to jakiś zwyczajny nóż, lecz królewski półmiecz z Czerwonego Londynu.

Zaskoczony Kell na moment stracił mowę.

— Skąd go wzięłaś? — spytał w końcu.

— Rąbnęłam strażnikowi, który próbował mnie zabić — odrzekła, podziwiając broń. Kell dostrzegł oznakowania nabazgrane na głowni. Zakłęcie, które blokowało magię. — Jak ci mówiłam, człowiek nigdy nie ma zbyt wielu ostrzy.

Kell wyciągnął rękę.

— Możesz mi go pożyczyć?

Przypatrywała mu się przez moment, po czym wzruszyła ramionami i wręczyła miecz. Kell obmacał rękojeść, podczas gdy ona wyjęła rewolwer i zaczęła go ładować.

— Jesteś gotowy? — spytała, przekręcając bębenek.

Kell wpatrywał się przez bramę w czekający na nich zamek.

— Nie.

Posłała mu najłżejszy z uśmiechów.

— To dobrze — oceniła. — Ci, którym się zdaje, że są gotowi, zawsze kończą martwi.

Na twarzy Kella pojawił się wymuszony słaby uśmiech.

— Dziękuję, Lila.

— Za co?

Ale antari nie odpowiedział, tylko ruszył w oczekującą ich ciemność.



I

Obłok czarnego dymu wisiał w powietrzu białej sali tronowej niczym skrawek nocy na jasnym horyzoncie. Krawędzie obłoku były postrzępione, zwinięte i pobladłe, lecz jego środek — równie gładki i lśniący jak kawałek kamienia w dłoni Athosa lub powierzchnia tablicy informacyjnej, do której przywołania król użył kamienia.

Athos Dane siedział na tronie (ciało jego siostry tkwiło obok, na sąsiednim, bliźniaczym) i obracał w ręce kamień, obserwując na ruchomych obrazkach, jak Kell i jego towarzyszka wchodzą na dziedziniec jego zamku.

Od dawna śledził drogę drugiej połowy kamienia.

Najdalszy Londyn był jak zamazana plama, ale kiedy antari i dziewczyna się zbliżali, obraz na powierzchni tablicy stawał się ostrzejszy i dokładniejszy.

Athos wcześniej oglądał zdarzenia rozgrywające się w różnych miastach — ucieczkę Kella, przebiegłość dziewczyny, porażkę swojego sługi i głupotę swojej siostry, zranienie księcia i śmierć białego antariego.

Teraz jego palce zacisnęły się na talizmanie.

Wszystkie dotychczasowe wypadki obserwował z mieszaniną rozbawienia i irytacji i, oczywiście, z podnieceniem. Zirytował się z powodu utraty Hollanda, lecz poczuł wielką przyjemność na myśl o okazji do zabicia Kella.

Astrid będzie wściekła.

Pokręcił głową i przyjrzał się ciału siostry usadowionemu na tronie, z wisiosem pulsującym na szyi. W innym Londynie może nadal powodowała szkody i zamieszanie, tu jednak siedziała równie nieruchoma i słaba jak wyrzeźbiony kamień tronu pod nią. Jej ręce leżały na poręczach, a kosmyki białych włosów opadały na zamknięte oczy. Athos syknął na siostrę z przyganą.

— Ös vosa nochten — powiedział. — Trzeba było pozwolić mi pójść na maskaradę zamiast ciebie. Teraz mój pupilek nie żyje, a twój narobił okropnego bałaganu. Co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

Naturalnie nie odpowiedziała.

Rozmyślając, postukał długimi palcami o skraj tronu. Gdyby przerwał zaklęcie i ją obudził, tylko by skomplikowała sytuację. Nie, dał jej wcześniej szansę na uporanie się z Kellem tak, jak chciała, ale zawiodła. Teraz przyszła jego kolej.

Uśmiechnął się i wstał. Zacisnął palce na kamieniu i wizerunek Kella zmienił się w dym, a potem zniknął. Moc dudniła w żyłach króla, magia pragnęła więcej, ale zatrzymał ją w miejscu, dając jej tylko tyle, ile potrzebowała. Magię należy

kontrolować, a on nigdy nie był pobłażliwym panem.

— Nie martw się, Astrid — rzucił do zakłętej królowej. — Wszystko naprawię.

A potem przygładził włosy, postawił kołnierz białego płaszcza i poszedł powitać gości.

II

Twierdza Białego Londynu wyrastała z zacienionego kamiennego dziedzińca w kolumnie ostrego światła. Lila, by wypełnić swoją część planu, wślizgnęła się do lasu posągów, Kell natomiast zmierzał ku czekającym go schodom.

Położył ciało Hollanda na kamiennej ławie i ruszył w górę po stopniach, jedną rękę zaciskając na królewskim mieczu, drugą na talizmanie z Czarnego Londynu.

„Śmiało, Kell — prowokował go wcześniej Holland. — Użyj kamienia.

Zniszczy cię, ale może teraz zwyciężysz”.

Nie użyje go. Poprzysiągł to sobie. Gdy ostatnim razem wykorzystał talizman w bitwie, jedynie przyciągnął ciemności. Czarne nici spowijały teraz jego rękę, obok łokcia i wyżej, i nie stać go było na utratę jeszcze większej części siebie. Miał przy tym uczucie, że wraz z każdym uderzeniem jego serca trucizna rozprzestrzenia się coraz bardziej.

Kiedy wspinał się po schodach, tętno tłukło mu się głucho w uszach. Nie był głupcem i nie sądził, że zdoła się podkraść do Athosa — nie tutaj. Król na pewno wiedział o jego nadejściu, a mimo to pozwalał mu się bez przeszkód zbliżyć aż do swoich drzwi. Dziesięciu strażników o pustych oczach, którzy na ogół stali po obu stronach stopni, gdzieś zniknęło, więc droga była czysta.

Niczym nieograniczone przejście już samo w sobie stanowiło wyzwanie. Było wyrazem arogancji pasującej do władcy Białego Londynu.

Kell wolałby stanąć naprzeciwko armii niż niestrzeżonych wrót i tego, kto go oczekiwał po ich drugiej stronie. Każdy krok do przodu, który nie ściągał na niego ataku i który udawało się zrobić bez utrudnień, zwiększał tylko jego nerwowość przed następnym. Zanim doszedł do podestu schodów na szczycie, ręce mu drżały, a w piersi czuł ucisk.

Podniósł drżące palce do drzwi i wciągnął w płuca ostatni haust zimnego powietrza. A potem pchnął. Wrota zamkowe rozwarły się pod jego dotykiem — nie wymagało to ani siły, ani magii — i Kell zobaczył we wnętrzu przed sobą swój wydłużający się cień. Zrobił krok, przeszedł próg, a pochodnie w pomieszczeniu zapłonęły bladym ogniem, ciągnącym się pod sklepieniem sufitem wzdłuż korytarza, w którym pod ścianami po obu stronach stało kilkunastu strażników.

Kell wziął kolejny wdech, przygotowując się na atak, lecz żaden z żołnierzy się nie poruszył.

— Nie tkną cię — obwieścił srebrzysty głos. — O ile nie będziesz próbował

uciekać. — Z mroku wyszedł Athos Dane ubrany w typową dla siebie nieskazitelną biel, jego wyblakłe rysy w świetle pochodni sprawiały wrażenie jeszcze bardziej bezbarwnych. — Cała przyjemność zabicia cię będzie po mojej stronie. I tylko po mojej.

Trzymał swobodnie w ręce drugą połowę czarnego kamienia i na ten widok Kell poczuł we własnym ciele dudnienie mocy talizmanu.

— Astrid będzie się oczywiście dąsała — kontynuował król. — Chciała uczynić z ciebie swojego pupilka, ale ja zawsze twierdziłem, że jesteś bardziej kłopotliwy żywy niż martwy. Najnowsze zdarzenia mogą posłużyć za dowód, iż miałem rację.

— To koniec, Athosie — odparował Kell. — Twój plan się nie powiódł.

Król uśmiechnął się ponuro.

— Jesteś jak Holland — wytknął antariemu. — Wiesz, dlaczego nie potrafił wziąć korony? Nigdy nie potrafił cieszyć się wojną. Przelewanie krwi i walkę postrzegał jako cenę, którą trzeba zapłacić. Jako środek do celu. A mnie zawsze radowały kolejne kroki. I obiecuję ci, że naszą potyczką też się będę rozkoszował.

Zacisnął palce na połówce kamienia i pojawił się dym. Kell się nie wahał.

Nakazał strażnikom w zbrojach ruszyć z miejsc pod ścianami i utworzyć barykadę pomiędzy nim i królem. To jednak nie wystarczyło. Dym przecisnął się przez blokadę wszelkimi szczelinami i sięgnął po niego, usiłując się owinąć wokół jego ramion. Kell zażądał zatem, żeby rząd strażników przeszedł do przodu, ku Athosowi, a sam usiłował rozproszyć dym królewskim półmieczem.

Athos jednakże nie upuścił kamienia, którego przemyślna magia omotała ostrze Kella, złapała przeguby jego dłoni i natychmiast okręciła wokół nich łańcuchy z kutego żelaza, a te nie opadły na podłogę, lecz wystrzeliły ku ścianom po obu stronach korytarza.

Łańcuchy naprężyły się, zmuszając Kella do rozłożenia ramion szeroko, a wtedy Athos przeskoczył ponad rzędem strażników i wylądował przed antarim gładko i lekko. Łańcuchy się napięły, wrzynając się w już poranione nadgarstki Kella, i zakłęty półmiecz wypadł mu z palców, podczas gdy Athos wyjął skądś srebrny pejcz. Pejcz rozwinął się z jego ręki i opadł zwojami, aż jego rozwidlony koniuszek liznął kamienne podłoże.

— Zobaczymy, jak dobrze sobie poradzisz?

Kiedy zaczął podnosić pejcz, Kell owinął palcami łańcuchy. Krew na jego dłoni już niemal zaschła, a jednak chwycił żelazo tak mocno, że częściowo zasklepione nacięcie ponownie się otworzyło.

— As Orense — powiedział na sekundę przed tym, jak pejcz przeciął powietrze. Łańcuchy puściły jego nadgarstki w ostatniej chwili — ledwie zdążył uchylić się przed

smagnięciem rozwidłonego srebra.

Przetoczył się, złapał leżący półmiecz i przycisnął krwawiącą dłoń do kamieni podłogi, przypominając sobie atak Hollanda.

— As Steno — rozkazał.

Pod jego palcami kamień z posadzki roztrzaskał się na kilkanaście ostrych czerepów. Kell wstał, wyszczerbione kawałki podniosły się wraz z nim, a kiedy wyrzucił dłoń do przodu, popędziły ku królowi. W odpowiedzi Athos jakby od niechcenia uniósł rękę z talizmanem, a wtedy ukształtowała się przed nim tarcza, od której bezradnie rozbiły się kamienne odpryski.

Król uśmiechnął się złowieszczo.

— O tak — oznajmił, opuszczając tarczę. — Będę się tym rozkoszował.



Lila przemykała się przez las posągów; ich głowy były poddańczo pochylone, a ręce wzniesione błagalnie.

Obeszła fortecę — budowla wyglądała jak katedra, jeśli istnieją katedry postawione na palach i nieposiadające witraży, całe ze stali i kamienia. A jednak ta forteca była długa i wąska jak kościół, z jednymi głównymi wrotami od północnej strony i trzema mniejszymi, aczkolwiek i tak imponującymi, wejściami od strony południowej, wschodniej i zachodniej. Lili waliło serce, kiedy zbliżyła się do drzwi południowych, przed którymi po obu stronach ścieżki stali kamienni suplikanci.

Wolałaby się wdrapać po ścianie i wcisnąć przez górne okno, wkroczyć dyskretniej niż po schodach, ale nie miała ani liny, ani haka, a nawet gdyby posiadała niezbędny na taki wypadek ekwipunek, Kell ostrzegł ją, by tego nie robiła.

Powiedział jej, że Dane'owie nie ufają nikomu, toteż zamek jest dużą pułapką, podobnie jak tron króla.

„Główne drzwi wychodzą na północ — wyjaśnił. — Ja przez nie wejść. Ty wmaszeruj południowymi”.

„Czy to nie jest niebezpieczne?”

„W tym miejscu — odparł — wszystko jest niebezpieczne. Ale jeżeli drzwi cię odepchną, przynajmniej upadek nie będzie tak bolesny”.

Więc Lila zgodziła się wejść drzwiami mimo dręczącej ją obawy, że wpadnie w potrzask. Całe to miejsce było wszak jedną wielką pułapką.

Dotarła do południowych schodów i założyła na twarz maskę z rogami, a potem zaczęła się wspinać po stopniach. Na szczycie schodów drzwi ustąpiły bez oporu i chociaż intuicja znów kazała jej iść w inną stronę, Lila po raz pierwszy w życiu ją zlekceważyła i wkroczyła do środka. Za drzwiami panowały ciemności, lecz w chwili, w której przekroczyła próg, latarnie rozbłysły światłem, a wtedy zastygła. Dziesiątki

strażników stały pod ścianami niczym żywe zbroje. Obrócili głowy ku otwartym drzwiom, ku niej, więc przygotowała się na nieuchronny atak.

Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Kell powiedział jej, że tron Białego Londynu przejęto przy użyciu siły (i siłą jest utrzymywany) i że z tego powodu obecnie władcy nie cieszą się lojalnością poddanych. Tutaj strażnicy byli wyraźnie pod wpływem magii, uwięzieni za pomocą jakiegoś zaklęcia kontroli. Ale gdy zmusza się ludzi do czegoś, czego robić nie chcą, pojawia się problem — trzeba rozkazywać bardzo konkretnie. Ci tutaj na pewno nie mieli wyboru i musieli wypełniać polecenia, lecz prawdopodobnie nie będą skłonni zrobić niczego ponad narzuconą im czynność.

Na wargach dziewczyny pojawił się nikły uśmiezek.

Nie wiedziała, jakie rozkazy wydał swoim strażnikom król Athos, ale najwyraźniej nie obejmowały one jej, Lili. Puste oczy mężczyzn podążały za nią, kiedy szła korytarzem najspokojniej, jak potrafiła. Jak gdyby tu właśnie było jej miejsce. Jak gdyby wcale nie przyszła zabić królowej. Mijając ich, zastanowiła się, ilu z nich pragnie, żeby jej się udało.

Układ korytarzy w czerwonym pałacu przypominał labirynt, w białej twierdzy z kolei składały się one na prostą siatkę przecinających się przejść, co również stanowiło dowód, że swego czasu w budynku mieścił się kościół.

Jeden korytarz prowadził do drugiego, aż któryś w końcu doprowadził Lilę przed salę tronową, dokładnie tak, jak mówił Kell.

Ale Kell twierdził również, że w przedpokoju będzie pusto.

A nie było.

Przed drzwiami wiodącymi do sali tronowej stał chłopiec. Był młodszy niż Lila i szczupły, lecz umięśniony. W przeciwieństwie do pustych oczu strażników, jego były ciemne, podkrążone i rozgorączkowane. Widząc nadchodzącą dziewczynę, wyciągnął miecz.

— Vösk — rozkazał.

Lila zmarszczyła czoło.

— Vösk — powtórzył chłopiec. — Ös reijkav vösk.

— Ej, ty — odparowała szorstko. — Odsuń się.

Chłopiec zaczął coś mówić cicho i natarczywie we własnym języku. Lila potrząsnęła głową i wyjęła z pochewki sztylet z mosiężnymi wypustkami na rękojeści.

— Zejdź mi z drogi.

Czując, że ją zrozumiał, ruszyła zamaszystym krokiem do przodu, ku drzwiom. Chłopiec jednak podniósł miecz, zablokował jej drogę i powiedział po raz kolejny:

— Vösk.

— Słuchaj — warknęła. — Nie mam pojęcia, co mówisz...

Młodziutki strażnik rozejrzył się, rozdrażniony.

— ...Ale stanowczo ci radzę: idź sobie stąd i udawaj, że nasze spotkanie nigdy nie miało miejsca... Ejże, co w swoim mniemaniu robisz, do ciężkiej cholery?

Chłopiec potrząsnął głową i wymamrotał coś pod nosem, a potem podniósł miecz do własnego ramienia i zaczął ciąć sobie skórę.

— Hej — rzuciła Lila, kiedy chłopiec zacisnął zęby i wykonał drugie nacięcie, a potem trzecie. — Przestań natychmiast!

Podeszła, by chwycić go za przegub dłoni, ale wtedy chłopiec przestał się ranić, spojrzał jej w oczy i polecił:

— Odejdź.

Przez chwilę sądziła, że się przesłyszała. A potem dotarło do niej, że odezwał się po angielsku. Kiedy popatrzyła na jego ramię, zobaczyła, że wyciął sobie na skórze jakiś symbol.

— Odejdź — powtórzył. — Teraz!

— Zejdź mi z drogi — odparła.

— Nie mogę.

— Chłopcze... — ostrzegła.

— Nie mogę — powiedział znowu. — Muszę strzec tych drzwi.

— Albo co się stanie? — prowokowała.

— Nie ma żadnego „albo co”. — Odchylił kołnierz koszuli i pokazał jej znak, zaogniony i czarny, wryty w skórę. — Rozkazał mi strzec drzwi, więc muszę ich strzec.

Lila zmarszczyła brwi. Znak był inny niż ten, który widziała u Kella, zrozumiała jednak, czym na pewno był: swego rodzaju pieczęcią.

— Co się zdarzy, jeśli odstępisz? — spytała.

— Nie mogę.

— Co się zdarzy, jeśli cię zetnę?

— Umrę.

Na oba pytania odpowiedział ze smutkiem i identycznym przekonaniem.

„Co za szalony świat” — pomyślała Lila.

— Jak się nazywasz? — spytała.

— Beloc.

— Ile masz lat?

— Dostatecznie dużo.

Zadarł podbródek, oczy mu płonęły. Lila знаła ten gest. Sprzeciw. Ale chłopiec był jeszcze tak młody. Zbyt młody na to wszystko.

— Nie chcę cię skrzywdzić, Belocu — wyznała. — Nie zmuszaj mnie do tego.

— Żałuję, że muszę.

Wyprostował się przed nią, trzymając miecz w obu dłoniach, tak mocno, że aż mu pobielaly kostki palców.

— Musisz mnie pokonać.

Lila mruknęła niezadowolona i ścisnęła nóż.

— Proszę — dodał. — Proszę, zrób to.

Przez długą chwilę przyglądała mu się twardo.

— Jak? — spytała wreszcie.

Uniósł pytająco brwi.

— Jak chcesz umrzeć? — uściśliła.

W jego oczach pojawiła się niepewność, a potem wrócił ogień.

— Szybko — odrzekł chłopiec.

Lila skinęła głową. Podniosła sztylet, a chłopiec opuścił miecz tylko odrobinę, lecz wystarczająco. Następnie zamknął oczy i zaczął coś do siebie szeptać. Nie wahała się. Wiedziała, jak należy użyć noża, by zranić, i jak, by zabić. Zanim chłopiec skończył modlitwę, zamachnęła się i przesunęła ostrzem pomiędzy jego żebrami i w górę. Mogło jej się przytrafić coś gorszego, lecz upuszczając ciało chłopca na podłogę, i tak cicho przeklęła Athosa, Astrid i całe to cholerne miasto.

Wytarła ostrze sztyletu o rąbek własnej koszuli i schowała do pochwy, po czym pospiesznie podeszła do czekających drzwi sali tronowej. Na ich drewnie wyryto symbole w kręgu, w sumie dwanaście. Podniosła rękę do tarczy, przypominając sobie instrukcje Kella.

„Pomyśl o tym znaku jak o cyferblacie zegara — pouczył ją, rysując go w powietrzu. — Jeden, siedem, trzy, dziewięć”.

Podniosła palec, dotknęła symbolu na godzinie pierwszej, potem przesunęła dłoń w dół, po przekątnej, do wyobrażonej siódmej, wróciła w górę, do trójki, a potem prosto do dziewiątki.

„Jesteś pewna, że dobrze zapamiętałaś?” — spytał wtedy Kell, a ona westchnęła i odrzuciła włosy z oczu.

„Mówiłam ci, że szybko się uczę”.

Najpierw nic się nie wydarzyło. A potem coś przeszło pomiędzy jej palcami a drewnem i zamek wsunął się do środka.

— Mówiłam ci — szepnęła, otwierając pchnięciem drzwi.

III

Athos się śmiał. To był potworny odgłos.

Korytarz wokół nich był w nieładzie, wydrążeni strażnicy leżeli pokotem, kotary wisiały rozdarte, pochodnie walały się po ziemi, nadal płonąc. Pod okiem Kella pojawił się siniec, a biały płaszcz Athosa był osmalony i poplamiony prawie czarną krwią.

— Powtórzemy? — spytał król.

Zanim ostatnia sylaba w ogóle opuściła jego usta, z przodu jego tarczy wystrzelił niczym błyskawica grom mrocznej energii. Antari wyrzucił rękę w powietrze i podłoga między nimi dwoma się uniosła, lecz nie był dostatecznie szybki. Elektryczny grom uderzył w niego i odrzucił go w tył, w drzwi frontowe zamku, tak mocno, że aż popękało drewno wrót. Zakaszłał, bez tchu, nieprzytomny od ciosu, ale nie miał sposobności dojść do siebie. Powietrze zatrzęszczało i ożyło, a potem drugi grom trafił Kella tak potężnie, że drzwi za nim roztrzaskały się i rozpadły, a on sam wyleciał na dwór, w noc.

Na chwilę wszystko wokół stało się czarne, później jednak wzrok mu się z wolna przyzwyczaił i Kell wiedział, że spada.

Wiatr się zerwał i złapał go lub przynajmniej złagodził jego upadek. Jednak Kell i tak uderzył w kamienny dziedziniec u podstawy schodów tak twardo, że mógłby połamać sobie kości. Królewski półmiecz wypadł mu z ręki i odleciał na kilka metrów. Krew z nosa ściekała na kamienie.

— Obaj trzymamy miecze — zbeształ go Athos, schodząc po stopniach, a jego biały płaszcz kłębił się za nim po królewsku. — Ty jednak postanowiłeś walczyć na gwoździe.

Kell usiłował wstać, siarczyście przeklinając. Król najwyraźniej zupełnie nie odczuwał wpływu magii czarnego kamienia. Żyły zawsze miał ciemne, a jego oczy nadal zachowały ten sam lodowaty odcień błękitu. Z pewnością panował nad kamieniem i Kell po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy aby Holland nie miał racji. Może rzeczywiście nie istniało nic takiego jak równowaga, byli jedynie zwycięzcy i ofiary. Czy już przegrał? Mroczna magia szumiała w jego ciele, błagając, by jej użył.

— Umrzesz, Kell — powiedział Athos, gdy dotarł na dziedziniec. — Równie dobrze mógłbyś zatem umrzeć w walce.

Z kamienia króla wydobył się dym i wystrzelił do przodu, a fale ciemności, kiedy przewalały się ku Kellowi, zmieniły się w błyszczące czarne koniuszki noży. Antari podniósł pustą rękę, nakazując im się zatrzymać, lecz były stworzone z magii, nie z

metal, więc nie poddały się jego woli i nawet nie zwolniły. Już miały mu się wbić w ciało, lecz sekundę wcześniej jego druga ręka — ta związana z kamieniem — wzleciała w górę, jakby sama z siebie, a później w jego głowie rozbrzmiał echem rozkaz: „Chronź mnie”.

Ledwie ta myśl się uformowała, a już polecenie zostało wykonane. Wokół antarego owinał się cień, osłaniając go przed ostrym jak noże dymem. Przez jego ciało płynęła teraz moc — ogień zmieszany z lodowatą wodą i energią — i aż stracił oddech, kiedy dobywająca się z kamienia ciemność zaczęła się rozprzestrzeniać pod jego skórą i na niej, po ramieniu i przez pierś, ściana magii zaś odpierała napaść Athosa i zwracała się przeciwko niemu.

Król uchylił się, odrzucając jednocześnie ostrza machnięciem kamienia.

Większość noży spadła gradem na powierzchnię dziedzińca, lecz jeden znalazł cel i wbił się Athosowi w nogę. Król syknął i wyrwał ostrze z ciała. Odrzucił nóż i prostując się, błysnął złowrogim uśmiechem.

— Tak już lepiej.



Kroki Lili odbijały się echem od ścian sali tronowej. Pomieszczenie było ogromne, półkoliste i białe jak śnieg — z wyjątkiem kręgu filarów wzdłuż ścian i dwóch tronów w środku, które stały obok siebie na podwyższeniu, każdy wyrzeźbiony z jednej bryły jasnego kamienia. Jeden z nich był pusty.

Drugi zajmowała Astrid Dane.

Włosy — tak jasne, że wydawały się bezbarwne — ufryzowano jej na głowie na kształt korony i tylko pojedyncze kosmyki, cienkie jak nić pajęcza, opadały na jej twarz, opuszczoną niczym w drzemce. Astrid była trupio blada i odziana na biał, lecz nie w stonowane biele bajkowej królowej — żadnych aksamitów czy koronek. Nie, ubranie spowijało ją niczym zbroja, z obcisłym kołnierzem i mankietami wokół przegubów i — w przeciwieństwie do innych władczyń, które włożyłyby suknie — nosiła ciasno dopasowane spodnie z nogawkami wpuszczonymi w białe buty z długimi cholewami. Jej smukłe palce były zaciśnięte na poręczach tronu i chociaż co drugi zdobiły pierścienie, jedyny prawdziwy kolor pochodził z naszyjnika z talizmanem, który wisiał na jej szyi i którego krawędzie miały obwódkę w kolorze krwi.

Lila wpatrywała się w nieruchomą królową. Jej wisior wyglądał dokładnie jak ten, który nosił w Czerwonym Londynie Rhy, kiedy nie był Rhyem.

Talizman posiadania.

Sądząc po znieruchomieniu, Astrid Dane wciąż pozostawała pod wpływem zaklęcia.

Lila zrobiła krok do przodu, wzdrygając się, kiedy obcasy jej butów załomotały w pustej sali z nienaturalną mocą.

„Sprytne” — pomyślała. Kształt sali tronowej był nie tylko decyzją estetyczną. Pomieszczenie zaprojektowano tak, że rozbrzmiewał w nim dźwięk.

Było doskonałe dla władcy paranoika. A jednak, mimo głośnych kroków Lili, królowa ani na chwilę się nie poruszyła. Dziewczyna podchodziła więc, spodziewając się, że strażnicy lada moment mogą wypaść z niewidocznych kątów — których tu wcale nie było — i przybiec Astrid na pomoc.

Ale nikt się nie zjawił.

„Dobrze ci tak — pomyślała Lila. Setki strażników, a przed salą stał tylko jeden chłopiec, który w dodatku sam się prosił o śmierć. — Ale z ciebie królowa!”

Wisior skrzył się na dekolcie Astrid słabym pulsującym światłem. Gdzieś w innym mieście, w innym świecie ta kobieta przejęła inne ciało — może króla, królowej albo kapitana straży — lecz tutaj była bezbronna.

Lila uśmiechnęła się z determinacją. Chciałaby niespiesznie kazać królowej zapłacić za wszystko — przez wzgląd na Kella — ale wiedziała, że lepiej nie kusić losu. Wyjęła rewolwer z kabury. Jeden strzał. Szybki i łatwy. I koniec.

Podniosła broń, wycelowała królowej w głowę i wystrzeliła.

Strzał zadźwięczał w sali tronowej. Po nim światło natychmiast zafalowało, rozległo się dudnienie przywodzące na myśl grzmot, a Lila poczuła przeszywający ból w ramieniu. Od tego wszystkiego zatoczyła się do tyłu i rewolwer wypadł jej z ręki. Tłumiąc krzyk, złapała się za ramię, a później zakłęła sromotnie, widząc, że krew przesącza się przez koszulę i płaszcz.

Została postrzelona.

Kula najwidoczniej odbiła się rykoszetem, ale od czego?

Lila popatrzyła spod przymrużonych powiek na zajmującą tron Astrid i zrozumiała, że powietrze wokół kobiety w bieli nie jest puste, jak jej się wcześniej wydawało; marszczyło się po wystrzale i ten bezpośredni atak ujawnił, że drżało i lśniło, upstrzone szklistymi fragmentami światła. Magią!

Lila zacisnęła zęby, puściła spływające krwią ramię (i podarty płaszcz) i sięgnęła ręką do pasa. Wyciągnęła sztylet, wciąż jeszcze poplamiony krwią Beloca, i pomalutku zaczęła podchodzić bliżej, aż stanęła wprost przed tronem.

Jej wydech odbił się od niemal niewidocznej bariery. Musiała sobie wytrzeć policzki.

Podniosła powoli sztylet i przesuwając czubkiem do przodu, aż dotknął brzegu zakłętej osłony. Wokół koniuszka ostrza powietrze zaszeleściło, błyszcząc jak szron, lecz osłona nie ustąpiła. Lila rzuciła pod nosem przekleństwo, spojrzała w przestrzeń

nad ciałem królowej, a potem na posadzkę u stóp tamtej. Zmrużyła oczy. Na kamieniu u podstawy tronu widniały symbole. Oczywiście nie potrafiła ich odczytać, ale były połączone i otaczały tron i królową w układzie, który sugerował, że są ważne. Ogniwa w łańcuchu zaklęcia.

A ogniwa można złamać.

Przykucnęła i przeniosła ostrze do skraju najbliższego symbolu. Wstrzymała oddech, po czym przeciągnęła sztyletem po ziemi, wydrapując po swojej stronie idealne odbicie znaku, aż udało jej się usunąć wąski pasek atramentu, krwi czy czymkolwiek napisano zaklęcie (nie chciała tego wiedzieć).

Powietrze wokół tronu przestało drgać i przygasło, a kiedy Lila wstała, krzywiąc się, wiedziała, że wszelki czar, który chronił królową, już nie działa.

Przesunęła palcami po sztylcie.

— Żegnaj, Astrid — powiedziała i wycelowała ostrze w pierś królowej.

Ale zanim czubek noża przebił choćby białą tunikę, czyjaś ręka chwyciła Lilę za przegub dłoni. Lila spojrzała na Astrid Dane i odkryła, że tamta wpatruje się w nią jasnyniebieskimi oczyma. Nie spała. A na jej ustach pojawił się wąski, ostry uśmiech.

— Paskudna, mała złodziejka — wyszeptała.

I nagle zwiększyła uścisk, a ramię Lili rozdarł palący ból. Dziewczyna usłyszała, że ktoś krzyczy, lecz minęła dobra chwila, zanim pojęła, że dźwięk ten wydobywa się z jej własnego gardła.



Policzek Athosa pokrywały smugi krwi.

Kell z trudem łapał powietrze.

Biały płaszcz króla był rozdarty, a Kell miał powierzchowne rany cięte na nodze, nadgarstku i brzuchu. W wyniku starcia ich magii, uderzających o siebie jak krzemień o krzemień, połowa posągów na dziedzińcu została przewrócona i potrzaskana.

— Odbiorę ci to twoje czarne oko — warknął Athos. — Będę je nosić zawieszona na szyi.

Znowu smagnął pejczem, a Kell po raz kolejny odparł jego atak, wola przeciwko woli, kamień przeciwko kamieniowi. Tyle że antari toczył równocześnie dwie bitwy, jedną z królem, a drugą z samym sobą. Ciemność ciągle się rozprzestrzeniała, z każdą chwilą, z każdym ruchem roszcząc sobie prawo do większej części jego ciała. Nie mógł zwyciężyć; w tym tempie albo przegra walkę, albo zatraci siebie. Musiał coś poświęcić.

Magia Athosa znalazła szczelinę w utworzonej przez cień osłonie Kella i uderzyła mocno, roztrzaskując mu żebra. Zakaszłał, czując w ustach smak krwi, i usiłował skupić wzrok na królu. Musiał coś zrobić i to szybko. Królewski półmiecz skrzył się na ziemi, niedaleko niego. Athos podniósł kamień, przymierzając się do kolejnego ataku.

— To wszystko, co masz? — syknął prowokująco antari przez zaciśnięte zęby. — Wciąż te same, zgrane sztuczki? Brakuje ci pomysłowości siostry.

Król zmrużył oczy, a następnie wyciągnął kamień i wezwał coś nowego.

Nie ścianę, ostrze czy łańcuch. Nie, dym owinął się wokół niego, przybierając kształt groźnego, wijącego się obrysu. A później stał się masywnym srebrnym węzem o czarnych oczach; kiedy gad rósł, przewyższając Athosa, rozwidlony język strzelał w powietrze.

Kell zmusił się do cichego, szyderczego śmiechu, chociaż bolały go od tego połamane zębra. Podniósł z ziemi królewski półmiecz. Ten był wyszczerbiony i śliski od piasku i krwi, ale i tak antari dostrzegł symbole zdobiące całą długość jego żelaznego ostrza.

— Czekałem, aż to zrobisz — powiedział. — Aż stworzysz coś wystarczająco silnego, żeby mnie zabiło. Ponieważ najwyraźniej nie potrafisz zabić mnie sam.

Athos spojrzał na niego z marsową miną.

— A cóż to za różnica, jaką formę przyjmie twoja śmierć? I tak zginiesz z mojej ręki.

— Powiedziałeś, że chcesz mnie zabić osobiście — odparował Kell. — Ale przypuszczam, że nic bardziej osobistego nie wymyślisz. Więc śmiało, ukryj się za magią kamienia. Skoro sam tego nie potrafisz.

— Masz rację — odwarknął cicho król. — Powinieneś umrzeć... i umrzesz z mojej ręki.

Zacisnął palce na kamieniu, bezsprzecznie zamierzając pozbyć się węża. A wąż, który do tej pory pełzał wokół niego, teraz się zatrzymał, lecz nie zniknął.

Zamiast tego zwrócił lśniące czarne oczy na Athosa, tak, jak w pokoju Lili spojrzał na nią przywołany sobowtór Kella. Król spiorunował gada wzrokiem, każąc mu odejść. Kiedy wąż nie posłuchał rzuconego w myśli polecenia, Athos wypowiedział je na głos.

— Podporządkuj mi się! — rozkazał, gdy wąż znów wysunął gwałtownie język. — To ja cię stworzyłem i jestem twoim...

Ale nie miał szansy dokończyć.

Wąż wyprostował się i zaatakował. Jego szczęki z zębami jadowymi zacisnęły się na kamieniu w dłoni Athosa i zanim król zdołał choćby krzyknąć, wąż owinął się wokół niego. Srebrne cielsko otoczyło ramiona i pierś, a potem szyję króla, zgniatając ciało z głośnym trzaskiem.

Gdy Athosowi głowa opadła na pierś i przerażający król wyglądał już tylko jak nieruchoma szmaciana lalka, Kell zrobił potężny wdech. Wąż rozwinął się, puszczając zwłoki, które runęły do przodu, na popękane kamienie dziedzienca.

Teraz gad zwrócił czarne oczy na antariego. Podpełzł ku niemu z zatrważającą

prędkością, lecz Kell był gotów.

Podniósł królewski półmiecz i wbił wężowi w brzuch. Ostrze przebiło grubą skórę i wyryte na żelazie zakłęcie rozjarzyło się na chwilę, potem jednak stworzenie potężnie się szarpnęło i broń pękła na dwoje. Wąż zatrzęsł się i padł, a później stał się cieniem u stóp antariego.

Cieniem, pośrodku którego leżał rozbity kawałek czarnego kamienia.

IV

Lila mocno uderzyła plecami o filar.

Zwalała się na kamienną podłogę sali tronowej i krew wpłynęła do jej sztucznego oka, kiedy dziewczyna próbowała się podnieść na czworaki. Ramię straszliwie ją bolało, podobnie jak reszta ciała. Starła się o tym nie myśleć.

Tymczasem Astrid chyba świetnie się bawiła. Uśmiechała się leniwie do Lili, niczym kot, który harcuje z domową myszą.

— Wytnę ci z twarzy ten uśmiech — mruknęła dziewczyna, chwiejnie wstając.

Stoczyła sporo potyczek z wieloma osobami, lecz nigdy wcześniej nie walczyła przeciwko komuś takiemu jak Astrid Dane. Królowa poruszała się zarazem z drażniącą szybkością i kłopotliwą gracją, w jednej chwili sunęła powoli i płynnie, w następnej uderzała tak gwałtownie, że Lila skupiała się wyłącznie na tym, żeby utrzymać się na nogach. I przy życiu.

Wiedziała, że przegra.

Wiedziała, że umrze.

Ale niech ją szlag, jeśli nie będzie walczyła.

Sądząc po dudnieniu rozlegającym się w zamku wokół nich obu, Kell również miał ręce pełne roboty. Mogła zrobić dla niego tylko jedno — skupić na sobie uwagę Astrid, by mógł zмагаć się wyłącznie z jednym z Dane'ów.

Dzięki Lili zyska trochę czasu.

A właściwie co się z nią stało? Lila Bard z południowego Londynu dbałaby przede wszystkim o siebie. Tamta Lila nigdy nie poświęcałaby życia dla innej osoby. Nigdy by nie postawiła dobra ponad zło, gdyby właśnie zło oznaczało zachowanie życia. Nigdy by nie wróciła ratować nieznajomego, który pomógł wcześniej jej. Wypluła teraz krew i wyprostowała się. Może nigdy nie powinna była kraść tego przeklętego kamienia, ale nawet tu i teraz, w obliczu śmierci, którą mogła jej zadać blada królowa, nie żałowała swojego wyboru.

Pragnęła wolności. I przygody. I mogła za to umrzeć. Chciała tylko, żeby umieranie tak bardzo nie bolało.

— Stoisz mi już na przeszkodzie dostatecznie długo — oznajmiła Astrid, podnosząc przed siebie rękę.

Lila wykrzywiła wargi.

— Mam chyba do tego prawdziwy talent.

Astrid zaczęła coś mówić w tym gardłowym języku, który Lila słyszała wcześniej

na ulicach. Ale w ustach królowej słowa brzmiały inaczej. Obce, okrutne i piękne, płynęły, szeleszcząc jak wietrzyk w butwiejących liściach.

Przypomniały Lili wygrywaną dla tłumów na paradzie na cześć Rhya muzykę, której nuty wydawały się wręcz materialne. Przejmujące!

Ale Lila nie była aż tak niemądra, żeby stać i wsłuchiwać się w te tony. Jej rewolwer, teraz pusty, leżał odrzucony o dobre parę metrów od niej, a najnowszy nóż spoczywał u podnóża tronu. Wciąż jednak miała jeden sztylet na plecach, teraz więc po niego sięgnęła. Ale zanim zdążyła nim rzucić, Astrid dokończyła zaklęcie i w Lile trafiła fala energii, pozbawiając jej płuca powietrza i ciskając ją na podłogę, po której przez moment sunęła.

Z trudem łapiąc oddech, Lila przetoczyła się do przysiadu. Królowa się z nią bawiła.

Właśnie podniosła palce, przygotowując się do kolejnego ciosu, a Lila wiedziała, że to jej jedyna szansa. Ścisnęła sztylet i rzuciła nim, mocno i szybko, celując Astrid w serce. Ostrze leciało prosto w królową, lecz ona, zamiast się uchylić, tylko wyciągnęła rękę i wyrwała metal z powietrza. Gołą ręką. Serce Lili zamarło, kiedy Astrid złamała sztylet na pół i odrzuciła kawałki na bok, nawet na chwilę nie przerywając zaklęcia.

„Cholera” — pomyślała Lila tuż przed tym, gdy kamienne podłoże pod nią zaczęło się trząść i dudnić. Starła się utrzymać równowagę i o mało nie przeoczyła fali potrzaskanego kamienia, która wzniosła się nad jej głową.

Kamyki zaczęły spadać i uskoczyła w ostatniej chwili, zanim wszystkie się na nią posypały. Była szybka, lecz nie dość szybka. Ból rozdarł jej prawy bok i nogę, od pięty do kolana, która na dodatek uwięzła pod gruzem z jasnego kamienia upstrzonego kawałkami pobielącej skały...

„Nie, nie pobielącej skały — z przerażeniem zdała sobie sprawę Lila. — To kości”.

Szamotała się, próbując uwolnić nogę, ale Astrid dopadła jej, przewróciła na plecy, klękła na piersi, potem chwyciła maskę z rogami, zdarła ją z twarzy Lili i odrzuciła na bok. Następnie chwyciła palcami jej brodę i szarpnęła ku sobie.

— Ładna buźka — oceniła. — Pod całą tą krwią.

— Smaż się w piekle — wyrzuciła z siebie dziewczyna.

Królowa tylko się uśmiechnęła, po czym zatopiła paznokcie drugiej ręki w jej poranionym ramieniu. Lila zdławiła okrzyk i zaczęła się wyrywać z uścisku, ale jej bunt nie miał sensu.

— Jeśli zamierzasz mnie zabić — powiedziała ostro — po prostu to zrób.

— Och, zrobię to — zapewniła ją Astrid, wycofując palce z pulsującego ramienia Lili. — Lecz jeszcze nie teraz. Kiedy skończę z Kellem, wrócę po ciebie i poświęcę trochę czasu na pozbawienie cię życia. A gdy będzie po wszystkim, dodam cię do mojej

podłogi. — Uniosła dłoń, pokazując Lili opuszki swoich palców, teraz poplamione krwią. Na tle jej bladej skóry krew była jaskrawoczerwona. — Jednak najpierw...

Przeniosła okrwawiony palec do punktu między oczyma Lili i wyrysowała tam jakiś wzór.

Dziewczyna z całych sił walczyła, starała się uwolnić, lecz na Astrid nie robiło to wrażenia — przyciskając Lilę do ziemi, rysowała kolejny krwawy znak, tym razem na własnym bladym czole.

Królowa zaczęła coś mówić, cicho, szybko i w tamtym obcym języku. Lila szarpała się teraz jak szalona, próbując krzyczeć, przerwać zakłęcie, ale długie palce Astrid zacisnęły się na jej ustach i zakłęcie się zmaterializowało, przybierając w powietrzu wokół nich jakiś kształt. Kiedy magia przetoczyła się po Lili, przeszył ją lodowy szpikulec, a po skórze przebiegły ciarki. Nad nią twarz królowej zaczęła się zmieniać.

Podbródek się wyostrzył, policzki z porcelanowych rozgorzały do zdrowszego koloru. Wargi stały się czerwone, oczy pociemniały z niebieskich w brązowe — każde w innym odcieniu — włosy natomiast, do tej pory białe jak śnieg i zwinięte na głowie w kok, opadły jej na twarz, kasztanowe i przycięte w ostrą linię wzdłuż jej szczęki. Nawet jej ubranie zafalowało i zmieniło się, przyjmując aż nazbyt znaną Lili formę. Królowa przybrała ostry jak brzytwa grymas uśmiechu, a Lila gapiała się teraz w górę ze zgrozą nie na Astrid Dane, lecz na swoje lustrzane odbicie.

Kiedy królowa się odezwała, z jej ust dobył się własny głos Lili.

— Lepiej już pójdę — oświadczyła. — Jestem pewna, że Kellowi przyda się pomoc.

Dziewczyna spróbowała ostatniego desperackiego ciosu, ale Astrid złapała jej nadgarstek jak jakąś mało znaczącą uciążliwość i przycisnęła do podłogi.

Pochyliła się nad Lilą i przysunęła wargi do jej ucha.

— Nie martw się — wyszeptała. — Przekażę mu od ciebie pozdrowienia.

Wtedy uderzyła głową Lili o ziemię i świat zgasł.



Kell stał na kamiennym dziedzińcu w towarzystwie pokruszonych posągów, martwego króla i wyszczerbionego kawałka czarnego kamienia. Był zalany krwią i połamany, lecz ciągle żył. Zniszczony królewski półmiecz wyslizgnał

się z jego palców i spadł z brzękiem na ziemię, a Kell wziął drżący wdech, wciągając w płonące płuca chłodne powietrze i wypuszczając je pokrwawionymi ustami w postaci mglistego obłoku. Coś go przenikało, coś ciepłego i zimnego, usypiającego i niebezpiecznego. Chciał przestać walczyć, chciał się poddać, ale nie mógł. To jeszcze nie był koniec.

Połowa kamienia tętniła w jego dłoni. Druga połowa błyszczała na ziemi, tam gdzie upuścił ją wąż. Wzywała go, a jego ciało samo przesunęło się ku brakującemu

kawałkowi. Kamień prowadził jego palce w dół, ku roztrzaskanemu podłożu, aż Kell zacisnął wszystkie wokół czekającego tam nań fragmentu. W chwili, w której oba kawałki się zetknęły, antari poczuł, jak w jego ustach formują się słowa.

— As Hasari — rzekł, a raczej rozkaz wypowiedział się sam, głosem, który równocześnie był Kella i do niego nie należał.

Dwie połówki w jego ręce zaczęły się „uleczać”. Kawałki stopiły się w jeden, szczeliny się odszukały, aż powierzchnia stała się gładka i nieskazitelnie czarna, a wtedy ogromna moc — czysta, piękna i słodka — przelała się przez ciało Kella, przynosząc ze sobą poczucie czegoś dobrego. Poczucie pełni. I jego umysł wypełniła cisza. Milczenie. Prosty, regularny rytm magii ciągnął go w dół jak sen. Kell pragnął tylko jednego — ustąpić i zatopić się w mocy, ciemności i spokoju.

„Poddaj się” — powiedział jakiś głos w jego głowie. Oczy antariego się zamknęły, a on sam zakołysał się na nogach.

Potem usłyszał głos Lili wołającej jego imię.

Bezruch zafalował, gdy Kell zmusił się do otwarcia oczu, a wtedy zobaczył ją schodzącą po schodach. Wydawała się tak daleka. Wszystko wydawało mu się dalekie.

— Kell — powtórzyła, kiedy do niego dotarła.

Oszacowała wzrokiem całą scenę: zrujnowany dziedziniec, zwłoki Athosa, jego zmaltretowane ciało i... talizman, teraz w całości.

— To koniec — oznajmiła. — Trzeba na tym poprzestać.

Spojrzał na kamień, który trzymał w ręce, na czarne żyły, które gęstniały, stawały się grube niczym sznury i owijały się wokół jego ciała.

— Proszę — kontynuowała Lila. — Wiem, że potrafisz to zrobić. Wiem, że mnie słyszysz.

Wyciągnęła rękę, patrząc na niego z troską. Kell się skrzywił, moc wciąż jeszcze przez niego płynęła, psując mu widok i myśli.

— Proszę! — naciskała.

— Lila — powiedział łagodnie.

Wyciągnął rękę i wsparł się na ramieniu dziewczyny.

— Jestem tutaj — wyszeptała. — Tylko daj mi kamień.

Przyjrzał się talizmanowi. Zacisnął na nim palce i dym do niego przemówił.

Nie musiał. Magia była teraz w jego głowie i wiedziała, czego Kell chce.

Pomiędzy jedną chwilą i następną dym zmienił się w nóż. Antari wpatrywał się w błyszczącą krawędź metalu.

— Lila — powtórzył.

— Tak, Kellu?

Napiął palce.

— Łap!

A potem wbił jej ostrze w brzuch.

Wydała z siebie gwałtowny syk bólu. A potem całe jej ciało zadrżało, zmarszczyło się i zmieniło w ciało innej osoby. Rozciągnęło się w postać Astrid Dane i ciemny kwiat krwi rozkwitł na jej białym ubraniu.

— Skąd...? — warknęła, lecz Kell nakazał jej mięśniom znieruchomieć, a ustom zamknąć się.

Żadne słowa — i żadne zaklęcie — nie uratowałyby jej teraz. Chciał ją zabić. Ale, co więcej, pragnął, żeby cierpiała! Za jego brata. Jego księcia.

Ponieważ w tym momencie, wpatrując się w jej szeroko otwarte niebieskie oczy, widział wyłącznie Rhya.

Rhy z jej talizmanem na szyi.

Rhy błyskający uśmiechem, który był jak na niego za bardzo bezlitosny i zbyt chłodny.

Rhy zaciskający palce wokół szyi Kella i szepczący do jego ucha słowa kogoś innego.

Rhy wpychający mu nóż w brzuch.

Rhy — jego Rhy — upadający na kamienną podłogę.

Rhy broczący krwią.

Rhy umierający.

Za to, co zrobiła, Kell pragnął ją po prostu zmiażdżyć. I w jego dłoniach własna chęć przekształciła się w wolę, a od noża wbitego w brzuch Astrid zaczęła się rozchodzić ciemność. Pełzła po ubraniu i pod skórą królowej, a wszystko, czego dotknęła, zmieniała w biały kamień. Kobieta usiłowała otworzyć usta i odezwać się lub krzyknąć, ale zanim przez jej zaciśnięte zęby zdążył się wymknąć jakikolwiek dźwięk, kamień dotarł do piersi, gardła i bladych czerwonych warg. Magia przejęła żołądek, podążyła w dół po nogach i butach, po czym zatoneła w nierównej ziemi. Kell stał w miejscu, wpatrując się w posąg Astrid Dane o zamrożonych, szeroko otwartych z szoku oczach i rozchylonych w trwałym grymasie ustach. Wyglądała teraz jak reszta figur na dziedzińcu.

To jednak Kellowi nie wystarczyło.

Chociaż bardzo chciał ją zostawić tam, w zniszczonym ogrodzie wraz ze zwłokami brata, nie mógł tego zrobić. Magia, jak wszystko, blednie. Zaklęcia można zdjąć. Pewnego dnia Astrid mogłaby znów być wolna. A on nie zamierzał do tego dopuścić.

Złapał jej białe kamienne ramię. Palce miał pokrwawione, tak jak i resztę ciała, a magia antari była mu tak powolna jak powietrze.

—As Steno— rozkazał.

Na twarzy królowej utworzyły się głębokie pęknięcia, nierówne szczeliny przebiegły po jej ciele z góry na dół, a kiedy Kell zacisnął palce, pod jego dotykiem kamienny posąg Astrid Dane po prostu się roztrzaskał.

V

Drżał, znów spowity dziwną ciszą.

Tym razem była cięższa. I nagle ktoś zawołał jego imię, dokładnie tak samo jak kilka chwil wcześniej. Gdy podniósł głowę, zobaczył Lile, która ściskając się kurczowo za ramię, zbiegała po schodach, kulejąca, posiniaczona i poraniona, lecz żywa. Czarną maskę trzymała w zakrwawionych palcach.

— Nic ci nie jest? — spytała, gdy dotarła do niego.

— Nigdy nie było lepiej — odparł, chociaż skupienie na niej wzroku i umysłu kosztowało go mnóstwo siły.

— Skąd wiedziałeś? — zapytała, patrząc na gruz pozostały po posągu królowej. — Skąd wiedziałeś, że nie jest mną?

Kell zmusił się do uśmiechu.

— Ponieważ powiedziała „proszę”.

Lila zagapiła się na niego w osłupieniu.

— Czy to żart?

Wzruszył nieznacznie ramionami. To również wymagało wiele wysiłku.

— Po prostu wiedziałem — uciał.

— Po prostu wiedziałeś — powtórzyła jak echo.

Skinął głową. Lila przyglądała mu się dokładnie, a on się zastanawiał, jak się w tej chwili prezentuje.

— Wyglądasz okropnie — oceniła dziewczyna. — Lepiej pozbądź się tego kamienia.

Kiwnął głową.

— Mogłabym pójść z tobą.

Pokręcił głową.

— Nie. Proszę. Nie chcę, żebyś szła. — Mówił szczerze. Nie wiedział, co go czeka po drugiej stronie, ale cokolwiek się tam czaiło, zmierzy się z tym sam.

— Świetnie — stwierdziła, przelękając ślinę. — Zostanę tutaj.

— Co będziesz robiła? — spytał.

Wzruszyła ramionami.

— Po drodze tutaj, gdy uciekaliśmy przed mieszkańcami, widziałam kilka przyzwoitych statków na nabrzeżu. Któryś z nich na pewno się nada.

— Lila...

— Poradzę sobie — rzuciła twardo. — Pospiesz się, zanim ktoś zauważy, że

zabiliśmy im króla i królową.

Spróbował się zaśmiać i coś go przeszyło, coś, co przypominało ból, lecz było mroczniejsze. Zgiął się wpół i wzrok mu się zamazał.

— Kell? — Lila opadła na kolana obok niego. — O co chodzi? Co się dzieje?

„Nie! — błagał własne ciało. — Nie. Nie teraz”.

Był tak blisko. Tak blisko. Musiał teraz tylko...

Po drugiej fali znalazł się na czworakach.

— Kell! — nalegała Lila. — Mów do mnie.

Usiłował jej coś wyjaśnić, coś powiedzieć, cokolwiek, ale jego szczęki pozostały zaciśnięte, zęby zgrzytały. Walczył z ciemnością, lecz ta stawiała opór. I zwyciężała.

Głos Lili stawał się coraz odleglejszy.

— Kell... słyszysz mnie? Zostań ze mną. Zostań.

„Przestań walczyć — polecił mu głos w głowie. — Już przegrałeś”.

„Nie — odparował w myślach Kell. — Nie. Jeszcze nie”.

Zdołał podnieść palce do płytkiego nacięcia na brzuchu, a później zaczął rysować krwią znak na popękanych kamieniach. Zanim jednak zdążył przycisnąć związaną z talizmanem dłoń do znaku, jakaś siła odepchnęła go z powrotem na ziemię. Ciemność oplotła go i pociągnęła w dół. Walczył przeciwko tej magii, lecz była już w nim, w środku, krążyła w jego żyłach.

Próbował się wyrwać z jej uścisku, odrzucić ją, ale było już na to za późno.

Wziął ostatni wdech, a potem magia wciągnęła go jeszcze niżej.



Nie mógł się poruszyć.

Ciemności przyciskały się do jego rąk i nóg i trzymały jak imadło, unieruchamiając go. Im bardziej walczył, tym ściślej go owijały, wykorzystując resztki jego siły. Głos Lili brzmiał daleko, coraz dalej, aż w końcu ucichł zupełnie i Kell pozostał w świecie wypełnionym wyłącznie przez ciemność.

Ciemność, która była wszędzie.

A potem nagle zniknęła. Zbiła się w masę, zwinęła się przed nim, łącząc się w jedno, najpierw stając się cieniem, następnie — mężczyzną. Mężczyzna był ukształtowany jak on — od wzrostu i włosów aż po jego płaszcz, lecz w każdym centymetrze składał się z gładkiej i błyszczącej czerni scalonego talizmanu.

— Witaj, Kellu — zagaiła ciemność, nie po angielsku, arnezyjsku czy maktańsku, lecz w swoim ojczystym języku.

I w końcu Kell zrozumiał. To był vitari. Istota, która go wcześniej ciągnęła, pchała do czynu, wzmacniała jego ciało, równocześnie osłabiając jego wolę i karmiąc się jego życiem.

— Gdzie jesteśmy? — spytał, a jego głos był ochryply.

— W tobie — odparł vitari. — Stajemy się tobą.

Kell bezradnie się zmagał z ciemnymi sznurami.

— Wynoś się z mojego ciała — warknął.

Vitari uśmiechnął się swoim niewyraźnym, czarnym uśmiechem i zrobił krok ku niemu.

— Dobrze walczyłeś — pochwalił go. — Jednak czas na walkę się skończył. — Podszedł blisko i podniósł rękę do piersi Kella. — Stworzono cię dla mnie, antari — wyjaśnił. — Jako idealne naczynie. Już zawsze będę nosił twoją skórę.

Kell skręcał się pod jego dotykiem. Musiał walczyć. Zaszedł przecież tak daleko. Nie mógł się teraz poddać.

— Za późno — powiadomił go vitari. — Już mam twoje serce.

Dla podkreślenia swoich słów złączył opuszki palców, a gdy jego ręka przeniknęła do wnętrza piersi Kella, antari stracił oddech. Czuł, jak palce vitariego zaciskają się wokół jego bijącego serca, czuł, jak to serce zamiera i jak ciemność — niczym krew — przelewa się przez gors jego obszarpanej koszuli.

— To koniec, Kell — powiedziała magia. — Jesteś mój.



Ciało Kella dygotało na ziemi. Lila objęła dłońmi jego twarz. Był

rozpalony. Żył na szyi i przy skroniach stały się czarne, a w jego rysach pojawiło się napięcie, ale nie wstawał i nie otwierał oczu.

— Walcz z tym! — krzyknęła Lila, podczas gdy jego ciało drgało w konwulsjach. — Przeszedłeś całą tę drogę. Nie możesz się po prostu poddać!

Jego plecy wygięły się w łuk nad ziemią, a kiedy dziewczyna rozdarła mu koszulę, zobaczyła rozprzestrzeniającą się na jego sercu czerń.

— Niech to szlag — zaklęła, starając się wyrwać kamień z ręki antariego.

Ale talizman nie ustąpił. — Jeśli umrzesz — mruknęła — co się stanie z Rhyem?

Kell opadł plecami na ziemię i z trudem zrobił wydech.

Do tej pory Lila miała już przy sobie całą swoją broń, więc wyjęła nóż i ważyła go w dłoni. Wołałaby nie zostać zmuszona do zabicia Kella. Ale mogłaby go zabić. Nie chciała też odcinać mu ręki, lecz na pewno się nie zawaha.

Antariemu wymknął się z ust jęk.

— Cholera, Kell, nie poddawaj się. Słyszysz mnie?



Jego serce biło nierówno, zamierając.

— Tak ładnie prosiłem — oznajmił vitari z ręką nadal wciśniętą w jego pierś. —

Dałem ci szansę, mogłeś się poddać. A ty mnie zmusiłeś do użycia siły.

Gorąco rozeszło się w kończynach Kella, zostawiając po sobie osobliwy chłód. Usłyszał głos Lili. Dalekie, niewyraźne sylaby brzmiały jak echa ech i ledwie do niego docierały. Ale usłyszał imię. Rhy!

Gdyby umarł, księżę również by nie przeżył. Nie może przestać walczyć.

— Nie zamierzam cię zabić, Kell. Nie całkiem.

Zacisnął powieki, ciemność na niego napierała.

— Nie ma jakiegoś słowa na to?! — usłyszał w głowie głos Lili. — No co jest?! Dalej, Kell! Wypowiedz to przeklęte słowo.

Musiał się skupić. Oczywiście. Dziewczyna miała rację. Istniały takie słowa. Vitari był czystą magią. A cała magia jest związana z regułami. Z porządkiem. Vitari został stworzony, a wszystko, co można stworzyć, można również zniszczyć. Rozproszyc!

„As Anasae” — pomyślał.

Poczuł migotanie mocy. Ale nic więcej się nie zdarzyło.

Wolna ręka vitariego otoczyła jego szyję.

— Naprawdę myślałeś, że to zadziała? — zadrwiła magia w osobie jego sobowtóra, lecz coś było w jej tonie i napięciu. Strach!

To się może udać. Uda się. Musi się udać.

Lecz magia antari była układem słownym. Kell nigdy wcześniej nie był w stanie wezwać jej samą myślą, a tutaj, w jego głowie, wszystko było myślami.

Bez wątpienia musiał wypowiedzieć to słowo na głos. Skupił się, sięgając słabnącymi zmysłami, aż mógł poczuć swoje ciało nie takim, jakie było tutaj, w tej iluzji, w tej płaszczyźnie myślowej, lecz takim, jakie było w rzeczywistości, rozciągnięte na twardym, chłodnym dziedzińcu, ciało, nad którym nachylała się Lila. Nachylała się nad nim. Kell uczepił się kurczowo tego chłodu, koncentrując się na tym, jak to zimne podłoże wbija mu się w grzbiet. Starał się poczuć własne palce, owinięte wokół kamienia tak mocno, że aż bolały.

Skupiał się na swoich zaciśniętych z bólu ustach i zmusił je, by się otworzyły.

Zmusił wargi do rozchylenia.

Do sformułowania słów.

— As An...

Serce się w nim zatrzęsło, kiedy zacisnęły się na nim palce vitariego.

— Nie! — warknęła magia, teraz z wyraźnym lękiem, zmieniając własne zniecierpliwienie w gniew.

I Kell zrozumiał jej strach. Vitari nie był tylko zaklęciem. Był źródłem całej mocy kamienia. Rozpędzając vitariego, rozproszy sam talizman. Wszystko się wtedy skończy.

Usiłował zachować swoje ciało. Siebie. Zmusił się do zrobienia wdechu i wydechu.

— As Anas... — wydukał, zanim ręka vitariego przeniosła się z jego serca do płuc, wygniatając z nich powietrze.

— Nie możesz — powiedziała z rozpaczą magia. — Tylko ja utrzymuję przy życiu twojego brata.

Zawahał się. Nie wiedział, czy to nie jest prawda, czy więź, którą stworzył z Rhyem, rzeczywiście można przerwać. Ale wiedział na pewno, że księżę nigdy by mu nie wybaczył tego, co zrobił, co zresztą nie będzie miało znaczenia, jeśli nie przeżyją.

Wykrzesał resztki siły i skoncentrował się nie na próbującym go zniszczyć vitarim ani nie na ciemności krążącej w jego ciele, lecz na głosie Lili, chłodnej ziemi, obolałych palcach i pokrwawionych ustach, które formułowały słowa.

— As Anasae.

VI

W Czerwonym Londynie upadały ciała.

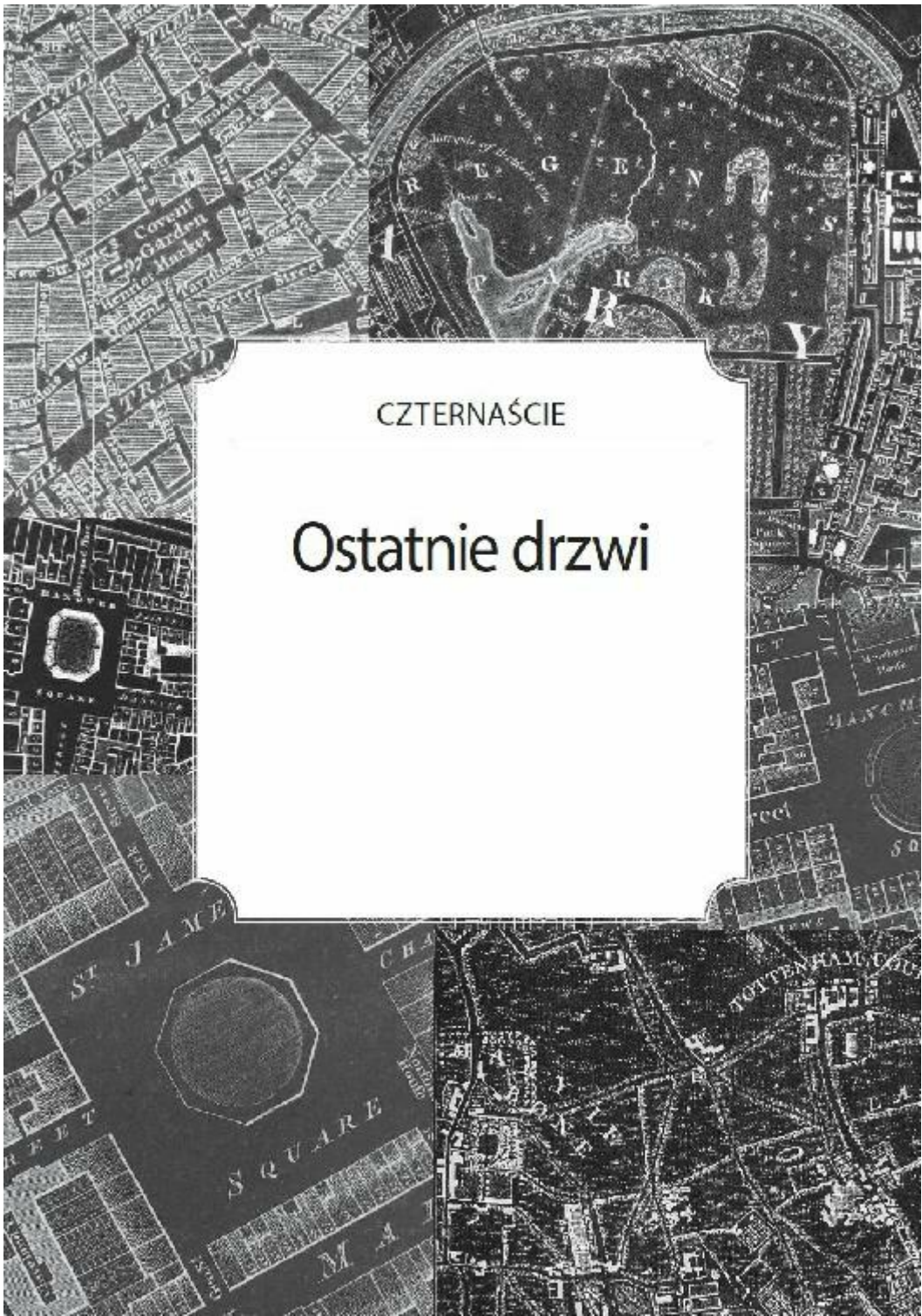
Ludzie, którzy zostali przez magię pocałowani lub porwani, ci, o których względy zabiegała lub których zmuszała, ci, którzy pozwolili jej wejść, i ci, którym została narzucona — wszyscy oni upadali, kiedy czarny płomień w ich wnętrzach wypalił się i zgasł. Gdy się rozproszył.

Wszędzie magia pozostawiała za sobą szlak złożony z ciał.

Na ulicach ludzie chwiali się i upadali. Jedni rozkruszali się na popiół, całkowicie spaleni, drudzy zostali zredukowani do łupin, pustych w środku, a tylko nieliczni szczęściarze, choć złamani, z trudem łapiący powietrze i słabi, wciąż żyli.

W pałacu magia przebrana za Gena właśnie doszła do królewskich komnat; czerniejąca ręka strażnika zastygła na drzwiach, kiedy ciemność umarła i zabrała go ze sobą.

A w sanktuarium, daleko od zamkowych murów, na gołej pryczy, w oświetlonej świecami zakonnej celi, księżę Czerwonego Londynu zadrżał i znieruchomiał.



CZTERNAŚCIE

Ostatnie drzwi

I

Kell otworzył oczy i zobaczył gwiazdy.

Unosiły się wysoko nad zamkowymi murami, odległe punkciki słabego białego światła.

Talizman wyslizgnął się z jego palców, uderzając z tępym odgłosem. Nic w nim już nie było, ani szumu, ani pragnienia, ani obietnicy. Był tylko kawałkiem kamienia.

Lila coś mówiła. Tym razem jej głos nie brzmiał gniewnie, nie tak gniewnie jak zwykle, a jednak Kell nie słyszał słów przez własne łomoczące serce, kiedy podnosił drżącą rękę do kołnierza koszuli. Tak naprawdę nie chciał patrzeć. Nie chciał wiedzieć... Niemniej szarpnął kołnierz w dół i obejrzał sobie skórę nad sercem, w miejscu, gdzie pieczęć związała życie Rhya z jego własnym.

Czarna siateczka magii zniknęła.

Ale blizny nie było. Sama pieczęć nadal pozostawała nienaruszona. Co oznaczało, że nie była powiązana jedynie z vitarim. Była połączona z nim, antarim.

Zaszlochał z ulgi.

A chwilę później znów widział wyraźnie świat wokół siebie. Chłodny kamień dziedzińca, zwłoki Athosa, szczątki skamieniałej Astrid oraz Lilę, która otaczała go ramionami — lecz tylko przez chwilę; odsunęła się, zanim zdołał docenić jej bliskość.

— Tęskniłaś za mną? — wyszeptał, gardło miał zdarte.

— Pewnie — odpowiedziała. Jej oczy były zaczerwienione. Kopnęła czubkiem buta talizman. — Jest martwy? — spytała.

Kell podniósł kamień, nie czując nic poza jego ciężarem.

— Nie można zabić magii — wyjaśnił, powoli wstając. — Można ją jedynie rozproszyc. A jednak zniknęła.

Dziewczyna zagryzła wargę.

— Nadal musisz go odnieść?

Obejrzał pusty kamień i powoli pokiwał głową.

— Dla bezpieczeństwa — przyznał.

Ale może teraz, gdy wreszcie uwolnił się od magicznego uścisku talizmanu, nie musiał robić tego osobiście. Lustrował wzrokiem dziedziniec, aż zobaczył ciało Hollanda. Podczas toczony bitwy biały antari zsunął się z kamiennej ławki i leżał teraz rozciągnięty na ziemi, a jego nasiąknięty krwią płaszcz stanowił jedyny znak, że Holland po prostu nie śpi.

Kell podniósł się i chociaż każdy centymetr jego ciała protestował przeciwko

wszelkiemu ruchowi, podszedł do Hollanda. Ukłął u jego boku i wziął jego rękę w swoje. Skóra białego antariego ochłodziła się, tętno na przegubie dłoni było słabe i zwalniało coraz bardziej, serce zmuszało się do ostatnich uderzeń. Lecz Holland wciąż żył.

„Naprawdę bardzo trudno jest zabić antarich” — powiedział kiedyś.

Okazało się, że miał rację.

Kell wyczuł, że Lila nad nim stoi. Nie wiedział, czy jego plan się powiedzie, czy w ogóle jeden antari może rozkazywać drugiemu, niemniej przycisnął palce do rany na piersi Hollanda, a na ziemi obok ciała wyrysował pojedynczą kreskę. Potem przyłożył pusty kamień do krwi i położył go na linii, podnosząc dłoń Hollanda i kładąc na talizmanie.

— Odejdź w pokoju — powiedział łagodnie na pożegnanie, po czym przycisnął rękę Hollanda własną i dodał: — As Travars.

Ziemia pod białym antarim ustąpiła, rozmywając się w cień. Kell odsunął się, kiedy ciemność i to, co znajdowało się za nią, połknęły ciało Hollanda i kamień, pozostawiając jedynie powierzchnię pokrytą smugami krwi.

Wpatrywał się w poplamioną ziemię i nie mógł uwierzyć, że naprawdę mu się udało. Że go oszczędzono. Że przeżył. Że może wrócić do domu!

Zachwiał się na nogach, jednak Lila go chwyciła.

— Zostań ze mną — poprosiła.

Skinął głową, nieco oszołomiony. Kamień przesłaniał ból, więc kiedy zniknął, wzrok znów się Kellowi zaćmił. Rany Rhya nałożyły się na jego własne, a gdy usiłował zdusić jęk, poczuł w ustach smak krwi.

— Musimy iść — powiedział.

Teraz, kiedy miastu brakowało króla — czy też króla i królowej — na nowo rozgorzeją tu walki o władzę. Ktoś wydrapie sobie krwawy szlak do tronu. Jak zawsze w Białym Londynie.

— No to zabierzmy się do domu — odparła dziewczyna.

Ogarnęła go ulga — na moment, zanim dała o sobie znać brutalna rzeczywistość.

— Lila — zaczął, sztywniejąc — nie wiem, czy zdołam zabrać cię stąd ze sobą.

Wszak wcześniej to kamień gwarantował jej przejście między światami, to on tworzył dla niej drzwi, które nie powinny istnieć. Bez kamienia szanse, że ten świat ją wypuści...

Dziewczyna chyba to rozumiała. Rozejrzała się wokół siebie i otoczyła się ramionami. Była posiniaczona i pokrwawiona. Jak długo przetrwałaby tutaj sama? Z drugiej strony, to była przecież Lila. Prawdopodobnie przetrzyma wszystko.

— No cóż — podsumowała. — Możemy spróbować.

Przełknął ślinę.

— Co najgorszego może się przydarzyć? — nalegała, kiedy zmierzali ku murom otaczającym dziedziniec. — Rozpadnę się na sto kawałeczków, które rozsypią się między światami? — spytała z kpiącym uśmiechem, ale Kell dostrzegł w jej oczach strach. — Jestem gotowa zostać. Ale chcę spróbować przejść.

— Jeśli nam się nie uda...

— Wtedy znajdę inny sposób — dokończyła za niego.

Kiwnął głową i podeszli do muru dziedzińca. Kell wyrysował znak na jasnych kamieniach i wyjął z kieszeni monetę z Czerwonego Londynu. Potem przyciągnął Lile blisko do siebie, przyłgnał poranionym ciałem do jej ciała i przyłożył czoło do jej czoła.

— Hej, Lila — rzucił cicho w dzielącą ich przestrzeń.

— Tak?

Musnął ustami jej usta na jeden krótki moment, otarł się o jej ciepło, a następnie odsunął. Spojrzała na niego, marszcząc brwi, ale się nie cofnęła.

— Po co to? — spytała.

— Na szczęście — odrzekł. — Chociaż na pewno nie będzie ci potrzebne.

A później przycisnął rękę do muru i pomyślał o domu.

II

Wokół Kella wyłonił się Czerwony Londyn, ciężki od nocy. Pachniało ziemią i ogniem, kwitnącymi kwiatami i korzenną herbatą, a przede wszystkim domem. Kell nigdy wcześniej nie cieszył się tak bardzo z powrotu tutaj. Ale serce w nim zamarło, kiedy zdał sobie sprawę, że nikogo nie trzyma w ramionach.

Lili z nim nie było.

Nie przeszła.

Przełknął ślinę i spojrzał na symbol w brudnej od krwi dłoni. A potem cisnął nim najmocniej, jak mógł. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech, starając się odzyskać wewnętrzny spokój.

I wtedy usłyszał głos. Jej głos.

— Nigdy nie pomyślałam, że będę taka szczęśliwa, czując zapach kwiatów.

Kell zamrugnął i odwrócił się do dziewczyny. Stała tam. Cała i zdrowa.

— To niemożliwe — powiedział.

Kąciki ust Lili wykrzywiły się w nikłym uśmiechu.

— Mnie również miło cię widzieć.

Kell objął ją mocno. A ona przez sekundę, tylko przez sekundę, nie odsunęła się ani nie zagroziła, że dźgnie go nożem. Na sekundę i tylko na sekundę przytuliła się do niego.

— Jak to możliwe? — spytał, zdumiony.

Lila jedynie wzruszyła ramionami.

— Jestem uparta.

Stali przez chwilę, opierając się o siebie, jedno powstrzymywało drugie przed upadkiem, chociaż trudno było powiedzieć, które z nich bardziej potrzebuje tego wsparcia. Oboje wiedzieli tylko, że cieszą się, bo są tutaj, bo żyją.

I wówczas do Kella dotarły odgłosy butów i mieczy, zobaczył też błyski świateł.

— Zdaje się, że nas zaatakowano — wyszeptała dziewczyna w kołnierze jego płaszcza.

Podniósł głowę nad jej ramię i zobaczył kilkunastu członków straży, którzy otaczali ich z obnażonymi ostrzami. W szczelinach hełmów błyskały oczy wpatrzone w niego z trwogą i wściekłością. Czuł, że stojąca przy nim Lila napina mięśnie, czuł jej pragnienie sięgnięcia po rewolwer albo po nóż.

— Nie walcz — wyszeptał, kiedy zsuwał powoli ramiona z jej pleców.

Chwycił ją za rękę i odwrócił się do żołnierzy jego królewskiej rodziny.

— Poddajemy się.



Strażnicy kazali im obojgu klęknąć przed królem i królową i — mimo mamrotanych przez Lilę przekleństw — trzymali ich w tej pozycji. Nadgarstki skuto im za plecami metalowymi okowami, podobnie jak Kellowi tamtej nocy w komnatach Rhya. Czy od tej pory naprawdę minęło ledwie kilka godzin?

Przytłaczały go jak lata.

— Zostawcie nas — rozkazał król Maxim.

— Panie — zaprotestował jeden ze strażników, zerkając na antariego. — To nie jest bezpieczne...

— Kazałem wam wyjść! — zagrzemiał król.

Straż wycofała się, na parkiecie sali balowej pozostali jedynie klęczący Kell i Lila, król i królowa siedzieli ponad nimi. Maxim strzelał gorączkowo oczyma, na skórze wykwitły mu plamy wywołane gniewem. Siedząca u jego boku królowa Emira była trupio blada.

— Co zrobiłeś? — zapytał król.

Kell wzdrygnął się, ale powiedział im prawdę. O rzuconym przez Astrid zaklęciu posiadania i o planie bliźniaków, lecz także o kamieniu i o tym, jak do niego trafił (czyli również o swoim wcześniejszym procederze). Wyznał, co odkrył, i że próbował zwrócić talizman w jedyne bezpieczne miejsce. A król i królowa słuchali, mniej z niedowierzaniem niż z przerażeniem; wraz z każdym wyjaśnieniem król stawał się coraz bardziej czerwony, a królowa coraz bledsza.

— Kamień zniknął teraz — zakończył Kell. — I magia wraz z nim.

Król trzasnął pięścią o poręcz.

— Dane'owie zapłacą za to, co...

— Dane'owie nie żyją — przerwał Kell. — Sam ich zabiłem.

Lila odchrząknęła.

Kell przewrócił oczyma.

— Z pomocą Lili.

Król najwyraźniej po raz pierwszy zauważył dziewczynę.

— Kim jesteś? Jakie szaleństwo dodasz do tej opowieści?

— Nazywam się Delilah Bard — wyrzuciła z siebie. — Spotkaliśmy się nieco wcześniej dziś wieczorem. Kiedy starałam się ocalić wasze miasto, a wy staliście tam, wszyscy z całkiem pustymi oczyma, owładnięci jakimś urokiem.

— Lila! — warknął Kell w panice.

— To także dzięki mnie wasze miasto ciągle stoi.

— Nasze miasto?! — spytała królowa. — Nie jesteś zatem stąd?

Kell naprężył mięśnie. Lila otworzyła usta, ale zanim zdążyła się odezwać, powiedział za nią:

— Nie. Jest z daleka.

Król zmarszczył czoło.

— Z jak bardzo daleka?

Tym razem, zanim antari zdążył odpowiedzieć, Lila wzruszyła ramionami.

— Mój statek przybił do portu kilka dni temu — oznajmiła. — Przybyłam do Londynu, ponieważ słyszałam, że nie powinnam przegapić przyjęcia na cześć waszego syna, a także dlatego, że miałam do załatwienia interesy z kramarką imieniem Calla z targowiska nad rzeką. Nasze drogi z Kellem przecięły się przedtem raz czy dwa razy i kiedy się dowiedziałam, że potrzebuje pomocy, udzieliłam mu jej. — Antari gapił się na nią ze zdumieniem. Patrząc na niego z uniesioną brwią, dodała: — Ma się rozumieć, obiecał mi nagrodę.

Król i królowa wpatrywali się teraz w nią, jak gdyby próbowali zdecydować, które elementy jej historii brzmią najmniej wiarygodnie (fakt, że jest właścicielką statku, czy może to, że chociaż cudzoziemka, mówi tak nieskazitelnie po angielsku), w końcu jednak spokój królowej się zachwiał.

— Gdzie jest nasz syn?! — spytała błagalnie.

Powiedziała to tak, jakby mieli tylko jednego syna, i z tego powodu Kell ponownie się wzdrygnął.

— Czy Rhy żyje? — zapytał król.

— Dzięki Kellowi — wtrąciła się Lila. — Spędziliśmy ostatni dzień na próbach ratowania waszego królestwa, a wy nawet nie...

— Żyje — odparł Kell, przerywając jej. — Przeżyje... — dodał, wytrzymując spojrzenie króla — ...dopóki ja będę żył.

Było w tym stwierdzeniu lekkie wyzwanie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Panie — odparł Kell, odrywając wzrok od króla. — Zrobiłem tylko to, co musiałem. Gdybym mógł oddać za niego życie, oddałbym. Ale mogłem jedynie podzielić się z nim swoim.

Przekreślił się w więzach, ukazując skraj blizny widocznej pod kołnierzem.

Królowa zrobiła głośny wdech. Królowi pociemniała twarz.

— Gdzie on jest, Kell? — spytał Maxim łagodniejszym głosem.

Antari rozluźnił ramiona, z których spadł wielki ciężar.

— Wypuść nas — odrzekł. — A sprowadzę go do domu.

III

— Wejść.

Kell nigdy wcześniej nie cieszył się tak bardzo, słysząc głos brata. Otworzył drzwi i wszedł do komnaty Rhya, próbując nie przypominać sobie, jak ten pokój wyglądał, kiedy ostatnio go opuszczał, gdy podłogę pokrywały smugi krwi księcia.

Od tej nocy upłynęły trzy dni i w międzyczasie usunięto wszystkie ślady bałaganu. Balkon zreperowano, starto krew z mozaiki podłogowej, meble i materiały zostały odnowione.

Teraz Rhy leżał wsparty na łóżku. Miał podkrążone oczy, ale wyglądał bardziej na znudzonego niż chorego, i to był postęp. Uzdrowiciele poprawili jego stan najlepiej, jak potrafili (zadbali też o Kella i Lile), lecz regeneracja księcia nie postępowała tak szybko, jak powinna. Kell znał oczywiście przyczynę tej sytuacji. Wbrew temu, co wmawiali wcześniej uzdrowicielom, Rhy nie został wszak tylko ranny, on był martwy.

Dwóch służących stało przy pobliskim stoliku, a obok drzwi siedział na krześle strażnik i wszyscy trzej przyglądali się Kellowi uważnie, kiedy wchodził. Posępny nastrój księcia po części wiązał się z faktem, że pełniącym przy nim wartę nie był ani Parrish, ani Gen. Ciała obu odnaleziono — jeden zginął od miecza, drugiego powaliła czarna gorączka, jak prędko nazwano chorobę, która szalała w mieście; śmierć członków straży przybocznej martwiła księcia równie mocno jak własne zdrowie.

Służący i strażnik przypatrywali się antariemu jeszcze uważniej, gdy podchodził do łóżka Rhya.

— Nie pozwalają mi wstać, dranie — zrzędził chory, piorunując mężczyzn wzrokiem. — Skoro nie mogę stąd wyjść — oznajmił im — bądźcie tak uprzejmi i zostawcie nas samych. — Poczucie straty i winy, połączone z nieprzyjemnymi obrażeniami i zakazem opuszczania sypialni, pogłębiały jego paskudny humor. — Oczywiście — mruknął do odchodzących — niech strażnik zostanie pod komnatą. Niech się poczuje jeszcze bardziej niż do tej pory jak więzień.

Kiedy mężczyźni zniknęli, książę westchnął i osunął się na poduszki.

— Chcą jedynie pomóc — zauważył Kell.

— Może nie byłoby tak źle — odparował Rhy — gdyby mieli choć trochę przyjemniejsze aparycje. — Ale jego kąśliwy chłopięcy komentarz zabrzmiał dziwnie pusto. Rhy westchnął i poszukał spojrzenia antariego, a wtedy jego oczy pociemniały. — Opowiedz mi wszystko — polecił. — Lecz zacznij od tego. — Dotknął miejsca nad sercem, tam gdzie miał bliznę, identyczną jak blizna Kella. — Jaką niemądrą rzecz

zrobiłeś, bracie?

Kell popatrzył na intensywnie czerwoną pościel na łóżku, po czym odsunął kołnierz i zaprezentował lustrzaną szramę.

— Zrobiłem tylko to, co ty byś zrobił na moim miejscu.

Książę się skrzywił.

— Kocham cię, Kellu, ale nie interesują mnie bliźniacze tatuaże.

Antari uśmiechnął się ze smutkiem.

— Umierałeś, Rhy. Ocaliłem ci życie.

Nie mógł się zmusić do powiedzenia bratu całej prawdy: że kamień nie tyle uratował mu życie, co je przywrócił.

— Jak? — zapytał książę. — Jakim kosztem?

— Ja go zapłaciłem — oświadczył Kell. — I zapłaciłbym go ponownie.

— Odpowiedz mi bez kręcenia!

— Połączyłem twoje życie z moim — wyjaśnił. — Dopóki ja będę żył, ty również.

Rhy wybałuszył oczy.

— Co zrobiłeś? — wyszeptał, przerażony. — Powinienem wstać z tego łóżka i skrócić ci kark.

— Nie robiłbym tego na twoim miejscu — doradził mu Kell. — Twój ból jest moim, a mój twoim.

Książę zacisnął dłonie w pięści.

— Jak mogłeś? — spytał, a Kell się zaniepokoił, że Rhyowi nie podoba się fakt, iż są tak bardzo ze sobą związani. On jednak zamiast tego spytał: — Jak zdołałeś udźwignąć taki ciężar?

— Jest, jak jest, Rhy. Nie można tego rozwiązać. Więc proszę cię, bądź wdzięczny i skończ z tym.

— Jak mogę z tym skończyć? — spytał kpiąco książę, wróciwszy do bardziej żartobliwego tonu. — Mam to wryte w pierś.

— Kochankowie lubią mężczyzn z bliznami — odparował Kell z uśmiechem. — Tak w każdym razie słyszałem.

Rhy westchnął i odchylił głowę do tyłu. Milczeli. Najpierw cisza była kojąca, potem jednak zaczęła gęstnieć. Lecz akurat kiedy Kell miał ją przerwać, Rhy go uprzedził.

— Co ja zrobiłem? — wyszeptał, podnosząc bursztynowe oczy i wpatrując się w sufit baldachimu. — Co ja zrobiłem, Kellu? — Obrócił głowę i popatrzył na brata. — Ten naszyjnik przyniósł mi Holland. Powiedział, że to dar, a ja mu zawierzyłem. Twierdził, że ten dar pochodzi z naszego Londynu, i temu również dałem wiarę.

— Popeliłeś błąd, Rhy. Każdemu się zdarza. Nawet królewskim synom. Ja popełniłem ich wiele. Nic się nie stało.

— Powiniennem mieć więcej rozumu w głowie. Właściwie dobrze wiedziałem, że to błąd — dodał i głos mu się załamał.

Starał się usiąść prosto i jego twarz wykrzywił grymas. Kell nakłonił go, żeby się położył.

— Dlaczego go wzięłeś? — spytał, kiedy księżę usadowił się wygodnie.

Tym razem Rhy nie wytrzymał jego wzroku.

— Holland zapewniał, że talizman da mi moc.

Kell zmarszczył brwi.

— Jesteś już silny.

— Nie tak jak ty! To znaczy... Wiem, że nigdy nie będę taki jak ty. Ale nie mam talentu do magii i z tego powodu czuję się strasznie słaby. Pewnego dnia zostanę królem. Chciałbym być silnym władcą.

— Magia nie daje ludziom siły, Rhy. Zaufaj mi w tej sprawie. A ty masz coś lepszego. Ludzie cię kochają.

— Łatwo być kochanym. A ja pragnę, żeby mnie szanowali, i pomyślałem...

— Głos księcia był ledwie szeptem. — Przyjąłem naszyjnik. Liczy się tylko to, że go przyjąłem. — Łzy zaczęły mu płynąć, mocząc czarne loki. — I mogłem wszystko zniszczyć. Mogłem stracić koronę, zanim w ogóle będę miał prawo ją włożyć. Mogłem wplątać moje miasto w wojnę lub skazać je na chaos bądź upadek.

— Jakich synów mają nasi rodzice? — spytał spokojnie Kell. — We dwóch potrafimy zniszczyć cały świat.

Rhy wydał z siebie stłumiony odgłos, coś między śmiechem i łkaniem.

— Czy kiedyś nam wybaczą?

Kell zdobył się na uśmiech.

— Już nie jestem w łańcuchach. Możemy mówić o postępie.

Król i królowa powiadomili mieszkańców miasta — poprzez strażników i tablice informacyjne — że Kell został oczyszczony z wszelkich zarzutów. Ale i tak na ulicy wciąż śledziły go ludzkie spojrzenia, w których spod szacunku wyzierała ostrożność, strach i podejrzliwość. Może kiedy Rhy wyzdrowieje i będzie mógł bezpośrednio przemówić do obywateli, ci uwierzą, że nic mu się nie stało i że to nie Kell ściągnął ciemności, które spadły owej nocy na pałac.

Może tak, chociaż Kell wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek wszystko będzie tak proste, jak było przedtem.

— Miałem ci powiedzieć — przypomniał sobie księżę. — Tieren mnie odwiedził. Przyniósł jakiś...

Przerwało mu stukanie do drzwi. Zanim Rhy czy Kell zdążyli się odezwać, do pomieszczenia wpadła Lila. Nadal nosiła swój nowy płaszcz — z łatami naszytymi na

miejsca, które rozdarły kule z rewolweru, ostrza noży i kamień — ale przynajmniej się wykąpała, a włosy spięła złotą klamrą, dzięki czemu nie wpadały jej w oczy. Wciąż wyglądała trochę jak przymierający głodem ptak, lecz była czysta, najedzona i podleczone.

— Nie podoba mi się sposób, w jaki patrzę na mnie strażę — oświadczyła, a dopiero później podniosła wzrok i zobaczyła spoglądające na nią bursztynowe oczy księcia. — Przepraszam — dodała. — Nie chciałam przeszkadzać.

— Co zatem zamierzałaś zrobić? — dociął jej Kell.

Rhy podniósł dłoń.

— Na pewno nie przeszkadzasz — powiedział, unosząc się na łóżku. — Chociaż obawiam się, że poznajesz mnie w stanie dalekim od typowej dla mnie elegancji. Nazywasz się jakoś?

— Delilah Bard — odparła. — Spotkałam cię już wcześniej. I prezentowałeś się znacznie gorzej.

Rhy roześmiał się cicho.

— Przepraszam za wszystko, co być może zrobiłem. Nie byłem sobą.

— To ja przepraszam, że strzeliłam ci w nogę — powiedziała Lila. — Byłam wtedy całkowicie sobą.

Książę posłał jej swój doskonały uśmiech.

— Ona mi się podoba — rzekł do Kella. — Mogę ją pożyczyć?

— Możesz spróbować — odparowała Lila, unosząc czoło. — Ale będziesz wówczas księciem bez palców.

Kell skrzywił się, jednak Rhy tylko się roześmiał. Śmiech szybko zmienił się w grymas bólu i antari wyciągnął rękę, by uspokoić brata, ponieważ to samo cierpienie poczuł we własnej piersi.

— Wróć do flirtów, kiedy całkowicie wydobrzejesz — zasugerował.

Wstał i zaczął odprowadzać Lilę do drzwi.

— Zobaczę cię jeszcze, Delilah Bard? — zawołał za nimi książę.

— Być może nasze drogi ponownie się przetną.

Tym razem Rhy uśmiechnął się krzywo.

— Jeśli mam coś do powiedzenia w tej sprawie, to tak, na pewno tak się stanie.

Kell przewrócił oczyma, ale przez moment miał wrażenie, że dostrzega rumieniec na policzkach dziewczyny, którą skierował do wyjścia, a później zamknął za nimi obojgiem drzwi, pozostawiając brata, aby odpoczął.

IV

— Mógłbym spróbować przenieść cię z powrotem — mówił Kell. — Do twojego Londynu.

Szli wraz z Lilą brzegiem rzeki, obok wieczornego targowiska, tam gdzie ludzie nadal zbyt intensywnie i zbyt długo się w nich wpatrywali, a potem dalej, w stronę portu. Słońce zachodziło za nimi, więc ich sylwetki rzucały długie cienie, które kładły się przed nimi jak rozwijające się ścieżki.

Dziewczyna potrząsnęła głową i wyjęła z kieszeni srebrny zegarek.

— Nic tam na mnie nie czeka — odrzekła, otwierając i zamykając kopertę czasomierza. — Już nie.

— To również nie jest twój świat — zauważył po prostu.

Wzruszyła ramionami.

— Znajdę tu coś dla siebie. — A potem zadarła brodę i popatrzyła antariemu w oczy. — A ty?

Blizna nad sercem tępo rwała, lekko pobolewając. Potarł ramię.

— Postaram się. — Zagłębił rękę w kieszeni okrycia, czarnego płaszcza ze srebrnymi guzikami, i wyjął małą paczuszkę. — Mam coś dla ciebie.

Wręczył jej zawiniątko i obserwował, jak dziewczyna rozwiązuje sznurek, a potem zsuwa wieczko. W środku była mała układanka i garść żywiołów.

— Poćwicz — zaproponował. — Tieren twierdzi, że masz w sobie trochę magii. Lepiej ją znajdź.

Usiedli na ławce i Kell pokazał Lili, na czym polega gra, a wtedy Lila nakrzyczała na niego za to, że się przed nią popisuje, po czym odłożyła pudełko i powiedziała, że mu dziękuje. Jakoś zmusiła się do wymówienia tych słów, chociaż przyszło jej to z wyraźnym trudem. Wstali, lecz żadne z nich nie chciało się jeszcze rozstawać i wtedy Kell przypatrzył się jej z uwagą — Lili, zabójczynie i złodziejce, dzielnej współniczce i dziwnej, niesamowitej dziewczynie.

Zobaczy ją ponownie, wiedział, że tak. Magia zagina świat. Kształtuje go.

Istnieją punkty stałe. Zazwyczaj są to miejsca. Ale czasami, rzadko, są to ludzie. Jak na kogoś, kto nigdy nie przystawał na dłużej, Delilah Bard naprawdę mocno tkwiła w jego świecie. Był przekonany, że prędzej czy później się na nią natknie.

Nie wiedział, co rzec, więc po prostu poprosił: — Trzymaj się z dala od kłopotów.

Błysnęła uśmiechem, który mówił, że na pewno stanie się inaczej.

A potem podniosła kołnierz, wcisnęła ręce w kieszenie i powoli odeszła.

Patrzył za nią.

Ani razu nie obejrzała się za siebie.



Delilah Bard była nareszcie wolna.

Pomyślała o mapie w tamtym Londynie — Szarym Londynie, jej Londynie, starym Londynie — pergaminie, który zostawiła w ciasnym pokoiku przy szczycie schodów w Rzucie Kamieniem. Mapie prowadzącej dokądś. Czyż nie zmierzała właśnie do celu?

W kościach czuła obietnicę.

Tieren twierdził, że coś w niej dostrzegł. Coś, co zostało zaniedbane. Nie wiedziała, jaką formę to coś przyjmie, ale chętnie by to odkryła. Niezależnie od tego, czy chodziło o tę samą magię, która płynęła w żyłach Kella, czy o coś innego, o coś nowego, wiedziała jedno.

Ten świat należał do niej.

Wszystkie te światy do niej należały.

I weźmie je wszystkie.

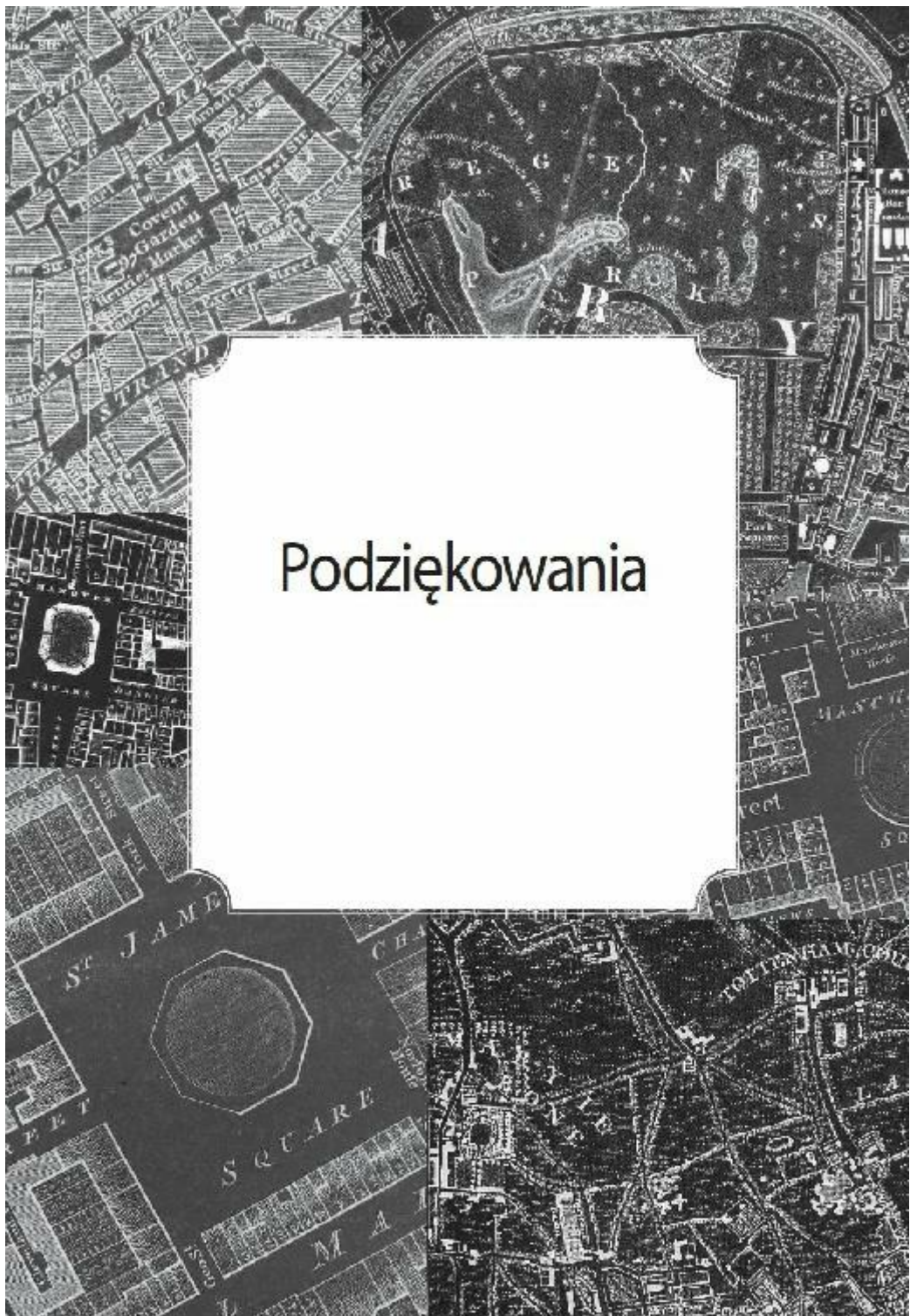
Jej wzrok powędrował ku statkom cumującym na przeciwległym brzegu rzeki, ku ich lśniącym burtom i rzeźbionym masztom, wysokim i tak spiczastym, że mogłyby podziurawić wiszące nisko chmury. Na wietrze łopotały bandery i żagle w czerwieni i złocie, lecz także w zieleniach, fioletach i błękitach.

Statki z królewskimi chorągwiami i statki bez takowych. Statki z innych lądów zza innych mórz, z bliska i z daleka, z krain odległych i jeszcze odleglejszych.

Zobaczyła wśród nich, wciśnięty między inne, dumny, ciemny statek o wyczyszczonych do połysku burtach i ze srebrnym sztandarem oraz żaglami w kolorze nocy — w odcieniu czarnym, który wpadał w niebieski, ilekroć akurat rozświetlił je słoneczny blask.

„Ten” — pomyślała z uśmiechem.

„Ten będzie dobry”.



Podziękowania

O autorach myślimy jako o samotnych istotach, zgarbionych nad klawiaturą w ciasnych, pustych pokojach. Ale chociaż prawdą jest, że pisanie to praca najczęściej wykonywana samodzielnie, ostatecznie książka nie jest efektem jednego umysłu czy pary rąk, lecz wielu głów. Nie byłoby możliwe podziękować każdej z pomocnych osób, o kilku jednak po prostu nie mogę nie wspomnieć. Są tak samo odpowiedzialne za tę powieść jak ja.

Mojej redaktorce Miriam, współniczce w zbrodni, dziękuję za to, że pokochała Kella, Lilę i Rhya tak bardzo jak ja, i za jej pomoc w stworzeniu podstaw tej serii z krwi, cienia i stylowych strojów. Nawet najwspanialszy redaktor nie zna wszystkich odpowiedzi, lecz zadaje właściwe pytania. A ty jesteś naprawdę wspaniałą redaktorką.

Mojej agentce Holly — za to, że była cudownym orędownikiem tej dziwnej małej fantazji, nawet już wtedy, kiedy powiedziałam tylko, że będzie to powieść o „piratach, złodziejach, sadystycznych królach i brutalnej magii”. I mojemu agentowi filmowemu Jonowi — za to, że od początku podzielał namiętność Holly. Nikt nie mógłby wymarzyć sobie lepszych rzeczników.

Mojej matce — za towarzystwo podczas moich wędrówek po ulicach Londynu śladami Kella, i mojemu ojcu — za to, że potraktował mnie poważnie, gdy wyznałam, że piszę książkę o złodziejce, która przebiera się za mężczyznę, i o magach w bajecznych okryciach. Właściwie obojgu rodzicom dziękuję za to, że odkąd zwierzyłam się, iż pragnę zostać pisarką, nigdy ze mnie nie drwili.

Lady Hawkins — za wspólne włóczęgi ulicami Edynburga, i Edynburgowi — za jego magiczność. Zawsze będę cię mieć w duszy, moje miasto.

Patricii — za to, że poznała tę powieść tak dokładnie jak ja, i za to, że zawsze skwapliwie i twórczo czytała napisane przeze mnie stronicie, bez względu na to, jak bardzo były niedopracowane.

Carli i Courtney, najlepszym cheerleaderkom — i najlepszym przyjaciółkom — o jakie neurotyczna, uzależniona od kofeiny pisarka mogłaby poprosić los.

Spółeczności artystycznej Nashville — Rucie, Davidowi, Lauren, Sarah, Sharon, Rae Ann, Dawn, Paige oraz wielu innym osobom, które powitały mnie w domu z miłością, czułością i margaritą.

Torowi i Irene Gallo, Willowi Staehle'owi, Leah Withers, Becky Yeager, Heather Saunders i wszystkim innym, którzy pomogli przygotować tę książkę dla świata.

I moim czytelnikom, zarówno tym wiernym, jak i nowym, ponieważ bez was jestem tylko dziewczyną gadającą do siebie przy ludziach.

Ta powieść jest dla was.

Spis treści

Victoria E. Schwab

Mroczniejszy odcień magii

JEDEN. Podróżnik

I, II, III

DWA. Król Czerwonego Londynu

I, II, III

TRZY. Złodziejka z Szarego Londynu

I, II, III

CZTERY. Tron Białego Londynu

I, II, III, IV, V

PIĘĆ. Kamień z Czarnego Londynu

I, II, III, IV

SZEŚĆ. Złodzieje się poznają

I, II, III, IV

SIEDEM. Uczennica

I, II, III

OSIEM. Plan

I, II, III

DZIEWIĘĆ. Święto i ogień

I, II, III, IV

DZIESIĘĆ. Jedna biała wieża szachowa

I, II, III, IV, V, VI

JEDENAŚCIE. Maskarada

I, II, III, IV, V

DWANAŚCIE. Sanktuarium i ofiara

I, II, III, IV, V, VI

TRZYNAŚCIE. Czekaający król

I, II, III, IV, V, VI

CZTERNAŚCIE. Ostatnie drzwi

I, II, III, IV
Podziękowania